

JEZIORO DŁUGIEGO SŁOŃCA

Wolfe Gene



calibre 0.7.14

GENE WOLFE

KSIĘGA DŁUGIEGO SŁOŃCA TOM 2

JEZIORO DŁUGIEGO SŁOŃCA

Bogowie, postacie i zwierzęta występujące w powieści.

W Yironie osoby płci męskiej pochodzenia biochemicznego noszą imiona zwierząt lub produktów zwierzęcych: Alka, Krew, Żuraw, Piżmo, Jedwab. Osoby płci żeńskiej pochodzenia biochemicznego noszą imiona roślin (przeważnie kwiatów) lub produktów roślinnych: Acalypha, Mięta, Orchidea, Róża. Osoby pochodzenia chemicznego płci męskiej i żeńskiej noszą imiona metali, minerałów lub produktów z nich: Pięściak, Marmur, Piasek, Łupek.

Acalypha - jedna z kobiet z domu Orchidei. Ma zapewne dziewiętnaście lat, jest wysoka i mocno zbudowana, a włosy maluje na ognisty kolor kwiatu, jakiego nosi imię. Alka nazywa ją szczebiotką.

Alka - włamywacz, przyjaciel Jedwabia, bez reszty oddany maytere Mięcie. Potężnie zbudowany mężczyzna o masywnej szczęce i odstających uszach. Acalypha nazywa go ogierkiem. Aquila - młody orzeł wyszkolony przez Piżma. Aronia - kobieta, która opuściła dom Orchidei.

Maytere Betel - niegdyś jedna z sybilli w manteionie przy ulicy Słońca; obecnie nie żyje. Chiąuito - papuga należąca do rodziców Mamelty. Dreoilin - ukochana córka lolara. Dzwoneczek - jedna z kobiet z domu Orchidei.

Echidna - jedna z głównych bogiń, małżonka Paha, matka bogów i bogini płodności. Kojarzona jest z węzami, myszami oraz wszelkimi stworzeniami pełzającymi. Paterę Gulo - młody augur. Hiacynt - piękna kurtyzana na usługach Krwi.

Hierax - jeden z głównych bogów, bóg śmierci; patron czwartego dnia tygodnia. Kojarzony jest z ptactwem padlino - żernym, szakalami oraz (jak Tartaros) z wszelkimi zwierzętami o czarnej maści.

Hycel - obelżywe określenie gwardzisty. lolar - lotnik.

Paterę Jedwab - augur w starym manteionie przy ulicy Słońca; ma dwadzieścia trzy lata, wysoki, szczupły, z zawsze potarganymi żółtymi włosami. Kalan - złodziej zabity przez Alkę.

Kocur - potężny mężczyzna pilnujący porządku w „Kogucie”.

Kosmek - mały chłopiec z palestry Jedwabia.

Kotek - mały chłopiec uczęszczający do palestry Jedwabia.

Paterę Kowadelko - protonotariusz Remory, przebiegły człowieczek o końskich zębach. Jego pasją jest czarna mechanika.

Krew - bogacz, zbrodniarz, de facto właściciel manteionu Jedwabia oraz żółtego domu Orchidei. Wysoki, masywny, łysiejący, o czerstwej, czerwonej twarzy; ma około pięćdziesięciu pięciu lat.

Paterę Kwezal - przewodniczący Kapituły w Yironie. Nosi tytuł Jego Mądrość.

Kypris - pomniejsza bogini, bogini miłości. Kojarzona jest z królikami i gołębiami.

Radca Lemur - sekretarz Ayuntamiento, a tym samym de facto władca Yironu.

Radca Leniwiec - członek Ayuntamiento, ekspert w dziedzinie dyplomacji i spraw zagranicznych.

Radca Lori - członek Ayuntamiento, pełniący pod nieobecność Lemura funkcję sekretarza.

Szeregowiec Łupek - żołnierz, w armii Yironu.

Mak - jedna z kobiet w domu Orchidei; śliczna, ciemnowłosa.

Mamelta - śpiąca, zbudzona przez Pleśń i uwolniona przez Jedwabia.

Maytere Marmur - sybilla w manteionie Jedwabia, stanowiskiem młodsza od Róży, lecz starsza od Mięty; liczy sobie ponad trzysta lat i jest już prawie całkowicie zużyta. Mewa - członek kręgu czarnych mechaników Kowadelka.

Maytere Mięta - młodsza stanowiskiem sybilla w manteionie Jedwabia.

Molpe - jedna z głównych bogiń, bogini muzyki, tańca, sztuki, wiatru i wszelkich lekkich przedmiotów; patronka drugiego dnia tygodnia. Kojarzona jest z motylami i ptakami śpiewającymi.

Nutria - młody człowiek z Yironu należący do klasy średniej, mąż Trybułki. Okoń - drab pilnujący porządku w domu Orchidei. Oliwka - śpiąca.

Pułkownik Oosik - dowódca Trzeciej Brygady gwardii cywilnej Yironu.

Orchidea - madame z żółtego domu przy ulicy Lampy, matka Orlicy.

Oreb - nocny kruk Jedwabia, wielkie, czarne ptaszysko o szkarłatnych nogach i karmazynowym dziobie.

Orlica - córka Orchidei zaszytletowana przez Acalyphe.

Pah - ojciec bogów oraz władca i twórca whorla. Bóg słońca i deszczu, mechanizmów i wielu innych rzeczy, przedstawiany z dwoma głowami. Kojarzony jest z bydłem i ptakami drapieżnymi.

Phaea - jedna z głównych bogiń, bogini żywności i lecznictwa; patronka szóstego dnia tygodnia. Kojarzona jest ze świniami.

Sierżant Piasek - żołnierz służący w armii Yironu.

Kapral Pięściak - żołnierz z armii Yironu.

Piórko - mały chłopiec z palestry Jedwabia.

Piżmo - rządcą i kochanek Krwi.

Pleśń - adoptowana córka Krwi; ma około piętnastu lat, potrafi odbywać podróże poza ciałem; siła nieczysta.

Paterę Płetwa - augur, poprzednik Jedwabia w manteionie przy ulicy Słońca; obecnie już nie żyje.

Pokrzywa - sympatia Roga.

Paterę Remora - koadiutor Kwezala. Wysoki i chudy, o pociągłej, zapadniętej twarzy i prostych czarnych włosach. Nosi tytuł Jego Eminencja.

Róg - przywódca starszych chłopców w palestrze Jedwabia.

Maytere Róża - najstarsza stanowiskiem sybilla w manteionie Jedwabia, jej ciało składa się w większości z protez. Ma ponad dziewięćdziesiąt lat. Rzep - dziewczynka z palestry Jedwabia.

Scylla - jedna z głównych bogiń, bogini jezior i rzek; patronka pierwszego dnia tygodnia oraz rodzinnego miasta Jedwabia, Yironu. Kojarzona jest z końmi, wielbłądami i rybami. Przedstawiana jest z ośmioma, dziesięcioma lub dwunastoma ramionami.

Sklerodermia - żona rzeźnika. Sprzedaje odpadki mięsa jako karmę dla zwierząt i dlatego czasami nazywana jest „kocim miechem”. Bardzo niska, przysadzista i wyjątkowo gruba. Słodkogorz - członkini kręgu czarnych mechaników Kowadełka.

Sphigx - jedna z głównych bogiń, bogini wojny i męstwa; patronka siódmego dnia tygodnia. Kojarzona jest z lwami i wszelkimi kotami. Szpik - zieleniarz.

Radca Tarsjusz - członek Ayuntamiento, ekspert w dziedzinie architektury i inżynierii.

Tartaros - jeden z głównych bogów, bóg nocy, zbrodni i han - dlu; patron trzeciego dnia tygodnia. Kojarzony jest z sowami, nietoperzami, kretami oraz (jak Hierax) z wszelkimi zwierzętami o czarnej maści.

Thelxiepeia - jedna z głównych bogiń, bogini magii, mistycyzmu i trucizn; patronka piątego dnia tygodnia.

Kojarzona jest z drobiem, jeleniami, małpami człekokształtnymi i małpiatkami.

Trybulka - mieszkanka Yironu należąca do klasy średniej, żona Nutrii. Vulpes - adwokat z Limny.

Radca Wari - członek Ayuntamiento, ekspert w dziedzinie szpiegostwa i brutalnych przesłuchań. Ma okrągłą twarz i zwodniczo łagodny wygląd.

Komisarz Wyrak - główny biurokrata w rządzie Yironu, wysoki i bardzo tęgi, z czarnym, sumiastym wąsem.

Zajac - pomocnik Pizma.

Zewnętrzny - pomniejszy bóg, który oświecił Jedwabia.

Doktor Żuraw - prywatny lekarz Krwi, niski, zażywny mężczyzna z siwiejącą brodą.

BYLI TAM NAUKOWCY

Kiedy paterę Jedwab przekroczył próg, w starej plebanii zapadła głucha cisza.

Róg, najwyższy chłopiec w pa - lestrze, siedział wyprostowany jak struna na najniewygodniejszym krześle w lekko zatęchłej sellarii.

Jedwab był świecie przekonany, że dzieciak zajął to miejsce dopiero w chwili, gdy usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Nocny kruk (Jedwab dopiero teraz przypomniał sobie, że nazwał go Oreb) siedział na wysokim, wyściełanym oparciu „krzesła dla gości”.

- Cześć, Jedwab! - zakrakało ptaszysko. - Dobry Jedwab!
- Dobry wieczór. Dobry wieczór wam obu. Niech błogosławi was Tartaros.

Róg na widok Jedwabia zerwał się z miejsca, lecz gospodarz machnięciem ręki kazał mu znów usiąść.

- Wybacz, Rogu. Niewymownie mi przykro. Wprawdzie ranyterę Róża uprzedziła, że cię do mnie przyśle, lecz zupełnie wypadło mi to z głowy. Wydarzyło się tyle rzeczy... O Sphigx!
 - Sphigx Dźgająca, miej nade mną litość!
 - Słowa te wywołał nagły, przeszywający ból w kostce. Kiedy Jedwab kulejąc podchodził do jedyne go wygodnego krzesła w izbie, krzesła, którego używał zazwyczaj do czytania, zastanawiał się, czy leżąc na nim poduszka wciąż jeszcze jest ciepła.
 - Może zawstydzić Roga i dotknąć jej dłonią? Opierając się na lasce o rączce w kształcie głowy lwicy, pochylił się lekko i położył rękę na poduszce. Była ciepła.
- Paterę, siedziałem tam tylko przez chwilę. Z tamtego miejsca lepiej mogłem obserwować ptaka.
- Oczywiście. - Jedwab zajął miejsce, a chorą nogę oparł na podnóżku. - Czekałeś na mnie prawie przez pół nocy.
- Tylko kilka godzin, paterę. Pozamiatałem ojcu izbę podczas gdy on opróżniał kasę i... i chował pieniądze.

Jedwab z aprobatą skinął głową.
- Bardzo dobrze. Nie powinienes mi mówić, gdzie je ukrył. - Zamilkł przypominając sobie, że sam zamierzał zrabować Krwi manteion. - Ja bym ich nie ukradł, gdyż taki postępek nie leży w mojej naturze, lecz nigdy - nie wiadomo, czy ktoś nas nie podsłuchuje.
 - Róg uśmiechnął się.
 - - A twój kruk, paterę? Słyszałem, że ptaki często kradną błyszczące przedmioty. Pierścionki, łyżeczki...
 - Nie kradnie! - zaprotestował Oreb.
- Miałem na myśli ludzi o długich uszach. Jestem pewien, że gdy udzielałem dziś rozgrzeszenia pewnej nieszczęsnej młodej kobiecie, ktoś podsłuchiwał przez okno. Ciągnęła się za nim galeria i w pewnej chwili usłyszałem skrzypnięcie desek w podłodze, gdy ten ktoś się poruszył. Kusiło mnie, by szybko podejść do okna i zdemaskować intruza, lecz zanim z tą chorą nogą bym spełnił swój zamiar, on zdążyłby czmychnąć... by znów zająć swoje stanowisko, gdy ja wrócę na krzesło. - Jedwab ciężko westchnął. - Na szczęście owa niewiasta spowiadała się bardzo cicho.
 - Czyż takie podsłuchiwanie nie stanowi wielkiej obrazy bogów, paterę?
- Naturalnie. Ale obawiam się, że tamtego człowieka niewiele to obchodziło. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja tego człowieka znam, czy też zacząłem go dopiero poznawać, i bardzo polubiłem. Jestem przekonany, że tkwi w nim dużo dobra, choć robi wszystko, by to przede mną ukryć.
 - Oreb zatrzepotał skrzydłami.
 - Dobry Żuraw!

- Ja nie wymieniłem jego imienia, a ty nic nie słyszałeś - powiedział do Roga Jedwab.
 - Oczywiście, paterę. Nawet w połowie nie rozumiem, co ten ptak wygaduje.
 - To dobrze. A byłoby jeszcze lepiej, gdybyś miał podobne trudności ze zrozumieniem mnie. Róg poczerwieniał.
 - Przepraszam, paterę. Nie chciałem... Ja nie dlatego...
- Nie o to mi chodziło - wyjaśnił pośpiesznie Jedwab. - Wcale nie o to. Nawet jeszcze nie zaczęliśmy o tym mówić, choć pomówimy. Musimy pomówić. Chodziło mi o to, że nie powinienem w ogóle wspominać, iż udzielałem tamtej kobiecie rozgrzeszenia. Ale jestem okropnie zmęczony i nie panuje nad językiem. Teraz, gdy paterę Płetwa nie żyje... cóż, wciąż mogę się ze wszystkiego zwierzać maytere Marmur.
 - Zwariowałbym, gdybym nie miał powiernika. Przez chwilę zbierał rozbiegane myśli.
- Chciałem powiedzieć, że choć ów mężczyzna jest dobrym człowiekiem, nie wierzy w bogów. Niemniej zamierzam zmusić go do przyznania się, iż nas podsłuchiwał, a wtedy odpuszczę mu winę. Nie będzie to łatwe, lecz rozważyłem już tę sprawę z każdej możliwej strony i nie widzę sposobu, bym uniknął spełnienia swego obowiązku.
 - Tak, paterę - odrzekł Róg.
 - Ale to sprawa nie na dziś. Mam za sobą bardzo pracowity dzień. Ujrzałem...

coś, o czym niestety nie mogę ci powiedzieć. Od chwili powrotu na plebanię rozmyślałem o tym człowieku i o problemie z nim związanym. Przypomniał mi o nim niebieski opatrunek na skrzydle Oreba.

- Właśnie zastanawiałem się, co to jest.
- Łubki. - Jedwab zerknął na zegar. - Rodzice pewnie się o ciebie bardzo niepokoją. Róg potrząsnął głową.
- Pozostałe szproty powiedzą im, gdzie jestem. Poinformowałem ich, że wybieram się do ciebie, paterę.
- Na Sphigx, mam taką nadzieję. - Jedwab pochylił się, spuścił skarpetkę i odwinął opatrunek. -Rogu, czy widziałeś' już coś takiego?
 - Czy to pasek skóry, paterę?
 - Nie, dużo więcej. - Jedwab rzucił mu owijacz. - Zrób coś dla mnie. Kopnij to z całych sił tak, by poleciało na ścianę.
 - Roga zatkało ze zdumienia.
- Jeśli obawiasz się, że strącisz jakiś obrazek, to uderz tym ze cztery razy w podłogę. Ale nie

tu, nie w dywan. Tam, w gołe deski. Bij z całych sił.

- Róg posłusznie spełnił polecenie i oddał Jedwabowi owijacz.
 - Skóra stała się gorąca.
 - I tak być powinno. - Jedwab założył opatrunek doktora Żurawia na bolącą kostkę i uśmiechnął się z zadowoleniem, czując, jak owijacz sam zaciska się mu na nodze. - To nie jest żadna skóra, choć bardzo ją przypomina. W środku mieści się mechanizm cienki jak złoty labirynt na karcie.
- Gdy mechanizm ten jest pobudzany, absorbuje energię. W stanie spoczynku przetwarza część tej energii w ciepło, a jej reszta ulatnia się w postaci dźwięku; tak mi mówiono. Owijacz wydaje tony niesłyszalne dla ludzkiego ucha, za ciche albo o zbyt wysokiej częstotliwości. Czy coś słyszysz?
 - Róg odmownie pokręcił głową.
- Ja też nie - rzekł Jedwab - choć słuch mam niezły, dużo lepszy niż miał paterę Płetwa. Dopóki nie naoliwiłem zawiasów w furtce do ogrodu, słyszałem nawet ich skrzypienie.
 - Jedwab rozluźnił się, ukojony ciepłem bijącym od owijacza i miękkością krzesła.
- Te cudowne opatrunki wytwarzano na Whorlu Krótkiego Słońca, podobnie jak szkła, święte okna i wiele innych przedmiotów, które posiadamy, a które jeśli raz się zepsują, są nie do naprawy.
 - Byli tam naukowcy. Tak twierdzi maytere Róża.
 - Dobry Żuraw! - zakrakał Oreb. Jedwab wybuchnął śmiechem.
 - Pewnie doktor nauczył kruka tych słów, kiedy składał mu skrzydło. Zgoda, Żuraw jest w pewnym sensie naukowcem. W każdym razie zna się na medycynie, a już samo to wykracza daleko poza wiedzę, jaką dysponuje większość z nas. Poza tym pożyczył mi owijacz, który niestety będę musiał mu za kilka dni zwrócić.
 - Taki opatrunek kosztuje ze dwadzieście lub trzydzieści kart, paterę.
- Dużo więcej. Czy znasz Alkę? Wielki mężczyzna, który pojawia się u nas podczas składania ofiar w scyldagi.
 - Chyba tak, paterę.
 - Masywna szczeka, szerokie ramiona, wielkie uszy. Nosi ogromne buciory i kordelas u pasa.
- Nigdy z nim nie rozmawiałem, paterę, ale wiem, kogo masz na myśli. - Róg zamilkł, a jego przystojna, młodzieńcza twarz spoważniała. - Jest groźny. Tak twierdzą wszyscy. Potrafi stłuc na kwaśne jabłko każdego, kto stanie mu na drodze. Kiedyś okropnie pobił ojca Rzepa.
- Przykro mi to słyszeć - mruknął Jedwab, wyciągnął paciorki i zaczął przesuwając je w palcach. - Porozmawiam z nim o tym.
 - Paterę, lepiej trzymaj się od niego z daleka. Jedwab potrząsnął głową.

- Nie mogę, Rogu. To mój obowiązek. Muszę trzymać się osoby pokroju Alki. Nie sądzę, by nawet Zewnętrzny... Poza tym i tak jest już na wszystko za późno. Pokazałem ten owijacz Alce, a on oświadczył, że taki opatrunek jest wart dużo więcej niż trzydzieści kart. Ale to akurat nie ma znaczenia. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego zostawiliśmy na Whorlu Krótkiego Słońca tyle wiedzy?
 - Sądzę, że ci, którzy tę wiedzę posiadali, w ogóle nie pojawili się na naszym whorlu, paterę.
- Najwyraźniej tak właśnie było. A jeśli nawet się na nim osiedlili, to nie w Yironie. Niemniej ich wiedza byłaby dla nas bardzo użyteczna i z całą pewnością, gdyby takie były instrukcje Paha, pojawiliby się również w naszym mieście.
- Lotnicy opanowali sztukę latania, paterę, a my nie. Jednego widzieliśmy wczoraj, pamiętasz? Tuż po meczu. Leciał bardzo nisko. Też. chciałbym umieć latać. Latać jak oni, latać jak ptaki.
 - Nie latać! - oświadczył głośno Oreb.
- Jedwab przez chwile studiował krzyż próżniowy przymocowany do paciorków, po czym położył je na kolanach.
- Dziś wieczorem poznałem starszego mężczyznę, który ma fantastyczną sztuczną nogę. Musiał kupić pięć połamanych lub zużytych protez, by zbudować te jedną, ale stworzył sztuczną nogę identyczną jak te, którymi dysponowali pierwsi osadnicy; taka noga mogłaby pochodzić nawet z samego Whorla Krótkiego Słońca. Gdy mi ją pokazał, pomyślałem, że byłoby wspaniale, gdybyśmy potrafili tworzyć podobne protezy dla maytere Róży, maytere Marmur i dla wszystkich ślepych lub chromych żebraków.
 - Naturalnie, latanie też byłoby cudowne. Sam zawsze marzyłem, by wzbić się w przestworza.
 - Podejrzewam, że u podstaw tego wszystkiego tkwi ten sam sekret. Gdybyśmy potrafili budować cudowne sztuczne nogi dla ludzi, którzy ich potrzebują, zapewne umielibyśmy też tworzyć cudowne sztuczne skrzydła dla każdego, kto by ich pragnął.
 - Piękne marzenia, paterę.
- Kto wie? Kto wie, Rogu? Skoro ludzie na Whorlu Krótkiego Słońca potrafili sami nauczyć się takich rzeczy... - Jedwab potrząsnął głową, ziewnął, po czym dźwignął się z krzesła. - Cóż, dziękuję za wizytę.
 - Sprawileś mi nią wielką przyjemność, lecz teraz muszę udać się do łóżka.
 - Miałem.. Maytere powiedziała...
- Rozumiem. - Jedwab odłożył paciorki. - Powinienem wymierzyć ci karę. Albo dać reprimendę i wygłosić surowe kazanie. Czym tak bardzo rozgniewałeś maytere Różę?
 - Róg głośno przełknął ślinę.
- Próbowałem naśladować twój sposób mówienia, paterę. Tak jak przemawiasz w manteionie.

Ale dziś tego nie robiłem i nigdy już więcej nie zrobię.

- Ależ nie - odparł Jedwab, ponownie sadowiąc się na krześle. - Robiłeś to dzisiaj, Rogu. Zanim tu wszedłem, słyszałem, jak mnie naśladujesz. Siedziałem przez kilka minut na schodkach i słuchałem.
- Naśladowałeś mnie tak dobrze, iż chwilami sadziłem, że to mój własny głos; że to ja sam mówię. Jesteś w tym bardzo dobry.
 - Dobry chłopiec - zakrakał Oreb. - Nie bije.
 - Nikt nie ma takiego zamiaru - uspokoił ptaka Jedwab. Kruk sfrunął mu na kolana, z nich przeniósł się na oparcie krzesła, a następnie na ramię Jedwabia.
 - Maytere Róża czasami nas bije - wyznał Róg.
 - Wiem, ale nie jestem pewien, czy postępuję słusznie. A teraz powtórz mi, co mówiłeś. Nie słyszałem dobrze wszystkiego.
 - Róg wymamrotał coś pod nosem i Jedwab wybuchnął śmiechem.
 - Teraz też nie usłyszałem, co mówisz. Z całą pewnością ja tak nie mamrocze. Kiedy przemawiam z ambony, ściany odpowiadają mi gromkim echem. Mów głośno.
 - Nie, paterę.
 - Nie będę się gniewać. Obiecuję.
 - Ja tylko... Wiesz... Słowa, które ty mówisz, paterę.
 - Nie mówi? - spytał Oreb. Jedwab nie zwrócił na ptaka uwagi.
- Świetnie. A teraz słucham. Powiedz mi, co zazwyczaj mówię, a z pewnością będzie to dla mnie pouczająca lekcja. Obawiam się, że czasami mocno przesadzam.
 - Róg ze wzrokiem wbitym w podłogę potrząsnął głową.
 - Daj spokój, chłopcze! Jakie to rzeczy wygaduję?
 - Żeby zawsze żyć w zgodzie z bogami, gdyż tylko wtedy człowiek jest zadowolony z życia, które zostało mu przez nich podarowane. Tak zatem należy szukać ludzi mądrych i na nich się wzorować.
 - Dobrze powiedziane, Rogu, ale twój głos w niczym nie przypomina mojego. A ja chcę usłyszeć własny głos, tak jak słyszałem siedząc na schodkach. Nie spełnisz mojej prośby?
 - Ale muszę wstać, paterę.
 - Wstań.
 - I nie patrz na mnie, paterę. Jedwab zamknął oczy.

Przez dobre pół minuty chłopiec milczał. Jedwab, mimo że miał spuszczone powieki, wyczuł, iż światło za jego krzesłem (najlepsze na plebanii) przygasa. Prawe przedramię, rozdarte poprzedniej nocy zakrzywionym dziobem siwogłowego, miał gorące i spuchnięte. Poza tym był śmiertelnie zmęczony i obolały.

- „Życ z bogami - usłyszał własny głos. - A z bogami żyje ten, kto konsekwentnie pokazuje im, iż żyje zgodnie z du - j chem, który w niego tchnęli, i posłuszny jest ich woli; z duchem, który Pah darowuje każdemu człowiekowi jako strażnika i opiekuna, z duchem, który jest najwartościowszy w człowieku, który stanowi jego esencję i rację bytu.
- Skoro zamysłacie żyć w życiu, które przychodzi po życiu, pokażcie najpierw, że jesteście godni żyć w obecnym życiu. Lecz jeśli ludzie nie pozwalają wam...".
- Pamiętał, nadepnął na coś śliskiego i jak długi rozłożył się na glinianych czerwonych dachówkach.
- ...,myśli jedynie o wielkiej mądrości, mądrości przewodniczącego Kapituły lub radcy. A to nieroztropne.
- Gdybyście nawet dziś porozmawiali z radcą lub z Jego Mądrością, obaj powiedzieliby wam, że mądrość może być też skromna, uszyta na miarę zarówno najmniejszego dziecka, jak i dużego. Które dziecko jest mądre? Dziecko, które szanuje mądrych nauczycieli i bacznie ich słucha".
 - Jedwab otworzył oczy.
 - Rogu, twoje pierwsze słowa pochodziły z Pisma. Wiedziałeś o tym?
 - - Nie, paterę. Wypowiadałem jedynie słowa, które usłyszałem od ciebie.
- Cytowałem. Ale to dobrze, że serce odpowiedziało ci właśnie ten ustęp, nawet jeśli wykorzystałeś go, by ze mnie zakpić. Siadaj. Mówiłeś o mądrości. Bez wątpienia to ja recytowałem wszystkie te niedorzeczności, ale ty zasługujesz na coś więcej. Kto jest mądry, Rogu? Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałeś? Jeśli nie, zastanów się teraz. Kto jest mądry?
 - Ty... paterę?
 - Nie!!! - Jedwab tak gwałtownie wstał z krzesła, że Oreb zaskrzeczał ze strachu. Paterę podszedł do okna i zaczął wyglądać przez kraty na zrytą koleinami ulicę Słońca, skąpaną w niesamowitym świetle sączącym się z nieba. - Nie, ja wcale nie jestem mądry, Rogu. A właściwie byłem tylko przez chwile W całym swym życiu byłem mądry jedynie przez króciutką chwilę.
 - Podszedł do Roga i przyklęknął przed nim.
 - - Pozwól, że wyjaśnię ci, jak bardzo byłem głupi. Czy wiesz, w co wierzyłem, gdy miałem
- lat co ty?
- Wierzyłem, że liczy się wyłącznie myśl, mądrość. Ty, Rogu, jesteś bardzo sprawny fizycznie. Wspaniale biegasz, wspinasz się i skaczesz. Ja byłem taki sam, ale umiejętności te miałem w najgłębszej pogardzie. Po co chwalić się umiejętnością wspinaczki, skoro i tak nie dorównałbym małpie? A myśleć mogłem lepiej niż małpa... tak naprawdę lepiej niż jakiegokolwiek inne dziecko w mojej klasie. - Uśmiechnął się gorzko i potrząsnął głową. - Tak wtedy myślałem. Duma jest nonsensem.

- Czy myślenie nie jest rzeczą dobrą, paterę? Jedwab dźwignął się z podłogi.
- Tylko wtedy gdy myślimy właściwie. Celem naszego myślenia jest działanie.

Działanie jest jego jedyną przyczyną. W przeciwnym razie po co byłoby myślenie? Jeśli nie działamy, jest bezwartościowe. Jeśli nie możemy działać, jest bezużyteczne. Jedwab wrócił do swego krzesła, ale nie usiadł.

- Rogu, ile razy słyszałeś, jak mówiłem o objawieniu? Z pewnością ze dwadzieścia razy. Zatem dobrze zapamiętałeś moje słowa. Powtórz, co mówiłem.
- Róg obrzucił nieszczęśliwym spojrzeniem Ofeba, jakby szukał u niego rady, lecz siedzący na ramieniu Jedwabia ptak przekrzywił tylko głowę i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Z wyraźnym zainteresowaniem czekał, co chłopiec powie.
- Jest to... - wybąkał Róg. - Jest to mądrość, którą napełniają nas sami bogowie. Nie pochodzi ona ani z ksiąg, ani z żadnego innego źródła i... i...
- Może pójdzie ci lepiej, jeśli znów zaczniesz mówić moim Ciosem - zasugerował Jedwab. - Wstań i spróbuj jeszcze raz. Skoro cię peszę, mogę na ciebie nie patrzeć.
Róg wstał, uniósł głowę i skierował wzrok na sufit. Kąciki ust mu opadły.
- „Boskie objawienie oznacza, że człowiek wszystko wie bez myślenia. I nie znaczy to wcale, że myślenie jest złe; po prostu objawienie jest lepsze. Objawienie oznacza, że człowiek myśli kategoriami boga”. - Róg umilkł i po chwili dodał już własnym głosem: - To było mniej więcej tak, paterę.
 - Musiałbym sobie doładniej przypomnieć.
 - Dobór słów rzeczywiście pozostawia to i owo do życzenia - zawyrokował Jedwab.
 - Ale twoja dykcja jest bez zarzutu, a mój głos prawie nie do odróżnienia. Co najważniejsze jednak, wszystko, co powiedziałaś, jest szczerą prawdą. Powiedz jeszcze, kto tego doznaje, Rogu. Kto dostępuje objawienia?
 - Ludzie, którzy przez długi czas starają się żyć uczciwie. Tacy ludzie czasami doznają objawienia.
 - Nie zawsze?
 - Nie, paterę. Nie zawsze.
 - Czy uwierzysz mi, Rogu, czy uwierzysz mi ślepo i bez zastrzeżeń, jeśli powiem, że i ja dostąpiłem objawienia? Uwierzysz czy nie?
 - Skoro tak mówisz, paterę, wierzę.
 - I w to że doznałem go zaledwie wczoraj? Oreb cicho zagwizdał.
 - Wierze, paterę.
 - Doznałem objawienia, Rogu. I nie była to wcale moja zasługa. Kusi mnie, by powiedzieć, że byłeś wtedy ze mną, lecz nie byłaby to prawda. Nie do końca.
 - Czy stało się to przed naszym popołudniowym spotkaniem w manteionie, paterę? Oświadczyłeś wtedy, że chcesz złożyć prywatną ofiarę. Czy to dlatego?

- Tak. Ale jej nie złożyłem i zapewne nigdy...
- Nie zarżnie!

- Jeśli nawet, to nie ciebie - odrzekł Orebowi Jedwab. - Zapewne nie będzie to w ogóle żywe stworzenie, choć jutro zamierzam dużo ich kupić i złożyć z nich ofiarę.
 - Lubi Oreba? Oreb miły?
 - Miły.

Jedwab podniósł laskę na wysokość ramienia, kruk na nią wskoczył i odwrócił się w stronę człowieka.

- Mnie nie pozwolił się nawet dotknąć, paterę - odezwał się Róg.
- Nie miałeś powodu go dotykać, a on ciebie nie znał. Żadne zwierze nie znosi dotyku obcego. Czy miałeś kiedykolwiek ptaka?
- Nie, paterę. Miałem psa, ale zdechł.
- Chciałem zasięgnąć pewnej porady. Nie chce, by Oreb zdechł... sędzę, że nocne kruki to bardzo odważne i żywotne stworzenia. Wyciągnij rękę.
- Róg uniósł ramię i Oreb wskoczył mu na nadgarstek.
 - Dobry chłopiec!
 - Nie będę ci go zabierać - powiedział Jedwab. - Zatrzymaj go sobie. Jako dziecko z pewnością nie miałeś wielu zabawek.
 - To prawda. Byliśmy... - Nieoczekiwanie twarz Roga rozjaśnił pogodny uśmiech. - Miałem jedną. Zrobił mija dziadek. Był to drewniana figurka mężczyzny w niebieskim płaszczu. Do -mocowane były do niej sznurki i przy pewnej wprawie można było za nie tak pociągać, że lalka chodziła i kłaniała się.
 - No właśnie! - Jedwab stuknął laską w podłogę, oczy mu rozbłyły. - Dokładnie taką zabawkę miałem na myśli. Czy chcesz, bym opowiedział ci o swojej? Uważasz pewnie, że zbaczam z tematu, ale tak nie jest.
- Zapewniam cię.
 - Oczywiście, paterę. Mów.
 - Była to para tancerzy, kobieta i mężczyzna, bardzo pięknie pomalowani. Gdy nakręcałem zabawkę, kręcili się na malutkiej scenie do wtóru muzyki. Malutka kobietka tańczyła z ogromnym wdziękiem, mały mężczyzna fikał koziołki, kręcił piruety i płaś. Można było wybrać jedną z trzech melodii, które nastawiało się za pomocą malutkiej dźwigni. Potrafiłem bawić się całymi godzinami. W takt muzyki śpiewałem piosenki, do których sam układałem słowa, wyobrażałem sobie, co kobieta mówi mężczyźnie, a co mężczyzna kobiecie. Obawiam się, że opowiadali sobie same głupstwa.
 - Rozumiem, paterę.
 - Gdy ostatni rok byłem w scholi, umarła mi matka. Zapewne mówiłem wam o tym

niejeden

raz.

Wkuwałem akurat do egzaminu, gdy wezwał mnie do swych komnat prałat i oświadczył, że po ceremonii pogrzebowej mam zabrać z domu wszystkie osobiste rzeczy. Nasz dom, cała niewielka posiadłość mej matki przechodziła na własność Kapituły. Każdy, kto rozpoczyna naukę w scholi, musi podpisać stosowne zobowiązanie.

- Biedny Jedwab!
- Paterę uśmiechnął się do ptaka.
- Zapewne, ale wtedy tak nie myślałem. Było mi smutno z powodu śmierci matki, ale nie miałem innych powodów do żałoby. Miałem książki, przyjaciół i jedzenia pod dostatkiem...
 - No, ale teraz to już naprawdę odszedłem od tematu.
 - Tak zatem odnalazłem zabawkę na dnie szafy. W scholi przebywałem już sześć lat i przez cały ten czas ani razu nie widziałem tych tancerzy. I oto znów miałem ich przed sobą! Nakręciłem zabawkę. Figurki zaczęły tańczyć, rozległa się ta sama muzyka, którą zapamiętałem z lat dziecińczych.
 - Melodia nosiła tytuł „Pierwszy romans” i słyszę ją do dzisiaj. j Róg zakaszłał.
 - Czasami rozmawiam o tym z Pokrzywą, paterę. Bardzo chcielibyśmy być już starsi.
 - To dobrze. To bardzo dobrze, oboje dorośnięcie szybciej, niż się warri wydaje. Będę się za was modlić.
- Ale zmierzam do tego, że wybuchnąłem wówczas płaczem. Podczas ceremonii pogrzebowej mej matki nie uroniłem łzy, nie uroniłem łzy nawet wtedy, gdy spuszczano trumnę do grobu.
- Zapłakałem dopiero na widok zabawki, gdyż wydało mi się, że tancerzom czas wcale nie upłynął. Nie wiedzieli, że człowiek, który ich teraz nakręca, po raz ostatni robił to, gdy był jeszcze małym chłopcem. Nie wiedzieli też, że kobieta, która kupiła ich na ulicy Zegara, już nie żyje. Czy rozumiesz, co mówię, Rogu?
 - Chyba tak, paterę.
- Dla całego whorla takim czymś jest właśnie objawienie. Wszystkim mieszkańcom zatrzymuje się czas.
- Dla was jest to coś, co istnieje na zewnątrz - stamtąd przemawia bóg. Do mnie przemówił bóg zwany Zewnętrznym. Rzadko wspominałem o nim w palestrze, ale w przyszłości wiele wam jeszcze opowiem.
- Wczoraj po południu maytere Mięta powiedziała coś, co zapadło mi głęboko w pamięć. Powiedziała mianowicie, że Zewnętrzny nie przypomina innych bogów, którzy odbywają narady

w Centralnym Procesorze. Że jego zamysłów nie zna nikt poza nim samym. May terę Mięta jest bardzo pokorna, ale też i bardzo roztropna. Muszę pamiętać, by to pierwsze nie przysłało mi drugiego.

- Dobra dziewczeczka!
 - Tak, jest wielkiej dobroci. Pokorna i czysta.
 - Paterę, wróćmy do objawienia - przywołał Jedwabia do porządku Róg. - Do twojego objawienia. Czy dlatego wypisują o tobie, że zostaniesz calde?
 - Jedwab strzelił palcami.
 - Cieszę się, że poruszyłeś tę kwestię... Zamierzałem cię właśnie o to spytać. Ktoś na murze wypisał kredą hasło: „Jedwab na calde”. Czy to twoja sprawka? Róg odmownie pokręcił głową.
 - A może któregoś z innych chłopców? - dopytywał się Jedwab.
- Nie sędę, by zrobił to któryś z naszych szprotów, paterę. Napisy te znajdują się w dwóch miejscach.
 - Jeden na murze sklepu z konfekcją, a drugi na ulicy Kapelusza, na budynku, w którym mieszka Cyranka.
 - Widziałem te napisy. Oba znajdują się tak wysoko nad ziemią, że sięgnąć tam mógłbym tylko ja albo Świerszcz. Ale on utrzymuje, że nie ma z tym nic wspólnego.
 - S ądzę, Rogu, że masz rację. Wypisują to na murach, bo doznałem objawienia. A raczej dlatego że ktoś podsłuchał, jak o tym mówiłem. Zwierzyłem się kilku osobom, w tym tobie, a zapewne powinienem był trzymać język za zębami.
 - Jak to było, paterę? Poza tym że, jak to określiłeś, wszystko się zatrzymało?
 - Przez kilka tyknień zegara Jedwab milczał. Po raz setny chyba kontemplował tamto zdarzenie. Tak często obracał je w myślach, że stało się gładkie i wypolerowane niczym kamień toczony przez wodę.
 - W tamtej chwili - odezwał się w końcu - dowiedziałem się wszystkiego, czego potrzebować będę w przyszłości. Trudno to nawet nazwać chwilą, gdyż działo się poza czasem. Ale teraz, Rogu - dodał z lekkim uśmiechem - jestem tak samo jak ty w samym środku czasu. Dużo wody upłynie w strumieniach, zanim zrozumiem wszystko, czego dowiedziałem się w tamtej chwili, która wcale chwilą nie była. Zajmie mi trochę czasu, zanim się z tą wiedzą oswoję. Czy to, co mówię, ma jakikolwiek sens?
 - Chyba tak, paterę - odrzekł niepewnie Róg.
 - To dobrze - mruknął Jadwab i długo nad czymś myślał. - Dowiedziałem się między innymi, że mam zostać nauczycielem. Zewnętrzny żąda ode mnie jednego. Mam ocalić nasz manteion.
 - Ale życzy sobie, bym dokonał tego jako nauczyciel.

- Istnieje wiele powołań, Rogu. Najwyższym jest czysta wiara. Ale to mnie nie dotyczy. Moim powołaniem jest nauczać, a nauczyciel musi zarówno nauczać, jak i myśleć. Stary człowiek, którego poznałem dziś wieczorem, ten z cudowną nogą, również jest nauczycielem. Choć jednonogi i stary, uosabia samo działanie, sam ruch. Uczy szermierki. Czy wiesz, dlaczego jest taki, jaki jest?
- Dlaczego jest samym działaniem?
 - Nie wiem, paterę - odparł z błyskiem w oku chłopiec. - Dlaczego?
 - Ponieważ walka na miecze, a tym bardziej na azothy, nie zostawia czasu na refleksje; tak zatem człowiek ów uczy, jak być samym działaniem. A teraz uważnie posłuchaj. On jednak myśli.
- Rozumiesz? Mimo że walka na miecze musi być samym działaniem, uczenie innych takiej walki wymaga myślenia. Stary człowiek musi myśleć nie tylko o tym, czego ma nauczyć, ale też jak nauczyć najlepiej.
 - Róg skinął głową.
 - Chyba rozumiem, paterę.
 - W taki sam sposób, Rogu, ty musisz myśleć, naśladując mnie. Nie tylko jak mnie naśladować, ale też co i kiedy naśladować. A teraz już zmykaj do domu.
 - Mądry człowiek! - zaskrzeczał kruk, machając wielkimi skrzydłami.
 - Dziękuję... Idź, Rogu. Jeśli Oreb zechce, byś go ze sobą zabrał, należy do ciebie.
 - Paterę?
 - Słucham?
 - Czy zamierzasz uczyć się szermierki?

Przez chwilę Jedwab zastanawiał się nad odpowiedzią.

 - Istnieją ważniejsze rzeczy niż walka na miecze. Na przykład, z kim walczyć.
- Inną istotną rzeczą jest dochowywanie tajemnic. Jeśli człowiek dochowuje tylko tych sekretów, o które go proszą, nie jest godzien zaufania. Z całą pewnością to rozumiesz.
 - Tak, paterę.
 - Poza tym więcej można wyciągnąć wiedzy z dobrego nauczyciela niż z materii, której naucza. Powiedz swemu ojcu i matce, że zatrzymałem cię nie za karę, lecz przez niedopatrzienie, za co ich serdecznie przeproszam.
 - Nie idzie! - Z oszalałym łopotem skrzydeł Oreb niezdarnie przeskoczył z ramienia Roga na wysokie oparcie krzesła. - Ptak zostanie!
 - Chłopiec trzymał już dłoń na ryglu drzwi.
 - - Paterę, powiem im, że odbyliśmy poważną rozmowę. Powiem, że uczyłeś mnie o Zewnętrznych i o wielu innych sprawach. I wcale nie będzie to kłamstwo.
 - Do widzenia - zaskrzeczało ptaszysko. - Pa, pa!
 - Ty głupi ptaku! - mruknął Jedwab, gdy za Rogiem zamknęły się drzwi. - Czego się nauczyłeś? Kilku słów, które na dodatek niewłaściwie stosujesz.

- Sposób bogów!
- O tak, teraz zaczynasz się wymądrzać.

Choć owijacz wciąż jeszcze był ciepły, Jedwab zdjął go z nogi. Uderzył opatrunkiem mocno kilka razy w podnózek, a następnie owinał nim zabandażowane przedramię.

- Człowiek bóg. Mój bóg - zaskrzeczał ptak.
- Zamknij dziób - odparł ze znużeniem Orebowi jego bóg.

Wsunął rękę w szkło i tam Kypris pocałowała jego dłoń. Usta miała zimne jak śmierć, lecz w pierwszej chwili przywitał śmierć z radością. Niebawem ogarnął go strach i próbował wyrwać rękę, którą jednak Kypris trzymała krzepko. Wołał na pomoc Roga, ale z ust nie wychodził mu żaden dźwięk. Choć sellaria Orchidei znajdowała się na plebanii, fakt ten wcale go nie dziwił. W przewodach kominowych zawodził wiatr. Pamiętał, że Alka przepowiedział wiatr, i teraz próbował przypomnieć sobie, co według złodzieja miało się wydarzyć, gdy wichura ta nadejdzie.

Nie puszczając jego ramienia bogini odwróciła się i uniosła rękę. Miała na sobie przylegającą do ciała, półprzeźroczystą suknię. Jedwab był w pełni świadomy jej cudownie toczonych ud i krągłych bioder. Gdy wytrzeszczał na Kypris oczy, orkiestra Krwi zaczęła grać „Pierwszy romans”, a bogini zmieniła się w piękną Hiacynt (choć jednocześnie wciąż pozostawała Kypris). Gwałtownie zachwiał się i upadł, stopy nieoczekiwanie znalazły się mu nad głową, lecz bogini nie puściła jego ręki.

Obudził się i długą chwilę spazmatycznie łapał powietrze. Podczas jego snu światła same wygasły. W mętym blasku nocnego nieba, który sączył się przez zasłony w oknie, dostrzegł, że Oreb nagle podskoczył i machając gorączkowo skrzydłami, wyfrunął przez okno. Przy łóżku stała Pleśń, naga i chuda jak szkielet.

Jedwab zamrugał. Postać dziewczyny rozmazała się i zniknęła.

Paterę przetarł oczy.

Ciepły wiatr targał postrzępionymi, jasnymi zasłonami w oknie, zawodząc tak samo jak we śnie. Owijacz na rękę był jasny jak firanki i pokryty lodową szadzią, która topniała pod dotykiem palców. Jedwab zdjął opatrunek, wysmagał nim wilgotne prześcieradło i opatrzył kostkę, w której czuł dotkliwy ból. Nie powinien był bez owijacza wspinać się z chorą nogą po schodach. Co powiedziałby na to doktor Żuraw?

Od hałasu, jaki czynił tłukąc owijaczem o łóżko, światła zapłonęły widmowym blaskiem. Mógł teraz dostrzec wskazówki pracowitego zegara stojącego obok tryptyku. Minęła północ.

Dźwignął się z pościeli i opuścił skrzydło okna. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że Oreb przecież nie może latać; ma zwichnięte skrzydło.

Na parterze zobaczył kruka, który krążył po kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Jedwab wyłożył mu ostatnią kromkę chleba i uzupełnił kubek czystą wodą.

Oreb przekrzywił łeb i zaklekotał dziobem.

- Mięso?
- Jeśli jesteś głodny, sam sobie czegoś poszukaj - oświadczył Jedwab. - U mnie już nic nie znajdziesz. - Zamilkł i po chwili dodał: - Kupię coś jutro, gdy maytere zrealizuje czek Orchidei. Kupię żywą rybę i wpuszczę ją do balii, gdzie popływa sobie do czasu, aż skończy się mięso z ofiarnych zwierząt. Wtedy podzielę się rybą z maytere Różą. I z maytere Miętą, oczywiście. Czy lubisz świeże ryby, Orebie?
- Lubi ryby!
- W porządku. Zobaczę, co da się zrobić. A teraz masz być ze mną szczery. Inaczej nie dostaniesz żadnej ryby. Czy byłeś w mojej sypialni?
- Nie kradnie!
- Nie mówię, że kradłeś - wyjaśnił cierpliwie Jedwab. - Pytam tylko, czy tam byłeś.
- Gdzie?
- Na górze. - Jedwab wskazał palcem sufit. - Wiem, że byłeś. Gdy obudziłem się, zobaczyłem ciebie.
 - Nie, nie!

- Ależ byłeś na pewno, Orebie. Widziałem cię na własne oczy. Widziałem, jak wylatujesz przez okno.
 - Nie lata!
 - Nie zamierzam cię karać. Chcę cię tylko o coś spytać. Posłuchaj mnie uważnie.

Kiedy byłeś na górze, czy widziałeś kobietę? Albo dziewczynę? Chudą, młodą kobietę bez ubrania?

- Nie lata - powtórzył z uporem ptak. - Skrzydło boli. Jedwab przeciągnął palcami po włosach.
- W porządku, nie możesz latać. Odwołuję pytanie. Ale czy byłeś na piętrze?
- Nie kradnie! - Oreb znów zaklekotał dziobem.
- Ani nie kradniesz. To też już wiem.
- Rybie głowy?
- Tak, kilka. Dużych. Obiecuję. Oreb wskoczył na okienny parapet.
- Nie widzi.
- Proszę, popatrz na mnie. Czy ją widziałeś?
- Nie widzi.

- Coś cię wystraszyło - mruknął z zadumą Jedwab. - Ale mógł to sprawić jakiś mój gwałtowny ruch, kiedy się budziłem. Może wystraszyłeś się, że cię ukarzę za to, że myszkujesz w mojej sypialni. Czy tak?

- Nie, nie!
- To okno znajduje się dokładnie pod oknem mojego pokoju. Myślałem tylko, że wylatujesz. Tak naprawdę tylko wyskoczyłeś i spadłeś na krzaki jeżyn. Stamtąd już bez trudu dostałeś się do kuchni. Czy mam rację?
- Nie skacze!
- Nie wierzę ci, bo...

Jedwab urwał. Usłyszał ciche skrzypienie łóżka paterę Płetwy. Ogarnęły go wyrzuty sumienia, że obudził starca, który przez całe dni ciężko pracował, a na dodatek cierpiał na bezsenność. Bo przecież tylko mu się śniło (tylko śniłem - stwierdził zdecydowanie w duchu), że Płetwa umarł, podobnie jak śnił, iż Hiacynt pocałowała go w rękę, że rozmawiał z Kypris w starym żółtym domu przy ulicy Lampy; że rozmawiał z Kypris, boginią miłości, boginią kurew.

Napompował do zlewu lodowato zimnej wody. Energicznie przemywał spoconą twarz, a następnie dokładnie zmoczył niezbyt czyste włosy. Mył się tak długo, aż zaczął drżeć z chłodu, choć noc była upalna.

- Paterę Płetwa nie żyje - mruknął do Oreba, który ze współczuciem pokiwał głową. Nappełnił wodą imbryk, postawił naczynie na piecu i rozpałił ogień, hojnie podkładając pod

szczapki papier.

Kiedy już płomienie zaczęły lizać spód czajnika, usiadł na rozchwianym taborecie i wycelował w Oreba palec.

- Paterę Płetwa odszedł od nas zeszłej wiosny, to znaczy prawie rok temu.
- Osobiście sprawiłem mu pogrzeb i choć nie postawiliśmy nagrobka, mogiła kosztowała więcej, niż nas było stać. Tak więc dźwięk, który usłyszałem, spowodował wiatr. Albo szczur. Czy wyrażam się jasno?
 - Jeść teraz?
 - Nie. W spiżarni pozostała tylko odrobina matę i główka cukru. Zamierzam zaparzyć sobie kubek matę, wypić ją i wrócić do łóżka. Tobie też radzę iść spać.
- Z góry (znad sellarii, tego Jedwab był pewien) znów dobiegło skrzypnięcie starego łóżka paterę Płetwy. Wstał. W kieszeni wciąż miał grawerowany igłowiec ślicznej Hiacynt, który przed wejściem na plebanię załadował igłami podarowanymi mu przez Alkę. Teraz więc wprowadził nabój do lufy, odbezpieczył broń, podszedł do schodów i zadarł głowę.
 - Pleśnio, jesteś tam? Odpowiedziała mu cisza.
 - Jeśli tam jesteś, ubierz się. Idę na górę, by się z tobą rozmówić.
- Kiedy postawił nogę na pierwszym stopniu, kostkę przeszył mu ostry ból. Zaczął złorzeczyć sobie w duchu, że laskę zostawił opartą o wezglowie łóżka.
- Gdy dał kolejny krok, zaskrzypiała podłoga w izbie na piętrze. Jedwab przemieścił się o trzy stopnie wyżej, przystanął i zaczął nadśluchować. Ścianami plebani wciąż wstrząsały poddmuchy wiatru, który jęczał potępieńczo w przewodach kominowych, tak jak w niedawnym śnie. Niewątpliwie to wiatr uderzający w starą plebanię sprawił, iż on, Jedwab, jak zwykle głupi, pomyślał, że to skrzypi i trzeszczy łóżko starego au - gura, który usiadł w pościeli, by pomodlić się lub wyrzeć przez okno, a następnie znów się położył.
 - Na górze trzasnęły cicho drzwi.
 - Drzwi do sypialni Jedwabia. Kiedy paterę włożył spodnie i ruszył do kuchni, by odszukać Oreba, nie zamknął swego pokoju. Na plebanii wszystkie drzwi, jeśli nie zostały zamknięte na rygle, otwierały się same. Były stare i osadzone w wypaczonych futrynach, których zapewne jeszcze w czasach, gdy budowano plebanię, należycie nie wypionowano. Zamierzał już położyć palec na spuście igłowca, lecz w porę przypomniał sobie ostrzeżenia Alki i oparł opuszkę na obudowie cyngla.
 - Pleśnio? Nie zamierzam zrobić ci krzywdy. Chce tylko porozmawiać. Czy jesteś tam?
- Na piętrze panowała głucha cisza. Żadnego głosu, żadnego szurania stóp. Jedwab pokonał kilka następnych stopni. Postąpił bardzo nierozważnie, chwając się przed Alką azothem; taka broń warta była tysiące kart.

- Alka potrafił włamywać się do domów dużo lepiej strzeżonych i zabezpieczonych niż stara plebania. Tak więc teraz widząc, że w kuchni na parterze zapaliło się światło, on lub któryś z jego kompanów zakradł się do sypialni, by przywłaszczyć sobie drogocenną broń.
 - Alko? To ja, paterę Jedwab. Nikt mu nie odpowiedział.
 - Mam przy sobie igłowiec, lecz nie chcę robić z niego użytku. Jeśli podniesiesz ręce i nie będziesz próbował uciekać, włos ci z głowy nie spadnie. Nie zamierzam oddawać ciebie w ręce gwardzistów.

- Jego głos pobudził do życia niewielką lampę umieszczoną nad podestem. Do pokonania zostało jeszcze dziesięć schodków. Wspinał się powoli, hamowany zarówno przez strach, jak i ból w nodze. I oto nagle w otwartych drzwiach swej sypialni ujrzał nogi w ciemnym obuwiu, następnie skraj czarnej sutanny, a na koniec uśmiechniętą twarz leciwego augura.
- Paterę Płetwa pokiwał ręką i rozpląnął się w srebrzystej mgłę. Jego obramowana niebieskim materiałem calotte upadła bezszelestnie na nierówne deski podłogi.
 - **KYPRIS**
 - Choć i Jedwab, i maytere Marmur zapomnieli zamówić płaczki, one, powiadomione przez dostawcę ruty, pojawiły się same na godzinę przed rozpoczęciem ceremonii pogrzebowej Orlicy.
 - Gdy obiecano im dwie karty, jeszcze przed pojawieniem się pierwszych żałobników poharatały sobie krzemieniami ramiona, piersi i policzki. Wyglądały jak ucieleśnienie rozpacz i nieszczęścia. Ich długie, rozpuszczone, splątane włosy rozwiewał wiatr. Rozdzierały czarne szaty i z głośnym zawodzeniem padały na kolana, by ulicznym pyłem posypywać sobie głowy.
 - Przed manteionem ustawiono pięć długich ławek; mieli na nich siedzieć żałobnicy, jeśli zabraknie miejsca w środku. Młode kobiety, które Jedwab widział poprzedniego dnia w żółtym domu przy ulicy Lampy, pojawiały się po dwie lub trzy. Oprócz nich stawiło się też kilku kupców (Jedwab nie miał wątpliwości, że skłoniła ich do tego Orchidea), jak też groźnie wyglądających mężczyzn, zapewne kompanów Alki.
 - Pojawił się też sam Alka, który, zgodnie ze złożonym ślubowaniem, przyprowadził barana. Maytere Mięta, rozjaśniona radością, posadziła go w pierwszym rzędzie, a Jedwab doszedł do wniosku, że Alka zapewne wyznał sybilli, że należał do przyjaciół zmarłej. Potem przyjął od złodzieja zwierze ofiarne, podziękował bardzo serdecznie (w zamian otrzymał pełen zmieszania uśmiech) i wyprowadził barana bocznymi drzwiami do ogrodu, gdzie maytere Marmur uwijała się wśród innych zwierząt. Zgromadzono tam istną menażerię.

- Ta jałówka zdążyła już mi podkraść z zagonu sporo pietruszki oraz zdeptała trawę - poskarżyła się maytere Jedwabowi. - Zostawiła jednak przy okazji kilka prezentów, dzięki którym w przyszłym roku mój ogródek będzie jeszcze piękniejszy. A te króliki... Och, paterę, to wspaniałe!
 - Popatrz tylko, ile tu stworzeń!

- Jedwab z uwagą oglądał zwierzęta i pocierając w zamyśleniu policzek, zastanawiał się nad kolejnością ofiar. Niektórzy augurowie preferowali na początek największe zwierzęta, inni zaczynali od ogólnej ofiary dla wszystkich Dziewięciu; tego dnia jednak Jedwab powinien zacząć od białej jałówki. Z drugiej jednak strony...
 - Drewna jeszcze nie dowieziono. Maytere uparła się zatem udać po nie osobiście.
- Chciałam posłać kilku chłopców, ale się nie zgodziła. Jeśli w drodze powrotnej nie wsiądzie na wóz...
- Mówiła naturalnie o maytere Róży; a maytere Róża przecież poruszała się z najwyższym trudem.
 - - Ludzi wciąż przybywa - odezwał się Jedwab. - Mogę wyjść i zająć ich chwilowo rozmową. Mógł też (jak bezlitośnie przyznał przed samym sobą) powitać zgromadzonych przeprosinami
 - za to, że zacznie ceremonię pogrzebową bez maytere Róży; mógłby też bez niej przeprowadzić uroczystości do końca. Ale dopóki nie przywiozą drewna cedrowego i nie zapłonie święty ogień, nie było mowy o składaniu ofiar.
 - Do manteionu wrócił w chwili, gdy pojawiła się tam Orchidea, lekko podpita i mimo panującego upału przesadnie wystrojona w suknię z ciemnobrązowego aksamitu, na którą narzuciła sobolowy płaszcz. Kiedy szła przejściem między ławkami, po policzkach spływały jej łzy. Zajęła wyznaczone jej, honorowe miejsce w pierwszym rzędzie, a Jedwab pomyślał, że choć bardzo śmieszy go jej niepewny chód i klekot czarnych, lśniących koralów, to jednak z całego serca współczuje nieszczęsnej kobiecie. Jej córka, spoczywająca na niewidocznej prawie płachcie z polimeru, która odgradzała ją od warstwy lśniącego lodu, miała twarz spokojną i sprawiała wrażenie zadowolonej.
- Najpierw czarne jagnię - mruknął pod nosem Jedwab. Sam nie wiedział, dlaczego podjął taką akurat decyzję.
- Poinformował o tym maytere Marmur, a następnie wyszedł przez bramę ogrodową na ulicę Słońca, by sprawdzić, czy nie nadjeżdża wóz. z drewnem cedrowym, po który wybrała się maytere Róża.
- Nieustannie napływali kolejni wierni. Wiele twarzy znał z dziesiątków ceremonii odprawianych w każdy scyldag. Pojawili się też obcy ludzie, zapewne znajomi Orlicy lub Orchidei.
- Wiele osób przyszło na pogrzeb zwabionych fałszywą (wydawało się, że cała dzielnica już o tym wie) o wielkiej i niebywale obfitej w zwierzęta ofierze dla bogów, jaka miała zostać złożona w najuboższym w całym Yironie manteionie.
- Paterę, czy mogę wejść tędy? - rozległ się głos na wysokości jego łokcia. - Głównymi drzwiami nie chcą mnie wpuścić.
- Zaskoczony Jedwab zerknął w dół i ujrzał pyzate oblicze Skle - rodermii, żony rzeźnika, która

była grubsza niż wyższa.

- Naturalnie.
- - Wejścia pilnują jacyś mężczyźni - poskarżyła się Sklero - dermia. Jedwab skinął głową.

- Wiem. Sam ich tam postawiłem. Gdybym tego nie zrobił, w środku zabrakłoby miejsca dla bliskich i przyjaciół zmarłej i jeszcze przed złożeniem pierwszej ofiary zaczęłyby się burdy. Gdy wniosą już drewno, pozwolimy ludziom zająć miejsca stojące w nawach.
 - Wprowadził niewiastę do ogrodu i dokładnie zaryglował bramę.
 - Przychodzę tu w każdy scyldag - rzekła Sklerodermia.
 - Wiem - odrzekł Jedwab.
 - I zawsze staram się coś przynieść.
- To też wiem. Dlatego wpuszczę cię po cichu bocznymi drzwiami. Będziemy udawać, że też kupiłaś ofiarne zwierze... - Urwał i dodał pośpiesznie: - Ale nie będziemy tego mówić.
- Przykro mi z powodu tamtej awantury z kocim miechem. Wylałam na ciebie, paterę, całe wiadro.

Postąpiłam karygodnie. Straciłam chyba rozum. - Sklerodermia człapała przodem, nie śmiała spojrzeć Jedwabowi w oczy. Zatrzymała się dopiero przy białej jałówce. - Spójrz, ile jest na niej mięsa!

Jedwab nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Potrzebuję trochę kociego miecha. Dla mego ptaka.
- Masz ptaka, paterę? Dużo osób kupuje u mnie karmę dla psów. Przyniosę ci trochę.

Jedwab zgodnie z obietnicą wprowadził żonę rzeźnika bocznymi drzwiami i wskazał jej miejsce obok Roga.

Gdy wchodził po stopniach na ambonę, w przejściu między ławkami pojawił się mężczyzna z pierwszym naręczem cedrowego drewna. Obok ołtarza nieoczekiwanie zmaterializowała się maytere Róża, by dopiłnować rozpalenia ognia, a Jedwab oczyma wyobraźni ujrzał paterę Płetwę, o którym całkiem zapomniał w gorączce porannych przygotowań do ceremonii.

Nie paterę, lecz jego ducha, napomniął się zdecydowanie. Nic nie zyska nie nazywając rzeczy po imieniu.

Od dzieciństwa doskonalił swą wiedzę o sprawach nadprzyrodzonych. Czyżby teraz miał wpadać w przerażenie wspominając nadprzyrodzone zjawisko?

Na pulpicie ambony leżało Pismo Chasmologiczne, które przyniosła tam przed godziną maytere Marmur.

W phaedag oświadczył uczęszczającym do palestry dzieciom, że w tej księdze zawsze powinny szukać porady. Postanowił zacząć od przeczytania któregoś z ustępów, tak jak uczynił to po południu przed dwoma dniami. Otworzył księgę na chybił trafił i spojrzeniem uciszył zgromadzonych.

- Wiemy, że śmierć jest drzwiami do życia; podobnie jak życie, które znamy, jest drzwiami do śmierci.
- Zastanówmy się zatem, jaką naukę z przeszłości wyciągnie nasza zmarła siostra i my. Zamilkł. Do manteionu wkroczyła Acalypha (wyróżniała się w tłumie ognistą barwą włosów, których blask potęgowało jeszcze słoneczne światło wpadające z ulicy przez otwarte drzwi).
- Jedwab przypomniał sobie, że usilnie prosił ją, by pojawiła się na uroczystości; właściwie rozkazał jej przybyć na pogrzeb. No i przyszła. Przesłał jej uśmiech, lecz młoda kobieta wlepiała oczy, większe i ciemniejsze niż zapamiętał, w zwłoki Orlicy.
- Miejmy nadzieję, że stajemy się coraz mądrzejsi, a mądrość nie tylko przygotowuje nas do spotkania ze śmiercią, lecz także pomoże naprawiać nam obecne życie. - Urwał i w pełnej powagi ciszy zlustrował wzrokiem stronicę. - „Każdy, kto pogrąża się z jakiegokolwiek powodu w żalności lub odczuwa niezadowolenie, jest niczym ofiarna świnia, która kwiczy i wierzga nogami. Jest jak gołąb ofiarny, który lamentuje w milczeniu. My odróżniamy się od zwierząt tym, że przyjmujemy z pokorą los, jaki został nam przeznaczony”.
- Przed amboną wzbił się w powietrze obłok cedrowego dymu. Na ołtarzu rozpalono ogień i można było przystąpić do składania ofiar. Za chwilę maytere Marmur ujrzy unoszący się z boskiej bramy w dachu dym, wyprowadzi czarne jagnię z ogrodu na ulicę Słońca i wprowadzi je do manteionu przez główne wejście.
- Jedwab ręką dał znak osiłkom pilnującym wejścia i boczne nawy zaczęły zapełniać się ludźmi.
- Oto jest wielka nauka, której pragnęliście. Niebawem zwrócę się do bogów z prośbą, aby, jeśli zechcą, sami do nas przemówili. Ale co nam powiedzą poza tym, że udzielili już nam swej mądrości? Z całą pewnością nic. Zważcie zatem moje słowa. Jaki los dźwigamy na własnych barkach?
 - Naszą śmiertelność?
 - Niewątpliwie. Ale też dużo, dużo więcej. Wszyscy, każdy z nas wystawiony jest na lęk i przerażenie, na choroby i inne, liczne nieszczęścia. A co gorsza, wiele musimy cierpieć: utratę przyjaciela, utratę kochanka, utratę własnego dziecka.
 - Zamilkł na chwilę. Miał nadzieję, że Orchidea nie wybuchnie płaczem.
- Wszystkie te plagi - ciągnął - warunkują nasze życie. Pochylmy zatem przed nimi pokornie głowy, zgodnie z wolą bogów.
- Acalypha usiadła obok Mąka, kobiety drobnej budowy, ciem - nowłosej. Spoglądając na jej oszałamiająco piękną, choć pozbawioną wyrazu twarz o pustych oczach, Jedwab przypomniał

sobie, że niewiasta ta uzależniona jest od brunatnożół - tego narkotyku o nazwie rdza.

- Specyfik ten zażywała również Hiacynt. Niewątpliwie każdy człowiek indywidualnie reagował na rdze. A najprawdopodobniej Hiacynt nie zażywała jej w takich ilościach jak Acalypha.
- Oto leży przed nami Orlica, ale wiemy, że jej tu nie ma. Nigdy już nie spotkamy jej w tym życiu. Była kobietą miłą, piękną i szczodłą. Dzieliła się z nami własnym szczęściem. Jeśli trapiły ją jakieś troski, pozostaną dla nas tajemnicą, gdyż nigdy nie obciążała nimi innych i skrycie, z mozołem dźwigała je na swych barkach. O tym, że cieszyła się wyjątkowymi względami Mol - pe, wiemy wszyscy; wszak umarła młodo. Jeśli zastanawiacie się, dlaczego bogini aż tak ją faworyzowała, rozważcie słowa, które przed chwilą powiedziałem. Bogaci, choć cały whorl do nich należy, nie są w stanie kupić względów bogów.
- Bogowie nie podlegają żadnej władzy; to my im podlegamy, nie oni nam. I tak będzie zawsze. My, mieszkańcy Yironu, niezbyt ceniliśmy Orlicę; a na pewno nie ceniliśmy jej tak, jak na to zasługiwała. Ale w oczach wszechwiedzących bogów nasze oceny nic nie znaczą. W oczach wszystkowiedzących bogów Orlica była drogocenna.
- Jedwab odwrócił się do połyskującego szaro świętego okna, które znajdowało się za jego plecami.
- Przyjmijcie, bogowie, ofiarę tej uczciwej młodej kobiety. Choć serca nasze są rozdarte, my, jej przyjaciele i znajomi, a także jej matka - pośród uczestników ceremonii rozległ się głośny szmer zdumienia - wszyscy godzimy się z waszą wolą.
 - Płaczki ucichły na czas przemowy, teraz uderzyły w straszliwy lament.
- Przemówcie do nas, błagamy, o czasach, które nadejdą. O czasach zarówno jej, jak i naszych. Co wypada nam czynić? Wasze najbliższe słowo stanie się bezcennym skarbem. Jeśli jednak zdecydujecie inaczej...
- Czekał w milczeniu, z rozłożonymi szeroko ramionami. Ale jak zawsze z okna nie dobiegł żaden dźwięk, nie pojawił się w nim żaden kolor. Opuścił ramiona.
 - A jednak godzimy się z waszą wolą. Przemówcie do nas, błagamy, poprzez inne nasze ofiary. Czekająca już na ulicy Słońca u wejścia do manteionu may - tere Marmur wprowadziła do
- środka czarne jagnię.
- Owo niewinne czarne stworzenie przeznaczone jest dla Hieraxa Wielkiego, pana śmierci i władcy Orlicy w przyszłym życiu. Jagnię to ofiarowuje jej matka, Orchidea.
 - Jedwab nałożył ofiarnicze rękawice i odebrał z rąk mayte - re Marmur nóż o kościanej rękojeści.
 - Owieczkę? - spytała szeptem maytere i Jedwab nieznacznie skinął głową.

- Cięcie, którym Jedwab zabił zwierze, było zbyt szybkie, by mogło je dostrzec ludzkie oko. Maytere Mięta opadła na kolana i nabrała w glinianą krużę krew jagnięcia. W chwilę później prysnęła - ła nią w ogień.
- Rozległ się głośny syk, w powietrze wzbił się obłok pary. Nóż Jedwabia bezbłędnie trafił między kręgi i klinga gładko odcięta głowę jagnięcia, z kikuta szyi trysnął strumień posoki. Młody augur wrzucił łeb do ognia, a po chwili także kopyta. Nie wypuszczając noża z ręki, Jedwab ponownie zwrócił się do świętego okna.
- Przyjmij, o Hieraksie Wielki, ofiarę z tego niewinnego jagnięcia. I przemów do nas, błagamy, o czasach, które mają nadejść. Co mamy czynić? Twoje najbłahsze słowo stanie się bezcennym skarbem. Jeśli jednak zdecydujesz inaczej...
 - Opuścił ramiona.
 - Pogodzimy się z twoją wolą. Przemów do nas, błagamy, poprzez tę ofiarę.
- Przeniósł jagnię na skraj ołtarza i rozciął stworzeniu brzuch. Sztuka wróżenia opierała się wprawdzie na sztywnych regułach, lecz dopuszczała możliwość indywidualnych interpretacji.
- Studiującemu drgające jeszcze, parujące wnętrzności oraz skrwawioną wątrobę Jedwabowi przebiegł po grzbiecie zimny dreszcz.
 - Maytere Mięta, która jak każda sybilla знаła się cokolwiek na wróżbiarstwie, odwróciła głowę.
- Hierax ostrzega, że jeszcze wielu z nas uda się ścieżką, którą Podążyła Orlica. - Jedwab starał się mówić głosem pozbawionym emocji. - Czekają nas zaraza, wojna lub głód. Nie możemy zarzucić nieśmiertelnym bogom, że nie przestrzegli nas przed nadchodzącym nieszczęściem. - Pośród wiernych wszczął się niespokojny ruch. - Tak więc bądźmy podwójnie wdzięczni bogom, którzy łaskawie zgodzili się podzielić z nami strawą.
- Orchideo, tyś przyniosła ten dar, a zatem tobie należy się cała ta święta strawa. Czy pragniesz jej? A może tylko części?
 - Orchidea odmownie pokręciła głową.
- W takim razie święta strawa rozdzielona zostanie pomiędzy wiernych. Niech ci spośród was, którzy chcą wziąć udział w uczcie, przybliżą się i wezmą swoją porcję. - Jedwab podniósł głos, by usłyszeli go pilnujący wejścia krzepcy mężczyźni. - Czy na zewnątrz są wierni? Ilu?
 - Setki, paterę! - odkrzyknął jeden ze strażników.
 - A zatem muszę prosić tych, którzy odbiorą swą porcję, by natychmiast opuścili manteion. Na miejsce każdego wychodzącego wejdzie następna osoba.
- Podczas ofiar, które dotychczas składał, podchodzący do ołtarza dostawali jedynie po cienkim plasterku mięsa. Tym razem augur mógł dać folgę swej hojnej i miłosiernej naturze. Jednemu podał cały udziec, drugiemu połówkę combra, trzeciemu mostek. Schab przekazał kobiecie, która gotowała w palestrze, a karkówkę starej wdowie mieszkającej w domu stojącym niecałe

pięćdziesiąt kroków od plebanii. Rwanie i ból w złamanej kostce stanowiły niewielką cenę za pełne wdzięczności uśmiechy i podziękowania ludzi odbierających mięso.

- - Tę czarną owieczkę osobiście darowuję Tartarosowi Mrocznemu jako spełnienie mego ślubowania.
- Owieczka została zabita, a Jedwab zwrócił się do świętego okna: - Przyjmij, o Tartarosie Mroczny, ofiarę z tej owieczki. I przemów do nas, błagamy, o czasach, które mają nadejść. Co mamy czynić? Twoje najbliższe słowo stanie się bezcennym skarbem.
 - Jeśli jednak zdecydujesz inaczej...
 - Opuścił ramiona.
 - Pogodzimy się z twoją wolą. Przemów do nas, błagamy, poprzez tę ofiarę. Trzewia czarnej owieczki przekazywały nieco lepsze wróżby.
- Tartaros, pan ciemności, ostrzega, że wielu z nas niebawem uda się w dziedziny, nad którymi sprawuje władzę, lecz później znów wejdziemy w światłość. Kto chce dostać kawałek świętej strawy, niech podejdzie.
- W ręku maytere Marmur szarpał się i trzepotał rozpaczliwie skrzydłami czarny kogut; takie zachowanie się zwierzęcia zawsze stanowiło zły znak. Jedwab złożył w ofierze całego ptaka, manteion wypełnił smród palących się piór.
- Tego szarego barana przyniósł Alka. Ponieważ zwierzę nie jest ani czarne, ani białe, nie wolno ofiarować go Dziewięciu. Możemy natomiast złożyć go w ofierze wszystkim bogom lub któremuś z pomniejszych bóstw. Komu chcesz go ofiarować, Alko? Musisz mówić głośno.
 - Bogu, o którym nieustannie gadasz, paterę! - zawołał Alka wstając z miejsca.
 - Zewnętrznemu. Czy może on przemówić do nas poprzez wróżbę?

Nieoczekiwanie, z jakichś niezrozumiałych względów Jed - wabia ogarnęła szalona radość. Maytere Róża i maytere Mięta zaczęły dokładać do płonącego na ołtarzu ognia wonne drewno cedrowe i niebawem płomienie sięgnęły stropu, sięgnęły boskiej bramy w suficie, przez którą wydobyły się nad dach man - teionu.

- Przyjmij, o Zewnętrzny Zapoznany, ofiarę z tego niewinnego barana. Przemów do nas, błagamy, o czasach, które mają nadejść. Co mamy czynić? Twoje najbliższe słowo stanie się bezcennym skarbem.
 - Jeśli jednak zdecydujesz inaczej... Opuścił ramiona.
 - Pogodzimy się z twoją wolą. Przemów do nas, błagamy, poprzez tę ofiarę. Głowa barana płonęła w ogniu, a Jadwab na klęczkach badał wnętrzości.
- Bóg do nas przemawia - odezwał się po wnikliwych studiach teewi. - Wprost nie wierzę, że można z jednego zwierzęcia aż tyle wyczytać. Jest tu przesłanie dla ciebie osobiście, Alko. Poznają to po wypisanym tu znaku darczyńcy. Czy mogę to pnieślanie rozgłosić teraz? A może

wolisz, bym zakomunikował ci je na osobności?

- To dobra wieść.
- Rób, jak uważasz, paterę! - odezwał się grzmiącym głosem Alka z pierwszego rzędu wiernych.
- Zatem słuchaj. Zewnętrzny mówi, że w przeszłości działałeś samotnie, ale ten czas minął. Staniesz na czele odważnych ludzi. Odniesiecie triumf.
 - Alka ściągnął usta, jakby zamierzał gwizdnąć.
- Widzę tu też przesłanie do mnie. Skoro Alka okazał się człowiekiem tak otwartym, nie mogę być gorszy.
- Ja mam wypełnić wolę zarówno boga, który przemawia, jak też wolę Pa - ha. Dołożę wszelkich starań, by podołać zadaniu, a z tego, co mówią trzewia, wnioskuję, że obaj bogowie są jednym. - Jedwab zawahał się i przygryzł dołą wargę. Radość, którą jeszcze przed chwilą odczuwał, topniała niczym lód na katafalku Orlicy. - Widzę tu też broń, która została już wycelowana w moje serce. Muszę się przygotować.
 - Zaczerpnął głęboko tchu. Czuł paraliżujący lęk, a zarazem wstydział się tego strachu.
- I na koniec jest tu przesłanie dla nas wszystkich. Kiedy zagrozi nam niebezpieczeństwo, mamy schronić się między wąskimi ścianami. Czy ktoś wie, co to może znaczyć?
- Mimo że nogi odmawiały mu posłuszeństwa, Jedwab dźwignął się z klęczek i popatrzył na rozciągające się przed nim morze głów.
 - Zwracam się do mężczyzny siedzącego obok wizerunku Tartarosa. Jak to rozumiesz, synu? Wskazany przez Jedwabia człowiek zaczął coś mówić, ale jego głos nie docierał do ołtarza.
 - Wstań, synu. Wszyscy chcemy usłyszeć twoje słowa.
- Paterę, pod miastem rozciąga się sieć starodawnych tuneli. Miejscami są zawałone, miejscami wypełnia je woda. W zeszłym tygodniu moja ekipa przy kopaniu fundamentów pod nowy budynek Urzędu Skarbu natrafiła na jeden z takich korytarzy. Kazano nam go natychmiast zasypać, aby nikt do niego nie wpadł i nie wyrządził sobie krzywdy. Tunele te są bardzo ciasne i wykute w rakpląście.
 - Jedwab skinął głową.
 - _ Słyszałem o nich. Sądzę, że można w nich szukać schronienia, i ich zapewne dotyczy ta wróżba.
- Albo nasze domy - odezwała się jakaś kobieta. - Nikt ze zgromadzonych tu nie mieszka w przestronnym domu.
 - Orchidea obrzuciła ją płonąącym wzrokiem.

- Na łodzi! - zawołał mężczyzna stojący w odległym końcu nawy.
- Wszystko jest możliwe. Nie zapominajmy zatem ani na chwilę o przesłaniu Zewnętrznego. Czuję, że gdy nadejdzie pora, jego znaczenie stanie się oczywiste.
- U wejścia do manteionu pojawiła się maytere Marmur z parą gołębi.
- Szarego barana ofiarował Alka. Alko, czy życzysz sobie porcji świętej strawy? Włamywacz odmownie potrząsnął głową i Jedwab z wprawą rozebrał mięso. Serce, płuca i
- trzewia cisnął w ogień, a resztę rozdał wiernym.
 - Maytere Marmur trzymała jednego gołębia, drugiego Jedwab wyciągnął w stronę świętego okna.
- Przyjmij, o Kypris Nadobna, ofiarę z tych niewinnych białych gołębi. Przemów do nas, błagamy, o czasach, które mają nadejść. Co mamy czynić? Twoje najbliższe słowo stanie się bezcennym skarbem.
 - Jeśli jednak zdecydujesz inaczej... Opuścił ramiona.
 - Pogodzimy się z twoją wolą. Przemów do nas, błagamy, poprzez tę ofiarę.
- Jednym zwinnym ruchem ściał gołębiowi głowę. Posłał ją do ognia, a następnie unosząc białe, drgające, zbrukane kar - mazynową posoką ciało, prysnął krwią na płonące drewno cedrowe. W pierwszej chwili, widząc rozwarte usta i oczy wiernych uczestniczących w ceremonii pogrzebowej Orlicy, pomyślał, że coś stało się na ołtarzu. Może zajęły się ogniem jego ofiamicze rękawice, skraj sutanny lub przewróciła się maytere Róża.
- Maytere Marmur ujrzała, że święte okno wybucha kolorami, usłyszała niewyraźny głos. Oto przemówił bóg, tak jak Pah przemówił w czasach paterę Płetwy. Maytere wypuściła mimowolnie z rąk gołębia i padła na kolana. Ptak jak strzała poszybował prosto w stronę boskiej bramy w dachu.
- Wraz ze świętymi płomieniami i dymem opuścił manteion. Nie ogolony mężczyzna zajmujący miejsce w drugim rzędzie, widząc klęczącą maytere, również uklęknął. W chwili później padły na klęczki obwieszane błyskotkami i przybrane w odświętne stroje młode kobiety towarzyszące Orchidei. Trącały się łokciami i pociągały za skraj sukien te, które wciąż jeszcze jak skamieniałe siedziały na swych miejscach. Kiedy wreszcie maytere Marmur uniosła głowę, by popatrzeć na kurzawę barw wszechobecnej boskości, była prawie pewna, że jest to ostatnia rzecz/. jaką widzi w życiu. Obok niej stanął Jedwab i wznosił ręce w żarliwej suplice.
- Wracajcie! - błagał młody augur, zwracając się do tańczących barw i nieustannego, cichego grzmotu. - Och, wracajcie!
- Maytere Mięta wyraźnie ujrzała twarz bogini i usłyszała jej głos. Nawet maytere Mięta, która tak niewiele wiedziała o świecie, a z całej duszy pragnęła wiedzieć jeszcze mniej, zrozumiała, iż bogini zarówno urodą oblicza, jak i słodyczą głosu przewyższa każdą śmiertelniczkę. A

jednocześnie odnosiła wrażenie, że i głos, i twarz bóstwa coraz bardziej przypominają jej własne. W końcu, kierowana szacunkiem, czią i bezmierną skromnością, zamknęła oczy. Była to największa ofiara, jaką złożyła w życiu. A złożyła ich tysiące i spośród nich co najmniej pięć było naprawdę doniosłych.

- Jako ostatnia z trzech sybilli uklękała maytere Róża. Zwlekała tak nie z braku czci, lecz dlatego że klękanie wymagało pracy pewnych partii ciała, z którymi jeszcze się urodziła - partie te były obumarłe w dosłownym tego słowa znaczeniu, jakkolwiek wciąż jeszcze funkcjonowały i miały funkcjonować w nadchodzących latach. Echidna dawno już zesłała na nią ślepotę, co stanowiło sprawiedliwą karę. Tak zatem maytere bardzo słabo widziała i ledwo słyszała, co się dzieje w świętym oknie. W głębokich tonach boskiego głosu, które przypominały jej dźwięk wiolonczeli, wychwytywała chwilami jakieś słowo lub zdanie. Młody paterę Jedwab (zawsze lekkomyślny; a najbardziej w chwilach gdy gra szła o najwyższą stawkę) wypuścił z ręki zbrukany krwią gołębia nóż; nóż, który maytere Róża od blisko stu lat czyściła, nacierała olejem i ostrzyła. Stara sybilla podniosła go z ziemi. Kościana rękojeść nie pękła. Choć do klingi nie przylgnął brud zalegający posadzkę manteionu, mimowolnie wytarła ją pieczołowicie rękawem habitu.
- Odruchowo sprawdziła kciukiem ostrość klingi i ponownie wytężyła słuch. Czasami rozróżniała krótkie frazy grane przez orkiestrę; muzyka zbyt piękna jak na ten nędzny whorl, whorl, podobnie jak sama maytere Róża, zniszczony i zużyty, którego czas minął, choć nigdy w rzeczywistości nie nadszedł. Whorl, mimo że nie tak stary jak maytere Marmur, był już bliższy śmierci niż wiekowa sybilla. Wiolonczele lasów Centralnego Procesora, diamentowe flety. Stara maytere Róża, która była tak zmęczona, że zapomniała już o zmęczeniu, grała niegdyś na flecie. Ale nie myślała o nim od czasu, gdy zhańbiła krew. Instrument pożarty został przez ból, tak myślała. Ból zmusił go do zamilknięcia; a wszak niegdyś, wieczorami flet brzmiał słodko; och, jak słodko.
- Stara maytere Róża wyczuła, iż ta bogini nie jest Echidna. Może Thelxiepeią, może nawet Scyllą Parzącą.
 - Scylla była jej drugą ukochaną boginią, a ostatecznie przypadła właśnie scyldag.
 - Głos umilkł. Barwy stopniowo zanikały; zanikały niczym Przepiękne, skomplikowane wzory i kolory na wyjętym z rzeki kamieniu, który wysycha w palących promieniach słońca. Jedwab, nie podnosząc się z kolan, w niskim ukłonie dotknął czołem posadzki sanktuarium. Wśród wypełniających mante - ion wiernych rozległ się pomruk, który szybko narastał, aż zaczął przypominać huk burzy. Jedwab zerknął przez ramię w stronę tłumu. Jeden z groźnie wyglądających mężczyzn siedzący obok Orchidei wykrzykiwał coś i wygrażał świętemu oknu pięścią. Oczy wychodziły mu z orbit, twarz miał poczerwieniałą z gniewu lub emocji, których Jedwab nie rozumiał. Śliczna niewiasta o lokach czarnych jak korale Orchidei tańczyła pośrodku głównej nawy w takt muzyki, którą tylko ona słyszała.
 - Paterę dzwignął się z kolan i kulejąc wspiał się niezdarnie na ambonę.
 - Wszyscy macie prawo usłyszeć...
 - Poruszał wargami i językiem, lecz w panującej wrzawie utonąłby nawet grzmot trąb.
 - Wzniósł ramiona nad głowę i ponownie popatrzył na święte okno. Lśniaca jednostajną szarością tafla była tak pusta, jakby nigdy nie pojawił się w niej żaden bóg. Poprzedniego dnia w żółtym domu przy ulicy Lampy bogini obiecała, że wkrótce znów przemówi.

- I słowa dotrzymała, pomyślał Jedwab.
- Przyszło mu do głowy, że rejestratory znajdujące się za świętym oknem nie są już jak zwykle puste. Mogły za pomocą urządzeń, których działania żaden śmiertelnik nie rozumiał, pokazywać cały przebieg teofanii.
- Jedwab zapragnął nagle popatrzeć na te urządzenia, zweryfikować to, co przed chwilą widział i słyszał.
 - Wszyscy macie prawo usłyszeć...
 - Choć jego głos zabrzmiał cicho i wątko, tym razem przynajmniej go usłyszał.
 - Wszyscy macie prawo słyszeć swój głos nawet wtedy, gdy sami go nie słyszycie, pomyślał. Wszyscy macie prawo wiedzieć, co czuliście, co mówiliście lub chcieliście powiedzieć bogini, choć większość z was nigdy nie będzie z nią rozmawiać.
 - Tumult powoli się uspokajał, opadał niczym fale wzburzonego jeziora. Musisz mówić głośno, napomniał się Jedwab. Z przepony. W scholi znany był z tej umiejętności.
- Macie prawo wiedzieć, co bogini powiedziała, oraz poznać jej imię. Była to Kypris, a jak wszyscy wiecie, ona nie należy do Dziewięciu. - I zanim zdążył poskromić język, dodał: - fiecie też prawo wiedzieć, iż Kypris ukazała mi się już raz w prywatnym objawieniu.
- Uświadomił sobie, że choć bogini nie pozwoliła mu o tym nikomu wspominać, zdradził jej sekret; na pewno Kypris nigdy mu tego nie wybaczy. Podobnie jak on sam sobie nie wybaczy tej zdrady.
- Pismo wspomina o Kypris siedmiokrotnie i utrzymuje, że zawsze przejawiała upodobanie do... do młodych kobiet. Młodych kobiet w wieku zdatnym do małżeństwa. Niewątpliwie zainteresowała się Orlicą.
- W manteionie panował już względny spokój. Wielu wiernych z uwagą słuchało słów augura, lecz on, wciąż oszołomiony cudem sprawionym przez bóstwo, z najwyższym trudem zbierał myśli.
- O Kypris Nadobnej, która obdarzyła nas taką łaską, Pismo Chasmologiczne mówi w siedmiu miejscach.
- Powtarzam to, bo zapewne wielu z was nie dosłyszało mych słów. Jej atrybutami są białe gołębie oraz króliki. Dlatego też zamierzaliśmy dziś złożyć z nich ofiarę. Gołębie dostarczyła jej matka... matka Orlicy, Orchidea.
- Pismo mówi też, że spośród wszystkich pomniejszych bóstw Kypris stanowi ulubioną towarzyszkę Paha - dodał Jedwab. Usłużna pamięć w ostatniej chwili podsunęła mu tę informację.
 - Zamilkł i przełknął ślinę.

- Oświadczyłem, że macie prawo usłyszeć wszystko, co powiedziała. Tego domaga się kanon. Niestety, nie jestem w stanie trzymać się jego reguł w takim stopniu, w jakim bym sobie życzył. Część przesłania bogini skierowała do osoby, która była naszej zmarłej siostrze najbliższa. Jestem zmuszony przekazać jej tę wiadomość na osobności, co spróbuję uczynić natychmiast po zakończeniu ceremonii.
- Morze głów zafalowało. Nawet płaczki ucichły i spoglądały na Jedwabia z szeroko otwartymi oczyma i ustami.
- - Kypris Nadobna mówiła o trzech sprawach. Pierwszą było przesłanie, które przekażę zainteresowanej osobie. Ponadto oświadczyła, że odkryje nam przyszłość, byśmy jej uwierzyli. Nie sądzę, by znalazł się wśród nas choćby jeden niedowiarek; nie teraz. Ale nie wątpię, że później znajdą się jacy, którzy zaczną kwestionować dzisiejszą teofanie. A mo - , że chodziło jej o całe nasze miasto, o wszystkich mieszkańców Yironu?
- Proroctwo brzmiało: Tu, w Yironie, będzie miała miejsce wielka zbrodnia. Rozpostarłam nad przestępcami swój płaszcz i dlatego ich zamysł się powiedzie. Jedwab stracił wątek i zamilkł. Rozpaczliwie próbował zebrać rozbiegane myśli. Z pomocą pośpieszył mu mężczyzna siedzący obok Alki.
 - Kiedy? - zawołał. - Kiedy to ma się stać?
 - Dziś wieczorem - odparł Jedwab. - Powiedziała, że dziś wieczorem. Mężczyźnie opadła szczeka. Gapił się na Jedwabia baranim wzrokiem.
- Po trzeciej, zapewniła mnie, że wkrótce znów nawiedzi to święte okno. Prosiłem ją... zapewne niektórzy z was to słyszeli. Błagałem, by wróciła, a ona przyrzekła wrócić; i to wkrótce.
 - To... to już wszystko, co mogę wam powiedzieć.
 - Jedwab widząc, że maytere Marmur pochyła głowę, pojął, że stara sybilla modli się za niego, modli się, by spłynęła nań moc i jasność umysłu, których tak bardzo potrzebował. Już samo to dodało mu sił.
- Teraz chcę zwrócić się do osoby najbliższej zmarłej. Orchideo, córko, podejdź do mnie. Musimy udać się... udać się w ustronne miejsce, gdzie przekażę ci słowa bogini.
- Zamierzał wyjść z Orchideą bocznymi drzwiami do ogrodu. Wspomnienie ogrodu przywiodło mu na myśl czekającą tam białą jałówkę oraz inne zwierzęta ofiarne.
 - Proszę, pozostańcie na swoich miejscach - rzeki do zgromadzonych w manteionie.
 - Kto jednak chce wyjść, niech wyjdzie i zrobi miejsce innym, spragnionym świętej strawy. Będzie to czyn chwalebny. Gdy przekażę Orchidei przesłanie, wrócę tu i dokończymy ceremonię pogrzebową naszej siostry.
- Idąc w kierunku bocznych drzwi, sięgnął po laskę, którą zostawił za świętym oknem. _ W altanie są ławki. Ale najpierw muszę zdjąć z nogi opatrunek i... i mocno nim w coś uderzyć.

Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe. Orchidea nic nie odpowiedziała.

- Dopiero w ogrodzie Jedwab uprzytomnił sobie, jaki zaduch panował w manteionie, w pobliżu ołtarza, na którym płonął święty ogień. Choć ogród prażył się w upale, choć króliki leżały na bokach, z trudem łapiąc powietrze, a zioła i warzywa maytere Marmur wędły w oczach, jemu suchy gorący wiatr wydawał się chłodny, a rozpalony pręt południowego słońca oraz bijący od niego, powalający z nóg żar - zaledwie letni.
- Muszę się czegoś napić - oświadczył. - Niestety mam tylko wodę. Sądzę jednak, że i ty z chęcią ugasisz pragnienie.
 - Z przyjemnością - odparła Orchidea.
- Jedwab zostawił ją w altanie, a sam pokuśtykał do kuchni. Tam zaczął energicznie pompować wodę, po czym wsunął głowę pod ożywczy, zimny strumień.
- Wrócił do altany, wręczył Orchidei kubek z wodą i napełnił swój z karafki, którą ze sobą przyniósł.
- Przynajmniej jest zimna. Przepraszam, że nie częstuję winem, ale właśnie się skończyło. Dzięki tobie jutro lub pojutrze kupię jakiś trunek. Dziś rano nie miałem na to czasu.
- Boli mnie głowa, więc woda zrobi mi najlepiej - odparła Orchidea, umilkła i po chwili dodała cicho: - Była piękna, prawda?
 - Bogini? O tak! Była... była urocza. Żaden artysta...
 - Mówię o Orlicy - przerwała mu szorstko Orchidea, opróżniła kubek i wyciągnęła naczynie w stronę Jedwabia, by ponownie napełnić je zimną wodą z karafki. - Czy nie sądzisz, że śmierć Orlicy była jedynym powodem, dla którego pojawiła się bogini? Chciałabym tak myśleć. I może to być prawda.
 - Najlepiej będzie, jeśli od razu przekażę ci przesłanie bogi - ni - - . I tak już zbyt długo zwlekałem. Poleciała przekazać ci, że ktoś, kto kocha nie tylko siebie, nie jest człowiekiem z gruntu złym. Uotąd ratowała cię Orlica, teraz musisz znaleźć coś innego, co będzie cię ratować. Musisz to znaleźć i otoczyć miłością.

Orchidea bardzo długo milczała. Biała jałówka rozłożyła się wygodnie pod usychającym figowcem i przeżuwała trawę. | Zza muru, z ulicy Słońca dobiegały głosy podekscytowanych ! ludzi. Jedwab nie potrafił rozróżnić poszczególnych słów, lecz doskonale wiedział, o czym rozprawiają wierni.

- Czyżby naprawdę miłość była więcej warta niż samo życie? - odezwała się w końcu Orchidea. - Czy naprawdę jest aż tak istotna?
 - Nie wiem. Ale może tak właśnie jest.
 - Kocham wiele rzeczy - mruknęła, wykrzywiając usta w pełnym gorczy grymasie. - Choćby pieniądze.
- Na dzisiejszą ceremonię wydałam sto kart, a to świadczy, że wcale nie kocham ich aż tak, jak sądziłam.

- Jedwab przez chwilę szukał stosownych słów.
- Bogowie przemawiają do nas naszym językiem, gdyż tylko taki język znamy; a my zawsze ten język potrafimy przeinaczyć, nadając słowom fałszywe znaczenie. Bogowie, zapewne, posiadają tysiąc słów na określenie tysiąca różnych rodzajów miłości; dziesięć tysięcy słów na określenie dziesięciu tysięcy miłości.
- Kiedy jednak rozmawiają z nami, muszą używać słowa „miłość” w takim znaczeniu, jak my je rozumiemy.
 - Sądzę, że czasami zaciemnia to sens tego, co do nas mówią.
 - To nie będzie łatwe, paterę. Jedwab ze smutkiem pokiwał głową.
 - Co do tego nie mam wątpliwości; nie mam też wątpliwości, że Kypris sądzi tak samo. Gdyby to było proste, nie musiałaby dawać ci przesłania. Tego jestem pewien.
 - Orchidea przesuwiała w palcach lśniące czarne korale.
- Zastanawiałam się, dlaczego nikt... Kypris, Pah czy którykolwiek z nich... nie uratował Orlicy. Teraz jednak wydaje mi się, że już wiem.
 - Zatem mi powiedz. Ja nie wiem, a bardzo mnie ta sprawa intryguje.
 - Nie pomogli, bo już pomogli. Brzmi to śmiesznie, prawda? Orlica kochała tylko mnie i gdybym umarła przed nią... - Orchidea wzruszyła ramionami. - Pozwolili zatem jej odejść wcześniej. Była piękna, piękniejsza niż ja w swych najlepszych latach, lecz brakowało jej mojej twardości. Tak sądzą. A co ty kochasz, paterę?
 - Nie jestem pewien - wyznał uczciwie Jedwab. - Gdy rozmawialiśmy ostatnim razem, powiedziałbym, że manteion. Teraz jednak wiem lepiej. Próbuje pokochać Zewnętrzny. Jak powiedział Alka, nieustannie o nim gadam. Lecz chwilami prawie nienawidzę go za to, że złożył na me barki tak wielką odpowiedzialność, a jednocześnie obdarzył łaską.
 - Doznałeś objawienia. Dowiedziałam się o tym dzisiaj. Zamierzasz przywrócić Kartę i zostać calde.
 - Jedwab potrząsnął głową i wstał z ławki.
 - Wracajmy. Nie każdy pięciuset ludziom czekać na nas w takim upale.
- Zanim się rozstali, Orchidea poklepała Jedwabia po ramieniu, czym niebywale go zdumiała. Złożono już ostatnią ofiarę i wydano ostatnią porcję świętej strawy. Jedwab polecił wszystkim opuścić manteion.
- Złożymy Orlice do trumny i zamkniemy wieko - wyjaśnił. - Kto chce po raz ostatni pożegnać się ze zmarłą, niech zrobi to teraz. Później wszyscy muszą wyjść. Kto zamierza towarzyszyć Orlicy w drodze na cmentarz, niech zaczeka na zewnątrz.
 - Gdy maytere Róża poszła umyć rękawice i nóż, do Jedwabia zbliżyła się maytere Mięta.
 - Wolalabym na to nie patrzeć, paterę - szepnęła nieśmiało. - Czy

wolno mi... Jedwab przyzwalając skinał głową i Mięta pośpiesznie ruszyła do konwentu. Przed ciałem zmarłej przesuwał się rząd żałobników. Ostatnia szła Orchidea.

- Zorganizowałam mężczyzn, którzy wyniosą trumnę, paterę - odezwała się Marmur.

- Wczoraj przyszło mi do głowy, że będziemy potrzebować tych ludzi. Na czeku był adres. Posłałam więc jednego z chłopców z listem do Orchidei.
- Wielkie dzięki, maytere. Jak już mówiłem ci z tysiąc razy, nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Poproś ich, by poczekali u wejścia.

Maytere odeszła. Jedwab rozejrzał się po pustym manteio - nie i spostrzegł, że Acałypha wciąż siedzi na swoim miejscu.

- Ty też musisz wyjść - powiedział, lecz jego słowa najwyraźniej nie dotarły do młodej kobiety. Kiedy wróciła maytere Marmur, Jedwab z jej pomocą przeniósł ciało Orlicy z lodowego
- posłania do czekającej już trumny.
 - Pomogę ci przybić wieko. Jedwab odmownie potrząsnął głową.
- Wybacz, maytere, ale pragnie porozmawiać ze mną Acałypha. A ona nie zechce mówić przy tobie. Udaj się zatem. proszę, do wyjścia i tam poczekaj. Jeśli będziemy mówić ściszonymi głosami, ty nas nie usłyszysz. - Zwrócił się do Aca - lyphy: - Będę przybijając wieko. Ty w tym czasie możesz wy - łuszczyć mi swoją sprawę.
 - Młoda kobieta, choć rozblęśły jej oczy, nic nie odpowiedziała.
- Maytere nie wolno opuścić manteionu - wyjaśnił Jedwab. - W okolicznościach takich jak te, przy trumnie musi przebywać nas dwoje. Chodzi o poświadczenie, że zwłoki nie zostały obrabowane ani zbezczeszczone. - Z głośnym sapnięciem dźwignął ciężkie wieko. - Jeśli chcesz spytać, czy zachowałem tajemnicę spowiedzi, to zapewniam cię, że z nikim o tym nie rozmawiałem. Wierz lub nie, ale zapomniałem już większość z tego, co mi wyznałaś. Gdy raz otrzymałaś rozgrzeszenie, jesteś rozgrzeszona.
 - Tamtą część życia masz za sobą i nie ma sensu do niej wracać.
 - Acałypha nie wstała z ławki. Spoglądała przed siebie nieruchomym wzrokiem. Na jej szerokim czole perlily się kropelki potu. Jedna spłynęła do lewego oka, a potem, niczym odrodzona łza, pojawiła się na policzku.
 - Rzemieślnik, który zrobił trumnę, dostarczył też sześć długich, mosiężnych śrub.
 - Śruby i śrubokręt ukryto pod czarnym całunem przykrywającym katafalk. Gdy Jedwab wyciągał śruby spod kiru, usłyszał w nawie kroki Acałyphy.
- Jeśli chcesz pożegnać się z Orlicą, mogę zdjąć wieko - powiedział. - Nie zacząłem jeszcze go dokręcać.

- Bąknęła coś pod nosem i potrząsnęła głową.
 - Dobrze - mruknął i zmieszany spuścił wzrok.
- Nie zdawał sobie dotąd sprawy z urody Acalyphy; nie zwrócił na to uwagi nawet podczas rozmowy z nią w domu Orchidei. W ogrodzie zamierzał powiedzieć, że żaden artysta nawet w połowie nie oddałby urody Kypris. Teraz zrozumiał, że to samo można powiedzieć o Acalyphie. Przez chwilę wyobrażał sobie, że jest malarzem lub rzeźbiarzem. Posadziłby ją na brzegu strumienia i polecił lekko zdrzeć głowę, jakby obserwowała szybującego pod niebem skowronka...
- Zanim skończył wkręcać pierwszą śrubę, poczuł, że Acalypha stoi tuż za nim. Był pewien, że jej policzek prawie dotyka jego ucha. Dotarła doń intensywna woń perfum. Choć podobnych pachnideł używała większość kobiet, choć ich woń była stanowczo zbyt intensywna, choć mieszał się z nią zapach potu, kosmetyków i talku, którym Acalypha pudrowała ciało, choć czuł nieprzyjemny zapach jej wełnianej sukni, którą przez całe wyjątkowo długie i upalne lato trzymała w kufrze, woń ta wydała się Jedwabowi wręcz upajająca.
 - Mozolił się z trzecią śrubą, kiedy Acalypha położyła mu na ramieniu dłoń.
 - - Lepiej wróc na ławkę - mruknął. - Tak naprawdę to w ogóle nie powinnaś tu przebywać. Acalypha cicho się roześmiała. Jedwab wyprostował się i odwrócił twarz w jej stronę.
- Maytere nie spuszcza z nas wzroku. Czyżbyś o tym zapomniała? Wróc na ławkę, proszę. Nie chcę korzystać ze swych uprawnień, lecz użyję ich, jeśli będę musiał.
 - Już wymawiając te słowa czuł ogarniające go zdziwienie.
 - Ta kobieta jest szpiegiem! - oświadczyła Acalypha.
 - **ROZMOWY**
 - Jedwab często bywał na cmentarzu, lecz nigdy jeszcze nie jechał prawdziwym karawanem. Owszem, jeździł wozem Śliza, pełniącym funkcje karawanu. W tamtą stronę, jak nakazywał obyczaj, wraz z resztą żałobników podążał za wozem, a po pogrzebie Śliz zawsze zapraszał go na zwietrzałą deskę służącą za kozioł i odwoził do manteionu.
 - Tym razem powóz wynajęto za trzy karty od rzemieślnika, który wykonał trumnę Orlicy. Był to najprawdziwszy karawan z drewna - jia pociągniętego lśniącym czarnym lakierem, ozdobiony czarnymi piórami i zaprzężony w karę konie. Jedwab, który coraz bardziej utykając dotarł na cmentarz ostatkiem sił, ucieszył się, kiedy woźnica w uniformie zaproponował, że odwiezie go na ulicę Słońca. Paterę ze zdumieniem skostatował, że kozioł karawanu ma oparcie i cały obity jest, jak najdroższe krzesła lub fotele, czarną skórą. Kozioł był bardzo wysoki i Jedwab mógł z niego obserwować mijane ulice z całkiem nowej perspektywy.
 - Woźnica chrząknął, kaszlnął i z wprawą splunął dokładnie między końskie zady.
 - Kim była zmarła, paterę? - zapytał. - Twoją znajomą?
 - Żałuję, ale nie - odrzekł Jedwab. - Nigdy jej w życiu nie spotkałem. Niemniej dobrze znam jej matkę. To ona zapłaciła za wynajęcie twego wytwornego powozu, jak

też za całą ceremonie.

- Jestem jej za to niewymownie wdzięczny.
Woźnica ze zrozumieniem skinął głową.
- Dla mnie to całkiem nowe doświadczenie - ciągnął Jedwab. - Już drugie w ciągu trzech ostatnich dni.
- Nigdy nie jechałem ślizgaczem i oto proszę, przedwczoraj pewien wytworny pan kazał własnym ślizgaczem odwieźć mnie do domu. A teraz to! Czy uwierzysz, że jazda karawanem podoba mi się bardziej? Z wysokości kozła człowiek widzi tyle nowych, interesujących rzeczy i czuje się... nie, sam doprawdy nie wiem, jak się czuję. Zapewne jak radca. Czy to twój stały fach? Czy na co dzień prowadzisz karawan?
 - Woźnica zachichotał.
- Poza tym zajmuję się końmi, karmię je, poję, myję, wycierani, zmieniam im słomę i tak dalej, i tak dalej.
- Dbam też o powóz. Woskuje go, poleruję, utrzymuję w czystości, oliwię osie. Nie mogą skrzypieć, gdyż żalobnicy skarżyliby się, że dźwięk ten wprowadza ich w jeszcze większe przygnębienie. Zatem często smaruję koła, co nawet w połowie nie jest tak uciążliwym zajęciem jak woskowanie i mycie karawanu.
 - Zazdroszczę ci tej pracy - wyznał szczerze Jedwab.
 - Nie jest zła, dopóki jeździ się z przodu. Dziś już do końca dnia masz wolne, paterę? Jedwab skinął głową.
 - Zakładając, że nikt nie wezwie mnie, bym pojednał go z Pahem. Woźnica z wewnętrznej kieszeni kaftana wyciągnął wykałaczkę.
 - Jeśli cię wezwą, musisz iść?
 - To mój obowiązek.
 - Zanim załadowaliśmy zmarłą na karawan, zabiłeś wiele gołębi, kozłów i innych zwierząt? Jedwab przez chwilę rachował w myślach.
- Razem z ptakami czternaście. Nie, piętnaście, bo Alka przyprowadził barana, którego ślubował bogu.
- Zapomniałem o nim, choć przecież w jego wnętrznościach wyczytałem, że... mniejsza o to.
- Czternaście plus baran. Wszystkie je osobiście zarznąłeś, wypatroszyłeś, powróżyłeś z trzewi, a następnie poćwiartowałeś i rozebrałeś mięso.
 - Jedwab ponownie skinął głową.
- A później maszerowałeś z chorą nogą na przedmieścia, recytowałeś modlitwy i tak dalej. Tak więc dopiero teraz będziesz mógł wreszcie zdjąć buty, chyba że znów ktoś się u ciebie pojawi.

Wy, augurowie, macie równie łatwe życie jak my, woźnice.

- Nie jest złe, dopóki idzie się z tyłu - odparł Jedwab. Obaj wybuchneli śmiechem.
 - Czy w twoim manteionie coś ważnego się wydarzyło? Jedwab skinął głową.
 - To dziwne, że wieść tak szybko się rozniosła.
- Gdy zajechałem przed manteion, nikt o niczym innym nie mówił, paterę. Nie jestem człowiekiem religijnym. O bogach wiem mało i nie chcę wiedzieć więcej, lecz ludzie swym gadaniem mnie zaciekawili.
 - Rozumiem - mruknął Jedwab, pocierając policzek. - Ale w tym przypadku jestem tak samo mądry jak ty.

Wiem tylko, co się wydarzyło, ty zaś wiesz, co gadają ludzie. A to jest co najmniej równie ważne.

- Zastanawiam się, dlaczego wróciła po tak długiej nieobecności. Czy powiedziała to?
 - Nie. A ja, oczywiście, nie śmiałem pytać. Nikt nie bierze bogów w krzyżowy ogień pytań. A teraz powiedz mi, co dokładnie mówili zgromadzeni przed manteionem ludzie.
- Zapadł już zmrok, kiedy woźnica zatrzymał karawan przed bramą prowadzącą do ogrodu manteionu.
 - Bawiący się na ulicy Kotek i Kosmek natychmiast zasypali Jedwabia gradem pytań. Czy naprawdę pojawiła się bogini? Prawdziwa bogini? Jak wyglądała? Czy przyjrzałeś się jej dokładnie, paterę?
 - Rozmawiałeś z nią? Czy coś ci powiedziała, paterę? Czy możesz nam powiedzieć, o czym z tobą rozmawiała? Co powiedziała?
 - Jedwab uciszył ich, unosząc nad głowę ręce.
 - Gdybyście pojawili się na ofierze, co było waszym obowiązkiem, też byście ją widzieli.
 - Przecież, i tak by nas nie wpuszczono do środka - odrzekł rezolutnie Kosmek.
 - Przykro mi to słyszeć - odparł szczerze Jedwab. - Ominęła was okazja zobaczenia na własne oczy Kypris Nadobnej. Z drugiej strony jednak większość uczestniczących w ceremonii osób, a zgromadziło się ich ponad pięćset, też nie widziało bogini. A teraz uważnie posłuchajcie. Wiem, że macie wiele pytań, ale w ciągu kilku najbliższych dni zamierzam w palestrze dużo opowiadać o tej teofanii, więc nie chcę, byście nudzili się, słuchając mojej relacji po raz drugi.
 - Jedwab przykucnął, jego twarz znalazła się na wysokości zasmolonego buziaka mniejszego z chłopców.
 - Kotku, z tego zdarzenia szczególnie ty powinieneś wynieść pewną naukę. Czy pamiętasz, jak kilka dni temu pytałeś mnie, czy w naszym świętym oknie naprawdę mógłby pojawić się bóg?
 - A ty, paterę, oświadczyłeś, że będziemy musieli jeszcze długo czekać.

Sklamaleś.

- Wcale nie. Powiedziałem tylko, że może przyjdzie nam jeszcze długo czekać.
- Naprawdę myślałem, że upłyną całe lata, zanim ponownie objawi się nam bóstwo. Myliłem się. Ale zmierzam do tego, że gdy zadałeś to pytanie, inni uczniowie skwitowali je śmiechem. Wydawało się im bardzo zabawne. Pamiętasz?
 - Kotek z powagą skinął głową.
- Śmiali się, jakbyś zadał głupie pytanie, bo w ich pojęciu było głupie - ciągnął Jedwab. - Mylili się jeszcze bardziej niż ja. Zadałeś ważne pytanie, a jedynym twoim błędem było to, że zadałeś je komuś, kto wiedział niewiele więcej od ciebie. Nie Wolno unikać trudnych i ważnych pytań dotyczących życia Wyłącznie z obawy przed śmiesznością. Postaraj się o tym nie zapominać.
 - Jedwab sięgnął do kieszeni.
- Chcę, chłopcy, byście załatwili mi kilka sprawunków. Poszedłbym sam, ale bardzo boli mnie noga.
- Kosmku, daję ci pięć bitów. Oto one. A tobie, Kotku, daję trzy. Pójdiesz do zie - leniarza.
- Poprosisz go, by sprzedał ci dla mnie za trzy bity najświeższych warzyw i owoców. Ty, Kosmku, udasz się do rzeź - nika po najlepsze kotlety warte pięć bitów. Gdy wrócicie, l każdymu z was dam w nagrodę po pół bita.
 - Jakże to mają być kotlety, paterę? - zapytał Kosmek. - Baranie czy wieprzowe?
 - O tym niech zdecyduj e rzeźnik.

Jedwab obserwował przez chwilę oddalających się biegiem chłopców, po czym otworzył bramę i wszedł do ogrodu. W ostatnich przeblyskach dziennego światła dostrzegł stratowaną przez zwierzęta trawę i wyrządzone przez nie szkody na niewielkich grządkach maytere Marmur. Na ten widok naszła go refleksja, że gdyby rok był normalny, ogród dawno tonąłby w śniegu.

- Paterę!
- Z okna konwentu wychylała się maytere Róża i machała w jego stronę ręką. Za takie zachowanie srogo zbesztalaby zarówno Marmur, jak i Miętę.
 - O co chodzi, maytere? - zapytał Jedwab.
 - Czy wróciły z tobą? Jedwab podkuśtykał do okna.
 - Kto? Sybille? Nie, oświadczyły, że pójdą piechotą. Niedługo powinny nadejść.
 - Pora kolacji dawno już minęła - zauważyła surowo maytere Róża. (Stwierdzenie to stanowiło oczywistą nieprawdę).
 - Jedwab uśmiechnął się pod nosem.
 - Wasza kolacja niebawem nadejdzie i niech Scylla pobłogosławi wasz posiłek.

- Odwrócił się i odszedł, zanim maytere Róża zdążyła zasypać go lawiną kolejnych skarg i pytań.
- Przed progiem drzwi prowadzących do kuchni na plebanii leżała paczka zawinięta w biały papier i związana białym sznurkiem. Jedwab podniósł ją z ziemi, przez chwilę obracał w rękach, po czym otworzył drzwi.
- Oreb, który sądząc po rozchlapanej wodzie pił z kubka, siedział na kuchennym stole.
 - Cześć, Jedwab.
 - Witaj - odrzekł paterę, sięgając po nóż.
 - Zarżnie?
 - Nie, chce przeciąć sznurek. Jestem zbyt zmęczony, a może zbyt leniwy, by mozolić się z supłami. Ale jeśli nawet przetnę ten postronek, wcale go przez to nie zniszczę. Orebie, czy w końcu upolowałeś szczura?
 - Wielka walka.
 - Zatem moje gratulacje, a zarazem wielkie dzięki... No już, przeciąłem. - W paczce znalazł kilkanaście ochłapów śmierdzącego mięsa. - To kocie mięcho, Orebie. Kiedyś wysypano mi na głowę cały kubek tego smakołyku. Sklerodermia obiecała mi dostarczyć to mięso i dotrzymała słowa.
 - Jeść teraz?
 - Jeśli chcesz. Ja go nie ruszę. Ale przecież pożarłeś całego szczura. Nie wmawiaj mi, że wciąż jesteś głodny.
- Oreb zatrzepotał skrzydłami i pytająco przekrzywił głowę.
 - Nie jestem pewien, czy tak duża ilość mięsa wyjdzie ci na zdrowie.
 - Dobrze mięso!
 - Nie sądzę. - Jedwab przesunął rozwinięty papier w stronę ptaka. - Jeśli jednak zostawię je na później, zepsuje się jeszcze bardziej, a nie mam gdzie go przechować. A więc żryj, jeśli masz ochotę.
- Oreb porwał cuchnący ochłap i częściowo lecąc, częściowo skacząc, dotarł na szczyt kredensu.
 - Niech Scylla pobłogosławi i twój posiłek - burknął Jedwab.

- Po raz dwutysięczny chyba pomyślał, że posiłek błogosławiony przez Scyllę powinien składać się z ryb, jak mówiło o tym Pismo Chrasologiczne. Ciężko westchnął, ściągnął sutannę i powiesił na oparciu krzesła, które należało kiedyś do paterę Płetwy. Powinien wprawdzie odnieść sutannę na górę, wyszczotkować ją i odwiesić do szafy; powinien też wyjąć z dużej kieszeni naprzo - dzie egzemplarz Pisma i odłożyć go na właściwe miejsce.
- Ale mógł z tym poczekać. Rozpalił w piecu ogień, wymył ręce, po czym wyciągnął patelnię, na której poprzedniego dnia smażył pomidory. Następnie do starego, ulubionego garnka paterę Płetwy nalał z pompy wodę i postawił naczynie na piecu.
- Spoglądał właśnie z zadumą na imbryk, zastanawiając się, czy nie zaparzyć matę lub kawy, gdy rozległo się pukanie do drzwi od ulicy Słońca.

- Odryglował je, odebrał z rąk Kosmka pakunek podobny do tego, który znalazł na schodkach kuchni, i sięgnął do kieszeni po półbitówkę.
 - Paterę... - Na drobnej twarzy dziecka malował się dziwny grymas.
 - Słucham.
 - Nie chce pieniędzy.

Kosmek wyciągnął oblepioną brudem dłoń, na której lśniło pięć bitówek, pięć niewielkich kwadracików odciętych od karty.

- To moje?
- Tak. Nie chciał ich przyjąć.
- Rozumiem. A mimo to rzeźnik dał ci kotlety, a na dodatek zgrabnie je zawinął.

Tak więc i ty, skoro on nie przyjął ode mnie pieniędzy... Nie powinienem był cię prosić, abys mówił mu, że mięso jest dla mnie.

Jako chłopiec honorowy i pobożny, również nie chcesz brać ode mnie zapłaty. Kosmek poważnie skinął głową.

- Dobrze, nie będę cię zmuszać - rzekł Jedwab. - Ale jestem winien twojej matce bita, więc oddaj mi cztery, a piątego zanieś do domu.
- Kosmek znów pokiwał głową, wręczył Jedwabiowi cztery bity i zniknął w zalegającym ulicę mroku.
- Te kotlety nie są ani moje, ani twoje - powiedział Jedwab pod adresem siedzącego na kredensie ptaka i założył grubą belkę na drzwi. - Nie waż się ich tknąć.
- Kotlety bez reszty wypełniły wielką patelnię. Jedwab posypał je odrobiną drogocennej soli i postawił na ogniu.
- Stworzyliśmy plutokrację nadprzyrodzonego - odezwał się gawędziarskim tonem do Oreba. - I to do wręcz żenującego stopnia. Inni, tacy jak Krew, mają pieniądze. Albo władzę, jak radca Lemur. Albo siłę i odwagę, jak Alka. My mamy bogów i duchy.
 - Jedwab dobry! - zakrakało siedzące na kredensie ptaszysko.
- Jeśli ma to oznaczać, że rozumiesz, to rozumiesz dużo więcej niż ja. Ale i ja staram się wszystko zrozumieć. Jak widzimy, plutokracja nadprzyrodzonego nie potrzebuje pieniędzy...
- jakkolwiek zdobywa je, co też widzimy. Ma również siłę i odwagę. - Jedwab opadł na krzesło, w jednym ręku trzymał Muzy widelec, na drugiej ręce wsparł podbródek. - Potrzebuje tylko mądrości.
- Nikt nie jest w stanie pojąć i zrozumieć bogów, a jednak my musimy ich pojąć i zrozumieć;

dzisiaj Ky - pris, zeszedł nocy na górze schodów paterę i tak dalej, i tak dalej.

- Oreb zerknął przez krawędź kredensu.
 - Zły człowiek? Jedwab potrząsnął głową.
 - Możesz mieć do mnie pretensję, że nie wymieniłem Pleśni, ale ona jeszcze żyje, więc nie może być duchem, a już z pewnością nie jest bogiem. Wręcz przeciwnie, zachowuje się jak najprawdziwszy diabeł.
- To przypomina mi, że mieliśmy z jednym do czynienia... w każdym razie miała z nim do czynienia Rzep. Doktor Żuraw uważa, że ugryzł ją nietoperz, lecz dziewczynka utrzymuje, iż skrzywdził ją starzec ze skrzydłami.
- Mięso na patelni zaczęło skwierczeć i pryskać tłuszczem. Jedwab podszedł do pieca, wbił próbnie widelec w jeden kotlet, a następnie podniósł inny i z uwagą obejrzał zbrązowiałą stronę, która przylegała do patelni.
- A skoro już jesteśmy przy skrzydłach, co powiesz, byśmy zajęli się najprostszą zagadką? Orebie, myślę o tobie.
 - Dobry ptak!
 - Nie wątpię. A jednak mimo że masz chore skrzydło i nie możesz latać, zeszedł nocy, tuż przed tym jak ujrzałem Pleśń, widziałem, jak wyfrunął oknem. To przypomina mi...
 - Paterę?
 - Rozległo się stukanie stalowych palców w drzwi prowadzące do ogrodu.
- Za chwileczkę, maytere, muszę tylko przewrócić na patelni twoje kotlety! - zawołał, po czym zwrócił się do Oreba: - Nie brałem pod uwagę Pleśni, ponieważ tego, co robi, nie nazwałbym nadprzyrodzonym. Ale przyznaję, że sprawia to takie 1 wrażenie. Być może, jestem jedynym człowiekiem w Yironie, który przyznaje to bez skrępowań.
 - Z widelcem w ręku podszedł do drzwi i szeroko je otworzył.
- Dobry wieczór, maytere. Dobry wieczór, Kotku. Niech wszyscy bogowie wam sprzyjają. Czy to są te moje warzywa?
 - Chłopiec skinął głową. Jedwab odebrał od niego spory worek i położył na stole.
- Kotku, znając obecne ceny sędzę, że tych warzyw jest dużo więcej niż za trzy bity. Poza tym w worku są też banany... czuje ich zapach. A to przecież bardzo drogie owoce.
 - Dziecko milczało. Do rozmowy włączyła się maytere Marmur.
- Paterę, zobaczyłam go, jak stoi na ulicy i boi się do ciebie zapukać. Albo też pukał zbyt cicho i nie słyszałeś. Wprowadziłam go zatem do ogrodu, a on cały czas tulił do siebie ten wielki worek.
- Doskonale - stwierdził Jedwab. - Ale, Kotku, przecież nie ugryzłbym cię za to, że przyniosłeś warzywa, o które sam cię prosiłem.

- Chłopiec rozłożył bezradnie brudne ręce.
- Rozumiem, a w każdym razie wydaje mi się, że rozumiem - rzekł Jedwab. - Zieleniarz nie przyjął pieniędzy?
 - Kotek w milczeniu skinął głową.
 - 1 myślałeś, że będę z tego powodu zły... Prawdę mówiąc, jestem zły. Oddaj mi bity.
 - - Kto nie chciał od ciebie pieniędzy, paterę? - zainteresowała się Marmur. - Szpik? Jedwab potaknął i odwrócił się do dziecka.
- Oto, jak obiecałem, masz tu swoje pół bita. Weź go, zamknij za sobą dokładnie bramę i niczego się nie bój.
- Ja się boję - mruknęła maytere Marmur, kiedy chłopiec już wyszedł. - Boję się nie o siebie, lecz o ciebie, paterę. Pewni ludzie nie lubią, kiedy ktoś staje się zbyt popularny. Czy Ky - pris Łaskawa obiecała cię chronić? Co zrobisz, jeśli przyślą po ciebie gwardzistów?
 - Jedwab wzruszył ramionami.
 - Sądzę, że dam się aresztować. Cóż innego miałbym zrobić?
 - Możesz już nie wrócić.
 - Wyjaśnię im, że nie mam ambicji politycznych, co jest zre - «ą zgodne z prawdą.
 - Jedwab przysunął krzesło bliżej drzwi i ciężko na nim usiadł. - Maytere, a może i ty chcesz spocząć. Pozwól, że wyniosę ci taboret.
 - Nie trzeba. Widzę, że bardzo dolega ci kostka. Cały dzień spędziłeś na nogach.
 - Wczoraj czułem się dużo gorzej - odparł Jedwab, dotykając owijacza. - A może po prostu teraz złapałem drugi oddech. W phaedag wiele się wydarzyło. Najpierw doświadczyłem owej wielkiej rzeczy, o której wspomniałem ci w altanie, następnie pojawił się tu Krew, a jeszcze później spotkałem Alkę i pojechaliśmy do willi Krwi. Tam złamałem sobie nogę i odbyłem długą rozmowę z właścicielem posiadłości. W sphigxdag pojednałem z Pahem nieszczęsną małą Rzep, po czym stałem się świadkiem śmierci Orlicy, odprawiłem egzorcyzmy, a na koniec Orchidea poprosiła mnie, bym w naszym manteionie odprawił ceremonię pogrzebową jej córki. Nie jestem przyzwyczajony do tak wielkiego tempa.
 - Maytere Marmur popatrzyła na niego z troską.
 - Nikt tego od ciebie nie wymaga, paterę.
 - Wczoraj wieczorem zacząłem już jako tako stawać na nogi, że tak się wyrażę, gdy nastąpiły kolejne wydarzenia. A dzisiaj zaszczyciła nas sama Kypris. Nasz manteion jako pierwszy w Yironie od ponad dwudziestu lat spotkał taki zaszczyt. Jeśli...
 - Było to coś cudownego - przerwała mu maytere. - Nieustannie o tym myślę i próbuję zintegrować to wydarzenie z moimi parametrami operacyjnymi. Jednocześnie... paterę, na przykład ta historia ze Szpikiem.

Widziałam niedawno na murze napis „Przywrócić Kartę!”. A teraz jeszcze dzisiejsze wydarzenie w

naszym manteionie. Musisz bardzo uważać.

- Będę uważał - zapewnił ją Jedwab. - Powoli wracam do równowagi umysłowej.
- Zrobiłem dokładnie to samo co ty: zapanowałem nad swymi operacyjnymi... jak ty to nazywasz?... I zaczynam myśleć trzeźwo.
- Gdy szliśmy za karawanem, miałem czas wszystko przemyśleć. Czytając wersety Pisma, mogłem stworzyć sobie własną ich interpretację. Przypomnij sobie ustęp zaczynający się zdaniem: „Suwerenna natura, zarządzająca całością, niebawem zmieni wszystkie rzeczy, które masz przed oczyma, z ich substancji stworzy inne rzeczy}. z których substancji z kolei stworzy jeszcze następne tak, że whor) wciąż będzie jak nowy”.
- W kontekście ostatniej ofiary znaczy to, że Orlica może odrodzić się w postaci trawy lub kwiatów. Ustęp ten wywarł na mnie szczególne wrażenie, zupełnie jakby został umieszczony w księdze po to, bym go dziś odczytał. Życzyłbym sobie z całego serca umiejętności przemawiania do ludzi tak, by choć w połowie móc wpływać na ich życie w stopniu, w jaki ów ustęp wpłynął na moje. Kiedy go czytałem, uświadomiłem sobie, że spokojne życie, jakie tu prowadzę, życie, które miałem nadzieję prowadzić bez większych wstrząsów aż do późnej starości, jest wyłącznie iluzją - stanowi jedynie chwilowy stan zawieszenia w świecie, gdzie rzeczy nieustannie zmieniają się jedna w drugą. Na przykład mój ostatni rok nauki w scholi...
- Czy kiedy pukałam do twoich drzwi, wspominałeś coś o kotletach, które dla mnie kupiłeś, paterę? Dziękuję. Bardzo doceniam fakt, że zaoszczędziłeś mi wiele czasu, jaki musiałabym spędzić przy kuchni. Jeszcze raz dziękuję. Kotlety pachną wspaniale. Jestem pewna, że maytere Róży i maytere Miecie będą bardzo smakować.
 - Jedwab westchnął.
 - Przypominasz mi, że należy je znów przewrócić?
 - Nie, paterę, mówię, że pora je przełożyć na półmisek. Raz już je przewracałeś.

Jedwab podkuśtykał do pieca. Oreb z takim zapalem zabrał się za kocie miecho, że cuchnące ochłapy poniewierały się na stole i podłodze. Kotlety nabrały cudownej, złocistej barwy.

Jedwab przełożył je na wielki półmisek, nakrył czystą serwetką i podał stojącej tuż za progiem plebani Maytere Marmur.

- Bardzo, ale to bardzo ci dziękuję, paterę. - Marmur zerknęła pod serwetkę. - Ojoj! Będą pyszne! Mam nadzieję, że zostawiłeś sobie przynajmniej trzy.
 - Jedwab potrząsnął głową.
- Kotletów najadłem się wczoraj wieczorem, kiedy Alka zaprosił mnie na wieczerzę. Chwilowo mam dosyć mięsa.
 - I Maytere Marmur lekko skinęła głową.
 - Musze się pośpieszyć, bo wystygną.

■ Maytere?

; Mocno utykając, ruszył za nią wysypaną żwirem ścieżką prowadzącą do konwentu. Płonącą linię słońca prawie całkowicie zasłonił już klosz, ale wieczór był suchy i upalny, jak konający w gorączce człowiek.

- O co chodzi, paterę?
- Powiedziałaś, że kotlety te wspaniale pachną. Czy ty naprawdę lubisz zapach potraw? Przecież nie jadasz.
- Ale gotuję, więc rozpoznaję miłe zapachy - przypomniała mu cicho.
- Myślałem głównie o maytere Róży i tu popełniłem błąd. Powinienem zdobyć coś, co sprawiłoby przyjemność całej waszej trójce. - Jedwab zamilkł, daremnie poszukując w myślach stosownych słów. - Bardzo mi przykro. Spróbuję znaleźć sposób, by wam wszystko wynagrodzić.
- Ależ paterę, naprawdę sprawiłeś mi wielką radość. Nie znam większej przyjemności od zanieśienia sybillom tak dobrego jedzenia. A ty wracaj do domu. Nie mogę patrzeć, jak męczysz się z chorą nogą.
- Jedwab zawahał się, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko skinął głową i zawrócił na plebanię. Przy gwałtownym skręceniu przekrzywił nieco stopę do wewnątrz, owijacz zwolnił uścisk i kostkę przeszył tak ostry ból, że paterę o mało nie krzyknął. Krzywiąc się dotarł do altany i tam oparł się o pień niewielkiej gruszy.
 - Z oddali dobiegło ciche pukanie.
 - Gdyby już nie stał oparty o drzewo, z pewnością by się zatrzymał. Nadstawił uszu. Kolejne pukanie, nieco głośniejsze i dobiegające z lewej strony, od ulicy Słońca, na którą wychodziły główne drzwi plebanii.
 - Konwent w ogóle nie miał drzwi wychodzących na tę ulicę.
 - Chciał zawołać do gościa, by chwilę poczekał, lecz słowa zamarły mu na ustach.
 - Cień (bardzo niewyraźny, gdyż światła °a plebanii prawie całkiem wygasły) przesunął się za firankami jego sypialni. Ktoś zamierzał zejść na parter i otworzyć drzwi; ten ktoś niewątpliwie obserwował go, jak utykając podążał ścieżką za maytere Marmur.
 - Wszystkie okna na plebanii było pootwierane i dzięki temu usłyszał skrzypienie drewnianych schodów, gdy tajemniczy gość szybko po nich zbiegał. Później zgrzytnęła zdejmowana belka zaporowa w drzwiach, skrzypnęły zawiasy i rozległy się niewyraźne głosy - głosy bynajmniej nie łagodne ani przyjazne.
 - W zdumiewający sposób przestał odczuwać ból w nodze. Choć drzwi sellarii otworzył jak najciszej, dwoje ludzi natychmiast odwróciło się w jego stronę; jedna twarz była uśmiechnięta, druga zacięta i groźna.
 - Oto on - powiedziała Acalypha. - Możesz sobie z nim porozmawiać.

- Piżmo warknął coś pod nosem i odsunął kobietę z drogi. Miękkim, kocim krokiem przeszedł sellarię i usiadł na krześle, którego Jedwab używał przeważnie do czytania. Paterę głośno chrząknął.
 - Nie chcę okazać się niegościnnie, lecz muszę spytać, co tu robicie.
 - Piżmo uśmiechnął się drwiąco; Acalypha próbowała zachować powagę, co jej prawie się udało.
- Nie byłam przygotowana, by iść za karawanem taki kawał drogi. Nie w tych butach. A Orchidea nic nie wspomniała, że mamy wlec się aż na cmentarz. Zaprosiła nas tylko na uroczystość w manteionie. Niektóre z nas zresztą nawet tam nie przyszły.
 - Tak? - mruknął Jedwab.
 - Poza tym poleciłeś mi wziąć udział w ceremonii, więc przyszłam.
 - Niewiastom nie wolno przekraczać progu plebanii - odparł szorstko Jedwab.

Piżmo siedział na jego ukochanym krześle i nawet nie myślał zmieniać miejsca. - Proszę mi na chwilę wybaczyć.

W kuchni w postawionym na piecu garnku kipiała woda. Jedwab dołożył do ognia duże polano i sięgnął po stojącą w kącie laskę.

- Wybacz, nie wiedziałam, że nie wolno mi tu wchodzić - ode zwała się Acalypha, gdy wrócił do sellarii. - Chciałam z tobą porozmawiać w manteionie, kiedy zamykałeś trumnę, lecz nie było to odpowiednie miejsce ani czas, zwłaszcza że tamta kobieta chem nie spuszczała nas z oka. Później na ciebie czekałam, ale ty już się nie pojawiłeś. Po kilku godzinach, kiedy weszłam do ogrodu, by napić się wody, ujrzałam ten budynek.
- Trochę pobawiłam się z twoim ptakiem, a następnie... cóż, chwilę się zdrzemnęłam.
- Wiem, że zażywasz rdzę i dlatego czasami dręczy cię wielkie pragnienie. Gdy wczoraj podczas egzorcyzmów powiedziałaś mi, że masz dobrą pamięć, oświadczyłaś też, że od rana nie miałaś w ustach kropli alkoholu. Czy dziś coś piłaś?
- Na pogrzeb Orlicy nigdy nie wybrałabym się z butelką! Piżmo pogardliwie parsknął, wyciągnął z kieszeni nóż i czubkiem zaczął czyścić sobie paznokcie.
- Może i nie - zgodził się Jedwab. - Gdybyś miała ją przy sobie, na pewno bym to dostrzegł, chyba że byłaby bardzo mała. Mogłaś jednak zabrać ze sobą pieniądze. W okolicy sprzedają piwo, brandy i inne trunki.
 - Ile kart dała ci Orchidea? - wtrącił się do rozmowy Piżmo.
 - Sam ją o to zapytaj. Niewątpliwie bardzo się ciebie boi... czuje przed tobą paniczny lęk. Na pewno ci powie.
- - Słyszałem, że dużo. Zakupiłeś masę kwiatów i tyle zwierząt, że wszystkim bogom w Centralnym Procesorze mięsa wystarczy na tydzień. Pewnie wystarczyło też, by tę kurwę zaciągnąć do łóżka.

- Acalypha przeciągnęła dłońmi po sukni.
 - Popatrz na mnie. Jestem ubrana. Jedwab z łoskotem uderzył laską w podłogę.
 - To niegodziwe! Zamilknijcie oboje. Acalypho, mówisz, że chcesz ze mną porozmawiać. Próbowałem rozmówić się z tobą w manteionie, lecz milczałaś.
- Acalypha spuściła głowę i patrzyła z lekkim uśmiechem na nogi Jedwabia, zupełnie jakby śmieszyły ją jego znoszone trzewiki; a on był w pełni świadomy, jak żałośnie w nich wygląda.
 - Mów, co masz mi do powiedzenia, albo sobie idź - rzekł.
 - Nie da się tego ująć w kilku słowach, paterę. Przemyslałam wiele spraw! Dlatego też ciepłiwie czekałam na twój powrót.
 - Muszę dodać coś do tego, co ci wczoraj powiedziałam. Ale ty! - ko na osobności, w cztery oczy.
 - Rozumiem. A ty, Piżmo? Czy też przyszedłeś pomówić ze mną prywatnie? Ostrzegam, ja także mam ci do powiedzenia kilka bardzo niemiłych rzeczy.
- Na twarzy Piżma pojawił się wyraz zaskoczenia; nóż, którym czyścił paznokcie, znieruchomiał mu w dłoni.
 - Przysłał mnie Krew.
 - Tak myślałem - mruknął Jedwab.
 - Ile ci dał czasu? Cztery tygodnie?
- Tak, cztery tygodnie. Po upływie tego terminu mam pojawić się u niego z pokaźną kwotą. Kiedy już to uczynię, zaczniemy ponownie negocjować.
- Piżmo wstał z krzesła płynnym ruchem, niczym jeden z rysiów Pleśni. Nastawił nóż i wycelował ostrze w pierś Jedwa - bia, który w jednej chwili przypomniał sobie ostrzeżenie, jakie wyczytał w trzewiach barana.
 - Zmiana planów. Masz na wszystko tydzień. Jeden tydzień!
 - Biedny Jedwab! - zakrakał Oreb ze szczytu zabytkowej, zakurzonej szafy stojącej nieopodal schodów.
 - Przecież zawarliśmy układ - sprzeciwił się Jedwab.
 - Tamten układ jest gównem wart! - Piżmo splunął Jedwabiowi pod nogi. - Masz na wszystko tydzień. Po tym czasie znów się pojawimy.
 - Zły człowiek!
 - Długi nóż śmignął przez sellarię i utkwiał dygocząc w deskach ściany nad szafą. Przerażony ptak zaskrzeczał, na podłogę spłynęło jedno czarne pióro.
- Zafundowałeś sobie tego ptaka, żeby z nas zakpić? - szepnął Piżmo. - Proszę, proszę. Twoim głównianym ptakiem nic nakarmiłbym nawet swych sokołów. Jeśli chcesz go mieć żywego, niech trzyma dziób zamknięty na kłódkę!
 - Acalypha zachichotała.

- Jeśli zamierzasz ciskać w niego nożami, to postaraj się lepiej celować. Takimi rzutami robisz z siebie tylko błazna.
 - Piżmo zamachnął się na kobietę pięścią, lecz Jedwab chwycił go za nadgarstek.
 - Nie rób tego głupstwa!
- Piżmo splunął mu w twarz i w tej samej chwili rzeźbiona rękojeść laski /, donośnym trzaskiem trafiła go w szczękę. Głowa Piżma odskoczyła do tyłu, młodzieniec z impetem runął na niewielki stolik, który połamał się pod jego ciężarem.
 - Acalypha krzyknęła, oczy jej zalśniły.
 - Przez kilka sekund, które wydawały się ciągnąć w nieskończoność, Piżmo leżał bez ruchu. W końcu rozchylił powieki i gapił się tępo w przestrzeń. Usiadł. Jedwab uniósł laskę.
 - Jeśli masz przy sobie igłowiec, to najwyższy czas, byś go wyciągnął. Rządca Krwi obrzucił go płonącym wzrokiem i potrząsnął głową.
- A więc dobrze. Czy tylko to miałeś mi do zakomunikowania? Że mam tydzień, by zapłacić Krwi dwadzieścia sześć tysięcy kart?
 - Paterę wolną ręką wyciągnął z kieszeni chusteczkę i starł z twarzy Piżma ślinę.
 - Może nawet niecały - wymamrotał młodzieniec, ledwo ruszając ustami. Jedwab opuścił laskę i wsparł się na niej ciężko.
 - Czy masz mi coś jeszcze do przekazania?
 - Nic. - Piżmo dźwignął się z podłogi i oparł się rękami o ścianę.
- A zatem ja ci coś powiem. Dziś odbył się pogrzeb Orlicy. Znałeś ją, oboje pracowaliście dla Krwi, bezpośrednio lub nie. Wiedziałeś, że zginęła. A jednak nie pojawiłeś się na jej pogrzebie, nie przyniosłeś zwierzęcia ofiarnego. Po zamknięciu grobu spytałem Orchideę, czy ty lub Krew przynajmniej złożyliście jej wyrazy ubolewania. Oczywiście nie. Może zaprzeczysz?
 - Piżmo nic nie odpowiedział; spoglądał tylko w stronę drzwi wychodzących na ulicę Słońca.
 - Czy coś jej podarowaliście, czy wyraziliście choć słowem swe współczucie...? Nie próbuj jeszcze odchodzić. Nie radzę. Piżmo popatrzył Jedwabowi prosto w oczy.
 - Zapewne sądziłeś, że uczyni to w imieniu was obu Krew ciągnął paterę. - Co zrobiłeś?
 - Piżmo potrząsnął głową. W jego włosach odbiło się mętne światło lampy.
 - Rozumiem - rzekł Jedwab. - Wszyscy należymy do rodzaju ludzkiego.
- Wykręciliście się od spełnienia zwykłego, ludzkiego obowiązku, a moją powinnością było przypomnienie wam o tym... nauczyć was, skoro sami jeszcze o tym nie wiecie, jak człowiek powinien postępować.
- Ostrzegam, następnym razem lekcja będzie dużo surowsza. - Otworzył drzwi. - A teraz odejdz w pokój.
- Piżmo bez słowa, nie oglądając się za siebie, opuścił plebanie. Kiedy Jedwab zakładał belkę

zaporową, poczuł, iż Acaly - pha całuje go w kark.

- Nigdy więcej tego nie rób! - powiedział gniewnie.
 - Chciałabym pocałować cię w usta, lecz wiem, że na to byś nie pozwolił. Zdawałeś sobie sprawę z tego, że Piżmo miał igłowiec?
 - Z całą pewnością, podobnie jak ja. Dlaczego nie siadasz? Usiądź gdziekolwiek. Boli mnie noga, a nie wypada mi siadać pierwszemu.
- Zajęła niewygodne krzesło, na którym poprzedniego wieczoru siedział Róg, a Jedwab z ulgą opadł na swe ulubione miejsce. Ponieważ owijacz Żurawia zdążył się już wyziębic, ściągnął go z chorej kostki i kilkakrotnie uderzył nim w podnózek.
 - - Próbuję robić to jak najczęściej, lecz nie osiągam widocznego efektu - zauważył. - Podejrzewam, że owijacz stygnie szybciej, niż potrafi rozgrzać złamaną kość.
 - Acalypha skinęła głową, ale milczała.
 - Chciałaś ze mną pomówić. Czy pozwolisz, że ja pierwszy zadam ci pytanie?
 - Pytaj, ale nie wiem, czy zdołam ci wszystko wyjaśnić. Co chcesz wiedzieć?
 - Kiedy nakrywałem wiekiem trumnę Orlicy, oświadczyłaś mi, że była szpiegiem.

Kiedy jednak spytałem, co to znaczy, nic nie odpowiedziałaś. Kilkanaście minut temu jedna z naszych sybilli ostrzegła mnie, iż powinienem mieć się na baczności, gdyż pewni ludzie próbują wrobić mnie w politykę. Zatem gdy rozniesie się wieść, że odprawiłem ceremonie pogrzebową szpiega, zagrażające mi niebezpieczeństwo znacznie wzrośnie, a tym samym...

- Nie ja miałam na myśli, paterę. Orlica nie była szpiegiem. Mówiłam o sobie jak o kimś innym. Mam już taki paskudny zwyczaj.
 - O sobie?
 - Acalypha skwapliwie pokiwała głową.
- Paterę, aż do tamtej chwili nie zdawałam sobie w pełni sprawy z tego, co się dzieje... Nie wiedziałam, co robię. I dopiero podczas ceremonii w manteionie wszystko zrozumiałam. Zupełnie jakby trafił mnie piorun.
 - To trudno wytłumaczyć. Jedwab założył owijacz na kostkę.
- Szpiegowałaś w naszym mieście? W Yironie? Nie próbuj kręcić lub odpowiadać wymijająco, córko. To bardzo poważna sprawa.
- Acalypha znów wbiła wzrok w jego buty. Po długiej chwili milczenia cisze przerwał Oreb, który wychylił głowę za krawędź zabytkowej szafy.
 - Człowiek poszedł?
 - Tak, już go nie ma - odparła Acalypha. - Ale w każdej chwili może wrócić, więc bądź ostrożny.

- Nocny kruk przechylił łeb, chwycił dziobem rękojeść sterzcącego ze ściany noża, wyszarpnął go, po czym szkarłatną łapą zepchnął broń na podłogę. Acalypha obserwowała ptaka z wyraźnym rozbawieniem, lecz Jedwab miał świadomość, że jest niebywale rada, iż nieprzyjemna rozmowa uległa zwłoce.
 - Głośno chrząknął.
- Powiedziałem, że chcę zadać ci jedno pytanie, lecz zadałem kilka, za co bardzo przepraszam. Twierdziłaś, że szukasz u mnie rady, a ja zgodziłem się, że w miarę możliwości udzielię ci pomocy. O czym dokładnie chcesz porozmawiać?
- W tym rzecz - powiedziała i spojrzała Jedwabowi w oczy. - Mam kłopoty. Nie wiem, co ciebie dręczy, lecz moja sytuacja jest z całą pewnością dużo gorsza. Jeśli gwardia dowie się, co robię, najprawdopodobniej czeka mnie śmierć. Muszę znaleźć miejsce, gdzie on mnie nie znajdzie. Jeśli znajdzie, wpadnę w jeszcze gorsze tarapaty. Nie mam pojęcia, gdzie mogę się skryć, lecz dziś nie zamierzam już wracać do domu Orchidei.
 - On? - Jedwab na chwile zamknął oczy. Kiedy znów je otworzył, spytał: - Doktor Żuraw? Acalypha popatrzyła na Jedwabia ze zdumieniem.
 - Tak. Skąd o tym wiesz, paterę?
- Nie wiem. Po prostu zgadłem i powinienem się tylko cieszyć z własnej domyślności. A jednak wcale mnie to nie raduje.
- Czy na właściwy trop naprowadziło cię to, że wczoraj podczas naszej rozmowy wszedł do mego pokoju?
Jedwab skinął głową.
 - To i kilka innych spraw. Bo, jak sama wczoraj mówiłaś, podarował ci sztylet.
- Bo ciebie pierwszą ze wszystkich kobiet Orchidei odwiedził w pokoju, bo tobie dostarczał rdze. Mógł wprawdzie robić to ze zwykłej sympatii. Badał cię pierwszą, byś mogła jak najwcześniej wychodzić do miasta. Sama mi to zresztą wczoraj powiedziałaś. Ale mogło też być tak, że w zamian oczekiwał od ciebie sówitej nagrody; a sowitzą nagrodą, między innymi, stanowiły ważne dla niego informacje. - Jedwab zamilkł i przez chwilę w zamyśleniu pocierał policzki. - Poza tym, kiedy spotkałaś Orlice, miałaś przy sobie ukryty sztylet. O ile wiem, kobiety noszą broń wieczorami i nocą; a Krew spodziewał się, że wrócisz na kolację. Zresztą sama mi oświadczyłaś, że czeka się bardzo pracowity wieczór.
- Paterę, uwierz mi, kobiety mego pokroju, wychodzące z domu po ciemnej stronie, potrzebują broni.
- W porządku. Ale przecież nie zamierzałaś wychodzić po zmroku. Nie powinnaś zatem spodziewać się żadnego niebezpieczeństwa. Logika więc podpowiedziała mi, że człowiek, który podarował ci ten sztylet, wplątał cię w jakieś ciemne interesy. Czy powiesz mi, dokąd się wybierałaś?
- Do... Nie, nie powiem. W każdym razie jeszcze nie teraz. - Na jej twarzy malowała się wielka udręka i Jedwab pomyślał, że Acalypha z całą pewnością nie zdaje sobie sprawy z tego.

jaka jest śliczna. - To zła sprawa. Nie... jest dobra, wszystkie fakty na to wskazują, choć pozornie tak to nie wygląda. Można wręcz pomyśleć, że pochodzę z innego miasta. Ale nie, podobnie jak ty jestem rodowitą vironką. Tu się urodziłam i tu, kiedy byłam nie większa niż ten stół, na którym trzymasz nogi, sprzedawałam na rynku rukiew wodną.

Jedwab skinął głową, zastanawiając się, czy Acalypha zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo chciałby ją wziąć w ramiona.

- Wierze ci, córko. Jeśli jednak mam ci pomóc, musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć. Jak doszło do tego, że zostałam szpiegiem?
- Mówiłam ci wczoraj, że Żuraw bardzo się ze mną zaprzyjaźnił. Był miły, kupował mi prezenty bez żadnej okazji. Wspominałam ci o bukietach acalyphy? Niby drobiazg, ale sprawiały mi wiele radości. Zresztą większość dziewcząt lubi doktora. Czasami nawet dawałam mu za darmo. Ma wielki interes i pasują mu duże dziewczęta. Sam zresztą z tego żartuje.
- Ale ma kompleks na punkcie swego wzrostu - zauważył Jedwab. - Przyznał mi się do tego podczas pierwszego spotkania. Może więc dlatego zadowolają go wyłącznie postawne niewiasty. Mów dalej.
- Zaprzyjaźniliśmy się od razu, gdy tylko wprowadziłam się do Orchidei. Nie, wcale mi nie powiedział: „Chcę, abyś dla mnie szpiegowała. Zdradź swoje miasto, a ja w zamian poulatwiam ci wiele spraw”. Jakies dwa miesiące temu żartowałyśmy z nim w wielkim salonie, pytając, co czuje, gdy nas ogląda podczas rutynowych badań. Rozumiesz, takie tam głupstwa.
 - Nie, nie rozumiem, ale domyślałam się, o co ci chodzi - odparł wymijająco Jedwab.
 - Któraś z nas napomknęła, że niedawno odwiedził nasz dom sam komisarz. Żuraw gwizdnął wtedy pod nosem i spytał, która z dziewcząt się nim zajmowała. Powiedziałam, że ja, a doktor chciał wiedzieć, czy dostałam od komisarza jakąś gratyfikację; pieniądze lub prezent. Później, podczas kolejnego badania okresowego, wypytywał mnie, czy komisarz nie wspominał czegoś o calde.
 - O calde? - spytał Jedwab, unosząc brwi.
 - Też się zdziwiłam, paterę. Odpowiedziałam jednak zgodnie z prawdą, że nie. Przecież calde nie żyje. Żuraw przyznał racje. Kiedy jednak skończył mnie badać i zaczęłam się ubierać, oświadczył, że byłby bardziej niż rad, gdybym zawsze przekazywała mu wiadomość, jeśli któryś z klientów wspomni coś o calde, o Karcie lub radcach. Wspomnił też o nich, że... l - Co takiego? - zainteresował się Jedwab.
 - Że kiedyś, gdy był nad jeziorem, widział dwóch, Tarsjus/a l i Loriego.
- Zaczęłam ochać i achąć, każda z nas zachowałaby się l w takiej sytuacji podobnie, lecz tak naprawdę niewiele mnie to l obchodziło. Kiedy powiedziałam doktorowi, że mnie to nie cię - l kawi, zmienił temat. Rozumiesz, co mam na myśli?
 - Oczywiście.
- Opuścił pokój, a ja skończyłam się ubierać. Później jeszcze raz spotkałam go, gdy wychodził od Fiołka.

- Bez słowa dał mi j złożoną kartkę papieru. O, tu, paterę, tu mi ją wsunął.
- Wróciłam do pokoju i rozwinęłam papier. Był to czek na okaziciela opiewający na kwotę pięciu kart i podpisany przez jakiegoś gościa, którego imię nigdy nawet nie obilo mi się o uszy. Niezbyt mi się to podobało, lecz udałam się z czekiem do Urzędu Skarbu i tam wymieniałam go na pięć kart. Nikt nie zadawał mi żadnych pytań. Po prostu położono przede mną na ladzie pięć kart. - Acalypha zamilkła, wyraźnie czekając na reakcję Jedwa - bia. - Jak często, twoim zdaniem, paterę, trafia mi się pięć - kartowy napiwek?
- Jedwab wzruszył ramionami.
 - Co miesiąc? Od czasu jak zabawiłaś komisarza?
- Jeszcze tylko dwa razy dostałam tyle pieniędzy. U Orchidei gość płaci dziesięć bitów za wejście i obejrzenie sobie szparek. Wybranej daje kartę, którą dziewczyna musi podzielić się z Orchideą; chyba że w grę wchodzi ktoś w rodzaju komisarza. Tacy klienci biorą wszystko za darmo. A my się nie sprzeciwiamy, bo żadna z nas nie chce mieć kłopotów. Nawet ich zapewniamy, że byli wspaniali, ale i tak przeważnie nie dają napiwków. Od tych, którzy płacą, jak mówiłam, biorę kartę. Za taką cenę, jeśli klient sobie zażyczy, muszę spędzić z nim całą noc. Tak więc jeśli nie dostanę czegoś ekstra, za całą noc zostaje mi tylko pół karty.
 - Znam ludzi, którzy nie dostają tyle za cały tydzień ciężkiej harówki - zauważył Jedwab.
 - Masz racje. Dlaczego niby, twoim zdaniem, zajmujemy się tym fachem? Zmierzam do tego, że jeśli trafia mi się dobry tydzień i dostaję napiwki, mogę zarobić cztery lub pięć kart.
- Czasami nawet sześć. Tylko że w takim przypadku następnego tygodnia wolno mi zarobić dwie, najwyżej trzy karty.
- Tak zatem, abym zarobiła tyle co w dobrym tygodniu, muszę przekazywać Żurawiowi, co mówił mi komisarz. Czysty zysk, cukiereczek! Wiem, powiesz, że powinnam była wykazać się większym rozumem i rozsądkiem, ale wtedy o tym nie myślałam. I dobrze.
 - Acalypha zamilkła, jakby oczekiwała wymówek.
 - A więc tak się to zaczęło - mruknął Jedwab. - Co było dalej, córko?
 - Zdobyłam sześć albo osiem ciekawych informacji, które później, już po jasnej stronie, przekazałam jakimś dwóm ludziom wskazanym przez doktora. Tak zatem, gdy któryś z komisarzy lub pułkowników pojawiał się w naszym domu, zajmowałam się nim, nie dbając o napiwki czy prezenty, jak czynią to inne szparki. Doszło do tego, że dygnitarze domagali się tylko mego towarzystwa, nawet jeśli akurat nie było mnie w domu.
- Czarny kruk poruszył się niespokojnie na szczycie szafy, przechylił głowę na bok i otworzył dziób.
- Kiedy jednak ujrzałam Orlicę na posłaniu z lodu, zaczęłam myśleć. - Acalypha przysunęła się z krzesłem bliżej Jed - wabia i ciągnęła niskim głosem: - Jeśli chcesz zatrzymać ten manteion, musisz skołować Krwi dwadzieścia sześć tysięcy? Tak mówił Piżmo, prawda?

- Jedwab nieznacznie pokiwał głową.
- Zatem dobrze. Paterę, dlaczego nie spróbujesz... dlaczego nie spróbujemy wyciągnąć tego szmalu od Żurawia?
 - Tam człowiek - ostrzegł nieoczekiwanie Oreb. - Na zewnątrz. Acalypha popatrzyła ze strachem w kierunku ptaka.
 - Tam - powtórzył kruk. - Nie puka.
 - **PROCHEIN AMI**
 - Jedwab ostrożnie dźwignął się z miejsca. Doskonale pamiętał, jak dał się zaskoczyć Piżmowi i Acalyphie.
 - Zostawiając laskę opartą o krzesło, zdjął z uchwytów ciężką belkę i trzymając ją w lewym ręku jak maczugę, szybko otworzył drzwi.
 - U dołu schodków stał wysoki, przybrany w czarną szatf mężczyzna. Na widok Jedwabia nie okazał najmniejszego zmieszania.
- Paterę, czy nie masz nic przeciwko... aaa... mojej wizycie? - spytał nosowym głosem. - Starąłem się zachowywać cicho i... hm... nie narzucać się. Rozumiesz? Zaskoczyłem cię, co?
 - Podszedłem do twoich drzwi, zanim usłyszałem głos... aaa... niewiasty. Jedwab oparł belkę o ścianę.
 - Zdaję sobie sprawę, że to wbrew regułom, Wasza Eminencjo...
 - Nie, nie, nie! Jestem przekonany, paterę, że kierowały tobą szlachetne pobudki. - Przybrany w czarną szatę gość skłonił się w pas. - Dobry wieczór, mój drogi. Dobry wieczór, I niech tej nocy sprzyjają ci wszyscy bogowie. - Przesłał Jedwabiowi szeroki uśmiech; w blasku rzucanym przez krainy niebios załśniły mu zęby. - Starąłem się... aaa... nie podsłuchiwać wyznań tej niewiasty.
- Wprawdzie jeśli ulicą nie przejeżdżał z turkotem wóz, słyszałem wasze głosy, lecz nie rozróżniałem poszczególnych słów. Nic nie usłyszałem. - Znow się uśmiechnął. - Świadkiem mi Scylla Słodka! Jedwab przekroczył próg i stanął przed plebanią.
- Proszę wybaczyć moją gwałtowność, Wasza Eminencjo. Słyszeliśmy... a raczej powiedziano nam...
 - Nic nie szkodzi. - Mężczyzna w czarnej szacie lekceważąco machnął ręką.
 - ...że ktoś czai się na zewnątrz. Nie wiedzieliśmy kto... - Jedwab urwał i zaczerpnął głęboko tchu. - Wasza Eminencja musi mieć jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę, skoro osobiście pofatygował się o tak późnej porze. Zapraszam do środka.
- Gdy odziany na czarno człowiek wkroczył do plebanii, Jedwab ponownie zaparł belką drzwi.
- To nasza sellaria. Najlepsza izba, jaką tu mamy. Jeśli Wasza Eminencja sobie życzy, mogę zaproponować kubek wody i banany. - Jedwab przypomniał sobie, że nie zajrzał jeszcze do

przyniesionego przez Kotka worka. - Może znajdę też jakieś inne owoce.

- Ubrany na czarno mężczyzna uwagę o owocach zbył pogardliwym gestem.
- Mam nadzieję, paterę, że udzielałeś tej niewieście jedynie jakichś porad i nie przerwałem spowiedzi. Nie wiem, gdyż nie zrozumiałem ani jednego słowa. Kadencje pojednania z Pahem jednak rozpoznałbym natychmiast, ponieważ sam wielokrotnie go udzielałem. Znam na pamięć litanie do świętych imion, wezwanie do Paha Wielkiego, do Echidny Boskiej, do Scylli Parzącej i do innych bogów. Nic takiego nie słyszałem. Nic.
- Paterę, czy ty również jesteś augurem? - zapytała Acaly - pha, która podeszła do drzwi i stała tuż za plecami Jedwabia.
- Mężczyzna w czarnej sutannie ponownie się uklonił, po czym ujął w dłoń krzyż próżniowy. Złoty łańcuch, na którym był zawieszony, w ciemnej, obskurnej sellarii zaśnił przepysznym blaskiem, jak sama Złota Ścieżka.
- Tak, moja droga. Gdybym nie był dyskretny, bardzo dyskretny, nie doszedłbym do mego stanowiska. Tak zatem, gdybym nawet usłyszał coś z twoich wyznań, nie miałabyś powodów do obaw.
- Wiem, że mogę ci ufać bez zastrzeżeń, paterę. Chcę powiedzieć, że paterę Jedwab i ja rozmawialiśmy już jakiś czas, więc mogę wyjść i wrócić za godzinę lub dwie...
 - Jedwab popatrzył na Acalyphę ze zdziwieniem.
 - - Taka dama jak ty, moja droga? W tej dzielnicy? Nie mogę tego nawet... aaa... słuchać. Niemniej muszę zamienić z paterę kilka słów. Później sobie pójdę.
- Dziękuję - powiedziała Acalypha. - Proszę nie zwracać na mnie najmniejszej uwagi, Wasza Eminencjo.
- Przybysz przewyższał Jedwabia o pół głowy (jakkolwiek Jedwab dorównywał wzrostem Alce) i był o dobrych piętnaście lat od niego starszy. Na czoło spadały mu kosmyki cienkich, czarnych jak węgiel włosów.
- Ty jesteś paterę Jedwab, prawda? To zaszczyt i przyjemność... aaa... poznać cię osobiście. Jestem obcy.
- Prawie. Ale cóż to ma za znaczenie? Traktujmy to jak spotkanie... aaa... starych znajomych. Choć kiedyś wyrządziłem ci niedźwiedzią przysługę. Kilka lat temu. Przyznaję, lecz miałem wówczas na względzie wyłącznie dobro Kapituły. Ostatecznie Kapituła to nasza matka. Nazywam się Remora. - Przesłał Acalyphie szeroki uśmiech. - Tuszę, że nasza piękność pragnie zachować... aaa...
- eee... dyskretną anonimowość. Tak będzie najroztropniej. Zresztą bez obrazy, niech o tym zdecyduje sama.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, paterę - odparła Acalypha kiwając głową.
- Nie zgłaszam sprzeciwu - mruknął Ramora zbywając sprawę machnięciem ręki. - Cóż, sam bym sobie...
- aaa... tego życzył.
- Wasza Eminencja był obecny podczas mojej promocji. Widziałem ciebie na podium, obok prałata. Nie sądziłem, że Wasza Eminencja mnie zapamiętał.
- Jakże mógłbym zapomnieć! Ale dlaczego nie siadasz, mój drogi!' Ja też chętnie spocznę, Jedwabiu.
- Ukończyłeś chwalebnie scholę. Nigdy nie zapominam takich szprotów. Byłeś najbardziej krzepkim gołowąsem na swoim roku. Pamiętam, jak powiedziałem Kwezalowi, przewodniczącemu Kapituły... do li - cła, powinienem powiedzieć Jego Mądrości. Otóż powiedziałem mu, że należy wysłać cię na arenę. Tak zatem... aaa... eee... trafiłeś tutaj. Tak, to nasza sprawka. Powiedziałem to żartem. To ja... hm.. jestem za to odpowiedzialny. To wyłącznie moja wina, że trafiłeś tutaj. Do tej dzielnicy, do tego manteionu. To ja tak doradziłem. - Remora popatrzył z ukosa na połamany przez Piżma stolik. - Nalegałem... siadaj, paterę... a miły Kwe - zał poszedł za moją radą.
- Dziękuję Waszej Eminencji - odrzekł szczerze Jedwab. - Bardzo dziękuję. Nie mogłem trafić w lepsze miejsce.
- Och, nie mówisz chyba poważnie. Ale nie winie cię. Nie winie. Nie winie żadną miarą. Nędznie tu żyłeś.
- Ja... aaa... Kwezal i ja doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. Ale twój nieszczęsny... hm... poprzednik...
 - Jak on się nazywał?
 - Płetwa, Wasza Eminencjo. Paterę Płetwa.
 - Właśnie, paterę Płetwa. Co by było, gdybyśmy go zostawili samego z bandą chłopców z tej dzielnicy?
- Zjedliby go z butami zaraz pierwszego dnia. Teraz o tym wiesz, paterę, a ja wiedziałem już wtedy. Tak zatem doradziłem Kwezalowi, by przysłał cię właśnie tutaj, a on zgodził się z moją sugestią. I tak oto jesteś tutaj. Sam. Ponieważ Płetwa przeniósł się do... aaa... przyjemniejszego klimatu.
- Ale wykonałeś w tej dzielnicy kawał solidnej roboty, paterę. Dokonałeś tu... aaa... dzieła wyjątkowego. Nie waham się użyć tak mocnych słów.
- Chciałbym zgodzić się z Waszą Eminencją - wydukał Jedwab. Każde słowo wychodziło mu z ust niczym ciężki, milowy kamień. - Ale manteion został sprzedany. Na pewno już o tym wiesz. Nie było nas stać nawet na opłacanie podatków. Tak więc posiadłość przejęło miasto. Kapituła zapewne została o tym fakcie poinformowana, lecz mnie nikt nie powiadomi). Nowy właściciel

z pewnością zamknie manteion i palestrę, a budynki przeznaczy do rozbiórki.

- Miał tu naprawdę twardy orzech do zgryzienia - odezwał się Remora do Acalyphy.
- Ty nie pochodzisz z tej dzielnicy), prawda? Zatem o niczym nie wiesz. Naprawdę ciężko pracował.
- Naprawdę.
- Dziękuję, Wasza Eminencjo - wtrącił Jedwab. - Jesteś dla mnie niezwykle łaskawy. Ale mnie twoja łaskawość nie jest potrzebna. Sądzę, że dobrze prowadziłem ten manteion. Gdy dziękowałem ci za skierowanie mnie tutaj, moja wdzięczność nie była szczerą. Nie lubię tej dzielnicy, nie lubię stłoczonych, starych, walących się domów i ruder, choć próbuję wmawiać sobie, że darzę tę część miasta sympatią. Ale ludzie... Żyje tu wielu niedobrych ludzi. Tak twierdzą wszyscy i mają całkowitą rację. Ale dobrzy ludzie przeszli już próbę ognia i pozostają dobrzy na przekór całemu złu, jakie na każdym kroku spotyka ich ze strony whorla, i w całym whorlu nie znajdzie się istot takich jak oni. Byłbyś zdumiony...
- W tej chwili Oreb zeskoczył z łopotem skrzydeł na kolana Acalyphy. W dziobie trzymał nóż Piżma.
 - Hola! To nadzwyczajne! - zakrzyknął Remora. - Co to jest?
- Oreb ma zwichnięte skrzydło - wyjaśnił Jedwab. - Głupi wypadek, Wasza Eminencjo. Wczoraj lekarz nastawił mu uszkodzony staw.
 - - A ten sztylet? - zapytał Remora. - Czy należy do ciebie, moja miła? Acalypha z poważną miną skinęła potakująco głową.
- Rzuciłam nim, Wasza Eminencjo, aby pokazać Jedwabowi, jaki jest ostry. A teraz Oreb uprzejmie mi go zwraca. Ptak chyba bardzo mnie polubił.
 - Rzuciłaś nożem? Nie chciałbym... aaa... być sceptyczny. moja droga, ale...
- Ramię Acalyphy wykonało błyskawiczny ruch w kierunku szafy. Rozległ się głuchy dźwięk, niczym łoskot bębna. Ostrze noża do połowy zagłębiło się w drewnianą ścianę. Nóż nawet nie zawibrował.
- Bogowie! - Remora wstał i zaczął z uwagą oglądać broń. Nigdy bym nie... To naprawdę najlepszy... aaa...
- hm... najlepszy... - Chwycił rękojeść i próbował wyjąć nóż ze ściany, lecz tylko bezradnie szarpał wbitą w drewno stal. - Zostanie jedynie pojedynczy ślad, jedna... hm... dziurka w desce.
- Paterę Jedwab nie życzyłby sobie, gdybym nadmiernie szpeciła mu ściany - wyjaśniła poważnie Acalypha.
- Ha! - wykrzyknął triumfalnie Remora, bo udało mu się w końcu wyrwać nóż, który z głębokim ukłonem wręczył młodej kobiecie. - Oto twoja broń, miła moja. O ludziach w tej

dzielnicy mówią, że są... aaa...

twardzi. Groźni. Samowolni i niepokorni. Zauważyłem połamany stolik. Ale nie zdawałem sobie sprawy, że... paterę, moje... aaa... nasze wyrazy uznania. Ale teraz... hm... teraz naprawdę jestem pod wrażeniem.

To właśnie chciałem powiedzieć, paterę. Zapewne wyobrażasz sobie, że my... hm...

Kwezal i ja... - Znów zwrócił się do Acalyphy: - Twój poczciwy augur już wie, że jestem... aaa...

prochein ami... aaa... Jego Mądrości. Niewątpliwie określenie to nie jest ci... eee... hm... obce. Jestem jego adiutantem, jak mawiają w gwardii. Ko - adiutorem. To taka... aaa... oficjalna frazeologia, najwłaściwsze określenie. Muszę uczciwie przyznać, że postępy czynione przez paterę Jedwabia obaj śledziliśmy z najwyższą uwagą i podziwem.

Miał tu wiele kłopotów! O tak! Nieustannie piętrzyły się przed nim przeszkody!

Orka na tym polu stanowiła istną mordęgę. Ten manteion to nie sielskie... hm... pastwisko.

Biedny, lecz miły sercom bogów.

- Rozumiem, Wasza Eminencjo - odrzekła Acalypha, kiwając głową.
- Powinien był zwrócić się do nas z prośbą... aaa... o pomoc. Powinien był apelować bezpośrednio i z ufnością do Jego Mądrości i do mnie. Powinien był przedstawić nam całą sprawę.
- Ale dużo w tym i naszej winy. Powinniśmy sami zaoferować swą pomoc, nie czekając na jego apele. O tak!
 - Kapituła powinna zaoferować mu pomoc i... aaa... dużo wcześniej.
- Nie mogłem dostać się przed twoje oblicze - wyjaśnił nieco oschłym tonem Jedwab. - Twój protonotariusz łaskawie poinformował mnie, że twoją uwagę bez reszty pochłania kryzys.
 - Remora głośno sapnęła.
- Niewątpliwie, paterę. Czasami odnoszę wrażenie, że moim jedynym zajęciem, moim... eee... głównym zadaniem jest zmaganie się z nie kończącymi się... hm... zamieszkami j.. aaa... z bezlitosnym potokiem nieustannie pogłębiających się kryzysów.
- Od zachodniej strony dobiegł dźwięk wydechów ślizgacza. Hałas rósł i rósł, w miarę jak opancerzony pojazd gwardii cywilnej zbliżał się do manteionu ulicą Słońca. Remora zamilkł i nasłuchiwał.

- To nasza... aaa... niezmienna polityka postępowania z młodymi augurami, paterę. Zapewne zrozumiałeś już, że... aaa... pozwalamy im swobodnie rozwijać skrzydła po to, by później, ze stosownej perspektywy, obserwować ich pierwsze loty. Jak to się mawia, wyrzucać ich brutalnie z gniazd.
 - To rodzaj egzaminu, który ty zdałeś... hm... celująco. Jedwab skłonił głowę.
- Czuje się zaszczycony, Wasza Eminencjo, ale pragnę zaznaczyć, że nie jestem godzien aż takich pochwał.
- Niemniej trafia mi się doskonała okazja złożenia ci raportu, nieoficjalnie oczywiście, o wielkiej łasce, jaka spadła dziś na nasz znajdujący się w poważnych opałach manteion. Otóż za sprawą...
- Użyłeś określenia „poważne opały”, paterę? Chodzi o ten manteion? - Remora roześmiał się beztrąsko. - Manteion został... aaa... sprzedany, jak sam to powiedziałaś. Ale do sprzedaży doszło jedynie dlatego, by wszystko było zgodne z literą prawa. Rozumiesz? To tylko sprytne posunięcie, strategia... aaa... starego Kwezala. Nowy właściciel... eee... Nazywa się... nazywa...
 - Krew - podpowiedział Jedwab.
 - Nie, jakoś inaczej. Bardziej pospolite imię.
 - Piżmo - mruknęła Acalypha.
 - Właśnie, Piżmo. Jeśli mogę wyrazić swoją opinię, głupie imię, nieprawdaż? Nawet noworodki nie pachną w połowie tak... aaa... słodko. Ale Piżmo spłacił wasze zaległe
- podatki. I wszedł w posiadanie manteionu.
- Rozumiesz? Za zaległe podatki i pewną niewielką, dodatkową kwotę. Te budynki wymagają... aaa...
- gruntownego remontu. To twoje własne słowa, paterę. Pozwolimy mu to zrobić. Dlaczego nie? Pozwolimy mu, by poniósł koszt remontu. A na koniec znów podaruje nam ten manteion. Zwróci całą posesję Kapitulie. Będzie to dobry uczynek.
 - Wątpię... - zaczęła Acalypha kręcąc głową.
- Przekonasz się, moja śliczna, że mamy swoje sposoby. Zwłaszcza stary, drogi Kwezal. W tym jest najlepszy. Ostatecznie dlatego został... aaa... hm... przewodniczącym Kapituły.
- No i posiada ogromne wpływy w Ayuntamiento. Cieszy się tam wielkim... aaa... poważaniem. Arsenal środków nacisku, jakimi dysponuje... aaa... jakimi my dysponujemy, zawiera również środki przewidziane na okoliczność taką jak ta. Ty z kolei, paterę, podobne wpływy posiadasz tu, na ulicy Słońca.
- Piżmo jest tylko formalnym właścicielem tej posiadłości, Wasza Eminencjo. Tak naprawdę posiadłość kupił Krew, a on grozi, że wyburzy wszystkie budynki.

- Nieistotne, nieistotne. Sam się jeszcze o tym przekonasz, paterę. - Remora znów pokazał zęby w szerokim uśmiechu. - Do tego nie dojdzie... aaa... tak się nie stanie. Bez obaw. Bez obaw.
- A jeśli nawet, to stare budynki zastąpione zostaną nowymi, lepszymi. Tak w sumie byłoby najlepiej.
- Odbudować manteion w ładniejszym stylu i... eee... dużo większy. Muszę pamiętać, by pomówić o tym z Kwezalem jutro, kiedy jeść będzie bulion. - Remora odwrócił się do Acalyphy. -Stary Kwezal przepada za bulionem. Paterę niewątpliwie o tym wie. O takich słabostkach wszyscy rozpowiadają z upodobaniem.
- Jak baby... hm... w maglu. Plotki, plotki. A swoją drogą stary Kwezal powinien lepiej się odżywiać.
- Nieustannie mu o tym mówię. Człowiek nie może żyć jedynie bulionem i powietrzem, prawda? Kwezal jednak jakoś funkcjonuje, choć jest bardzo słabiutki. Koadiutor zerknął na zegar stojący na kominku w sellarii.
 - Ale wracajmy do sprawy, z którą... aaa... do ciebie przyszedłem, paterę.
- Widzisz, mój drogi, jestem okropnym samolubem. Tak, mimo że pół życia spędziłem na poszukiwaniu... aaa...
- świętości. Pragnę osobiście poinformować cię, paterę, że nie będziesz już pracował samotnie. Czy wspomniałem o tym...
 - aaa... wcześniej? Zapewniam cię, że twoje wysiłki nie zostały nie zauważone. Teraz mogę powiedzieć więcej i...
 - aaa... powiem. Tak, powiem. Akolita, młody augur, który zaledwie ostatniej wiosny ukończył z wyróżnieniem studia... Podobnie jak ty, paterę. Ja... hm... my dobrze o tym wiemy i pamiętamy. Otóż ów młody człowiek, który napisał wyśmienitą pracę o świętych tekstach, pojawi się tu jutro rano. Ty, paterę, będziesz mieć przyjemność poprowadzenia tego obiecującego neofity ścieżkami, którymi sam z taką wiarą i oddaniem kroczyłeś. Masz na piętrze dwie sypialnie, prawda?
 - Proszę, przygotuj się...
 - aaa... na przyjęcie paterę Gulo. - Remora wstał z krzesła i wyciągnął rękę. - Cała przyjemność po mojej stronie, paterę. Przyjemność i honor, z którymi stanowczo zbyt długo zwlekałem. Odmawiałem sobie tego. Tak, wyrzekałem się samego siebie, ale nawet takie wyrzekanie się musi mieć kiedyś kres.
 - Jedwab, pomagając sobie laską, również wstał i z powagą uściśnął dłoń Remory, który zwrócił się do Acalyphy: - Wybacz, moja miła, że przerwałem ci rozmowę z twym... aaa... duchowym przewodnikiem. Z pobożnym młodym autogurem. Proszę o wybaczenie. Wprawdzie podczas naszego tete - a - tete śmiertelnie się nudziłaś, ale...
 - Wręcz przeciwnie - odparła ze szczerym uśmiechem Acalypha.
 - Ale przynajmniej spotkanie było krótkie. Aaa... zwięzłe, lecz treściwe. Masz moje błogosławieństwo bez względu na to, jakie trapią cię kłopoty. - Remora nakreślił w powietrzu znak dodawania. - Błogosławię cię najświętszym imieniem Paha, ojca

bogów, błogosławię cię w imieniu jego małżonki, Echidny Miłosiernej, w imieniu ich synów i córek, na dziś i na zawsze, w imieniu ich nastarszego dziecka, Scylli, patronki Yironu, naszego świętego miasta.

- Nowy właściciel - odezwał się pośpiesznie do Remory Jedwab - nalega, by wszystkie nadwyżki finansowe manteionu oddawać bezpośrednio jemu. W świetle tego, co wydarzyło się podczas dzisiejszego składania ofiar... Wasza Eminencja ma zapewne świadomość...
 - Remora chrząknął i zdjął z drzwi belkę.
- Musisz dokonać tu wielu napraw, paterę. Wiele rzeczy powymieniać... aaa... powiększyć budynki. Zrobić wszystko to, czym Piżmo...
- hm... nie będzie zawracać sobie głowy. Choćby twoja własna... aaa... hm... garderoba. To byłby dobry początek. Możesz dokonać... hm... wiele. Zacziesz prowadzić własne księgi rachunkowe. Jestem przekonany, że zrobisz dobry użytek z tych... aaa... przypuszczalnych nadwyżek w budżecie. Wiem też, że pozaciągałeś długi. Ale ja... aaa... my, Jego Mądrość i ja, doskonale to rozumiemy. Wyszedł.
 - Zły człowiek! - zawołał Oreb.
 - Acalypha wyciągnęła rękę i ptak wskoczył jej na ramię.
- Wcale nie, Orebie. Raczej człowiek zakochany we własnej przebiegłości i sprycie. - Popatrzyła w lekkim uśmiechem na Jedwabia. - Pomyśleć tylko, że wszystko to stało się za sprawą manifestacji jednej z pomniejszych bogiń. Z powodu bogini, która nie wchodzi w skład Dziewięciu...
- Czyż nie tak właśnie powiedziałeś w manteionie? Dobrze zapamiętałam? Jedwab założył na drzwi belkę i odwrócił się do Acalyphy, by odpowiedzieć, lecz nie dopuściła go do słowa.
- Wiem, co chcesz powiedzieć, paterę. Nie mów nic. Nazywam się Acalypha. Tej sprawy nie będziemy dyskutować. Masz zwracać się do mnie jak do Acalyphy, nawet gdy jesteśmy sami. I masz traktować mnie jak Acalypnę.
 - Ale...
 - Bo jestem Acalypha. Tego zagadnienia nigdy nie zdołasz objąć umysłem, choćbyś nie wiadomo jak długo i wytrwale studiował. A teraz siadaj. Wiem, że bardzo boli cię noga.
 - Jedwab posłusznie opadł na krzesło.
 - Chciałeś też powiedzieć coś jeszcze... Słucham.
 - Obawiam się, że poczujesz się urażona, choć nie mam najmniejszego zamiaru cię obrażać... -Urwał i głośno przełknął ślinę. - Acalypho... w różnych sytuacjach mówisz w różny sposób. Wczoraj, w domu Orchidei, mówiłaś jak młoda kobieta, którą wychowała ulica, jak ktoś, kto nie umie czytać, lecz nauczył się od lepiej wykształconych osób podstaw gramatyki i szeregu zwrotów. Dziś wieczorem, zanim pojawił się tu Jego Eminencja, mówiłaś jak stara złodziejka, jak sam Alka.

- Z chwilą przyścia Jego Eminencji zmieniłaś się nieoczekiwanie w kulturalną, wykształconą młodą damę.
 - Uśmiech AcaJyphy stał się jeszcze szerszy.
- Żądasz, bym tłumaczyła się przed tobą ze sposobu, w jaki z tobą rozmawiam, paterę? Nie jest to prośba godna dżentelmena, a jeszcze mniej duchownego.
- Jedwab przez dłuższą chwilę milczał i w zamyśleniu pocierał policzek. Oreb przeskoczył z ręki Acalyphy na jej ramię, a z niego na stojący obok krzesła Jedwabia rozchwiany stolik z książkami.
- Gdybyś rozmawiała z Jego Eminencją w taki sposób, w jaki rozmawiałaś ze mną, Remora nabrałby podejrzeń, że po prostu kupiłem na ten wieczór twoje wdzięki i usługi. Żeby mi tego zaoszczędzić, zdradziłaś swoją prawdziwą naturę. Nie wiem, jak mam ci za to dziękować, AcaJypho.
- Wymówiłeś me imię tak, jakbyś chciał dać mi uprzejmie do zrozumienia, że nazywam się inaczej. Otóż zapewniam cię, iż jest to moje prawdziwe imię.
 - Ale gdybyś używała innego, a oboje wiemy jakiego, czyż ono również nie byłoby prawdziwe?
 - Wcale nie. Dużo mniej niż sądzisz, a ponadto doprowadziłoby to do wielu nieporozumień.

- Dzisiejszego wieczoru jesteś piękniejsza niż w domu Orchidei. Czy wolno mi to powiedzieć? Acalypha skinęła głową.
- Nic w tym kierunku nie robiłam. AJbo prawie nic. Mężczyźni sądzą, że uroda kobiety zależy od budowy jej ciała i makijażu. Rzeczywiście, wiele od tego zależy. Ja maluję oczy i usta.
 - Odpowiednio się poruszam.
 - Ty też, choć robisz to nieświadomie. Lubię na ciebie patrzeć. Obserwuję cię, gdy tego nie widzisz. - Ziewnęła i przeciągnęła się tak, że pod naporem jej pełnych piersi o mało nie pękł materiał sukni. - Widzisz. Nie jest to wcale piękne, prawda? A jednak on uwielbiał, kiedy ziewałam, całował mnie w rękę.
 - Ja też to czasami robiłam. Po prostu aby sprawić mu przyjemność. Radość. Muszę na dzisiejszą noc znaleźć schronienie. Jedwab. Uwielbiam twoje imię, Jedwab. Przez całą noc chciałabym je wymawiać.
 - Większość imion jest brzydka. Pomożesz mi?
 - Naturalnie. Jestem twoim niewolnikiem.
 - Nazywam się Acalypha.

Jedwab ponownie głośno przełknął ślinę.

- Acalypho, uczynię wszystko co w mojej mocy. Tu spać nie możesz, ale jestem pewien, że znajdziemy ci jakieś wygodne lokum.
 - I oto nagle znów miał przed sobą dziewczynę, którą spotkał w domu Orchidei.
- Pomówimy o tym, ale jeszcze inne sprawy musimy poruszyć najpierw. Czy wiesz, dlaczego pojawił się tu ten okropny człowiek? Czy wiesz, dlaczego dostaniesz akolitę? Dlaczego ten okropny człowiek i przewodniczący Kapituły zamierzają odebrać Krwi twój manteion?
 - Jedwab ponuro skinął głową.
- Przyznaje, że czasami bywam naiwny, ale nie aż do takiego stopnia. W pewnej chwili chciałem go już nawet prosić, by skończył z udawaniem.
 - Wpadłby w złość.
 - Tyle to i ja wiem. - Jedwab odetchnął głęboko, trochę z ulgą, trochę z niesmakiem - Przysyłają akolitę, by mieć mnie na oku. Spróbuję odkryć, co porabiał przez całe lato.
 - Sądzisz, że jest protegowanym Remory? Jedwab skinął głową.
 - Zapewne pomocnikiem jego protonotariusza. Nie protono - tariuszem, bo tego poznałem i wiem, że nie nazywa się Gulo. Gdyby udało mi się porozmawiać z jakimś augurem, który chodził z nim do jednej klasy, wszystkiego bym się dowiedział.
- A zatem zamierzasz szpiegować szpiega - stwierdziła z uśmiechem Acalypha. - Ale przynajmniej twój manteion będzie bezpieczny.
- Bardzo wątpię. Po pierwsze, nie wierzę, by Jego Mądrość potrafił manipulować Krwią. A już na pewno nie w takim stopniu, jak to sugerował Jego Eminencja. Każdy wie, że Kapituła nie ma już takich wpływów w Ayuntamiento jak dawniej, choć dzisiejsza teofania Kypris może to w znacznym stopniu zmienić. A...
 - Tak? Co jeszcze?
- Acalypha pogładziła Oreba po piórach. Ptak przeciągnął si? i potarł karmazynowym dziobem jej ramie.
- Po drugie, jeśli nawet zdołają manipulować Krwią, ja nie zagrzeję już tu długo miejsca. Zostanę przeniesiony, zapewne na jakieś stanowisko administracyjne, a pieczę nad tym manteionem przejmie paterę Gulo.
- Ha! Jestem z ciebie dumna. - Acalypha nie spuszczała wzroku z ptaka. - A więc moja drobna sugestia wciąż ciebie interesuje?
- O szpiegowaniu Yironu? - Jedwab ujął laskę w obie ręce, jakby zamierzał ją złamać. - Nie! Chyba że mi wyraźnie rozkażesz. I, Acalypho... naprawdę jesteś Acalypha? W tej chwili?
 - Kobieta z powagą skinęła głową.
- A zatem, Acalypho, tobie też nie pozwalam tego dłużej robić. Nie chodzi mi o względy wierności. Po prostu nie chcę, byś narażała życie.

- - Jesteś wściekły. Wcale cię za to nie ganię, Jedwabiu, ale dużo lepiej jest zachowywać chłód.
- On...
- Nazywacie go Pahem. Ktoś kiedyś powiedział, że on zawsze jest w furii, nad którą całkowicie panuje. Nie zawsze, Jedwabiu. - Oblizła usta. - Tak, nie zawsze. Ale przeważnie. I zdobył władzę nad całym...
 - whorlem. Naszym whorłem, większym niż ten. Bardzo szybko. W ciągu kilku lat. Nikt w to nie wierzył.
- Nie sądzę, bym potrafił aż tak nad sobą panować - odrzekł Jedwab. - Ale spróbuj ę. Chcę tylko spytać, co będzie, jeśli nam się uda? To nieprawdopodobne, lecz założmy, że wydobędziemy od doktora Żurawia dwadzieścia sześć tysięcy kart i oddamy je Krwi. Kto poza samym Krwią odniesie z tego korzyść? - Jedwab na chwilę zamilkł i ukrył twarz w dłoniach. - Moim powołaniem jest wyświadczenie dobra, czy to Krwi, czy komukolwiek innemu. Nawet gdy włamywałem się do jego willi, chcąc zmusić go do oddania manteionu, przyświecała mi myśl, że nie pozwolę skalać mu duszy wykorzystaniem naszego świętego przybytku do niegodziwych celów. Ale dając mu pieniądze, których wcale przecież nie potrzebuje, nie wyświadczę mu dobra; zgoła mogę wyświadczyć mu zło.
- Oreb wskoczył na ramię Jedwabia, który gwałtownie poderwał i ze zdziwieniem popatrzył na ptaka. Kruk chwycił w dziób kosmyk zmierzwionych włosów paterę i mocno pociągnął.
 - On wie, co czujesz - odezwała się cicho Acalypha. - Robi wszystko, by cię rozweselić.
 - To dobry ptak... bardzo dobry ptak. Nie pierwszy raz przychodzi do mnie z własnej woli.
 - Zabierzesz go ze sobą, prawda? Nawet jeśli przeniosą cię na jakąś posadę administracyjną. Jedwabiu, czy trzymanie oswojonego ptaka nie stanowi pogwałcenia któregoś z praw obowiązujących augurów?
 - Dlaczego'? Wolno nam hodować zwierzęta.
 - A zatem jeszcze nic straconego. - Acalypha podniosła się ^A miejsca i stanęła za krzesłem Jedwabia. - Mogłabym... Mogłabym odrobinę cię pocieszyć, Jedwabiu. Czy życzysz sobie tego?
 - Nie.
 - I ponownie w niewielkiej sellarii zapadło milczenie.
- Dziękuję za dobre chęci - odezwał się Jedwab po długiej chwili. - Bardzo dziękuję. Twoje słowa nie powinny poprawić mi samopoczucia, a jednak poprawiły. Zawsze już będę ci za to wdzięczny.
 - Wiesz, że mogę tę twoją wdzięczność wykorzystać. Jedwab z powagą skinął głową.
 - Mam taką nadzieję. Chcę, byś wykorzystała.
 - Nie lubisz dziewcząt mojego pokroju.
 - Nie o to chodzi. - Zamilkł, zbierając myśli. - Nie lubię tego, co robicie... co każdego wieczoru i każdej nocy dzieje się w domu Orchidei. Przynosi to wam więcej zła niż

- dobra i ostatecznie szkodę ponosimy my wszyscy. To nieprawda, że nie lubię ciebie, Mąka czy innych dziewcząt; przeciwnie, darzę was wielką sympatią. Lubię nawet Orchideę i każdy bóg... -chciał ugryźć się z język, ale było już za późno - wie, jak bardzo jej dziś współczułem. Acalypha cicho się roześmiała.
- Bogowie o tym nie wiedzą... Jeden wie. Dwóch. Sądzisz, że ci mężczyźni nie żenią się, bo mają nas.
 - Nieprawda. Większość z nich ma żony, a nie powinni ich mieć. Jedwab przyznał jej rację, niechętnie kiwając głową.
 - Sam widziałeś, że jesteśmy bardzo młode. Czy wiesz, jaki los nas czeka?
 - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Chciał powiedzieć, że wiele z nich skończy zapewne jak Orlica; ale to przecież Acalypha ją zasztyletowała.

- Uważasz, że zmienimy się w osoby pokroju Orchidei lub zażywając zbyt dużo rdzy, poumieramy w konwulsjach? Mylisz się. Większość z nas po prostu wyjdzie za mąż. Możesz mi wierzyć lub nie, ale to prawda. Poślubiamy przeważnie klientów, którzy zawsze pytają o nas. Jedwabiu...
- Zaczęła muskać mu dłonią włosy. Z jakichś niejasnych względów Jedwab nabrał pewności, że jeśli odwróci się, wcale Aca - lyphy nie zobaczy; że po włosach gładzą go palce ducha.
- Powiedziałeś, że nigdy nie zadałbyś się z kobietą, Jedwabiu. Ponieważ chcesz ujrzeć boga. Powiedziałeś to komuś. Wczoraj. A co dzisiaj?
 - Teraz już sam nie wiem - wyznał uczciwie Jedwab.
- Boisz się, że zbyłabym cię śmiechem. Że byłbyś niezdarny. Wszyscy mężczyźni tacy są. Jedwabiu.
 - Paterę. Boisz się moich kpin.
 - Boję się.
- Zabiłbyś mnie, Jedwabiu? Ze strachu, że mogłabym się z ciebie śmiać? Mężczyźni tak właśnie postępują.
- Nie odpowiedział od razu. Acalypha dotykała jego głowy i karku w tych samych miejscach co niegdyś Piżmo, lecz wiedział, że nie zada mu bólu. Czekał na dalsze wyznania, ale docierał doń jedynie odległy trzask dopalających się w kuchennym piecu polan i szybkie tykanie zegara na kominku. W końcu sam przerwał milczenie: - Czy dlatego niektórzy mężczyźni biją kobiety, z którymi się kochają? Po to by się z nich nie śmiały?
 - Czasami.
 - Czy Pah cię bije?

Ponownie wybuchnęła srebrzystym śmiechem; Jedwab nie wiedział, czy śmieje się z niego, czy z Paha.

- Nie, Jedwabiu. On nikogo nigdy nie bije. Albo zabija... albo nie robi nic. _
Ciebie nie zabił.
 - Docierał doń zapach jej perfum zmieszany z wonią lekko zatęchłej sukni.
- Nie wiem.
 - Powiedziała to bardzo poważnym tonem, lecz Jedwab niczego nie zrozumiał. Oreb nieoczekiwanie zaświstał i przeskoczył z ramienia patereę na stół.
- Ona wraca. - Przeskoczył z kolei na abażur zepsutej lampy, a stamtąd na szczyt zabytkowej szafy. - Żelazna dziewczeczka!
 - Jedwab skinął głową, wstał z krzesła i przekuśtykał do drzwi wychodzących na ogród.
 - A swoją drogą nie chodziło mi o to, że mamy szpiegować w Yironie dla Żurawia.
- Nie sędzę też, bym dłużej sama to robiła. Sugerowałam jedynie, byśmy od Żurawia wydostali twoje pieniądze.
 - Ponownie ziewnęła i zasłoniła usta dłonią większą niż u większości kobiet.
- Sprawia wrażenie, jakby miał bardzo dużo gotówki. Ostatecznie prowadzi tu bardzo ożywioną działalność. Dlaczego więc nie skorzystać z tych pieniędzy? Jeśli zostaniesz właścicielem manteionu, trudno będzie cię z niego usunąć. Takie jest moje zdanie.
 - Jedwab popatrzył na nią tępym wzrokiem.
 - Spodziewasz się, że przedstawię ci dopracowany w szczegółach plan - ciągnęła.
 - Nic z tego. Nie mam głowy do takich spraw, a ponadto dziś jestem śmiertelnie zmęczona. Ponieważ nie chcesz ze mną spać, sam coś wymyśl przed zaśnięciem. Ja zastanowię się jutro rano.
 - Acalypho...
- Maytere Marmur stalowymi palcami zastukała do drzwi. - To ta wasza mechaniczna kobieta. Jak się nazywa? Robot? Robotonik? Istnieje wiele nazw.
 - Chem - wyjaśnił szeptem Jedwab, podczas gdy maytere dobijała się do drzwi.
 - Mniejsza o to. Jedwabiu, otwórz drzwi tak, by mogła mnie zobaczyć.

Posłusznie spełnił polecenie i maytere Marmur popatrzyła z wielkim zdziwieniem na wysoką Acalypnę o ognistych włosach.

- Paterę udzielał mi właśnie rozgrzeszenia - wyjaśniła dziewczyna sybilli. - Teraz potrzebuję jakiegoś miejsca, gdzie mogłabym się zatrzymać. Nie przypuszczam, by pozwolił nocować mi u

siebie.

- Ty...? Nie, nie!
- Choć było to niemożliwe, wydawało się, że oczy maytere Marmur rozszerzyły się ze zgrozy.
- Pomyślałem, że ty, maytere Róża i maytere Mięta możecie przygarnąć ją na te noc w świątyni - wtrącił Jedwab. - Macie wolne izby. Właśnie wybierałem się do was z tą prośbą. Musisz czytać w moich myślach, maytere.
 - Wcale nie. Odnoszę ci tylko półmisek. Ale... ale...
 - Wyświadczyłybyście mi ogromną przysługę. Zapewniam, że Acalypha nie sprawi wam najmniejszego kłopotu, a ponadto będziecie mogły jej doradzić coś w sprawach, w których ja, mężczyzna, jestem bezradny. Niemniej jeśli maytere Róża nie wyrazi zgody, Acalypha spędzi te noc gdzieś indziej. Jest już wprawdzie późno, lecz postaram się znaleźć jakąś rodzinę, która się nią zajmie.
- - Spróbuj, paterę - powiedziała potulnie maytere Marmur. - Zrobię co w mojej mocy. Obiecuję.
 - Wiem - odparł z uśmiechem Jedwab.
- Nie wypuszczając z rąk półmiska, oparł się o framugę i obserwował, jak obie kobiety - maytere Marmur w czarnym habicie i Acalypha w czarnej sukni, bardzo do siebie podobne, choć tak całkowicie różne - oddalają się powoli wąską ścieżką. Gdy dotarły już prawie do drzwi świątyni, Acalypha odwróciła się i pomachała mu ręką.
- Jedwab odniósł wrażenie, że twarz, którą ujrzał, nie należy do Acalyphy, że nie jest to zwykle, urokliwe oblicze, lecz twarz, której piękno zapiera w piersi dech.
 - Zajac czekał przed barakiem, w którym trzymano ślizgacz. - Skończone - oświadczył.
 - Poleci?
- Zajac wzruszył ramionami. Zauważył na szczęce Piżma krwawą szramę, lecz był dość rozsądny, aby nie zająknąć się na ten temat słowem.
 - Poleci? - spytał ponownie Piżmo.
 - A skąd mam wiedzieć? Przecież się na nich nie znam. Piżmo pochylił głowę i dał krok do przodu.
 - Pytam po raz ostatni. Poleci?
 - Jasne - odrzekł z wahaniem Zajac, po czym dodał pewniejszym tonem: - Jasne że tak.
 - A co mówi ten typek?
 - Twierdzi, że poleci. Mówi, że wzbije się wysoko, a przecież robi je od pięćdziesięciu lat. Chyba wie, co mówi.
 - Piżmo czekał, milczał, twarz miał skupioną, ręce trzymał przy pasie.
 - Wygląda nieźle. - Zajac dał pół kroku do tyłu. - Bardzo prawdziwie. Zresztą zobacz sam. Piżmo niechętnie skinął głową i wskazał boczne drzwi, które Zajac pośpiesznie

otworzył. Garaż był stosunkowo nowy i nie miał przyniesionych przez pierwszych osadników

- zielonkawych świateł, które uaktywniał dźwięk. Przystronne wnętrze oświetlały świece woskowe oraz pół tuzina lamp na rybi olej. Pomieszczenie przenikał zapach gorącego wosku, tranu oraz dominująca nad nimi ostra, dusząca woń dojrzałych bananów. Konstruktor latawców pochylał się nad swym dziełem i naciągał prawie niewidoczną linkę poprzegu łączącą skrzydła, każde długie na dziesięć łokci.
 - Mówiłeś, że jest już skończony - odezwał się Piżmo. - Tak powiedziałeś.
- Konstruktor przeniósł na nich wzrok. Był chudy, siwiejąca broda i krzaczaste brwi wyraźnie wskazywały, że jego życie dobiega końca.
 - Oto on - powiedział cichym, lekko schrypniętym głosem. - Gotowy.
 - Czy możemy go puścić? Dziś wieczorem?
 - Jeśli tylko będzie wiatr - odrzekł konstruktor.
 - Orzeł w nocy nie lata - sprzeciwił się Zając.
- Ale latawiec tak. Czy jest gotowy do wypuszczenia? Budowniczy latawców ponownie skinął głową.
 - Z królikiem? Udźwignie królika?
 - Małego. Domowe króle są ogromne. Od razu mówiłem, że dorosłego stworzenia latawiec nie uniesie.
 - Piżmo w zamyśleniu skinął głową i odwrócił się do Zajęcia.
 - Przynieś więc któregoś z tych białych. Nie najmniejszego, drugiego w kolejce.
 - Przecież nie ma wiatru.
 - Białego - powtórzył Piżmo. - Czekam na dachu. - Odwrócił się do konstruktora latawców. - Zabierz linkę i cały niezbędny sprzęt.
 - Muszę go znów rozłożyć, a na dachu złożę ponownie. Zajmie mi to co najmniej godzinę.
 - Daj mi linkę - odparł Piżmo. - Pójdę pierwszy i wciągnę latawiec na dach. Później Zając pokaże ci, jak dostać się na górę.
 - Ale nie wypuszczaj kotów.
 - Piżmo potrząsnął głową i sięgnął po leżącą na ławie szpulę z Hnką.
 - Chodźmy.
- Na zewnątrz panowała upalna noc. Powietrze było nieruchome. Na rosnących za murem drzewach nie drżał nawet jeden liść.
- Staniesz dokładnie w tamtym miejscu - wyjaśnił Piżmo, wskazując willę. - Tam gdzie dom ma dwa piętra.
 - Ja będę na dachu.

- Budowniczy latawców korbą otworzył wielkie wrota garażu, tak szerokie, że mogły przejechać przez nie trzy ślizgacze jednocześnie. Zważył latawiec w rękach; konstrukcja była ciężka, przypominała wielkie latawce bojowe, które wychodziły spod jego rąk.
- Ale tamte potrafiły wznieść się w powietrze tylko wtedy, kiedy wiatr wiał prawie z siłą huraganu.
- Z latawcem w ręku ruszył białą, wyłożoną kamieniami ścieżką, a następnie przez rozległy trawnik do miejsca, które wskazał mu Piżmo. Pod murem nie było Zająca, z dachu nie zwieszała się żadna linka.
- Konstruktor zadarł głowę i popatrzył na postrzępione blanki, czarne na tle barwnej mozaiki krain niebios.
- Na górze nikogo nie dostrzegł.
- I Niedaleko znajdowała się zagroda, w której niecierpliwie krążyły koty.
- Zbliżała się pora, gdy zostaną wypuszczone z klatek. Wprawdzie nie słyszał głosów krwiożerczych bestii, lecz był w pełni świadom ich obecności, ich pazurów i bursztynowych ślepi, ich głodu i rozdrażnienia. Co będzie, jeśli talus wypuści je z zagrody, nie czekając na polecenia Piżma? A jeśli już je wypuścił i teraz zwierzęta skradają się między zaroślami, gotowe w każdej chwili uderzyć? Coś dotknęło jego policzka.
 - Ej, tam na dole! Zasnąłeś?
 - Głos wołającego z dachu Piżma był matowy, prawie kobiecy.
 - Konstruktor chwycił linkę i na jarzmie latawca zapiął kara - bińczyk zamocowany na końcu sznura. Zaczął podziwiał latawiec, który szybko płynął w górę na tle muru z ociosanych gładko kamieni. Jego dzieło do złudzenia przypominało niewielkiego, smukłego człowieka o pajęczych jak u ważki skrzydłach.
 - Na trawniku pojawił się Zając. W rękach niósł białego królika.
- Pokaż go! - zawołał konstruktor i ruszył na spotkanie Zająca. Chwycił królika za uszy, zważył go w dłoni.
 - Za ciężki!
 - Tego właśnie kazał przynieść Piżmo - sprzeciwił się Zając.
 - Latawiec nie uniesie takiego ciężaru.
 - I tak nie ma wiatru. Chodźmy na dach.
 Konstruktor skinął głową i posłusznie ruszył za pomocnikiem Piżma.

Weszli do willi tylnymi drzwiami, wspięli się po dwóch kondygnacjach schodów, a następnie ruszyli z hałasem po kręconych żelaznych stopniach, po których dwa dni wcześniej zbiegł ze strychu Jedwab. Zając otworzył drzwi zapadowe prowadzące na dach.

- Trzymaliśmy tu wielkiego myszołowa - wyjaśnił Zając. - Nazywał się Hierax. Już nie żyje. Lekko zdyszany konstruktor latawców uznał, że powinien się roześmiać.
- Przeszli po dachówkach i wdrapali się na dach skrzydła budynku. Zając wspinał się po murze

na wyższy dach, a konstruktor trzymał królika. Później przekazał zwierzę Zajacowi i ru - Szył jego śladem.

- Piżmo siedział na blankach. Prawie całkowicie zasłaniał go latawiec.
- Ruszacie się jak muchy w smole. Czekam tu już od godziny. Który z was pobiegnie z latawcem?
- Ja będę trzymać szpule - oznajmił konstruktor. - Niech biegnie Zajac. Ale latawiec bez wiatru i tak nie poleci.
 - Przecież wieje wiatr - zauważył Piżmo.
- Konstruktor pos'Jinił palec i wzniosł go nad głowę. Na dachu, pięćdziesiąt łokci nad ziemią, dawało się wyczuć lekki ruch powietrza.
 - Wieje, ale słaby - stwierdził.
 - Ja go czuję - odrzekł Piżmo. - Spróbujmy, może jednak poleci.
 - Oczywiście że poleci. ~ Konstruktor nie potrafił ukryć dumy ze swego dzieła. - Ale nie przy tak słabym wietrze.
 - Czy mam przywiązać królika? - zapytał Zajac.
 - Daj mi go. - Piżmo również uniósł zwierzę za uszy i stworzenie głośno pisnęło.
 - Jest bardzo mały. Ty palancie, dlaczego przyniosłeś małego?
 - Zważyłem wszystkie, przysięgam. Są tam jeszcze dwa lżejsze.
 - Powinienem zrzucić go z dachu. Powinienem zrzucić również ciebie.
 - Czy mam przynieść inne? Sam wybierzesz. Zajmie mi to tylko minutę.
 - A jeśli ten odwiąże się i spadnie? Nie mamy więcej małych króli. Co użyjemy z rana? - Piżmo oddał królika Zajacowi.
- Na szlam Scylli, mówię przecież, że mamy jeszcze dwa. Klnę się na każdego z bogów. Przecież bym ci nie łąał.
- To nie jest królik, to jakiś francowaty szczur. Podmuch wiatru wzburzył włosy konstruktora latawców; zupełnie jakby po głowie przeciągnęła mu palcami niewidzialna bogini. Odniósł wrażenie, że gdyby błyskawicznie odwrócił się, mógłby dostrzec ją jeszcze kątem oka. Molpe, bogini wiatru i wszelkich lekkich przedmiotów, Molpe, której petentem był przez całe życie. Zaczai się modlić. Molpe, ześlij mi wiatr.
 - e, nie zawieź mnie, wszak od zawsze oddawałem ci cześć. Obiecuję ci parę zęb.
- Przywiążuj - warknął Piżmo i Zajac przyklęknął na rozmięklej w słońcu smole pokrywającej dach i w okrutny sposób, mocno zacisnął sznurek na nieszczęsnym króliku.
 - Uważaj, bo go przetniesz.
 - Nic mu nie będzie. Ciemno tu jak w grobie. Powinniśmy byli przynieść latarnię.
 - Nie spadnie?Zajac dźwignął się z kolan.

- Nie spadnie. - Odebrał od Piżma latawiec. - Mam go trzymać nad głową? Konstruktor potaknął, sięgnął po szpulę z nawiniętą linką i znowu poślinił palec.
- Czy mam biec w tamtą stronę?
- Nie, pobiegiesz do mnie, pod wiatr... jeśli będzie w ogóle wiać. Musisz biec w taki sposób, by skrzydła latawca chwyciły wiatr. Przy odrobinie szczęścia sztuczny wiatr, jaki wytworzysz biegnąc, uniesie latawiec na tyle wysoko, by pochwycił go prawdziwy, silny wiatr. Biegnij aż do skraju dachu. Ja będę sterować linką. Za każdym razem gdy poczujesz, że latawiec wyrывa ci się z rąk, wyrzucaj go w górę. Jeśli zacznie spadać, łap go.
 - On pochodzi z miasta - wyjaśnił Piżmo. - Tam nikt nie puszcza latawców. Konstruktor skinął głową i popatrzył na Zająca.
 - Trzymaj go nad głową jak najwyżej. Zacznesz biec dopiero na mój znak.
- - Teraz wygląda jak prawdziwy - odezwał się Piżmo. - Ale nie jestem pewien, czy podobieństwo jest wystarczające. Będzie dzień, będzie świecić słońce, a ptaki widzą lepiej niż my.
- Tylko że nie zawsze potrafią odróżnić prawdę od fałszu. Pod tym względem różnią się od nas.
 - Uwaga! - zawołał konstruktor. - Teraz!
- Zając pobiegł długimi, szybkimi susami. Skrzydła latawca chwyciły przy każdym kroku powietrze, jakby chciały poderwać konstrukcję do lotu niczym ptaka. W połowie długiego dachu Zając puścił latawiec, który wzbił się mu nad głowę.
 - Molpe! O Molpe! - zakrzyknął w duchu konstruktor.
 - Latawiec zawisł nieruchomo w powietrzu, znurkował, znów wzbił się na wysokość człowieka, po czym bezwładnie opadł na smołowany dach.
 - Łap go! - wrzasnął Piżmo. - Gamoniu, masz go łapać! Chcesz, by królik skreślił kark?
 - Nie martw się o królika - odparł konstruktor. - Macie ich dużo, a w razie czego jutro rano możecie kupić cały tuzin. Ja martwię się o latawiec. Jeśli coś pęknie, naprawa zajmie mi co najmniej dwa dni, a może nawet będę musiał zacząć budować nowy.
 - Zając podniósł z dachu pajęczą konstrukcję.
- Królik żyje! - zawołał. - Czy spróbujemy jeszcze raz? Konstruktor potrząsnął odmownie głową.
- Ściąg nie jest dostatecznie napięty. Podejdź do mnie. Zając posłusznie ruszył dachem w jego stronę.
 - Przytrzymaj - polecił konstruktor, klękając na oba kolana. - Nie chcę kłaść go na smole.
 - A może pociągnąć go za ślizgaczem - zasugerował Zając.
 - To byłoby jeszcze bardziej ryzykowne. Jeśli latawiec spadnie, pojazd, zanim się

zatrzyma, powlecze go po ziemi i zupełnie zniszczy. - Konstruktor poluzował jakiś węzeł. - Pierwotnie chciałem zamontować tu śrubę rzymską. Może powinienem był tak właśnie zrobić?

- Gdy będziesz gotów, spróbujemy ponownie - odezwał się Piżmo.
- Z rana może nadciągnąć wiatr.
- Z rana zamierzam wypuścić Aquilę. Nie będę miał głowy myśleć o latawcu.
- W porządku.

Konstruktor dźwignął się na nogi, znów poślinił palec i wskazał Zającowi, w którą stronę ma biec.

Tym razem, choć zdaniem konstruktora powietrza nie maćił najłżejszy podmuch wiatru, olbrzymi latawiec wzbił się w górę. Piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści łokci nad dachem...

Nieoczekiwanie zanurkował i przy wtórze pełnego przerażenia pisku futrzastego pasażera zaczął pikować ku ziemi.

po chwili jednak /..nów wyrównał lot, prawie znieruchomiał w powietrzu.

- Jeśli znajdzie się poniżej poziomu dachu, dom zasłoni go od wiatru.
- Właśnie - przyznał konstruktor. - Myśl ta już wcześniej przyszła mi do głowy.
- Dlaczego ściągasz go na dach? Przecież pięknie unosi się w powietrzu.
- Musze poluzować dolny naciąg. To linka biegnąca od stóp do jarzma... chwytaj go! - zawołał do Zajęca.
- W porządku, wystarczy. - W ręku Piżma błysnął igło - wiec. - Spróbujemy z rana, gdy będzie silniejszy wiatr. Słyszysz, stary?
- Zajęc trzymał w rękach latawiec, a konstruktor poluzowy - wał linkę wychodzącą ze szpuli.
- Mniej więcej o tyle. - Zaznaczył palcem na sznurku odległość. - Nie widziałeś, że nurkował? Gdyby spadł na dach lub na ziemię, rozbiłby się na drobne kawałki.
- Zajęc uniósł latawiec nad głowę i konstruktor popuścił dolny naciąg na wskazaną wcześniej długość.
 - Przewidziałem to, wiec zostawiłem na końcach naciągu zapasy sznurka.
 - Dziś wieczorem nie będziemy już ryzykować - oświadczył Zającowi Piżmo.
 - Cicho!

Palce konstruktora znieruchomiały na lince naciągu. Z oddali, od strony usychającego lasu, dobiegł szelest zbrązowia - lych liści i tysięcy suchych gałęzi. Starszy człowiek popatrzył z zainteresowaniem w tamtą stronę.

- Co jest? - zainteresował się Zajęc. Konstruktor wyprostował zgarbione plecy.

- Tym razem biegnij w stronę przeciwnego skraju dachu - powiedział.
- Lepiej żeby nic się nie popsuło - burknął Piżmo, wsuwając igłowiec pod koszulę.
- Jeśli się popsuje, będę bezpieczny - zauważył budowniczy. - Ani ty, ani on go nie naprawicie.
- Najbezpieczniejszy będziesz, jeśli pofrunie i szczęśliwie wróci - odparł posępnie Piżmo. Zając po drugiej stronie dachu czekał na komendę.

Konstruktor popatrzył na trzymaną w ręku szpulę. Drzewa ponownie znieruchomiały, lecz on czuł niewidzialne palce Mol - pe w swych włosach, czuł, jak muskają mu brodę.

- Teraz! - krzyknął całą pierśią.
- Zając pobiegł. Gdy był już w połowie dachu, mocnym pchnięciem ramion wyrzucił latawiec do góry.
- Konstrukcja w jednej chwili wystrzeliła w powietrze na wysokość pięćdziesięciu, sześćdziesięciu łokci i tam znieruchomiała, jakby nabierając sił.
- W górę! - mruknął Piżmo. - Leć, sokole!
- Przez pełne dwie minuty latawiec unosił się na tej samej wysokości. Jego przezroczyste skrzydła były prawie niewidoczne na tle krain niebios, czarny jak kłosz kadłub do złudzenia przypominał postać człowieka, królik stanowił wijący się punkcik przytulony do jego torsu. Twórca latawca uśmiechnął się pod nosem i popuścił ze szpuli linkę. Latawiec zgrabnie wznosił się wyżej i wyżej, aż w końcu wydawało się, że zniknie pośród mozaiki pól i lśniących rzek po drugiej stronie whorla.
- Wystarczy? - zapytał konstruktor. - Mogę go już ściągać? Piżmo odmownie potrząsnął głową, a Zając rzekł: - Wygląda wspaniale. Tak jak chcieliśmy.
- A ja chciałbym prosić o pieniądze - zwrócił się do Piżma konstruktor. - Zgodnie z umową. Zbudowałem latawiec, tyś go zaaprobował, a ponadto zdołał unieść królika.
- Teraz dostaniesz połowę - odparł szeptem Piżmo, nie spuszczając wzroku z szybującej wysoko czarnej sylwetki. - Zaaprobuję go dopiero wtedy, gdy ruszy za nim Aquila. Wciąż nie mam pewności, czy ptak da się na to nabrać.
 - Zając zachichotał.
- Biedny króliczek. Nawet nie wie, co się dzieje. Jestem pewien, że tam, w górze, czuje się bardzo samotny.
 - Piżmo obserwował królika z kwaśną miną.
 - Z rana będzie miał towarzystwo.
- Narastające podmuchy wiatru szarpały jego wyszywaną koszulą, nawiewały mu na twarz

kosmyki włosów.

- Jeśli uważasz, że latawiec nie zdoła zwieść twego orła, powiedz mi, jakie mam wprowadzić poprawki.
 - Postaram się ich dokonać z rana.
- Teraz wygląda idealnie - przyznał Piżmo. - Jak prawdziwy lotnik trzymający w szponach królika.
- Przewracając się z boku na bok w pościeli, Jedwab prowadził karawan przez mroczną, spustoszoną, senną krainę, przez dziedzinę zmarłych, która wciąż jeszcze była dziedziną żywych.
- Wiał nieustanny, porywisty wiatr, trzepotał żółtawymi firankami w oknach sypialni, szarpał aksamitnymi zasłonami w karawanie niczym czarnymi chorągwiami; niczym porwanym plakatem na ulicy Słońca przedstawiającym starego radcę Le - mura, z wylupionymi oczyma i tańczącymi na wietrze ustami; niczym afiszem z miłą twarzą radcy Loriego, który zerwany przez wichurę wylądował w rynsztoku; niczym obszernym czarnym habitem maytere Marmur furkoczącym w gwałtownych zawirowaniach powietrza. Czarne pióropusze gięły się i chwiały niczym las trzciny, wiatr pochwycił końcówkę bata, którym Jedwab chciał smagnąć zad jednego konia, a trafił w grzbiet drugiego. Nie skarcony kary koń szarpał się i rwał w uprzęży, parskając w tumanach żółtego pyłu, lecz na jego zad ani razu nie spadło uderzenie bicia. Oszukiwał brata, który spocony ciągnął pojazd, boki miał pokryte zaskorupiałym błotem i białą pianą.
- W karawanie wierciła się Orlica. Była naga i biała, a stara, postrzępiona chusteczka Jedwabia zsuwała się jej z twarzy, zsuwała i zsuwała, choć nie mogła się zsunąć do końca, jakkolwiek bijący w ściany i szyby pojazdu wiatr wdzierał się do środka przez każdą szczelinę, niosąc tumany pyłu.
- Wciąż smagając niewłaściwego konia, Jedwab obserwował, jak Orlica ścisnęła w palcach rękojeść sztyletu Acalyphy, obserwował, jak szarpie i wyciąga zakleszczony między żebrami nóż, widział, jak zaciska dłoń na rękojeści i miedzianej gardzie zabójczej broni z wizerunkiem kota z ognistym ogonem. Jej skryte pod chusteczką oblicze zbrukane było krwią, oblicze na zawsze już stanowiące wierne odbicie twarzy Pleśni, szalonej córki Krwi.
- Brązowe włosy miała obcięte do skóry, na czaszce widniały szwy. Jej czarne włosy zgołiła Trzcina, która umyła ciało zmarłej i ogoliła połowę głowy, tak że pojawiły się szwy, a na każdym z nich drżała kropelka krwi. Z pełnych piersi Orlicy na czarny aksamit całunu sączyło się mleko. Czekał ją grób, tylko grób, jeszcze jeden grób we whorlu grobów, gdzie spoczywało już tylu ludzi, których doglądał osobiście Hierax, bóg śmierci i calde umarłych, Hierax Wielki Siwogłowy trzymający w szponach białą duszę Orlicy.
 - Siedzący na wysokim, obitym czarną skórą koźle Jedwab nic z tego nie rozumiał.
 - Wiedział jedynie, że jedzie w stronę grobu i jak zwykle jest już spóźniony. Zawsze pojawiał się przy grobie za późno i za wcześnie. Jechał nocną stroną w ciemnościach głębszych niż najczarniejsza noc, jechał podczas dnia upał - niejszego od najgorętszego dnia, w skwarze, który prażył żółty kurz na drodze niczym artysta gliniany garnek w piecu, kurz lśniący w upale niczym złoto. Czarne pióropusze kołysały się, gdy smagał batem zad

niewłaściwego konia, spoconego konia, który padnie do grobu, jeśli drugie zwierzę nie zacznie też pracować. I co wtedy stanie się z Orlicą? Spocznie w mogiłę wraz z martwym koniem?

- Hejta! - krzyczał Jedwab raz po raz, lecz konie nie zważały na jego komendy, gdyż byli już przy grobie, a długie słońce zaszło, wypaliło się; pozostanie martwe aż do chwili, gdy znów zostanie rozpalone.
 - Za głęboki - oświadczyła Acalypha, stając nad grobem.
 - Za głęboki - odpowiedziały jak echo żaby, takie same jak te, które łapał jako chłopiec, kiedy wraz z matką wyjechał na wakacje na wieś; żaby, które kochał i zabijał swą miłością.
 - Za głęboki.
 - Grób był za głęboki, choć jego dno wyłożono czarnym aksamitem, by piasek i glina nie miały kontaktu z ciałem zmarłej. Zim - : ne, sączące się wody podziemnych strumieni, wysychających z każdym rokiem coraz bardziej, nigdy nie obmyją zwłok Orlicy, nie sprawią, że jej ciało zgnije, zamieniając się w pokarm dla drzew i kwiatów, nie zmyją krwi Krwi i nie zmoczą ani ognistego kota z czarną myszą w pysku, ani też złocistych hiacyntów.
 - Nigdy nie wypełnią złotego stawu, w którym złoty żuraw wyl patruje bezskutecznie złotych ryb; bo nie był to dobry rok na złote ani nawet na srebrne ryby.
 - Za głęboki!
 - I był za głęboki. Był tak głęboki, że żółty kurz nie docierał do jego dna, a aksamit na dnie lśnił iskrami, które mogły mrugać, lecz nie mrugały, jak oświadczyła mu niegdyś maytere Marmur.
 - W ich blasku znów była młoda, o twarzy przypominającej oblicze maytere Mięty. Brązowe rękawiczki do złudzenia przypominające ciało pokrywały jej pracowite stalowe palce.

- Za długi! - powiedział Jedwab koniom. Jedno ze zwierząt, które dotąd nie przykładało się do pracy, z całych sił wciągnęło karawan do grobu i zaczęło przec naprzód. Wichura dławiała dech, a noc była ciemniejsza od najciemniejszej nocy, bez śladu poświaty bijącej od krain niebios. Długą drogę ciągnącą się pod ziemią na zawsze zasypały zwały skołtunionego kurzu.
 - Za długi!
 - Obok Jedwabia na obitym skórą koźle siedziała Hiacynt. Paterę wręczył jej starą, poplamioną krwią chusteczkę, by zasłoniła sobie usta i nos. Choć wiatr ujadął jak tysiąc żółtych ogarów, nie potrafił strącić trzeszczącego, lśniącego, starego karawanu z drogi, która wcale nie była drogą, a paterę był bardzo rad z towarzystwa pięknej Hiacynt.
 - **NIEWOLNICA SPHIGX**
 - Gdy Jedwab usiadł w pościeli, przypomniał sobie, że jest już molpdag; dzień zwawego, sprężystego kroku, dzień, w którym po pracy należało oddawać się tańcom i śpiewom. Kiedy spuścił nogi z łóżka i przetarł zaspane oczy, drapiąc się po nie ogolonych

policzkach, pomyślał smętnie, że wcale nie ma ochoty ani sił chodzić zwawym, sprężystym krokiem. Spał... ile czasu? Za długo; lecz może jeszcze zdąży dołączyć do porannych modłów odprawianych przez sybille. Była to pierwsza noc, którą w całości przespał od...

- Od thekdagu.
 - Przeciągając zastałe mięśnie, ponownie napomniał się w duchu, że musi się pośpieszyć. Śniadanie zje później; może nawet w ogóle obejdzie się bez porannego posiłku, jakkolwiek pozostało mu wiele owoców i warzyw.
 - Wstał, lecz przenikliwy ból w kostce sprawił, że znów opadł na posłanie.
 - Laska stała oparta o wezłowie łóżka, obok leżał owijacz Żurawia. Jedwab podniósł opatrunek i kilkakrotnie uderzył nim w podłogę.
- Dziś Sphigx będzie moją boginią - mruknął. - Moją podporą, nadzieją i wsparciem. - Wykonał w powietrzu znak dodawania. - Bądź zatem ze mną do końca, Sphigx Zbrojna, Dźgająca i Grzmiąca, Lwico i Amazonko. Daj mi odwagę w godzinie próby.
 - Owijacz Żurawia parzył stop? rozkosznym gorącem, ścisnął kostkę niczym imadło i teraz już Jedwab bez trudu zszedł po schodach do kuchni, gdzie pod pompą napełnił wodą miednicę. Oreb z dziobem wsuniętym pod zdrowe skrzydło spał na szczycie kredensu.
 - Obudź się, ptaku! - zawołał Jedwab. - Chcesz jeść? Świeżej wody? Czas wstawać. Oreb, nie wyciągając dzioba spod skrzydła, zaprotestował głośnym krakaniem.
 - W skrzyni pozostało jeszcze trochę wikliny pochodzącej z połamanej klatki, a w palenisku tlił się żar. Jedwab położył na nim trochę gałązek, dmuchnął i na widok rosnących płomieni zatarł radośnie ręce. Nie musiał używać do podpałki drogiego papieru!
 - Już rano! - zwrócił się do ptaka. - Rozjaśnienie, więc i ty się obudź.
 - Oreb nic nie odpowiedział. Jedwab doszedł do wniosku, że stworzenie po prostu go lekceważy.
 - Mam złamaną nogę w kostce - oświadczył pogodnym tonem. - I zeszywniałe ramię... Czy już mówiłem ci, że mistrz Miecznik sądził, iż jestem mańkutem? Mam pokaleczony brzuch i wielki czarny siniak na torsie w miejscu, gdzie Piżmo ugodził mnie rękojeścią sztyletu. - Na płonących, tryskających iskrami gałązkach ostrożnie położył trzy grube polana. - Ale nie dbam o te dolegliwości. Mamy dziś molpdag, cudowny molpdag, a zatem ja również czuję się cudownie. Jeśli chcesz zaskarbić sobie moją sympatię i względy, Orebie, musisz czuć dokładnie to samo co ja.
 - Zamknął drzwiczki pieca i postawił na płycie wodę na golenid - Rybie głowy?
 - Żadnych rybich głów. Nie miałem czasu szukać rybich głów, ale została bardzo sympatyczna gruszcza.
 - Lubisz gruszki?
 - Lubi gruszki.
 - Ja też; zatem się nią podzielimy, i to podzielimy równo. - Wyłowił ze zlewu nóż,

którym ostatni raz kroił pomidory, wytarł ostrze (na widok lekkiej rdzy na klindze poczuł wyrzuty sumienia), przeciął owoc na pół, ugryzł kawałek swej części, spuścił wodę ze zlewu, napompował nowej i wymył w niej twarz, szyję i włosy. - Orebie, a może i ty przyłączysz się do naszych porannych modłów? Nie musisz, ale myślę, że wyszłoby ci to tylko na dobre. - Wyobraził sobie reakcję maytere Róży i wybuchnął śmiechem. - A zapewne i ja wyciągnąłbym z tego korzyść.

- Ptak spać.
- Ale najpierw zjedz gruszkę. Jeśli po moim powrocie jeszcze tu będzie, sam się z nią rozprawię.
- Jeść teraz! - zakrakał Oreb, niezdarnie zeskakując z kredensu na blat stołu.
- Bardzo rozsądnie - pochwalił Jedwab i ponownie wbił zęby w swoją połówkę.

Najpierw pomyślał o majakach sennych, jakie nawiedziły go w nocy - pamiętał, że sen był bardzo szczególny - a następnie o żółtawym, chirurgicznym katgucie, którym pozszywano skórę na czaszce Pleśni.

Czy widział to na własne oczy, czy też tylko o tym śnił? Jeszcze później pomyślał o Żurawiu, który był wszak lekarzem i prawie na pewno implantował rogate koty w łono szalonej dziewczyny.

Po powrocie do sypialni, ostrząc na skórzanym pasie brzytwę, a następnie goląc się, rozważał pomysł Acalyphy, aby pieniądze na wykup manteionu wydrzeć od Żurawia. W normalnych okolicznościach nie zawracałby sobie głowy tak wariackim planem, lecz przecież Acalypha nie była Acalypką - a przynajmniej nie tylko Acalypką. Jedwab nie miał zamiaru okłamywać samego siebie, przyznawał jej rację z czystej grzeczności. Błagał Kypris Nadobną, by wróciła, a Je ona zrobiła jeszcze lepiej; w ogóle nie odeszła... a raczej odeszła ze świętego okna, by wcielić się w Acalypkę.

Niewątpliwie wyświadczyła tym Acalyphie niebywały honor i Jedwab przez chwilę nawet zazdrościł młodej kobiecie.

Ale przecież jemu z kolei objawił się Zewnętrzny, a to był zaszczyt jeszcze większy. Po czymś takim nie powinien niczego nikomu zazdrościć. Kypris patronowała kurwom. Czy Acaly - pha była dobrą, rzetelną kurwą? I czy właśnie za to spotkała ją tak wielka nagroda? Oświadczyła - a raczej oświadczyła to bogini; najpewniej one obie - że nie zamierza wracać do domu Orchidei.

Umył i wytarł brzytwę, po czym dokładnie przejrzał się w lustrze.

Czyżby oznaczało to, że Kypris kocha takie kobiety, nie kochając jednocześnie tego, co robią? Była to myśl nader inspirująca i zapewne prawdziwa. Jedwab nawet w przybliżeniu nie wiedział o Kypris tyle, ile powinien wiedzieć; podobnie żałośnie mało wiedział o Zewnętrznym, mimo iż ten udzielił mu tyle wiedzy, a Kypris poprzedniego wieczoru również opowiedziała niemało -zwłaszcza o stosunkach łączących ją z Pahem.

Jedwab wytarł ręcznikiem twarz i sięgnął do szafy po czystą koszulę. Wówczas przypomniał sobie, że paterę Remora polecił mu kupić nowy komplet odzieży. Dysponował kartami, które pozostały po pogrzebie Orlicy, więc sprawunek taki nie nastęrczy większych problemów.

Hiacynt odebrała mu z rąk koszulę i pomogła wsunąć w rękaw kontuzjowane ramię...

Nieoczekiwanie skonstatował, że zamiast wyjść z plebani! i dołączyć do modłów sybilli w manteionie, znów siedzi na łóżku, twarz kryje w dłoniach i myśli o ślicznej Hiacynt. Jaka była piękna, jaka serdeczna! Jaka cudowna, gdy wjeżdżali do grobu. Mógł umrzeć, tak jak wszyscy ludzie, tak jak ona, ale przynajmniej nie umarłby samotnie. Z niejakim zdziwieniem pojął, że sen nie był zwykłym wytworem jego zmęczonego umysłu, lecz został mu zesłany przez boga, zapewne przez Hieraxa, który osobiście się w tym śnie pojawił (już samo to stanowiło czynnik rozstrzygający), trzymając w rękach białą duszę Orlicy.

Przejęty radością zerwał się z łóżka i wyjął z szafy świeżą koszulę. Krew nazwał swego ptaka Hierax; zamierzone bluźnierstwo. On, Jedwab, stoczył z tym stworzeniem walkę, w wyniku której ptak poniósł śmierć. A więc Hierax darzył go względami: tak, od tamtej chwili Hierax okazywał mu łaskę. Zesłał nań sen pełen boskiej symboliki, a także umożliwił odprawienie bardzo korzystnej finansowo ceremonii pogrzebowej. Nikt nie mógł zarzucić Hieraxowi niewdzięczności!

Sutanna, którą Jedwab nosił poprzedniego dnia, była wymięta i zbrukana zaschniętą krwią, a przecież nie miał zapasowej. Zaczął więc starannie ją czyścić i trzepać. W powietrze wzbiły się drobiny kurzu i pyłu.

Mężczyźni i niewiasty powstali z prochu (to słowa Zewnętrznego wedle jednego z nasuwających największe wątpliwości ustępu z Pisma) i w proch się obrócą. Ale obracają się zbyt wcześnie. Taka właśnie posępna myśl nawiedziła Jedwabia, gdy po zakończeniu ceremonii w manteionie przykręcał śrubami wieko trumny, w której spoczywała Orlica.

Refleksje te przerwała dopiero Acalypha, pojawiając się w jego myślach jak...

jak... Nie przychodziło mu do głowy żadne porównanie. Próbował odtworzyć w pamięci jej obraz: Acalypha, niewiasta przewyższająca wzrostem wielu mężczyzn, z kędzierzawymi, ognistej barwy włosami, o grubych kościach, płaskich policzkach i wielkich piersiach, przybrana w prostą niebieską suknie.

Nie. Zgodnie z obyczajem miała na sobie czarny strój. Czy niebieską suknię nosiła tego dnia, gdy spotkał ją po raz pierwszy w domu Orchidei? Też nie, wtedy ubrana była na zielono; prawie na pewno.

Zabawka Rogal Była niebieska. Nigdy jej nie widział. (Zaczął jeszcze energiczniej szczotkować sutannę).

Ale widywał inne, podobne zabawki. Lalki z ruchomymi kończynami, do których prowadziły cztery sznurki zamocowane do drewnianego krzyża. Figurka Roga nosiła niebieski płaszcz, a Acalypha początkowo poruszała się właśnie jak taka zabawka; zupełnie jakby bogini nie zdobyła jeszcze wprawy w operowaniu sznurkami. A wysławiała się nie lepiej niż Oreb.

Czyżby nabywanie nowych umiejętności zajmowało trochę czasu nawet bogom?

Najwyraźniej szybko przyswajają nową wiedzę. Do czasu pojawienia się paterę Remory Acalypha nauczyła się rzucać nożem piżma lepiej od samego Piżma; Piżma, który dał mu zaledwie tydzień na wykup manteionu. A choć wszystkie zabudowania świątynne nie nadawały się już praktycznie do remontu, Zewnętrzny kazał mu je ocalić, więc musi je ocalić.

O właśnie. Co zamierzał robić tego dnia? Przecież nie mógł tracić czasu po próżnicy. Musi w jakiś sposób skłonić Krew, by wyznaczył mu dłuższy termin, lub po prostu zdobyć olbrzymią sumę konieczną do wykupu manteionu.

Klepnął się po kieszeni spodni. Wciąż miał w niej igłowiec Hiacynta.

Przyklęknął, wyciągnął spod łóżka kasę, otworzył ją i wyjął azoth. Wsunął broń za koszulę, ukrył klucz, a kasę ponownie schował pod łóżko.

- Sphigx Zbrojna - mruknął. - Pamiętaj o swym słudze, który przeżyje lub umrze od ciosu miecza.
- Był to fragment modlitwy gwardzistów, lecz Jedwab doszedł do wniosku, że w zaistniałej sytuacji słowa te doskonale pasują również do niego.
- Gdy z bocznych drzwi manteionu wyszli po kolei maytere Marmur, Jedwab, maytre Róża, a na końcu maleńka Mięta, w ogrodzie czekała już Acalypha.
- Dobry Jedwab! - wrzasnął siedzący na ramieniu młodej kobiety Oreb i przeskoczył na bark swego pana.
- Maytere Róża stała odwrócona do nich plecami i Jedwab nie widział wyrazu jej twarzy; nie był zresztą pewien, czy surowa sybilla w ogóle dostrzegła ptaka.
- Acalypho, chciałam i ciebie zaprosić do udziału w naszych modłach, lecz spałaś słodko i

mocno - odezwała się maytere Marmur.

- Dziękuję, że mnie nie zbudziłaś, maytere - odrzekła z serdecznym uśmiechem Acalypha. - Byłam bardzo zmęczona. Później wprawdzie zajrzałam do manteionu, ale żadne z was nie zwróciło na mnie uwagi.
 - Naprawdę? - Maytere Marmur oddała jej uśmiech i przechyliła lekko głowę. - Powinnaś była do nas dołączyć. Sprawiałabyś nam tym wielką radość.
 - Miałam ze sobą Oreba, a on się bał. Doznał anamnezy. Jedwab skinął głową do własnych myśli. Obecnie w twarzy Acalyphy nie było śladu Kypriś; jaskrawe mimo wczesnej pory słoneczne światło bezlitośnie obnażało ten fakt. Ale Acaly - pha przecież nie mogła znać takiego terminu.
 - Maytere, mam nadzieję, że gość nie sprawił wam wielkiego kłopotu.
 - Najmniejszego. Ale teraz musisz mi wybaczyć. Niebawem pojawią się dzieci. Idę otworzyć palestrę i przygotować się do lekcji.
 - Obawiam się, że trochę ją trwożę - odezwała się Acaly - pha, spoglądając na plecy oddalającej się sybilli. - Chciałyby mnie polubić, lecz lęka się, że sprowadzam cię na złą drogę.
 - Mnie również trwożysz, Acalypho - wyznał Jedwab i w tej samej chwili spostrzegł maytere Miętę stojącą ze spuszczonej skromnie oczyma pod ścianą altany. - Czy masz do mnie jakąś sprawę, maytere? - zapytał cicho.
- Sybilla w milczeniu potrząsnęła głową.

- Może więc chcesz pożegnać się z naszym gościem. Ale prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy Acalypha nie zostanie jeszcze na dzisiejszą noc.
- I wtedy sybilla naprawdę go zaskoczyła. Wyszła z cienia i popatrzyła Acalyphie w twarz z osobliwą tęsknotą w oczach, której Jedwab żadną miarą nie był w stanie zrozumieć.
- Chciałam ci powiedzieć, że mnie nie trwożysz - wyznała. - Jesteś jedyną dorosłą osobą, przed którą nie czuję lęku. Coś mnie do ciebie przyciąga.
 - Też cię polubiłam, maytere - odparła cicho Acalypha. - Bardzo polubiłam.
- Mięta skinęła głową, wyrażając tym gestem (zdaniem Jedwa - bia) akceptację i zrozumienie.
- Jestem piętnaście lat od ciebie starsza. Zapewne więcej... W przyszłym roku skończę trzydzieści siedem lat. A jednak czuję, że... zapewne dlatego, że jesteś dużo wyższa...
 - Tak? - zachęciła ją łagodnie Acalypha.
 - Czuję, że jesteś moją starszą siostrą, choć nigdy nie miałam starszej siostry. Kocham cię.
- i Powiedziawszy to, maytere Mięta odwróciła się na pięcie tak energicznie, że zafurkotał jej wykonany z bombazyny habit, po czym spieszenie ruszyła w stronę konwentu. W połowie drogi

jednak nieoczekiwanie skręciła na suchy, zbrązowiały trawnik i skierowała się do znajdującej się po drugiej stronie boiska palestry.

- Żegnaj! - zawołał Oreb. - Żegnaj, dziewczeczko!
- Nigdy bym się tego po niej nie spodziewał - oświadczył Jedwab. - Wiele jest jednak na whorlu rzeczy, o których mi się nie śniło.
 - To źle - westchnęła Acalypha. - Muszę ci powiedzieć. Wyjaśnić. Jedwabiu.
- Paterę. Powinniśmy porozmawiać o innej sprawie. O wydobyciu pieniędzy od Żurawia. Ale ja... Mamy problem. Z nieszczęsną maytere Miętą.
- Mam nadzieję, że nie jest to nic poważnego - odrzekł Jedwab. - Lubię ją i czuję się za nią odpowiedzialny.
 - Podobnie jak ja. Ale problem istnieje. Może wrócimy do twego domku? Porozmawiamy?
 - Jedwab potrząsnął głową.
- Niewiastom nie wolno wchodzić na plebanię, choć istnieją pewne wyjątki. Na przykład gdy augur choruje, kobieta może się nim opiekować. Kiedy jednak chcę porozmawiać z maytere Marmur, robię to w altanie lub w jej klasie w palestrze.
- Zgoda. - Acalypha schyliła się i przeszła pod pędami winorośli. - A co z maytere Miętą? I ze starą maytere Różą? Gdzie rozmawiasz z nimi?
- Och, również tam. - Z lekkim poczuciem winy Jedwab usiadł na starej drewnianej ławce naprzeciwko Acalyphy; zajął miejsce, na którym zazwyczaj siadywała maytere Marmur. - Ale rzadko odbywam z nimi dłuższe rozmowy. Maytere Mięta jest zbyt wstydliwa, by odpowiadać, a maytere Róża nieustannie mnie poucza. - Potrząsnął głową. - Zdaję sobie sprawę z tego, że powinienem słuchać jej z większą uwagą, lecz po kilku minutach rozmowy myślę już tylko o tym, by uciec jak najdalej... Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że maytere Róża jest złym człowiekiem. Przeciwnie, wszystkie sy - bille są kochane.
- A już z całą pewnością maytere Mięta. - Acalypha oblizwała wargi. - Dlatego mam takie wyrzuty sumienia. Wielkie. Jedwabiu. Było to... Cóż, nie ja. Nie Acalypha.
 - Naturalnie! - Jedwab skwapliwie pokiwał głową. - Ona wyczuwa w tobie boginie. Powinienem był to zrozumieć od razu. Nie chcesz, by powiedziała...
 - Nie, nie. Ona wie, ale nie powie nikomu. Nie wie tego świadomie. Jedwab chrząknął.
- Jeśli naprawdę czujesz, że może istnieć pociąg fizyczny... wiem, że takie rzeczy zdarzają się zarówno między kobietami, jak i mężczyznami... to z pewnością będzie lepiej, jeśli najbliższą noc spędzisz gdzieś indziej.
 - Acalypha zbyła uwagę Jedwabia machnięciem ręki.

- To nieistotne. Mylisz się. Ona nie pragnie... Ona nie pragnie niczego. Niczego ode mnie. Ona chce pomóc. Coś mi dać. Rozumiem ją. Nie jest to... niegodne. Czy tak byś to określił? Niegodne?
 - Chyba tak.
 - Ale wszystko to... Nieistotne. Zupełnie nieistotne. Powiem ci. Więcej. I nie będę cię zwodzić. - Oczy jej rozbłysły. - Nie będę kłamać.
 - Ja też nie - zapewnił zarliwie Jedwab.
 - Tak. Wiem, Jedwabi. Jedwabi. Opętanie, ty... Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem. Sądzisz, że bóg... Ja? Mam na myśli Kypris. Lub inną boginię. Te przerażającą kobietę z węzami. Uważasz, że wchodzimy w ludzi. Wchodzimy niczym gorączka.
 - Z całą pewnością tak bym tego nie określił. Obserwowała go spod ciężkich powiek łakomym wzrokiem.
 - Oczy jej zogromniały, ciemne źrenice płonęły osobliwym, wewnętrznym blaskiem.
- Ale tak myślisz. Wiem. My... To wchodzi oczyma. My, bogowie... stanowimy wzorce. Zmieniamy się.
- Uczymy się i rośniemy. Ale wciąż jesteśmy wzorcami. A ja nie jestem Kypris. Już ci to powiedziałam...
 - Sądziłeś, że kłamię.
 - Biedna dziewczeczka! - zaświstał Oreb.
- A Jedwab, który odwrócił wzrok od ciemnych, pożądlivych, mających przerażającą władzę oczu, usłyszał łkanie. Podając dziewczynie chusteczkę, przypomniał sobie, że w podobnej sytuacji i w tym samym miejscu, wieczorem, zanim udał się do willi Krwi, matere Marmur ofiarowała mu swoją.
- Nie kłamałam. Nie kłamię. Rzadko to robię. Tylko jeśli muszę. Teraz nie kłamię. A to, co nazywasz opętaniem... Ky - pris kopiuje część siebie, niewielką część. - Acalypha cicho wytarła nos. - Nie wzięłam ani odrobiny, paterę. Ani razu od czasu gdy Orlica... Tak to działa, paterę. Mam na myśli to, kiedy człowiek nie bierze. Myślisz tylko o rdzy, a wszystko inne jest smutne i bezbarwne.
 - Stan taki szybko mija - oświadczył Jedwab, mając nadzieję, że się nie myli.
 - Tydzień. Może dwa. Raz już odstawiłam rdzę. Tylko... Mniejsza o to. Ale nie będę już brała. Nie teraz.
- Gdybyś zaoferował mi cały kubek rdzy, mówiąc, że mogę wziąć do woli, nie tknęłabym jej.
 - Wspaniale! - odparł szczerze Jedwab.
 - A wszystko to z powodu wzorca. Malutki kawałek Kypris, który wczoraj w manteionie bogini wsunęła we mnie poprzez moje oczy. Nie rozumiesz tego, prawda? Nie możesz rozumieć.

- Nie rozumiem tych wzorców - rzekł Jedwab. - Resztę chyba rozumiem.
- To tak jak z twoim sercem. Wzorzec jego uderzeń. Tak, tak, nie, nie, nie, tak, tak. To coś każdy ma w oczach. Nawet Marmur, mechaniczna kobieta. Sama wszystkiego nie rozumiem. Ktoś bardzo przebiegły nauczył go, jak to robić. Niewielka zmiana programów. Ludzie stworzyli maszyny.
- Po prostu żeby je stworzyć. Po to by ludzie tacy jak maytere Marmur pracowali dla nich, a nie dla społeczeństwa czy państwa. Kradli dla nich. On... nazwałbyś go Pahem. Poleciał rozpocząć badania w tej dziedzinie. Nauczył tego ludzi. A oni odkryli, że można coś podobnego robić z innymi ludźmi. Było to trudniejsze.
 - Częstotliwość okazała się dużo wyższa. Ale umiecie to robić, a więc umiemy i my.
 - Tak to się wszystko zaczęło, Jedwabiu. Przez terminale, przez ich oczy.
 - Teraz to już zupełnie się pogubiłem - przyznał Jedwab.
 - Polega to na błyskach światła. Światła, którego nikt nie może zobaczyć.

Pulsacje, wyładowania, sporządzanie programu, bóg kierujący Centralnym Procesorem. Kypris jest bogiem, tym programem. Ale maytere Mięta zamknęła oczy. I ja nie weszłam, proces się nie zakończył.

Jedwab potrząsnął głową.

- Wiem, że to bardzo ważne, więc próbuję zrozumieć, lecz prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.
- A zatem skłamię. - Acalypha przysunęła się do niego tak blisko, że ich kolana się zetknęły. - Skłamię, byś mógł zrozumieć, paterę. Posłuchaj mnie uważnie. Ja... Kypris chciałam opętać maytere Miętę; mniejsza o powód.
 - Teraz jesteś Acalypha.
 - Zawsze jestem Acalypha. Nie, to nieprawda. Jestem Kypris. A więc dobrze. Jestem teraz Kypris, która mówi jak Acalypha. Powiedz tak.
 - Tak, wielka bogini - powiedział posłusznie Jedwab.
- Doskonale. Chciałam zawładnąć maytere Miętą, przenikając ją swą boską osobą; poprzez oczy, ze świętego okna. Rozumiesz?
 - Rozumiem.
 - Wiedziałam, że zrozumiesz. Gdyby było to przykre, każdy by się obawiał. Ale to jest przyjemne i praktycznie nikt nie zamyka oczu. Oni tego pragną. Chcą więcej. Nie mrugają nawet, spijając wszystko wzrokiem.
 - To całkiem naturalne, że istoty ludzkie pożądamy niewielkiego nawet udziału w waszym boskim życiu, wielka bogini. To najgłębiej zakorzeniony w nas instynkt.
 - A ona mi się oparła. Ma w sobie zaledwie cząsteczkę mnie... bogini. Nie próbuję nawet

zgadywać, do czego może ją to doprowadzić.

Jedwab skulił się na ławce i zaczął pocierać palcami policzek.

- Dobra dziewczeczka! - mruknął Oreb, który opuścił ramię Jedwabia i buszował w winorośli.
- Masz rację, Orebie. To jest właśnie jeden z powodów mej troski.
- Teraz dobrze!

- Nigdy bym nie przypuścił, że bóg może dzielić się na części - przerwał po długiej chwili ciężkie milczenie Jedwab.
 - Ja też - odrzekła Acalypha.
 - Przecież powiedziałaś...
 - Powiedziałam, że tak się stało. - Położyła dłoń na jego kolanie. - Nie sądziłam, by to mogło się wydarzyć.

- Ale stało się, i może ją to odmienić. Myślę, że już odmieniło. Jestem Acalypha, lecz jednocześnie odnoszę wrażenie, że ktoś jeszcze ze mną jest, zupełnie jakbym myślała o sprawach, o jakich mi się do wczoraj nie śniło. Lecz ona nie jest sobą. Stanowi część Ky - pris, tak jak ty stanowiłeś część snu.

- To okropne, Acalypho. Czy można ten proces odwrócić? Tak gwałtownie potrząsnęła głową, że wzburzyła ognistą fryzurę.
- Kypris mogłaby tego dokonać, my nie. Mięta musiałaby siedzieć przed terminalem, przez świętym oknem czy szkłem, kiedy pojawiłaby się Kypris. Ale nawet wtedy coś by pozostało.

Zawsze zostaje. Jakaś cząstka maytere Mięty... część jej duszy również przeszłaby w Kypris.

- Ależ ty jesteś Kypris! - wykrzyknął Jedwab. - Wiem o tym, cały czas walczę z chęcią, by paść przed tobą na kolana.
- Okłamujesz się, paterę. Gdybym naprawdę była boginią, nie zdołałbyś się mi oprzeć. Oparłbyś się? Tak naprawdę jestem Acalypha i kimś jeszcze. Czy nie słyszałeś, że o pijakach mówią, iż przemawia przez nich brandy? Albo piwo lub jakiś inny trunek?
 - Tak się powszechnie mówi. Ale nie sądzę, by ktoś brał to dosłownie.
 - Owszem, ale to dobra analogia. Bardzo bliska. Tylko że bogini nie umrze w niej tak, jak w człowieku kończy się działanie brandy. Maytere Mięta pozostanie już taka do końca życia, chyba że Kypris sama się z niej wycofa. Skopiuje część, która w nią weszła, wraz ze wszelkimi zmianami, po czym wytrze wszystko, co w niej było.

- A zatem pozostaje nam tylko uważnie ją obserwować i... aaa... - Jedwab poczuł przyływ nagłego współczucia dla paterę Remory - starać się tolerować nieoczekiwane.
 - Obawiam się, że tak.

- Porozmawiam z maytere Marmur. Nie zdradzę, co mi powiedziałaś, ale ją ostrzeżę. Maytere

Róży lepiej nic nie wspominać. To pogorszyłoby tylko sprawę. Maytere Marmur niepomrotnie się zdziwi, lecz przecież nie może przebywać jednocześnie w swojej klasie w palestrze i w klasie maytere Mięty. Dziękuję, Acalypho.

- Musiałam ci powiedzieć. - Potarła palcami nos i oczy. - Wróćmy teraz do kwestii pieniędzy. Rozmyślałam o nich, kiedy modliliście się w manteionie, gdyż i ja będę potrzebować gotówki. Muszę zacząć nowe życie. Sklep? Może... Co powiesz o podziale pół na pół? Jedwab potrząsnął odmownie głową.
- Aby odkupić od Krwi manteion, muszę zapłacić dwadzieścia sześć tysięcy; ta sprawa ma bezwzględne pierwszeństwo. Ty weźmiesz całą nadwyżkę. Powiedzmy, że zdobędziemy sto tysięcy... choć zdaję sobie sprawę, że to czysty absurd. Wtedy zatrzymałabyś sobie siedemdziesiąt cztery tysiące. Lecz jeśli dostaniemy tylko dwadzieścia sześć, cała kwota przypadnie Krwi. - Zamilkł i uważnie popatrzył na Acalyphę. - Drżysz? Przyniosę ci z koc plebanii.
- Za minutę lub dwie to minie, paterę. Panuję nad tym lepiej niż ona. Ale wracajmy do sprawy. Do twojej oferty... Czy tak się mówi? Do twojej wspaniałomyślnej oferty. Tak powinnam ją nazwać... Czy masz jakiś plan? Ja jestem niezła... w pewnych sprawach. Lecz planowanie nie stanowi mojej mocnej strony. Mówię szczerze, Jedwabiu. Ona też nigdy nie była w tym dobra. Czy mam rację?
- Chyba tak, ale przecież dobrze jej nie znam. Niemniej oczekiwałem, że to ty wymyślisz jakiś plan. Jako Acalypha znasz Żurawia lepiej niż ja i więcej wiesz o jego działalności szpiegowskiej.
- Próbowałam coś wymyślić. I w nocy, i dziś rano. Najprościej byłoby zagrozić, że doniesiemy władzom o jego działalności, a tu mamy dowód. - Wyjęła z kieszeni sukni wyrzeźbioną w twardym, ciemnym drewnie figurkę Sphigx. - Miałam przekazać to pewnej kobiecie, która na rynku prowadzi stragan.

Do niej właśnie wybierałam się, kiedy... no wiesz. Dlatego tak szybko się ubrałam. Nieoczekiwany rozwój wypadków jednak sprawił, że musiałam zostać w domu Orchidei. Później odprawiałeś egzorcyzmy. Kiedy więc w końcu dotarłam na targ, stragan był już zamknięty. Na rynku pozostały tylko osoby, które przez całą noc pilnują swego towaru. Moja przekupka poszła do domu.

Jedwab wziął do ręki świętą rzeźbę.

- Na takich wizerunkach Sphigx zwykle przedstawiana jest z mieczem - mruknął. - Poza nim trzyma w ręku coś kwadratowego, tabliczkę lub kartkę papieru. Symbolizować to ma instrukcje Paha. Ale ja nigdy jeszcze takich figurynek nie widziałem. - Oddał rzeźbę Acalyphie.
- Zobaczyłbyś, gdybyś odwiedził stragan tej kobiety. Zawsze ma trzy lub cztery na składzie. Większe od tej. Po dyskretnym wręczeniu jej mojej figurki kobieta miała zapytać: „Czy na pewno nie chcesz jej kupić?

Jest piękna i wyjątkowo tania". Ja z kolei miałam odmownie potrząsnąć głową i odejść, a ona by

położyła wręczoną przeze mnie figurkę obok innych, jakbym przypadkowo tylko zatrzymała się przy straganie i oglądała towar.

- Rozumiem. Warto baczniej przyjrzeć się tej kobiecie. - Niepewny do jakiego stopnia może polegać na patronacie bogini, chwilę wahał się, po czym zdecydowanie rzucił kości. - Szkoda, że nie jesteś naprawdę Kypris. Gdybyś nią była, zapewne wyjaśniłabyś mi znaczenie...
- Człowiek idzie! - oznajmił Oreb ze szczytu altany i w chwilę później od strony plebanii dobiegło głośne pukanie do drzwi.
 - Jedwab podniósł się z ławki i wyszedł zza ściany winorośli.
 - Alko, chodź do nas! Dobrze, że przyszedłeś. Jest ze mną ktoś, kogo zapewne rad ujrzysz.
 - Alka! - zawołała Acalypha. - To ty? Potrzebujemy twojej pomocy.
 - Acalypha?Przez chwilę Alka gapił się na nią jak ciele na malowane wrota.
 - Chodź! Przysiądź się do nas.
- Jedwab rozchylił gąszcz winorośli, robiąc Alce przejście. Gdy wrócił na swoją ławkę, gość siedział już obok Acalyphy.
 - Widzę, że się znacie - powiedział Jedwab.
- W policzkach Acalyphy pojawiły się zalotne dołeczki. Młoda kobieta wyglądała teraz jak urocza dziewczynka.
- Czy pamiętasz naszą przedwczorajszą rozmowę, paterę? Powiedziałam ci, że jest ktoś. Ktoś młodszy od Żurawia. Powiedziałam też, że człowiek ten mogły mi pomóc... pomóc nam załatwić sprawę z Żurawiem.
 - Alka uśmiechnął się i objął ją ramieniem.
- Acalypho, czy wiesz, że nigdy jeszcze nie widziałem cię za dnia? Jesteś dużo ładniejsza, niż sądziłem.
 - Ja zawsze wiedziałam, jak... przystojny jesteś, Alko. Pocałowała go szybko w policzek.
 - Acalypha zamierza pomóc mi zdobyć pieniądze, by uratować manteion - wyjaśnił Jedwab. - O tym właśnie rozmawialiśmy, a teraz chcemy się ciebie poradzić. - Odwrócił się do młodej kobiety. - Alka raz już mi pomógł... udzielił cennej rady. Chyba nie ma nic przeciwko temu, że ci o tym mówię.
 - Alka pokiwał głową.
- A teraz oboje, ty i ja, jeszcze raz potrzebujemy jego pomocy. Jestem pewien, że wyświadczy nam taką samą grzeczność, jaką wyświadczył mnie.
 - Alka zawsze był... dla mnie bardzo dobry. Zawsze u Orchidei pytał o mnie.

- Od... wiosny? - Ujęła dłoń Alki. - Nie wracam już do Orchidei. Chcę zamieszkać gdzieś indziej i skończyć...
- no wiesz. Z proszeniem mężczyzn o pieniądze. I z rdzą. Było to... miłe. Czasami, zwłaszcza kiedy się bałam. A rdza wyzwalała w dziewczętach zuchwałość. Bez rdzy wpadają w depresję. Boją się. A więc zażywają jej więcej i więcej, głupieją i w końcu zachodzą w ciążę. Albo zostają zabite. Ja byłam zbyt zuchwałą. Nie jestem w ciąży, ale nie chcę rdzy. Paterę ci to wytłumaczy.
 - - Miło mi to - słyszeć - odrzekł złodziej. - Podobają mi się twoje słowa. Podejrzewam, że zesłicie się po pogrzebie. Czy mam rację?
- Zgadza się. - Acalypha znów go pocałowała. - Zaczęłam myśleć. O śmierci i takich tam rzeczach. Orlica była młoda, zdrowa i tak dalej.
 - Czy mówię już lepiej, paterę Jedwabiu? Powiedz, ale nie próbuj mi schlebiać.
- Dobrze mówi! - oświadczył Oreb, wysuwając z na wpół zeschniętych liści winorośli barwną głowę.
 - Bardzo dobrze, Acalypho - odparł Jedwab, przybierając obojętny wyraz twarzy.
 - Paterę uczy mnie, jak wyrażać się bardziej... Wiesz. Jak na Palatynie.

Pomyślałam sobie, że mogłam znaleźć się na miejscu Orlicy. Czekałam zatem. Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy do późna, prawda, Jedwabiu? A później nocowałam u sybilli. -Zachichotała. - Bez kolacji i na twardym łożu; zupełnie inaczej niż u Orchidei. Ale rano dostałam śniadanie. Alko, a czy ty już coś dzisiaj jadłeś?

Złodziej roześmiał się i pokręcił głową.

- Dzisiejszej nocy w ogóle się nie kładłem, szczebiotko. Czy słyszałaś, co powiedziała wczoraj bogini? Cóż, zobacz sama.
 - Lekko podniósł się z ławki i z kieszeni wyjął coś lśniącego białym ogniem.
- Proszę, paterę. To dla ciebie. Nie jest może warta tych cholernych dwudziestu sześciu tysięcy, ale przy dobrym targu dostaniesz za nią trójkę lub czwórkę. Opowiem ci o pewnych moich znajomkach.
- Jedwab nie wykonał najmniejszego ruchu. Alka położył mu na kolanach diamentową, szeroką na trzy palce kobiecą bransoletę na kostkę.
 - - Nie mogę... - zaczął Jedwab i głośno przełknął ślinę. - Nie, to nie tak. Mogę. Wezmę, bo muszę. Ale...
 - Złodziej klepnął go po udzie.
- Bierz! Byłeś jedyną osobą, która zrozumiała Kypris, prawda? Na pewno, i powiedziałaś nam o tym. Nie musiałem zatem tracić czasu i wypytywać o wszystko innych. Ona powiedziała, ja

uwierzyłem i teraz chcę jej pokazać, że nie jestem byle kim. Oni naprawdę istnieją i w każdej chwili są na twoje usługi. Złóż jej zatem kilka hojnych ofiar i nie zapomnij powiedzieć, w którym imieniu je składasz.

- Jedwab skinął głową.
 - Zrobię tak, choć jestem pewien, że ona już teraz to wie.
 - Powiedz jej, że Alka to honorny gość. Ty w niego cegłą, on w ciebie kamieniem.
 - Ujął dłoń Acalyphy i wsunął jej na palec pierścionek. - Nie wiedziałem, że cię tu spotkam, szcze - biotko, ale to cacko od początku przeznaczyłem dla ciebie. Widzisz te wielką czerwoną soczewę? Tak nazywamy prawdziwe rubiny. Postawię piątaka, że takiego jeszcze nie widziałaś. Sprzedasz go, czy zostawisz sobie?
 - Ogierku, jakże mogłabym się go pozbyć! - Zaczęła namiętnie całować Alkę w usta, aż Jedwab musiał odwrócić wzrok. Jej pieszczoty były tak gwałtowne, że oboje o mało nie spadli z wąskiej, drewnianej ławki. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, dodała: - Ten pierścień jest od ciebie, więc zachowam go aż do śmierci.
- Alka wyszczerzył radośnie zęby, spoważniał, wytarł usta i uśmiechnął się jeszcze szerzej.
- Ale bądź ostrożna. Jeśli zmienisz zdanie, to nie sprzedawaj go beze mnie. - Odwrócił się do Jedwabia. - Paterę, czy nie wiesz, co spowodowało w nocy taki wstrząs? Na Palatynie stopiło się co najmniej dwanaście domów. Nie wiem, co jeszcze się wydarzyło. Dziś rano wszędzie tam kręcili się hycle. - Zniżył głos. - Mam do ciebie jedno pytanie, paterę: co ona dokładnie powiedziała? O powrocie do nas.
 - Tylko tyle że wróci - odparł Jedwab.
 - Alka pochylił się w jego stronę, wysunął szczękę, oczy przymrużył.
 - Ale co dokładnie?
- Jedwab dotknął palcami policzka i próbował przypomnieć sobie słowa, które bogini wypowiedziała przez święte okno.
- Masz rację. Muszę złożyć Kapitulę raport. Słowo w słowo. Co więcej, powinienem sporządzić go natychmiast. Błagałem ją, by wróciła. Nie potrafię przytoczyć dokładnie mych słów, ale one i tak nie są istotne. Ważne jest to, że zapewniła mnie: „Wrócę. Wkrótce”.
 - Czy miała na myśli ten manteion? Twój manteion?
 - Nie mam całkowitej...
 - Wiesz, że tak - wtrąciła nieoczekiwanie Acalypha.Dokładnie to miała na myśli. Miała na myśli powrót do tego samego okna. Jedwab niechętnie skinął głową.
 - Użyła wprawdzie innych słów, lecz czuję, że o to właśnie jej chodziło.
 - Dokładnie... - Na rękę Acalyphy padł promień słońca. Pierścień zalśnił czerwonym ogniem. - Alko, najpierw musimy powiedzieć ci o Żurawiu. Czy znasz Żurawia? Jest osobistym lekarzem Krwi.

- Paterę coś mi o nim mówił - odrzekł Alka i popatrzył pytająco na Jedwabia.
- Wspomniałem tylko, że doktor Żuraw prawdopodobnie podarował azoth pewnej kobiecie o imieniu Hiacynt. Jak wiesz, taka broń kosztuje pięć tysięcy kart; nawet więcej. Dlatego uwierzyłem ci bez zastrzeżeń, kiedy oświadczyłaś, że można wyciągnąć od niego ogromną sumę pieniędzy. Skoro daje dziewczynie takie prezenty, z pewnością dysponuje znacznymi funduszami. - I kierowany jakimś wewnętrznym przymusem spytał: - Czy znasz tę kobietę?
- Ha! Robi to samo co ja, z tym że pracuje nie dla Orchidei, lecz bezpośrednio dla Krwi. Wyprowadziła się z żółtego domu w kilka tygodni po tym, jak ja w nim zamieszkałam.
- Jedwab niechętnie schował pałającą blaskiem bransoletę do kieszeni sutanny.
 - Powiedz mi wszystko, co o niej wiesz.
 - Niektóre szparki znają ją lepiej niż ja. Aleją lubiłam. Jest... nie wiem, jak to powiedzieć. Rzadko kiedy mówi, że ktoś jest dobry, a ktoś zły. Nie ocenia ludzi i każdemu pomoże, nawet tym, którzy nie byli dla niej mili. Jej ojciec pełnił funkcję kierownika biura w Juzgado. Czy naprawdę chcesz o tym słuchać, paterę?
 - Naturalnie.
 - Kiedy miała czternaście lat, jeden z komisarzy powiedział jej ojcu: „Potrzebuję pokojówki. Przyślij do mnie córkę, zamieszka w moim domu”. Jej rodzice mieli już osiem czy dziewięć szprotów. „Przy okazji trochę zarobi, a ty dostaniesz piękny awans”. Wtedy jeszcze ojciec Hiabył szeregowym urzędnikiem.
- Tak więc przyjął propozycje i wysłał córeczkę na Palatyn. Domyślasz się, co było dalej. Nie miała tam wielu obowiązków... żadnej ciężkiej pracy, jedynie ścieranie kurzu, podawanie posiłków i tak dalej. Zaczęła nieźle zarabiać. Tylko że bardzo szybko żona komisarza wpadła w dziką furie. Wprawdzie zadawała się wówczas z pewnym kapitanem, lecz pojawiły się kłopoty... I w ten sposób Hia trafiła do Orchidei. - Acalypha wytarła głośno nos w chusteczkę Jedwabia. - Wybacz, paterę, ale tak jest zawsze, gdy przez dzień lub dwa nic nie biorę. Zapewne do tardagu będą trzęsły mi się ręce i ciekło z nosa. Później wszystko powinno wrócić do normy.
- I nie zamierzasz już więcej zażywać rdzy? - upewnił się Jedwab zarówno w imieniu Alki, jak i swoim. - Choćby symptomy głodu były bardzo przykre?
- Jeśli mamy zrealizować nasz plan, to tak. Rdza sprawia, że człowiek staje się zbyt zuchwały. Chyba już o tym wspominałam, prawda? To cudowne uczucie wziąć w płuca lub do ust potężną dawkę...

Niektórzy robią to dla czystej przyjemności, lecz większość pragnie w ten sposób zagłuszyć strach.

Szybko jednak się przekonują, że najbardziej powinni bać się samej rdzy. Ona jest groźniejsza od Okonia, a nawet od Piżma. Ale kiedy człowiek zaczyna wreszcie to rozumieć, jest już za późno. Rdza przejmuje nad nim władzę. Tak było ze mną, tak samo stało się z Hia. Znałam ją dobrze, lecz gdy teraz o niej myślę, dochodzę do wniosku, że jednak wiem o niej niewiele.

Powiedziałam wszystko, co wiem. Znasz ją?

- Tak - wyznał Jedwab. - Poznałem w phaedag wieczorem.
- A zatem wiesz, jak jest piękna. Ja dla większości klientów jestem za duża.

Lubią wprowadzić postawne szparki, lecz nie wyższe od nich. A Hia jest akurat w sam raz. Gdybym nawet była niższa, i tak woleliby ją. Stała się bardzo popularna i dlatego Krew rozkazał jej, by pracowała bezpośrednio dla niego. Nie zamierzał dzielić się z Orchideą kimś, kto przynosi taki dochód.

- Czy Krew ma inne domy podobne do tego przy ulicy Lampy? - zapytał Jedwab kiwając głową do własnych myśli.
- - Pewnie. Niejeden. Ale dom Orchidei należy do najlepszych. - Acalypha zamilkła, posmutniała. - Hia, kiedy trafiła do Orchidei, była raczej płaska... Sądzę, że tym zajął się doktor Żuraw. Teraz Hiacynt ma już czym oddychać. Alka zachichotał.
 - Urodziła się w Yironie? - spytał Jedwab.
 - Tak mi mówiono. We wschodniej części miasta. U Orchidei przebywa inna dziewczyna pochodząca z tamtej dzielnicy.
 - Paterę sądzi, że może zostać informatorką - odezwał się Alka. - Twoją i jego.
 - Ale płacić jej chce z mojej działki - odparła z goryczą Aca - lypha. - Ha, czy mam inne wyjście?
 - Wcale nie to miałem na myśli - zachnął się Jedwab. - Jak powiedział Alka, sądzą, że Hiacynt może pomóc mi w walce z Krwią, lecz nie przyłoży ręki do naszego spisku przeciwko Żurawowi. A nam przecież o to chodzi. Powinienem ci, Alko, ^Awyjaśnić, że zdaniem Acalyphy doktor szpieguje w Yironie na rzecz innego miasta. Nie wiemy którego.
 - Czy tak, Acalypho?
- Nigdy się do tego otwarcie nie przyznał. Ale jest... jest szalenie ciekaw wszelkich plotek, zwłaszcza dotyczących gwardii. Zawsze chce wiedzieć, czy odwiedził nas któryś z pułkowników, a jeśli tak, to o czym mówił. Jestem przekonana, iż niewielkie statuetki Sphigx stanowią rodzaj przesyłanych przez niego wiadomości, może wręcz zawierają w sobie raporty szpiegowskie... -Widząc niezadowolenie na obliczu Alki, szybko dodała: - Sama nie wiem, ogierku. Zawsze odnosił się do mnie bardzo serdecznie, więc nie zdając sobie sprawy z tego, co naprawdę robię, od czasu do czasu mu pomagałam.
 - Olśniło mnie dopiero wczoraj.
- Chciałbym spotkać tego Żurawia. To musi być kawał choj - raka. Chcesz go skubnąć, paterę? Ty i moja szczebiotka?
 - Tak, jeśli skubnięcie oznacza to, co myślę.
 - Znaczy to, że zamierzacie zrobić przewal i zabrać mu karty. Chcecie wyssać z niego te

dwadzieścia sześć tysięcy?

- Acalypha skinęła głową, a Jedwab wyjaśnił: - Jeśli się uda, dużo więcej. Acalypha chce kupić sobie sklep.
 - A nie masz mojrzy, że to on wystawi was do wiatru?
- Czyli zamorduje nas lub zleci to komuś innemu? Jeśli jest szpiegiem, uczyni to bez skrępowań. Skoro trzyma łapę na takich pieniądzach, że stać go na robienie prezentów z azothów, bez trudu znajdzie płatnego zabójcę. Musimy postępować bardzo rozważnie.
- To jasne. Osobiście znam ze trzydziestu zakapiorów, którzy podejmą się tego za setkę; a kilku z nich to prawdziwi artyści w swym fachu. Jeśli Żuraw pracuje dla Krwi od dawna...
 - Od czterech lat - wtrącił Jedwab. - Tak twierdzi.
 - A zatem równie dobrze jak ja wie, do kogo się zwrócić. Co zaś do Hia... - Alka podrapał się po głowie. - Pamiętasz naszą wieczerzę? Gdy wspomniałeś o azothcie, bardzo mnie zdziwiło, że Żuraw podarował go Hia. Cóż, skoro tak bardzo nalegał, by szczebiotka relacjonowała mu swoje rozmowy z pułkownikami, to Hia musi być dla niego jeszcze cenniejsza. Dziewczyna mieszka w wiejskiej posiadłości Krwi, prawda?
 - Czy kiedykolwiek pojawia się w mieście?
- Chyba tak. W willi zajmuje obszerny apartament, a monitor w jej szkłe traktuje ją jak swoją panią. - Jedwab przypomniał sobie szafy pięknej Hiacynt, w których monitor radził mu się ukryć. -Ma też tam wiele strojów.
- Przyjeżdża do miasta bardzo często - wtrąciła Acalypha. - Nie wiem tylko kiedy, gdzie i po co. Jeśli nie towarzyszy jej Krew, któryś z jego ludzi nie spuszcza dziewczyny z oka. Alka wyprostował się, dłoń położył na rękojeści kordelasa.
 - Prosisz mnie o radę, paterę. Dam ci ją, ale nie wiem, czy ci się spodoba.
 - Niemniej chcę ją usłyszeć.
 - Hia zawróciła ci w głowie. Gdybyś jednak spróbował ją wypytywać, jest bardziej niż pewne, że natychmiast poleciałaby z językiem do Żurawia. Szczebiotka utrzymuje, iż nieświadomie przekazywała informacje szpiegowi. Wierzę jej. Lecz skoro Żuraw podarował Hia azoth, to dam głowę, że ona również jest mocno wplątana w jego działalność i dobrze o tym wie. Jeśli Żuraw skaperował szczebiotkę, by przekazywała mu wszelkie wiadomości o pułkownikach, a Hia również chodzi na jego pasku, dlaczego nie miałby wciągnąć w swoją grę jeszcze czterech lub pięciu innych osób? Zapewne z kręgu Krwi. Tak więc jeśli nawet szczebiotka odejdzie z żółtego domu, a twierdzi, że chce odejść, czyż Żuraw nie skaptuje na jej miejsce którejś z innych dziewcząt Orchidei?
- A zatem powinnam tam wrócić - odezwała się Acalypha. - Jeśli zacznę utyskiwać na panujące w Yironie porządki, może Żuraw zacznie dawać mi odpowiedzialniejsze zlecenia. Może odkryje, kim naprawdę jest ta kobieta z rynku.
- Wiele wskazuje na to, że z Żurawiem współpracuje pewna straganiarka - wyjaśnił Alce Jedwab. - Acalypha z polecenia doktora nosi jej figurki Sphigx. Acalypho, czy zawsze były to

wizerunki tej bogini?

- Wszystkie były dokładnie takie same jak ta, którą ci pokazałam.
 - A zatem należy sprawdzić, jakie są ich dalsze losy - zauważył rozsądnie Alka.
 - Dokąd ta baba udaje się po zamknięciu straganu? Oreb wskoczył na kolana paterę.
 - Dobry Jedwab! Rybie głowy?
 - Możliwe - odrzekł Jedwab, gdy ptak przeskoczył mu na ramię. - Bardzo prawdopodobne. Znów zwrócił się do Alki.
- Masz rację. Zbyt dużo myślałem o Hia. Ale nie podoba mi się pomysł powrotu Acalyphy do Orchidei.
 - Tak zatem z dwóch twoich rad wolę wybrać jedną i spróbować podejść śliczną Hiacynt. Kiedy znajdę na nią jakiegoś haka, powiadomimy ją, iż wiemy, że Żuraw jest agentem obcego miasta, oraz mamy przekonujące dowody na to, że ona z nim współdziała. Zaproponujemy jej ochronę, pod warunkiem że zacznie pracować również dla nas.
 - Czyżbyś sądził, że Żuraw nie jest rodowitym virończy - kiem? - zdziwiła się Acalypha. - Mówi jak rdzenny mieszkaniec naszego miasta.
 - Moje największe podejrzenia budzą ogromne kwoty pieniędzy, jakimi dysponuje.
 - Poza tym sam kiedyś wyznał mi coś, co dało mi wiele do myślenia. Ale nie znam się na szpiegach ani na szpiegowaniu. Ty również, jak sądzę. A ty, Alko? Złodziej wzruszył ramionami.
 - To i owo wiem. Ludzie mówią, że szpiegują przeważnie kupcy.
 - Pewnie władze każdego miasta przesłuchują powracających do domu kupców. Nie wątpię, że wielu z nich naprawdę zajmuje się szpiegostwem. Kto będzie lepszym agentem, jak nie kupiec hojnie zaopatrzony w pieniądze i doskonale obznajomiony ze środowiskiem, w którym przyjdzie mu działać? A z całą pewnością ktoś, kto zdolny jest zdradzić własne miasto, zdradzi i inne, zwłaszcza jeśli będzie mógł zbić na tym fortunę.
 - Co takiego powiedział ci Żuraw? - zapytała Acalypha. Jedwab pochylił się w jej stronę.
 - Jaki kolor mają moje oczy?
 - Niebieskie. Chciałabym i ja takie mieć.
 - Załóżmy, że klient domu Orchidei żąda towarzyszkę o niebieskich oczach. Czy Orchidea mogłaby spełnić jego żądanie?
 - Aronia... nie, już stamtąd odeszła. Ale Dzwoneczek wciąż urzęduje z żółtym domu. Też ma niebieskie oczy.
 - Jedwab wyprostował się na ławce.
 - Widzisz, są między nami ludzie o niebieskich oczach, choć nie ma ich wielu.

- Zbierz sto osób, a z całą pewnością przynajmniej jedna z nich będzie mieć błękitne tęczówki. Jestem wrażliwy na tym punkcie, gdyż często dokuczano mi z powodu barwy moich oczu. Żuraw też je zauważył. Choć znacznie przewyższa mnie wiekiem, to jednak stwierdził, że jestem dopiero trzecią osobą o takich oczach, jaką spotyka. A to sugeruje, że większość życia spędził w innym mieście, którego mieszkańcy mają ciemniejszą karnację i niebieskie oczy są tam wielką rzadkością.
 - Alka roześmiał się.
 - Mają w genach ogony. Tak powszechnie się twierdzi.
- - Wygaduje się wiele rzeczy, w większości nieprawdziwych. Niemniej wystarczy tylko popatrzeć na kupców na rynku, by zauważyć, że występują wśród nich zarówno podobieństwa, jak i wielkie różnice. - Jedwab umilkł i przez chwilę zbierał myśli. - Zboczyłem z tematu. Zmierzam do tego, Alko, że choć obie twoje rady są obiecujące, istnieje trzecie rozwiązanie, moim zdaniem jeszcze lepsze. Nie twoja wina, że na to nie wpadłeś, ponieważ nie znasz pewnej informacji, którą dostarczyła mi Acalypha.
- Acalypho, powiedziałaś, że u Orchidei pojawił się komisarz, pamiętasz? A Żurawia niebywale zainteresowała wiadomość, iż komisarz wyznał ci, że odwiedził Limne, by nad jeziorem odbyć naradę z dwoma radcami.
 - Acalypha skinęła głową.
 - To nasunęło mi pewną myśl. W Ayuntamiento jest pięciu radców. Gdzie mieszkają?
 - Na Palatynie, jak sądzę - odparła wzruszając ramionami.
 - Też tak zawsze sądziłem. Alko, ty bardziej niż ja czy Acalypha znasz mieszkańców Palatynu. Gdzie, na przykład, mieszka Leniwiec?
 - Chyba w Juzgado. Słyszałem, że oprócz cel są tam też mieszkania.
 - Radcy mają swoje biura w Juzgado. Ale czy nie posiadają również domów na Palatynie? Albo, tak jak Krew, willi na wsi?
 - Tego nikt nie wie, paterę. Gdyby było to publicznie wiadome, obywatele nieustannie by ich tam nachodzili, dręcząc swymi problemami lub rzucając kamieniami w okna. Ale dokładnie wiem, kto mieszka w każdym z tamtejszych domów. Z całą pewnością nie są to radcy. Jedynie komisarze mają tam przepyszne rezydencje.
 - Ale gdy komisarz miał spotkać się z radcami, wcale nie zapraszał ich do domu na Palatynie ani też nie wspinał się na pierwsze czy drugie piętro w Juzgado. Acalypha twierdzi, że udał się do Limny, nad jezioro.

Kiedy jeden człowiek chce porozmawiać z kilkoma, to raczej ich odwiedza, a nie wzywa do siebie, zwłaszcza gdy dotyczy to przełożonych. Jeśli Żuraw naprawdę jest szpiegiem, w pierwszym rządzie musiał dowiedzieć się, gdzie każdy z członków Ayuntamiento mieszka. A te - go można dowiedzieć się choćby od ich służby. Jedwab zamilkł.

- Mów dalej, paterę - ponagliła Acalypha.
- Pomyślałem sobie, że skoro przed kilkoma miesiącami opowiedziałaś Żurawiowi o komisarzu, to doktor z całą pewnością odbył już wyprawę nad jezioro. Tak zatem i ja udam się tam osobiście; sprawdzę, kogo tam spotkał i o czym rozmawiał. Jeśli bogowie mi sprzyjają, wizyta ta dostarczy nam dowodów.
- Pojadę z tobą - zaofiarowała się Acalypha. - A ty, Alko? Złodziej potrząsnął głową.
- Już wam mówiłem, że przez całą noc nie zmrużyłem oka. Mam więc inną propozycję. Najpierw trochę się prześpię, a później spotkam się z wami na stacji furgonów w Limnie. Powiedzmy o szesnastej.
- Alko, wcale nie musisz tam jechać.
- Ale chce. Pomogę wam, a przy okazji załatwię swoje interesy. Poza tym kupie sobie zapas ryb i do miasta wrócimy razem.
- Acalypha szturchnęła go w bok.
- Ogierku, zawsze wiedziałam, że jesteś przystojnym mężczyzną, lecz nie przypuszczałam, że aż tak słodkim.
 - Alka roześmiał się.
- To moje miasto, szczebiotko. Nie jest może skarbem, ale tu się urodziłem i tu mieszkam. Mam też kilku przyjaciół w gwardii. Kiedy już oskubiecie tego Żurawia, co macie zamiar z nim zrobić?
 - Złożymy oficjalne doniesienie - mruknął Jedwab. Acalypha potrząsnęła głową.
- Wtedy on powie o pieniądzach, a oni zechcą je nam odebrać. Być może, będziemy musieli go zabić. Czyż wy, auguro - wie, w dawnych czasach nie posyłałście szprotów do Scylli?
- Wtedy Jedwabia oskarżą o morderstwo, szczebiotko - sprzeciwił się Alka. - Jeśli zamierzacie przekazać Żurawia hyclom, lepiej od razu dajcie sobie spokój. Wraz z nim zwiną i was. Z tobą, szczebiotko, pójdzie im łatwo, gdyż byłaś jego współniczką. Co zaś tyczy się paterę, Żuraw kurował mu kopyto i osobiście zawiózł do Orchidei, a zatem i przeciw niemu nie będzie trudno im coś wysmażyć.
- Zamilkł, spodziewając się sprzeciwów, lecz Jedwab i Acalypha nie odezwali się słowem, więc ciągnął dalej: - Nie, oddacie szpiega w ręce ludzi, których wam wskaże. Oni go przypilnują, a kiedy wy będziecie już mieli w garści pieniądze, bezpiecznie odtransportujemy doktora do jego rodzinnego miasta.
 - Jedwab skinął głową.
 - Rozumiem. Trudno o lepszą radę. Acalypho, chyba się ze mną zgodzisz? Kobieta potaknęła, oczy jej rozbliły.
 - Jeszcze nie skończyłem. Szczebiotko, jak nazywa się ten komisarz?
 - Wy rak.

- Kapuje. Wielki, wąsaty, o wadze i posturze wołu. Acalypha skinęła głową.
- W drodze powrotnej znad jeziora złożymy pewną wizytę. Jak twoje kopyto, paterę?
- Dziś już dużo lepiej - odparł Jedwab. - Ale co nam da wizyta u komisarza?
Oreb czujnie przekrzywił łeb i ponownie wskoczył między pędy winorośli.
- Mam nadzieję, że do bezpośredniego spotkania nie dojdzie - rzekł Alka. - Chce tylko się rozejrzeć, zwłaszcza jeśli ty i szczebiotka nic nad jeziorem nie znajdziecie. Może ci radcy, jak twierdzisz, paterę, rzeczywiście tam mieszkają. Możliwe też, iż po prostu chcieli mu coś tam pokazać; albo on im. O jeziorze krążą dziwne opowieści, więc jeśli planujecie polowanie na Żurawia, potrzebować będziecie przynęty. A więc odwiedzimy też dziś na Palatynie dom Wyraka.
 - Oreb znów zeskoczył na oparcie ławki.
 - Człowiek idzie!
- Jedwab rozchylił utkaną z winorośli ścianę altany. Do bocznych drzwi manteionu dobijał się młodzieniec w czarnej sutannie augura. Stukając spoglądał na coś, co trzymał w dłoni.
- Paterę Gulo!?! - zawołał Jedwab. Wyszedł z altany i utykając ruszył po suchej, zbrązowiałej trawie na spotkanie gościa. - Niech sprzyjają ci dziś wszyscy bogowie. Cieszę się z twego przybycia, paterę.
- Paterę, jakiś człowiek na ulicy... - Gulo wyciągnął niewielki przedmiot miotający żółte i zielone blaski. - On po prostu... my... on nie...
 - Za plecami Jedwabia pojawił się Alka.
 - To chyba topaz, lecz wygląda jak najszlachetniejszy szmaragd. Odebrał od Gula bransoletę i zaczął ją z podziwem oglądać.
 - To jest Acalypha, paterę. - Jedwab wskazał kobietę w altanie. - A ten dżentelmen nazywa się
- Alka.
- Oboje należą do wyróżniających się wiernych w naszej dzielnicy, są wyjątkowo pobożni i oddani bogom.
- Za kilka minut wyjdę z nimi, na czas nieobecności manteion zostawię pod twoją pieczęcią. W konwencie, o, tam, zastaniesz maytere Marmur, która stanowi wręcz studnie ważnych informacji i roztropnych porad.
 - Dał mi to jakiś człowiek - bąknął Gulo. - Przed chwilą, paterę. Zgoła wcisnął mi to w dłoń.
- Rozumiem. - Jedwab poważnie pokiwał głową i dyskretnie dotknął tkwiącego pod tuniką azotha. - Alko, oddaj klejnot paterę Gulo. Nasza kasa stoi pod moim łóżkiem, paterę. Klucz znajdziesz pod dzbankiem na nocnym stoliku. Zaczekaj. - Wyciągnął z kieszeni diamentową bransoletę i wręczył ją przybyszowi. - To też tam włóż i dobrze zamknij kasę. Klucz najlepiej

zatrzymaj przy sobie. Wróćę mniej więcej w porze, gdy zamykają targowisko. Może troszeczkę później.

- Zły człowiek! - oświadczył Oreb ze szczytu altany. - Zły człowiek!
- To przez twoją czarną sutannę, paterę - wyjaśnił Jedwab. - Ptak boi się, że złożysz go w ofierze. Chodź do mnie, Orebie! Jedziemy nad jezioro. Rybie głowy, niemądry ptaku.
- Trzepiąc zdrowym skrzydłem jak oszalały, kruk ciężko wylądował na okrytym rękawem czarnej sutanny ramieniu Jedwabia.
 - **JEZIORO LIMNA**
 - Czego chcesz, synu? Jedwab opadł na kolano tak, że jego twarz znalazła się na wysokości głowy małego chłopca.
 - Proszę o błogosławieństwo.
 - Uwaga malca najwyraźniej podzielona była między Jedwa - bia a Oreba.
 - A dlaczego prosisz? Chłopiec milczał.
 - Pewnie chcesz, by nieśmiertelni bogowie zesłali na ciebie łaskę. Czyżby nie uczyli cię tego w palestrze?
 - Dzieciak niechętnie skinął głową.
 - Jedwab wykonał nad jego głową znak dodawania i wymówił formułę najkrótszego błogosławieństwa, kończąc je słowami: - W imię ich najstarszego dziecka, Scylli, patronki naszego świętego miasta, oraz w imię Zewnętrznego, najstarszego z bogów.
 - Czy ty naprawdę jesteś paterę Jedwabiem?
- Choć żadna z sześciu osób czekających na bitfurgon do Limny nie patrzyła w ich stronę, Jedwab spostrzegł, że wszystkie zeszywniały. Odniósł wrażenie, iż na gwarnej ulicy Jeziora zapadła głucha cisza.
 - Tak, to on - potwierdziła Acalypha.
- Jeden z oczekujących mężczyzn podszedł do Jedwabia i przyklęknął przed nim z pochyloną głową. Zanim paterę zdążył wykonać znak dodawania, klęczało już dwóch kolejnych pasażerów. Uratowało go dopiero pojawienie się dwukonnego furgonu - długiego pojazdu pomalowanego w wesołe kolory i zwieńczonego brezentową plandeką.
- Jeden bit! - zagrzmiął woźnica, schodząc z kozła. - Żadnego kredytu, żadnego handlu wymiennego.
 - Wszyscy siadają pod plandeką.
 - Mam pieniądze - powiedziała Acalypha.
 - Ja też - odrzekł zdecydowanym tonem Jedwab, uciszając kilku pasażerów, którzy próbowali przekonywać woźnicę, że paterę powinien jechać za darmo.
 - Jeśli jednak ktoś zgłosi pretensje, że przewozisz ptaka, będziesz musiał wysiąść - uprzedził woźnica, chowając do kieszeni bity wręczone mu przez Jedwabia Wśród

oburzonych pasażerów rozległ się głuchy pomruk.

- Bardzo mi się to nie podoba - odezwał się Jedwab do Acalyphy, gdy zajęli już miejsca na ławie ciągnącej się przez całą długość furgonu. - Nie podoba mi się również to, co ludzie wypisują na murach.
- Woźnica strzelił batem i pojazd ruszył.
 - Czy chodzi ci o hasło: „Jedwab na calde”? Doskonały pomysł.
 - I dobrze - mruknął, wyciągając paciorki. - A raczej źle. Źle, że dotyczy urzędu calde. Nie jestem politykiem i żadną miarą nie skłoniśz mnie, bym nim został. Co zaś do samego urzędu calde, jest już jedynie legendą i historyczną ciekawostką. Moja matka знаła ostatniego calde,
 - ale zmarł wkrótce po moim narodzeniu.
 - Czy ja go pamiętam?
 - Nie możesz go pamiętać, Kypris Nadobna - odparł zgne - bionym tonem Jedwab, nie patrząc w jej stronę. - Acalypha jest 0 cztery lata ode mnie młodsza.
 - A zatem myślę... o kimś innym. Czy nie jesteś skrępowany? Siedzę obok ciebie, a każdy doskonale wie, kim jestem.
 - Mam nadzieję, że ludzie to wiedzą, wielka bogini, i są całkowicie mną rozczarowani, a ja, nie hańbiąc swego świętego powołania, ratuje swe życie.

Gwałtowny przechylł furgonu na wyboju rzucił Jedwabia na siedzącą po jego prawej stronie kobietę, która natychmiast zaczęła serdecznie go przepraszać. On też ją przeprosił i zaczął odmawiać krzyż próżniowy.

- Pahu Wielki, projektodawco i twórco whorla, strażnik i opiekun Złotej Ścieżki... Ścieżka na niebie stanowi duchowy ekwiwalent słońca, przypomniał sobie. Ofiary płyną nią aż
 - do Centralnego Procesora, gdzie zarówno słońce, jak i Złota Ścieżka biorą początek na wschodnim biegunie.
 - Tą przepiękną drogą podążają również nieskalane złem dusze zmarłych, a Pismo Chrasmo - logiczne zapewnia, iż dusze świętych bożych wybrańców, którzy odrzucili doczesność, również wędrują do Centralnego Procesora na spotkanie z bogiem. Ja też jestem bożym wybrańcem, gdyż objawił mi się Zewnętrzny, myślał Jedwab.
 - Skończył już krzyż próżniowy i cztery paciorki (liczył przesuwając je w palcach). Mamrocząc przepisane rytuałem modlitwy i dodając do nich wszędzie imię Zewnętrznego, pragnął z całej duszy opuścić ciało i zatłoczoną ulicę i zjednoczyć się z tłumami podążającymi Złotą Ścieżką.
 - Przez mgnienie oka sądził, że udało mu się ta sztuka, choć ujrzał nie złocistą drogę słońca, lecz lodowatą, czarną pustkę poza whorlem usianą lśniącymi iskrami.
 - Skoro mówimy o napisach na murach, Jedwabiu... Jedwabiu! Popatrz tam. Otwórz oczy. Jedwab ujrzał plakat wydrukowany czarnymi i czerwonymi literami. Afisz był całkiem świeży,

- gdyż nikt jeszcze go nie podarł ani nie zabazgrolił sprośnymi malunkami; znaczyło to, że zawieszono go przed niecałą godziną. MŁODZI SILNI MĘŻCZYŹNI!
 - ZACIĄGAJCIE SIĘ DO NOWEJ TYMCZASOWEJ BRYGADY REZERWOWEJ Czy
 - pragniecie zostać GWARDZISTAMI?
 - Brygada rezerwowa odbywa musztrę dwa razy w tygodniu Dostaniecie ŻOŁD i UMUNDUROWANIE Zostaniecie SKIEROWANI PIERWSI do FORMACJI REGULARNYCH Zgłaszać się do KWATERY GŁÓWNEJ TRZECIEJ BRYGADY. Pułkownik Oosik, Komendant -Czy nie sądzisz, że pogoń za latawcem zanadto go zmęczyła?
 - Krew zadał to pytanie nie po raz pierwszy i Piżmo był już zmęczony ciągłym zaprzeczaniem.
- Mówiłem ci już, że Aquila jest samicą. - Siedzące mu na ręce wielkie, zakapturzone ptaszysko niespokojnie się poruszyło; nie wiadomo czy na dźwięk swego imienia, na głos swego pana, czy też przez zwykły przypadek. - Samce nie osiągają takich rozmiarów. Na Molpe, słuchaj czasami, co do ciebie mówię!
 - Dobrze... dobrze. Może mniejszy ptak wzbiłby się wyżej.
 - Ten poleciał bardzo wysoko. Im większy ptak, tym wyżej lata. Czy widziałeś kiedykolwiek wróbla, który wzniesie się ponad twą łysą głowę? - Piżmo nie patrzył na masywnego mężczyznę o czerwonej twarzy; spoglądał to na ptaka, to na niebo. - Wciąż uważam, że powinniśmy wezwać hycli.
 - A oni za tydzień zrobią to za nas.
 - Latają wysoko, pod samym słońcem. Jeśli dostaniemy któregoś, może spaść gdziekolwiek.
 - Mamy trzy ślizgacze, w każdym trzech ludzi. Mamy też pięciu na ścigantach.

Piżmo wolną ręką podniósł do oczu lornetkę. Choć wiedział, że nic nie zobaczy, dokładnie zlustrował puste niebo.

- Nie kieruj lornetki na słońce. Możesz oślepnąć.
- Tę przestrożę Krew również wypowiedział nie po raz pierwszy.
- Może spaść w dowolnym miejscu whorla. Na Molpe, słyszałeś, gdzie spadł latawiec, choć był na mocnym sznurze. Sądzisz, że on spadnie przy drodze tylko dlatego, że nią jedziesz? - Jak na Piżma była to bardzo długa przemowa. - Gdybyś kilka razy wybrał się ze mną na polowanie z sokołami, wiedziałbyś lepiej.
- Większość whorla to bezdroża i od najbliższej drogi dzieli nieraz dwadzieście, trzydzieści, a nawet pięćdziesiąt stadiów.
- I bardzo dobrze - odparł Krew. - Bo ja najbardziej obawiam się jakiegoś rolnika, który

opłacony przez hyclów będzie nas śledzić. - Kiedy Piżmo nic nie odpowiedział, Krew dodał: - Tak naprawdę oni wcale nie zbliżają się do słońca. Słońce jest gorętsze od ognia. Spłonęliby w jednej chwili.

- Może ogień im nie szkodzi. - Piżmo opuścił lornetkę. - Może nawet nie są ludźmi.
- Są. Takimi samymi jak my.
- A zatem mogą być uzbrojeni w igłowce.
- Nie dźwigają ze sobą żadnych zbędnych przedmiotów - odparł Krew.
- Jestem pod wrażeniem twojej wiedzy. Jestem cholernie rad, że ich o to zapytałeś.

Gdy Piżmo znów podnosił do oczu lornetkę, Aquila przestawiła na jego przedramieniu uzbrojoną w wielkie szpony nogę. Zadzwończyły maleńkie dzwoneczki przymocowane do jej szyi.

- Jeden jest! - oznajmił całkiem niepotrzebnie Krew. - Wypuścisz ptaka?
- Nie wiem - przyznał Piżmo. - On jest bardzo daleko. Krew skierował swoją lornetkę na lotnika.
- Zniża lot. Kieruje się w naszą stronę!
- Wiem. Dlatego właśnie go obserwuję.
- Jest jednak bardzo wysoko.
- Widziałem już latające wyżej. - Piżmo stał się mówić spokojnym, znudzonym tonem; sztuki tej nauczył się jeszcze w dzieciństwie.
- I nieoczekiwanie ogarnął go myśliwski zapał; nagły jak atak gorączki i powitany serdecznie jak wiosna.
- Mówiłem ci o wielkim dziale, które zbudowali. Szyją z niego do lotników od miesiąca, lecz pociski nie lecą prosto, a poza tym nie osiągają wystarczającej wysokości.
- Piżmo opuścił lornetkę na piersi. Teraz już widział lotnika dokładnie; ciemna sylwetka na tle srebrzystego zwierciadła jeziora Limna pnącego się pod niebo po drugiej stronie miasta.
 - Poczekaj, aż się zbliży - gorączkowym szeptem odezwał się Krew.
 - Jeśli zacznę zwlekać, to zanim Aquila wzbije się na dostateczną wysokość, on już będzie daleko.
 - A jeśli...
 - Odsuń się. Jeśli ptak ruszy na ciebie, będziesz martwy. - Piżmo wolną ręką chwycił za koronę ze szkarłatnych piór wieńczącą kaptur i zerwał go z głowy ptaka. - Leć, sokole!
- Tym razem ptak nie wahał się ani chwili. Rozpostarł swe olbrzymie skrzydła i z ogłuszającym łopotem, tworząc wiry powietrzne, które przeraziły na chwile nawet samego Piżma, zerwał się do lotu; najpierw ciężko, nisko nad dachem, potem coraz wyżej, wyżej i wyżej; smoliście czarny heraldyczny ptak zamajaczył na tle oślepiającego słońca i niebieskiego przestworu nieba.
 - Może nażarł się już tym królikiem. Piżmo wybuchnął śmiechem.

o Takim maleństwem? To był nasz najmniejszy królik. Tylko zaostrzył Aquili apetyt.

Po raz drugi od czasu kiedy się poznali, ujął Krew za dłoń. A Krew, niebywale szczęśliwy, lecz udając, że nic wielkiego się nie wydarzyło, zapytał spokojnie: - Czy twoim zdaniem widzi go?

- Orzeł widzi wszystko. Gdy raz pójdzie tropem, nie straci już śladu. Dostanie się nad niego i zaatakuje od słońca. - Piżmo wspiął się na palce, jakby chciał być bliżej ptaka; choćby tylko o długość palców u stóp. - Spadnie na niego jak na dziką gęś. Jak na zwykłą dziką gęś. Orły rodzą się już z tym instynktem. Tylko patrz. - Błądą, przystojną twarz młodzieńca wykrzywił uśmiech; jego diabelskie oczy załśniły niczym czarny lód. - Tylko patrz na ptaka, stary łobuzie.

lolar ujrzał orła daleko w dole po północnej stronie i zwiększył szybkość. Front burzowy objawiający się wałem skłębionych chmur wyglądał interesująco i mógł nawet być bardzo ważny; front ten jednak znajdował się w odległości dwustu mil, jeśli nie dalej, i zapewne nigdy nie dotrze w te skwarne, spalone suszą rejony. Wskaźnik stały wynosił tu sto piętnaście, sto dziewięć więcej niż długość słońca; uwzględniając sezonową poprawkę (sprawdził w pamięci datę), sto osiemnaście.

Zapomniał już o orle, którego przed chwilą dostrzegł.

Wedle wszelkich standardów był niski i chudy; wzrok miał lepszy niż przeciętny człowiek. Znajomi uważali go za odrobinę bezdusznego introwertyka. Rzadko się odzywał, a kiedy już zabierał głos, mówił wyłącznie o masach powietrznych i układach wiatrów, o dziennych i nocnych punktach orientacyjnych oraz nieznanach (lub znanych tylko częściowo) nauce halsach względem słońca. No i oczywiście o skrzydłach, kombinezonach, instrumentach i modułach napędowych. Ale tym akurat nie różnił się wiele od innych lotników. Ponieważ był bliski ideału zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym, dostał zezwolenie na trzy żony, lecz druga opuściła go po niecałym roku małżeństwa.

Pierwsza urodziła mu trójkę zwinnych, o cienkich kościach dzieci, a trzecia piątkę wdzięcznych i zwawych jak świerszcze maleństw, z których najmłodsza córka była jego faworytą; chudziutka, o śmiejących się oczach Dreoilin. „Już widzę ją na skrzydłach” - mawiał czasami do jej matki; a jej matka, która nie mogła latać, uszczęśliwiona przytakiwała mężowi skwapliwie. On szybował w przestworzach już od osiemnastu lat.

Koszttem wysokości zwiększył prędkość lotu. Zwiększył więc siłę ciągu i próbował wzbic się wyżej, ale temperatura otoczenia nieco spadła i strumień powietrza ciągnął go w dół, ku powierzchni wielkiego jeziora. Kiedy znów znajdzie się nad lądem, natrafi na przeciwny ciąg powietrzny, a wtedy wzbije się najwyżej jak zdoła. Jeśli ma osiągnąć ów odległy front burzowy, musi wykorzystać każdy łokieć wysokości.

Orła ponownie dostrzegł, gdy ptak był tuż nad nim. Pikował w dół, olbrzymie skrzydła nadawały mu szybkość, jakiej nie osiągnąłby nawet wielki kamień spadający na ziemię. W ostatniej chwili orzeł złożył skrzydła, zawirował w powietrzu i uderzył lotnika szponami; podwójne uderzenie,

niczym cios zadany wielkimi jak maczugi pięściami olbrzyma.

Atak na chwile lolara zamroczył. Zdawałoby się, ziemia wpadła w szalony wir.

Lotnik szybko odzyskał orientację. Dobrze wiedział, że lewe skrzydło ma całe i mocne, że drugie zostało uszkodzone, że jego magnes stały nie reaguje. Podejrzał, że ma połamane żebra i zapewne pęknięty kręgosłup. Ale nie zwracał na to większej uwagi. Z nieprawdopodobną, zapierającą dech w piersiach wprawą przeszedł z bezwładnego koziółkowania w kontrolowany lot nurkowy, odrzucił niepotrzebny już magnes i instrumenty, i zmniejszając szybkość lotu, uderzył w toń jeziora.

- Widziałeś tę fontannę wody? - Acalypha uniosła się z ławki bitfurgonu i przysłoniła dłonią oczy przed oślepiającym blaskiem wody, odbijającej promienie słońca. - To jakaś monstrualna ryba. Ogromna.
- Pamiętam... ostatni raz tu byłam jeszcze jako mała dziewczynka... Tak, później już nie odwiedzałam tych stron.
 - Jedwab skinął głową i też wychylił się spod plandeki, by zerknąć na jezioro.
 - Pośród płynących ze wschodu na zachód obłoków złociste pasmo tnące niebo stanowiło (Jedwab ponownie napomniał siebie o tym w duchu) widzialny symbol Złotej Ścieżki, szlak moralnej czystości i żarliwej wiary, które wiodły człowieka do bogów. Czyżby zbłądził? Nie miał chęci składać Żurawia w ofierze, jakkolwiek to właśnie sugerowała bogini.
 - Z całą pewnością nie tego oczekiwali bogowie od pomazanego augura!
 - Oreb szarpnął Jedwabia za włosy.
 - Rybie głowy?
 - Rybie głowy, masz na to moje słowo.

Tej nocy pomoże Alce obrabować dom komisarza, o którym mówiła Acalypha.

Komisarze są bogaci i bezlitośni, utuczili się na krwawicy biedaków, zatem nic złego się nie stanie, jeśli ten jeden zubożeje o kilka klejnotów i srebrną zastawę stołową. Ale rabunek z samej swej natury był złem, nawet jeśli miał służyć wyższemu dobru.

Choć był molpdag, Jedwab zwracał się do Sphigx. Wymamrotał ostatnie słowa modlitwy i schował paciorki do kieszeni. Z całą pewnością Sphigx go zrozumie; Sphigx w połowie była lwicą, a lwy zabijały niewinne stworzenia, aby jeść. Sztywne nakazy Paha wyznaczały każdej żywej istocie, z wyjątkiem człowieka, stosowny pokarm. Kończąc modlitwę zatem, Jedwab nieznacznie skłonił głowę przed srogim, a jednocześnie łaskawym obliczem wyrytym na rękojeści laski.

- Przychodziłyśmy tu po rukiew wodną - powiedziała Aca - lypha. - Obchodziłyśmy całą tę stronę jeziora.
- Wstawałyśmy przed rozjaśnieniem i przyjeżdżałyśmy nad jezioro. Sama nie wiem, ile razy spoglądałam za wodę, wypatrując nadchodzącego brzasku. Gdy wciąż jeszcze panował mrok, wiedziałam, że przed nami jeszcze długa droga. Miałyśmy ze sobą papier, różne strzępy papieru, jakie tylko udało się nam zgromadzić.
- Moczyłyśmy go w wodzie, zawijały w niego rukiew i spiesznie ruszałyśmy do miasta, by sprzedać ją, zanim zwiędnie. Czasami jednak wysychała i wtedy tylko ona stanowiła nasze jedzenie.
- Do dzisiaj nie wezmę rukwi do ust. Ale często ją kupuję; kupuję od którejs z małych dziewczynek, jakimi byłyśmy wtedy.
 - To ładnie z twojej strony - odrzekł Jedwab, lecz myślami błądził gdzieś indziej.
 - Ostatnio na rynku rukwi jest niewiele, prawie cała wyschła. Ale i tak jej nie jadam. Kupowane od dzieci rośliny oddaję kozom albo po prostu wyrzucam. Ciekawa jestem, ile wytwornych dam, które wtedy kupowały rukiew ode mnie, robiło to samo.
 - Ja przyrządzam z niej kanapki - wtrąciła się do rozmowy kobieta siedząca obok Jedwabia. - Z rukwi wodnej, białego sera i żytniego chleba. Ale najpierw bardzo dokładnie tę rukiew myję.
 - Jedwab z uśmiechem skinął głową.
 - To doskonały posiłek na upalne dni.
 - Czy masz znajomych w Limnie? - zapytała Acalypha, wychylając się zza Jedwabia.
 - Krewnych - odrzekła niewiasta. - W Limnie mieszka matka mego męża. Twierdzi, że tutejsze czyste powietrze robi jej najlepiej. A może nasi krewni się znają?
 - Och, raczej nie! Szukamy znajomego, doktora Żurawia. Niski, tęgi, około pięćdziesiątki, o ciemnej karnacji. Nosi niewielką siwą bródkę...
 - Nie znam go - odrzekła zdecydowanie kobieta. - Lecz jeśli jest lekarzem i mieszka w Limnie, moja teściowa z pewnością go zna. Spytam ją.
 - Niedawno kupił tu domek, by uciekać od codziennych, uciążliwych obowiązków lekarza. Mój mąż pomagał mu przy przeprowadzce, a paterę obiecał pobłogosławić dom. Tylko że zapomniałam adresu.
 - Powinniście zatem wpaść do Juzgado na ulice Przybrzeżną - poradził mężczyzna siedzący po lewej stronie Acalyphy. - Musiał tam zgłosić swoją przeprowadzkę.
 - Tutaj również jest Juzgado? - zapytała Acalypha. - Sądziłam, że ma siedzibę w mieście.

- Filia - wyjaśnił mężczyzna. - Odbywają się tu rozprawy sądowe i przetrzymują drobnych złodziejasków.

- Nie mamy w Limnie Arambrey. Skazani na duże wyroki odsyłani są do Yironu. Poza tym nasze Juzgado prowadzi sprawy podatkowe i meldunkowe.
- Bitfurgon toczył się wąską, krętą, brukowaną ulicą, wzdłuż której stały drewniane, rozpadające się jedno - i dwupiętrowe domy ze stromymi dachami; z większości z nich odpadła już farba i budynki straszyły zwietrzałymi deskami ścian. Paterę, Acalypha, mężczyzna, który wspomniał o Juzgado, oraz niewiasta lubiąca kanapki z rukwią siedzieli na ławce twarzami w stronę łądu. Jedwab, ilekroć zerkał za siebie, widział między domami wysokie maszty łodzi rybackich kołyszących się łagodnie na brudnej wodzie jeziora.
- Ja też nie byłem tu od dzieciństwa - wyznał Acalyphie. - Aż nie chce mi się wierzyć, że przed piętnastu laty przyjeżdżałem tu na ryby. W Limnie do budowy domów nie używają, jak w mieście, ani rakplastu, ani cegieł z mułu.
- Dużo prościej ścinać drzewa rosnące na brzegach jeziora i spławiać je wodą do osady - wyjaśnił siedzący po lewej stronie Acalyphy mężczyzna.
 - Rozumiem... Nie przyszło mi to do głowy.
- Niewiele osób o tym wie. - Mężczyzna otworzył pudełko i wyciągnął z niego kartę wizytową. - Czy zechcesz to przyjąć, paterę? Nazywam się Yulpes. Jestem adwokatem i prowadzę kancelarię przy ulicy Przybrzeżnej. Czy znasz wszystkie procedury na wypadek, gdyby cię aresztowano?
- Aresztowano? - Zdumiony Jedwab uniósł brwi. - Broń mnie Molpe! Mam nadzieję, że nikt nas tu nie zatrzyma.
- Też mam taką nadzieję. - Yulpes zniżył głos do tego stopnia, że jego słowa ledwie były słyszalne w hałasie ulicy i skrzypieniu osi furgonu. - Wszyscy mamy taką nadzieję. Ale czy znasz procedury?
 - Jedwab potrząsnął głową.
- Jeśli podasz im imię i adres adwokata, muszą po niego posłać. Tak stanowi prawo. Jeśli tego nie uczynisz, będziesz siedział, dopóki twoja rodzina nie odkryje, co się z tobą stało, i nie zaangażuje prawnika.
 - Rozumiem.
 - Ale... - Yulpes znacząco poklepał Jedwabia po kolanie. - Jeśli aresztują cię w Limnie, prawnik, który urzęduje w Yiro - nie, nie może zajmować się twoją sprawą. Musi to być ktoś tutejszy. Wiem, że tylko czekają, by pochwyć tu obcego. Tak zatem proszę cię, paterę, schowaj do kieszeni moją wizytówkę. W razie potrzeby wezwij mnie. Yulpes z ulicy Przybrzeżnej, tutaj, w Limnie, pod szyldem z czerwonym lisem.
- Gdy wymówił ostatnie słowo, furgon, przeraźliwie skrzypiąc osiami, gwałtownie się zatrzymał.

- Wysiadka! - zawołał gromko woźnica. - Powrót do Yiro - nu o szesnastej, osiemnastej i dwudziestej.
 - Odjazd stąd. Na spóźnialskich nie czekamy. Gdy woźnica ruszył w stronę stodoły, Jedwab chwycił go za łokieć.
 - Czy mógłbyś mi powiedzieć coś o Limnie?
 - Chodzi o topografię okolicy? - Woźnica w zamyśleniu ścisnął palcami nos. - To bardzo proste, paterę.
- Miasteczko nie jest tak rozległe jak Yiron. Przede wszystkim zapamiętaj miejsce, w którym jesteś teraz, byś mógł tu wrócić i wsiąść do jadącego do Yironu pojazdu. Znajdujesz się na ulicy Wody. Stąd już kilka kroków do centrum miasteczka. Są w nim tylko trzy główne ulice - ulica Doków, Wody i Przybrzeżna.
- Osada rozłożyła się wokół zatoki i ma kształt łagodnie zagiętej podkowy. Środkiem biegnie ulica Doków... prowadzi do rynku.
- Skrajem miasteczka idzie ulica Przybrzeżna. Jeśli zamierzasz wybrać się na przejażdżkę łodzią, musisz udać się na ulice Doków. Mogę podać ci imiona kilku solidnych przedsiębiorców.
- Gdy zgłodniejesz, polecam ci gospody „Pod Zębaczem” albo „Rozpostarty Żagiel”. Doskonała jest również „Zardzewiała Latarnia”, ale pod warunkiem że masz pełne kieszenie. Czy zamierzasz zatrzymać się w Limnie do jutra?
 - Jedwab potrząsnął głową.
 - Chcielibyśmy przed zmrokiem wrócić do miasta.
 - A zatem furgonem odjeżdżającym o osiemnastej - poinformował woźnica i ruszył do stodoły.
 - Nie zapytałeś, gdzie mieszkają komisarze - odezwała się Acalypha.
 - Jeśli nawet ty, ja lub Alka tego nie wiemy, z pewnością wiedzą mieszkańcy Limny - uspokoił ją Jedwab.
 - Żuraw również sam się tego dowiedział, a my musimy wiedzieć, o kogo pytał. Wątpię, by przyjechał tu furgonem. W scyldag podróżował wynajętą lektyką.
 - Powinniśmy się zatem rozdzielić, paterę. Ty pójdziesz górą, a ja dołem.
 - Nie rozumiem.
- Ty zasięgniesz języka u szanowanych mieszkańców miasteczka w lepszych dzielnicach, a ja zajmę się szumowinami w szynkach. Kiedy mamy się spotkać z Alką?
 - O szesnastej - odpowiedział Jedwab.
 - A zatem o tej godzinie spotkamy się w tym miejscu. Później coś zjemy. Z Alką. I zdamy sobie wzajemnie relację, czegośmy się dowiedzieli.
- Bardzo chytrze rozmawiałaś z kobietą w furgonie - pochwalił Jedwab. - Chciałbym choć w połowie umieć tak rozmawiać z ludźmi.
- Nigdzie nas to nie zaprowadziło. Musisz trzymać się prawdy, paterę. Nie potrafisz kłamać jak

z nut. Co zamierzasz mówić?

Zafrasowany Jedwab zaczął pocierać sobie policzek.

- Myślałem o tym jeszcze w furgonie. Doszedłem do wniosku, że zależeć to będzie od okoliczności. Mogę, na przykład, mówić, iż szukam człowieka, który był świadkiem odprawianych przeze mnie egzorcyzmów, lecz od tamtego czasu nie byłem już w nawiedzonym domu. Chce zatem dowiedzieć się, czy moje egzorcyzmy odniosły skutek.
 - Acalypha z aprobatą skinęła głową.
- Całkowita prawda... w najdrobniejszych szczegółach. Bardzo dobrze. Jestem spokojna. - Choć i tak stała już blisko niego, tłoczący się przechodnie popchnęli ją jeszcze bliżej Jedwabia. Sterczącymi pod suknią sutkami swych dużych, strzelistych piersi napała na jego koszule. - Nie kochasz mnie, paterę. Nie pokochałbyś mnie, nawet gdybyś nie wiedział, że należę do... Alki. Kochasz Hia, prawda? Powiedz mi...
 - Na twarzy Jedwabia pojawił się żalony uśmiech.
- Nie powinienem jej kochać. Nie jest to właściwe. Mężczy - zna o mojej pozycji, augur, niewiele ma kobiecie do zaofiarowania. Nie mam pieniędzy. Nie mam prawdziwego domu.
- Pokochałem ją tylko dlatego, że jest jak... O pewnych ludziach nie umiem nie myśleć, choć ze wszystkich sił staram się o nich zapomnieć. Hiacynt należy do takich właśnie osób.
 - Cóż, jestem również nią.
- Przelotnie musnęła gorącymi wargami jego usta i zanim się opamiętał, zniknęła w tłumie tragarzy, sprzedawców, włóczących się ulicą turystów oraz bezrobotnych chwilowo rybaków.
 - Żegnaj, dziewczeczko! - Oreb pomachał za Acalypha zdrowym skrzydłem. - Powodzenia! Jedwab głęboko odetchnął i rozejrzał się wokół. Jezioro żywiło niewielkie przybrzeżne
- miasteczko Limna, niegdyś przedmieście Yironu. Teraz, w osobliwy sposób, coraz bardziej się od wielkiego miasta oddalało.
- A raczej (Jedwab dwoma palcami pocierał policzek) jezioro Limna, cofając się, zabierało ze sobą część Yironu. Kiedyś Grilla, czyli ulica Doków, jak ją tu nazywano, leżała na samym brzegu jeziora. W dawnych czasach stanowiła brukowane dojście do nadbrzeży, a okna stojących przy niej domów wychodziły wprost na wodę. W miarę cofania się jeziora jej rolę przejęła ulica Wody, na której właśnie stał. Później jednak, przed dwudziestoma lub trzydziestoma laty i ona, podobnie jak całe miasteczko, znalazła się z dala od jeziora.
- Ale jezioro wciąż było olbrzymie. Jedwab próbował wyobrazić sobie, jak wyglądało w czasach, kiedy pierwsi osadnicy zasiedlali wybudowane dla nich domy na północnym brzegu.
- Doszedł do wniosku, że wówczas musiało być dwukrotnie większe. Czy za następne trzysta lat jezioro Limna w ogóle zniknie?
- Zapewne zmniejszy się jeszcze o połowę... ale z całą pewnością nadejdzie chwila, za sześćset lub tysiąc lat, kiedy zniknie.

- Jedwab ruszył przed siebie, zastanawiając się, jakie to szacowne miejsca bogini miała na myśli, miejsca, w których najłatwiej zdobędzie ważne informacje.
- Zatopiony we wspomnieniach z dzieciństwa o chłodnej wodzie i bezkresnych pejzażach, dotarł do ulicy Doków. Tutaj z rybackich łodzi wyrzucano srebrzyste pstrągi, złotośledzie, szczupaki i okonie; tutaj jadłodajnie i garkuchnie serwowały za jedną dziesiątą cen obowiązujących w Yironie ryby tak świeże i szlachetne, że pozazdrościć mogły najdroższe lokale w mieście; tutaj przyciągały wzrok barwne szyldy zajazdów zapraszających w swe gościnne progi turystów, którzy pragnęli na jakiś czas zamienić wygody Yironu na ożywcze podmuchy świeżego powietrza i bez reszty oddać się pływaniu, wędkowaniu lub żaglom.
- Niebawem Jedwab natknął się na kolejny plakat, jaki widział z bitfurgonu przy wyjeździe z miasta, a zaadresowany do „młodych, silnych mężczyzn” którzy pragną zostać gwardzistami na pół etatu z perspektywą zatrudnienia na cały. Kiedy Jedwab ponownie studiował afisz, przypomniał sobie mroczne ostrzeżenie wyczytane we wnętrzościach jagnięcia. Ale o wojnie przecież nikt jeszcze nie mówił; nikt prócz bogów. A raczej wspominali o tym jedynie bogowie i ów plakat, ale trzeba było umieć słuchać.
- Przedostatni wers afiszu został skreślony czarnym atramentem i widniał nad nim dopisek: „do Juzgado w Limnie”. Za - pewne nad jeziorem sformowane zostaną jedna lub dwie kompanie nowej brygady rezerwowej; może nawet cały batalion, jeśli uda się zwerbować odpowiednią liczbę rybaków. Jedwabowi po raz pierwszy zaświtała w głowie myśl, że Lim - na może stanowić doskonałą bazę wypadową dla wojska atakującego miasto. Oferowała schronienie żołnierzom, zabezpieczała przed wszelkimi niespodziankami z południa, zapewniała żywność i wodę dla ludzi i zwierząt. Nic dziwnego zatem, że Żuraw zainteresował się tym miejscem, gdy usłyszał, iż przebywają tu radcy, oraz że przyjechał do nich komisarz.
- Rybie głowy! - Oreb niezdarnie ni to sfrunął, ni to zeskoczył z ramienia Jedwabia na ziemię i z wielką szybkością pobiegł na molo, gdzie zaczął dziobać poniewierające się tam odpadki.
 - No tak - mruknął Jedwab. - Masz w końcu te wymarzone rybie głowy. I wnętrzości.
- Idąc niespiesznie nadbrzeżem, podziwiając rozległą, błękitną wodną toń upstrzoną rozkołysanymi, śnieżnej barwy żaglami jachtów, dumał nad jadłospisem Oreba.
- Ryby należały do Scylli, wszelkiego rodzaju koty do jej młodszej siostry, Sphigx, a węże do ich matki, Echidny. Scylla Rozkołysana, patronka Yironu, łaskawie pozwalała swym wyznawcom łowić ryby. Było to regulowane stosownymi przepisami pochodzącymi jeszcze sprzed stu lat. Niemniej ryby, nawet ich resztki, które teraz pożerał Oreb, należały do niej, podobnie jak całe jezioro - jej pałac. Skoro więc przywiązanie i cześć oddawane Scylli w Yironie były równie silne jak dwa pokolenia wcześniej, gdy bogini po raz ostatni ukazała się w świętym oknie, co dopiero mówić o osadzie Limna?
- Zbliżywszy się do Oreba, usiadł na sterczących z wody palach, ze złamanej kostki zdjął cudowny owijacz Żurawia i smagnął nim o wypaczone, nierówne deski mola.
- A jeśli doktor, pragnąc wypełnić jakieś tam ślubowania, zamierzał tylko wznieść na brzegu jeziora przybytek poświęcony Scylli? Skoro stać go było na podarowanie azotha swemu najlepszemu informatorowi, z całą pewnością stać go też na wzniesienie sanktuarium. Jedwab

niewiele znał się na budownictwie, lecz zdawał sobie sprawę, że skromną, lecz stosowną kapliczkę można wystawić za tysiąc kart; zapewne taniej. Żuraw mógł też zwrócić się do swego duchowego doradcy, do Jed - wabia, z prośbą o wskazanie najodpowiedniejszego miejsca.

- A jeśli komisarz, o którym wspominała Acalypha, również wznosił takie sanktuarium? Bez wątplenia komisarza stać na wzniesienie nawet bardzo kosztownej kaplicy. Nie byłby to manteion, gdyż brakowałoby jej świętego okna, lecz ofiary można by w niej składać. Komisarza stać nawet na opłacenie specjalnego augura rezydenta - kogoś takiego jak Jedwab. A Żuraw zapewne podążył tropem Wyraka, gdyż chciał się dowiedzieć, gdzie znajduje się ów przybytek.
 - Dobrze! Dobrze!
- Ptak skończył posiłek i balansując na rozcapierzonej, kar - mazykowej nodze, pazurami drugiej czyścił sobie dziób.
 - Tylko nie pobrudź mi sutanny - burknął Jedwab. - Ostrzegam, będę wtedy bardzo zły!
- Gdy już ponownie nałożył owijacz, usiłował sobie wyobrazić siebie w roli komisarza. Dwóch radców wezwało go nad jezioro na naradę, zapewne poufną, zapewne dotyczącą jakichś spraw natury wojskowej.
- Komisarz prawie na pewno (zdecydował Jedwab) przybył do Limny ślizgaczem. Kiedy opuścił już pojazd, kierowca musiał wzbudzić powszechne zainteresowanie.
- Jedwab wyciągnął w stronę Oreba palec; często tak robił w palestrze, kiedy przemawiał do dzieci i chciał zebrać myśli.
 - Mógł wynająć osła, tak jak zrobił to Alka, a później zostać w Limnie na noc.
- Do wrzynającego się daleko w jezioro mola przybiła niewielka łódź. Przy rumplu mozolił się siwowłosy mężczyzna, a dwóch chłopców w pośpiechu zwijało żagiel.
 - O właśnie!
 - Ptak łypnął na Jedwabia kpiarsko okiem.
- Mógł wynająć łódź, Orebie. Zapewne z dwuosobową, doświadczoną załogą. Łodzią podróżuje się dużo szybciej niż osłem, a nawet koniem. Mógł też towarzyszyć mu sekretarz lub zaufany urzędnik. Łódź zawiozła ich na miejsce spotkania i...
- - Jedwab dobry? - Oreb przestał gładzić szponami kępę szkarłatnych piór na piersi i przekrzywił łebek. - Czy dobrze?
- Nie. Źle. Nie wynajął łodzi. Za rejs musiałby płacić gotówką, a wynajętej załodze trudno ufać. Miasto jednak dysponuje własnymi łodziami, choćby po to, by zapobiec niesnaskom wśród rybaków.
- Odpowiedzialni za te jachty miejscowi urzędnicy z całą pewnością udzielili komisarzowi pomocy.

- Wskakuj mi na ramię, idziemy do Juzgado. - Jedwab przeszukał kieszenie i wyciągnął kartę wizytową adwokata. - Ulica Przybrzeżna. Kancelaria znajduje się przy tej samej ulicy co Juzgado. Pamiętasz, Orebie?
 - Niewątpliwie ułatwia mu to wiele spraw, gdy musi niezwłocznie stawić się w sądzie. Otworzyły się drzwi wielkiego garażu i zaintrygowany konstruktor latawców uniósł głowę. W progu stał niski człowiek z siwą bródką.
 - Przepraszam, nie wiedziałem, że ktoś tu jest.
- Właśnie zbieram się do wyjścia - wyjaśnił konstruktor. Przyszło mu do głowy, że Piżmo w obawie, by czegoś nie ukradł, przysłał jednego ze swych ludzi.
 - Słyszałem o latawcu. Ty go skonstruowałeś? Mówią, że wykonałeś kawał dobrej roboty.
 - Nie jest piękny. - Konstruktor związał sznurkiem pęczek giętkich listew. - Ale takiego sobie życzyli, no i jest to jeden z największych latawców, jakie zbudowałem w życiu. Im większe, tym wyżej latają.
 - Rozumiesz, muszą ciągnąć za sobą dużo sznura.
- Jestem doktor Żuraw - oświadczył brodaty mężczyzna. - Powinienem się być przedstawić od razu. - Sięgnął po jedną z lamp na rybi olej i lekko nią potrząsnął. - Prawie pełna. Czy już ci zapłacono?
- Tak, Piżmo zapłacił mi kwotę, na jaką się umówiliśmy. - Konstruktor latawców poklepał się po kieszeni. - Ale nie kartami, lecz czekiem do Urzędu Skarbu. Czy przysłał cię Krew, byś wyprowadził mnie z domu?
 - Właśnie. Ale oni już wyjechali. Krew, Piżmo, ochroniarze i kilku służących. Konstruktor latawców skinął głową.
- Zabrali ze sobą ślizgacze. Mieli ich tu kilka. I ściganty. Czy mam zaczekać na powrót Krwi? Piżmo o tym nie wspominał, - Nie wiem - odparł z uśmiechem Żuraw. - Ale główna brama jest otwarta, a talusa Piżmo zwolnił ze służby. Możesz więc iść, kiedy tylko zechcesz. Radziłbym ci jednak poczekać. Po powrocie Krew zapewne każe kierowcy odstawić cię do domu. A tak swoją drogą, dokąd pojechali? Nikt mi nic nie powiedział.
 - Konstruktor zaczął się rozglądać za ulubionym ośnikiem. Narzędzie leżało pod stosem płótna.
 - Nad jezioro. Tak utrzymywał jeden z towarzyszących im ludzi. Żuraw skinął głową i znów się uśmiechnął.
 - W takim razie wrócą nieprędko. Ale jeśli chcesz, możesz zaczekać.
- Wyszedł z szopy, zamknął za sobą drzwi i spiesznie ruszył w stronę willi. Jeśli nie rozejrzę się teraz, druga taka okazja może trafić się nieprędko, pomyślał. Suterren nigdy nie zamykano na klucz, a spiżarnia stała otworem.
- Piwnica była głęboka i bardzo mroczna. Jak się dowiedział od zaprzyjaźnionych lokajów, pod

nią znajdowała się jeszcze jedna, w której trzymano trunki. Może o niej właśnie mówiła mu pokojówka. W połowie schodów Żuraw przystanął i uniósł nad głowę lampę.

- Pustka. Zardzewiała, pokryta grubą warstwą kurzu maszyna, której z całą pewnością nie da się już uruchomić. I... Dotarł do końca schodów i ruszył brudną, nierówną podłogą rozglądając się bacznie wokół siebie. Słoje z przetworami: brzoskwinie w brandy i pikle. Z pewnością wyrabiano je w domu.
- Czy przy wejściu do tuneli postawili straż? Już jakiś czas temu Żuraw doszedł do wniosku, że nie. Drzwi (jeśli będą to drzwi) są zamknięte na głucho lub zaparte belką od tamtej strony.
 - I zapewne dobrze zamaskowane... a na dodatek znajdują się w jakimś sekretnym pomieszczeniu.
 - Tutaj, za rzędami półek, rozpoczynały się kolejne schody, do których... o tak, prowadziły niewyraźne ślady stóp odcisnięte w zalegającym posadzkę kurzu.
 - Tym razem schodki były krótkie i kończyły się przed zamkniętymi drzwiami. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, doktor operował wytrychem w zamku, w końcu zdołał przekręcić gałkę i unieść rygiel.
 - Zgrzyt zawiasów uaktywnił światło umieszczone pod sklepieniem łukowato sufitem niewielkiej komory. W mdłym blasku Żuraw dostrzegł stojaki, na których spoczywało co najmniej pięćset butelek z winem, stosy skrzynek z butelkami brandy, okowity, rumu i innych, różnorodnych kordiałów oraz niewielkie antałki z mocnym piwem. Doktor przesunął kilka skrzynek, dokładnie zbadał podłogę, a następnie opukał ściany.
 - Nic.
- Tak, tak, tak - mruknął. - Poszukiwacz musi się krzepić. Otworzył pękatą czarną flaszkę, którą ktoś już napoczął, i pociągnął tęgi łyk jasnego, palącego araku. Zakorkował butelkę i ponownie rozejrzał się po piwnicy.
 - Nic.
 - Opuścił piwniczkę, cicho zamknął za sobą drzwi i przekręcił gałkę zgodnie z ruchem wskazówek zegara.
 - Pisk zamka nasunął mu niemiłe wspomnienie małego psiaka, którego dręczył kiedyś Piżmo.
 - W pierwszej chwili nie zamierzał zamykać drzwi na klucz. Zaoszczędziłby trochę czasu, a i tak winą za to obarczono by któregoś z niedbałych służących. Wrodzona ostrożność jednak i długie szkolenie kazały mu zostawić to miejsce w takim stanie, w jakim je zastał.
 - Ciężko westchnął, wyciągnął pęk wytrychów. Tym razem zamek zaskoczył natychmiast.
 - Gratuluję sprawności.
- Żuraw błyskawicznie się odwrócił. W gęstym półmroku dostrzegł stojącego na górze krótkich schodów wysokiego, przystojnego mężczyznę o białych włosach.
 - Mam nadzieję, że mnie poznajesz.

- Żuraw wypuścił z dłoni wytrychy i szybkim, płynnym ruchem wyszarpnął igłowiec. W ciasnej piwnicy suche strzały zagrzmiały gromowym echem.
- Nie wyrządzisz mi tym krzywdy - rzekł radca Lemur. - Podejdź do mnie i oddaj broń, a zaprowadzę cię tam, gdzie chcesz się dostać.
- Wiosną odwiedził was komisarz - oświadczył Jedwab pulchnej kobiecie w średnim wieku siedzącej za zawalonym papierami biurkiem. - Wypożyczyliście mu niewielką łódź. - Przesłał jej pełen zrozumienia uśmiech. - Ja nie zamierzam prosić was o podobną przysługę. Zdaję sobie sprawę, że nie jestem komisarzem.
 - Wiosną, paterę? Komisarz z miasta? - Kobieta najwyraźniej była zbита z tropu.
- W chwili gdy Jedwab nabrał już pewności, że zapomniał imienia komisarza, usłużna pamięć podsunęła mu potrzebną informację. Żałował tylko, że dokładniej nie wypytał Acalyphy o wygląd komisarza.
- Nazywał się Wyrak. To bardzo ważna figura. Wielki i - Jedwab starał się mówić z godnością i pewnością siebie, z jaką przemawiał prochein ami - ...aaa... hm... tęgi mężczyzna. Nosił wąsy.
- Kobieta nadal spoglądała nań pustym wzrokiem, więc zdesperowany dodał: - W każdym razie teraz ma imponujące wąsy, jakkolwiek wtedy...
 - Komisarz Wyrak, paterę? Jedwab skwapliwie skinął głową.
 - To nie było aż tak dawno. Na pewno nie wiosną. Dwa miesiące temu, najwyżej trzy. Panowały już straszliwe upały. Pamiętam, miał słomkowy kapelusz z szerokim rondem.
 - Sam też noszę taki kapelusz - rzekł zachęcająco Jedwab.
 - Miał też laskę, większą i grubszą niż twoja. Ale nie chodziło mu o łódź.

Chętnie byśmy mu jej użyczyli, lecz wcale o nią nie prosił. - Kobieta przygryzła koniec pióra. - Prosił o coś, czego nie mogliśmy mu zapewnić. Nie pamiętam już, o co dokładnie chodziło. Oreb przekrzywił łeb.

- Biedna dziewczeczka!
- Naturalnie - zgodził się paterę - przecież nie mogła udzielić pomocy komisarzowi Wyrakowi.
- Ależ pomogłam! - wykrzyknęła z dumą kobieta, - Pamiętam, że kiedy od nas wychodził, był niezmiernie rad.
- Jedwab robił wszystko, by sprawiać wrażenie augura, który na co dzień ma do czynienia z komisarzami.
 - To racja. W rozmowie ze mną wcale się na was nie skarżył.
 - I nie wiesz, paterę, czego chciał?
 - Nie, o tym mi nie mówił, lecz sądziłem, że chciał od was wypożyczyć łódź. Z jeziora rozciąga się malowniczy widok. Jak wiem, komisarz Wyrak, który jest człowiekiem nader

pobożnym, zamierza wzniesć nad jeziorem kapliczkę poświęconą naszej patronce. Jakiś większy i gustowny przybytek.

- - Jesteś pewien, paterę, że nie chodziło o remont? Albo rozbudowę? Scylla ma już tu piękny przybytek, który odwiedzają bardzo ważne osobistości z miasta, by tam, w ciszy i spokoju, przemyśleć różne sprawy.
 - Jedwab strzelił palcami.
 - Rozbudowa! Dodatkowy aedicula przeznaczony do wrózenia z wody. Naturalnie. Powinienem był się domyślić...
 - Nie zarżnie? - zaskrzeczał Oreb.
 - Na pewno nie ciebie.... Gdzie znajduje się to sanktuarium, córko?
 - Gdzie...? - Nieoczekiwanie twarz kobiety rozjaśnił szeroki, radosny uśmiech. - O, właśnie! Przypomniałam sobie, czego chciał komisarz Wyrak. Mapy, która wskazałaby mu drogę do
- sanktuarium.
- Ale świątyni nie ma na żadnych mapach. W tej sprawie obowiązują specjalne regulacje prawne. I wcale nie trzeba nanosić jej na mapę. Powiedziałam mu, że należy iść Drogą Pielgrzymów, jak nazywamy ten szlak.
- Ciągnie się wzdłuż wybrzeża na zachód. Później skręca na południe, na cypel utworzony przez wysoki klif.
- Wymaga to solidnej wspinaczki, lecz jeśli człowiek trzyma się białych kamieni, nie zabłądzi.
-Kobieta wyciągnęła mapę. - Wprawdzie nie zaznaczono na niej kaplicy, lecz wskażę ci dokładnie drogę. To niebieskie to jezioro, a ciemne linie wyznaczają Limnę. Widzisz, paterę, to ulica Przybrzeżna. A tu stoi sanktuarium. W tym miejscu Droga Pielgrzymów skręca na klif. Zamierzasz tam udać się osobiście, paterę?
 - Przy pierwszej sprzyjającej okazji - odparł wymijająco Jedwab.
- Wyrak odbył pielgrzymkę, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Pytanie tylko, czy jego śladem udał się również Żuraw.
- Serdecznie ci dziękuję, córko. Bardzo mi pomogłaś. Wspomniałaś, że pojawiają się tam na medytacjach nawet radcy. Mój znajomy, doktor Żuraw... zapewne go znasz... spędza podobno nad jeziorem dużo czasu i...
 - Kobieta energicznie potrząsnęła głową.
 - Nie, paterę. Na takie eskapady radcy są za starzy.
 - A zatem doktorowi Żurawowi coś się pomyliło. Myślałem, że też zasięgał u was informacji. Niski, tęgi, z krótką siwą brodą.
 - Niewiasta znów potrząsnęła głową.
 - Nie przypominam go sobie, paterę. A w Limnie nie pojawiają się żadni radcy.

- Twój znajomy miał zapewne na myśli komisarzy. Oni u nas bywają, podobnie jak sędziowie i tacy tam inni. Czasami proszą o wypożyczenie łodzi, ale my im odradzamy. Sanktuarium znajduje się na szczycie urwiska i od strony wody nie ma do niego dostępu. Musisz iść Drogą Pielgrzymów. Nie dojedziesz tam żadnym pojazdem ani wierzchem, gdyż szlak prowadzi po wielkich stopniach wykutych w skale. Moim zdaniem z tego właśnie względu radcy nie pojawiają się w sanktuarium. Zresztą żadnego jeszcze w życiu nie spotkałam. Ani ja, pomyślał Jedwab, opuszczając siedzibę Juzgado. Czy w ogóle ktokolwiek ich widział? Znał ich wizerunki - w Juzgado wisiał nawet zbiorowy portret - i tak często je widywał, że odnosił czasami wrażenie, iż radcy to jego starzy znajomi. Tak naprawdę jednak nigdy żadnego nie spotkał ani nie znał nikogo, kto by ich znał.
 - A jednak Wyrak spotkał się z nimi; tak w każdym razie utrzymywała Acalypha.
 - Zapewnię nie w sanktuarium Scylli, gdyż tam radcy nie bywali, lecz w jakiejś wytwornej gospodzie lub na łodzi.
 - Nie zarżnie? - upewnił się jeszcze raz Oreb.
 - Na pewno nie. Sanktuaria nie są najlepszymi miejscami do składania ofiar, choć nie powiem, często odprawiane są w nich takie ceremonie. Wykształcona osoba, taka jak ja, odwiedza podobne przybytki, by medytować lub oddać się lekturze religijnych tekstów.
- Jak powiedziała kobieta w Juzgado, sanktuarium Scylli często odwiedzali politycy urzędujący w mieście.
- Wydawało się to trochę dziwne; politycy bowiem udawali głęboką i żarliwą wiarę, lecz w głębi duszy wcale religijni nie byli. Przewodniczący Kapituły miał w zarządzie miasta niewielki głos; tak utrzymywali wszyscy z wyjątkiem Remory.
- Ale Acalypha... nie ona, Alka - z całą pewnością Alka, który znał Wyraka z widzenia, twierdził, że człowiek ten waży tyle co wół; określił to jakoś tak. A zatem komisarz był wielkim, grubym i ociężałym mężczyzną. Mimo ogromnej tuszy odbył jednak w straszliwym upale pieszą pielgrzymkę do kaplicy poświęconej Scylli (w każdym razie wszystko na to wskazywało). Historia ta wydawała się jednak mało prawdopodobna, zwłaszcza że nie mógł tam spotkać radców. Idąc bez celu ulicą, Jedwab pocierał w zadumie policzki i bezmyślnie gapił się na witryny mijanych sklepów. Z jednej strony przechwałki komisarza o spotkaniu z radcami mogły być wierutnym łgarstwem; z drugiej strony, gdyby Żuraw stracił daremnie czas na wyprawę do Limny, nie zapłaciłby Acalyphie pięciu kart. Ale niezależnie od tego czy stracił czas czy nie, było oczywiste, że nie poszukiwał Wyraka za pośrednictwem Juzgado w Limnie, tak jak uczynił to Jedwab. Możliwe zatem, że Żuraw wcale nie tropił komisarza.
 - Coś tu się nie zgadza, Orebie. Kręcimy się jak szczur w labiryncie.
 - Żadnej łodzi?
 - Żadnej łodzi, żadnego doktora i żadnych radców. Żadnych pieniędzy. Żadnego manteionu. Żadnych moich talentów; choć Zewnętrzznemu się wydawało, że je we mnie widzi.

- A jednak rozum podpowiadał, a Pismo potwierdzało, że nieśmiertelnym bogom nigdy nic się nie „wydaje”.
 - Bogowie wiedzą!
 - Jedwab szedł ulicą Przybrzeżną na zachód. W pewnej chwili, całkiem nieoczekiwanie, ujrzał przed sobą wielki, pomalowany na biało otoczek, na którym niezdarnie wryto wizerunek Scylli z wieloma mackami.
 - Przeszedł na środek ulicy i zaczął uważnie studiować płaskorzeźbę. Pod nią dostrzegł wykuty w skale tekst rymowanej modlitwy. Wykonał w powietrzu znak dodawania, poprosił Scylle o pomoc (wyznał, jak bardzo miasto potrzebuje manteionu, oraz przeprosił pokornie za to, że zamierzał już, z czystego zaniedbania, zrezygnować z wyprawy nad jezioro, sądząc, całkiem bezpodstawnie, że nic tam ciekawego nie znajdzie), a następnie wyrecytował słowa modlitwy. Nieco rozbawił go fakt, że wryty na kamieniu wizerunek wielkiej bogini przypominał sympatyczną urzędniczkę z Juzgado.
 - Oświadczyła mu, że w przeciwieństwie do komisarzy, którzy często odwiedzają Limnę, członkowie Ayuntamiento nigdy nie odbywają pielgrzymek do sanktuarium. Czyżby sama regularnie odwiedzała przybytek i stąd wiedziała, kto w nim bywa, a kto nie?
 - Jedwab bardzo w to wątpił.
 - Ze zdziwieniem skonstatował, że nieopodal kamienia zatrzymało się z tuzin przechodniów, którzy z ciekawością obserwowali augura modlącego się ze schyloną głową przed świętym wizerunkiem. Gdy odwrócił się od kamienia, zagadnął go krepy mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, i zapytał, czy Jedwab wybiera się na pielgrzymkę do sanktuarium.

- To jeden z powodów, dla których proszę boginie o przewodnictwo - wyjaśnił Jedwab. - Kilkanaście minut temu obiecałem pewnej poczciwej kobiecie, że udam się tam przy pierwszej sprzyjającej okazji. Była to trochę zbyt pochopna obietnica, ponieważ trudno określić, co dokładnie oznacza „sprzyjająca okazja”.

- Mam tu do załatwienia kilka spraw, więc nie powinienem być nic obiecywać. Lecz skoro teraz nadarza mi się okazje odbycia takiej pielgrzymki, jestem do niej zobowiązany.
 - Nawet o tym nie myśl, paterę - wtrąciła kobieta, również w jego wieku. - Nie w taki upał.
 - Dobre dziewczę! - mruknął Oreb.
 - To moja żona, Trybułka - wyjaśnił krepy mężczyzna. - Ja nazywam się Nutria i dwukrotnie już odbyliśmy pielgrzymkę do sanktuarium. - Jedwab chciał coś powiedzieć, ale Nutria powstrzymał go gestem ręki. - W tym lokalu sprzedają zimne trunki. Jeśli rzeczywiście zamierzasz wybrać się dziś do sanktuarium, musisz zabrać ze sobą tyle napojów, ile zdołasz unieść. Z ochotą trochę ci ich kupimy.
 - Powinieneś jednak posłuchać naszej rady i nie iść tam dzisiaj.
 - Pić!

- Trybułka wybuchnęła śmiechem, a Jedwab powiedział: - Orebie, uspokój się. Ja też jestem spragniony. W lokalu panował rozkoszny, miłosierny chłód, w porównaniu z rozświeconą ulicą było mroczno.
- Mają tu piwo i soki owocowe - wyjaśnił Nutria. - Nawet mleczko kokosowe. Jeśli jeszcze go w życiu nie kosztowałeś, to... I wodę źródlaną. Powiedz, na co masz chęć.
 - Kiedy zajęli miejsca przy stoliku, pojawił się kelner.
- Dla mojej żony sok z kwaśnych pomarańcz, a dla mnie piwo. Tylko takie, które najdłużej stało w cysternie. - Zwrócił się do Jedwabia. - A czego ty się napijesz, paterę?
 - Poproszę wodę źródlaną. I dwie szklanki.
 - Widzieliśmy twój wizerunek na płocie - oświadczyła Trybułka. - Niecałe pięć minut temu... Postać augura z ptakiem na ramieniu, bardzo artystycznie namalowana kredą i węglem. Nad twoją głową twórca rysunku umieścił napis: „Jest tutaj Jedwab!”. A wczoraj, w mieście, natknęliśmy się na wypisane na murze hasło: „Jedwab na calde!”.
 - Jedwab ponuro skinął głową.
 - Nie widziałem rysunku, o którym mówisz, ale sądzę, że wiem, czyje to dzieło. Jeśli moje podejrzenia są słuszne, muszę z tą osobą przeprowadzić poważną rozmowę.
- Kelner postawił na stoliku trzy oszronione butelki, żółtą, brązową i białą, cztery szklanki, a następnie zanotował zamówienie na niewielkiej tabliczce.
 - Nutria uśmiechnął się i przeciągnął palcami po zimnym szkle brązowej butelki.
- W scyldagi, mimo panujących upałów, pojawiają się tam tłumy. Ale skwarna pogoda sprawia, że nawet w głębi sanktuarium panuje nieznośny gorąc.
 - Pod ziemią jest zimno - odrzekł Jedwab. - Sądzę, że otaczająca whorl noc jest nocą zimową. Nutria popatrzył nań ze zdziwieniem i nalał żonie soku pomarańczowego.
 - Czy nigdy nie zastanawiałeś się, synu, co znajduje się poza naszym whorlem?
 - Co znajdę, jeśli zacznę kopać? Cóż, ziemię, choćbym nie wiem jak głęboko kopał. Jedwab potrząsnął głową i otworzył butelkę ze źródlaną wodą.
- Początkujący górnik posiada większą wiedzę niż ty, synu. Każdy grabarz, a miałem ostatnio z kilkoma do czynienia i zapewniam cię, że byli zupełnymi prostakami, powie ci, że ziemia orna sięga jedynie na głębokość wzrostu człowieka. Później pojawia się glina i żwir, a za nimi jest już tylko skała i rakplast.
 - Jedwab nalał do szklanki wodę dla Oreba i przez chwilę zbierał myśli.
- Pod skałą i rakplastem, których warstwa nie jest wcale gruba, whorl obraca się w pustce. W wiekistej nocy, która bez końca rozciąga się we wszystkich kierunkach. - Zamilkł i zaczął napełniać swoją szklankę.
- Wszędzie tam porozrzucane są barwne iskry. Mówiono mi, czym są, ale w tej chwili nie

potrafię sobie tego przypomnieć.

- Myślałem, że chłód ten spowodowany jest tym, iż nie dociera tam ciepło.
- Dociera - odparł Jedwab. - Dociera poniżej cysterny z piwem, jeszcze głębiej niż studnie w moim manteionie, które zawsze, jeśli tego się pompuje, dostarczają zimnej, krystalicznej wody. Tak naprawdę ciepło dociera do najdalszych warstw whorla i tam dopiero gubi się w lodowatej nocy. Gdyby nie słońce, pierwszy i największy dar Paha dla whorla, wszyscy zamrzlibyśmy w jednej chwili. - Jedwab popatrzył na pijącego wodę Oreba, po czym sam łyknął ze swej szklanki. -Dziękuję wam. Woda jest znakomita.
- Do rozmowy włączyła się Trybułka.
- Nie zamierzam spierać się ani z Pahem, ani z tobą, paterę, 0 zaletach słońca, ale ono potrafi być bardzo niebezpieczne. Jeśli naprawdę zamierzasz odwiedzić sanktuarium, w drogę ruszaj po południu, kiedy minie największy skwar. Nutrio, pamiętasz naszą ostatnią wyprawę?
 - Jej mąż poważnie skinął głową.
- Pierwszy raz wybraliśmy się tam zeszłej jesieni. Była to piękna wędrówka, wokół rozciągały się tak przepyszne widoki, że postanowiliśmy tam wrócić w tym roku. Gdy wyruszyliśmy po raz drugi, dojrzewały już figi, choć nie było jeszcze takiego skwaru jak obecnie.
 - Nawet w przybliżeniu - przyznała Trybułka.
 - W miarę upływu czasu upał rósł. Zresztą sama mu to opowiedz, kochanie.
 - Zszedł ze ścieżki - odezwała się posłusznie Trybułka. - Z Drogi Pielgrzymów, jak ją tu nazywamy.
- Widziałam przed sobą dwa kolejne kamienie, lecz on skręcił w prawo i zaczął schodzić do niewielkiego...
 - nie wiem, jak to się nazywa. Taka niewielka, skalista dolinka między dwoma wzgórzami.
 - Wąwóz - odpowiedział Jedwab.
 - Właśnie, wąwóz. Zapytałam: „Gdzie idziesz? Tam nie ma drogi”, a on odkrzyknął: „Daj spokój, tamtędy nigdy nie dotrzemy do celu”. Pobiegałam więc za nim.
- W przyszłym roku będą mieli dziecko, nieoczekiwanie pomyślał Jedwab. Wyobraził sobie całą trójkę, jak wieczorem zasiada do kolacji w niewielkim ogródku za domem. Trybułka nie była ani tak piękna, ani czarująca jak Hiacynt, a mimo to Jedwab uświadomił sobie, że zazdrości Nutrii z całego serca.
- Wąwóz szybko się skończył, drogę zagrodziło nam pionowe skalne urwisko i mój mąż nie wiedział, co dalej robić. W końcu, zdesperowana, zapytałam: „Dokąd właściwie idziesz?”. A on odrzekł: „Do mojej ciotki”.
 - Rozumiem - mruknął Jedwab, dopił wodę ze szklanki i nalał resztę z butelki.
 - Dużo czasu mi zajęło, nim znów wyprowadziłam go na właściwy szlak. Tam ujrzałam jakiegoś człowieka wracającego z sanktuarium. Poprosiłam go o pomoc. On zaprowadził

Nutrie w miejsce, gdzie była odrobina cienia, i położył go na ziemi.

- Panował oczywiście upał? - upewnił się Jedwab.
- O tak, okropny.
- Wszystko mi się pomieszało - rozpoczął z kolei opowieść Nutria. - Nie wiem dlaczego, ale miałem zwidy, że jesteśmy w mieście i idziemy do domu ciotki. Zastanawiałem się tylko, co stało się z ulicą. Zmieniła się nie do poznania.
- - Tak czy owak spotkany na szlaku nieznajomy został z nami, dopóki Nutria nie poczuł się
- lepiej.
- Oświadczył, że mój mąż doznał lekkiego udaru i należy jak najszybciej zabrać go ze słońca, położyć w głębokim cieniu, nakarmić czymś słonym i dać do picia dużo wody. Nie mieliśmy żadnych zapasów, a od jeziora dzielił nas kawał drogi. Ten człowiek był lekarzem.
 - Bogowie! - sapnął Jedwab i popatrzył ze zdumieniem na Trybułkę.
 - O co chodzi, paterę?
 - Jak tu nie wierzyć w opatrność bogów? - mruknął Jedwab i dopił wodę. - Choć przyznaje, że i ja czasami zaczynam w nią wątpić. Powinienem wprawdzie spytać o imię tego lekarza, ale to niekonieczne. Wiem, kim jest.
 - Nie pamiętam jego imienia - wyznał Nutria. - Nie pamiętam, choć pozostał z nami przez kilka godzin i dużo ze sobą rozmawialiśmy.
 - Miał brodę i był takim samym gadułą jak ja - dodała Try - bułka.
 - Nazywał się Żuraw - oświadczył Jedwab i skinął na kelnera.
 - Właśnie. Czy to twój przyjaciel, paterę?
 - Niezupełnie. Znajomy. Napijcie się jeszcze czegoś? Bo ja tak.

Małżeństwo zgodnie skinęło głowami, a Jedwab powiedział do kelnera: - Ja płacę... za pierwsze zamówienie też.

- Pięć bitów, jeśli chcesz uiścić rachunek teraz, paterę. Czy wiesz coś o paterę Jedwabiu?
- Niewiele - wyznał Jedwab. - Obawiam się, że nie tyle, ile powinienem.
- Czy to prawda, że w świętym oknie jego manteionu ukazała się bogini? A może to jakiś magik?
- Jeśli idzie o pierwsze pytanie, odpowiedź brzmi tak - odrzekł Jedwab. - Natomiast co do drugiego, nie. - Odwrócił się do Nutrii i Trybułki. - Powiedzieliście, że doktor towarzyszył wam dłuższy czas. Zdaje sobie sprawę, że znamy się krótko i przelotnie, ale czy mógłbym spytać, o czym rozmawialiście?
 - To on właśnie jest paterę Jedwabiem - poinformowała kelnera Trybułka. - Nie widzisz ptaka? Jedwab położył na stole sześć bitkart, a Nutria powiedział: - Chciał wiedzieć, czy moi rodzice
 - cieszyli się dobrym zdrowiem, a później dokładnie mnie zbadał. Pamiętam, że spytał też, na co umarła moja babcia.

- Zadawał wiele pytań - wtrąciła Trybułka. - I kazał mi nieustannie wachlować męża.
- Oreb, który z uwagą przysłuchiwał się rozmowie, zaczął zdrowym skrzydłem zagarniać powietrze.
 - Właśnie tak, ptaszku. Właśnie tak, tylko że do tego celu używałam kapelusza.
- Przypomniałaś mi, że powinienem sobie kupić kapelusz, bo mój zostawiłem w domu - mruknął Jedwab.
 - Na szczęście mam pieniądze.
 - Kapelusz? - zainteresował się Nutria.
 - Tak. Nawet komisarz nosił... mniejsza o to. Nie znam człowieka i nie chcę udawać, że znam. Ale dość o tym. Zmierzam do tego, że zanim wybiorę się do sanktuarium, muszę kupić słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Widziałem takie na wystawie jednego ze sklepów.
 - Kelner przyniósł trzy kolejne, oszronione butelki i trzy czyste szklanki.
- Kapelusz kupisz w każdym sklepie - oświadczył Nutria. - i nie chodź z gołą głową, nad jeziorem słońce może okropnie spalić ci skórę.
- Ludzie z miasta chcą popluskać się w jeziorze, a głównie siedzą na skałach. - Trybułka roześmiała się dźwięcznie; miała miły śmiech, a Jedwab nabrał pewności, że kobieta doskonale zdaje sobie z tego sprawę.
 - Przyjeżdżają tu z miasta zwabieni urodą jeziora, szukają w wodzie ochłody. Koniecznie chcą popływać. Kiedy jednak wskoczą do wody, bardzo szybko z niej uciekają. Jedwab z uśmiechem skinął głową.
 - Kiedy popływam, sam to sprawdzę. Czy pamiętacie, o co jeszcze wypytywał doktor Żuraw?
- Chciał koniecznie wiedzieć, kto wybudował sanktuarium - wyjaśnił Nutria. - Wzniósł je przed dwudziestu pięciu laty radca Lemur. Informuje o tym brązowa tabliczka, lecz doktor zapewne ją przeoczył.
- Wypytywał też, czy Nutria jest z nim w jakiś sposób spokrewniony - dodała Trybułka. - Nie sądzę, by wiedział, co to takiego nutria. Interesowało go też, czy znamy tego radcę, czy w ogóle znamy któregoś z nich i ile mają lat. Oświadczył, że zostali radcami przed ponad półwieczem, a zatem w bardzo młodym wieku.
 - Nie wiem, czy to prawda - przerwał żonie Nutria.
 - Pytał też, czy wiemy, w jak fatalnej sytuacji znajdują się inne miasta, i czy naszym zdaniem nie powinniśmy im pomagać. Odrzekłam, że przede wszystkim należy zadbać o to, by każdy dostawał uczciwą ilość należnej mu żywności, gdyż większość kłopotów bierze się stąd, że spekulanci wykupują zboże, a następnie czekają na wzrost cen. Powiedziałam również, że nie wolno wysyłać ryżu do Palustrii, bo ceny w Viro - nie i tak są

wystarczająco wysokie.

- Uśmiechnęła się. Jedwab oddał jej uśmiech, po czym wsunął butelkę z wodą do przedniej kieszeni sutanny.
- Myślni był już przy białych głazach na Drodze Pielgrzymów prowadzącej z Limny do sanktuarium Scylli - do świętego miejsca na wyniosłych skałach klifu, które odwiedzili zarówno komisarz Wy - rak, jak i doktor Żuraw.
- Gdy w godzinę później wyruszał w drogę, słońce było niczym żywy wróg, niczym ognisty wąż przecinający niebo; potężny, zatruwający umysły, złośliwy. Droga Pielgrzymów pławiła się w skwarze i trzeci kamień, na którym Jedwab usiadł, by ponownie naładować energią owijacz, był gorący jak pokrywka kipiącego na ogniu imbryka.
- Paterę otarł pot rękawem z czoła i przez chwilę zastanawiał się, czy przed dwoma lub trzema miesiącami, kiedy tą samą drogą podążał komisarz Wyrak, również panował taki skwar. Doszedł do wniosku, że nie. Było wprawdzie wówczas bardzo gorąco i wszystkim dawało się to we znaki, ale takiego upału jak teraz najstarsi ludzie nie pamiętali.
- Wędrujemy w porze największego skwaru - odezwał się do Oreba. - Byłoby rzeczywiście rozsądniej poczekać do popołudnia, tak jak radziła Trybułka, ale o szesnastej przecież umówieni jesteśmy z Alką.
- Pozostaje nam zatem tylko krzepić się nadzieją, że jeśli przetrzymamy ten upał, co z pewnością nam się uda, to później już będzie tylko lepiej. Ochłodzi się nieco, a droga powrotna wiedzie w dół. Oreb nerwowo zaklekotał dziobem, ale nic nie odpowiedział.
- Czy widziałeś wyraz twarzy Nutrii, kiedy utykając odchodziłem od stolika? - Jedwab po raz ostatni wyrznął owija - czem w biało malowany kamień. - Gdy powiedziałem mu, że mam złamaną kostkę, myślałem, że spróbuje nas siłą zatrzymać w Limnie.
- Kiedy dźwignął się z głazu, naszła go refleksja, że wiek i tusza Wyraka stanowiły dla komisarza takie samo, a zapewne nawet większe utrudnienie niż dla niego złamana kostka. Czy komisarz, tak jak Żuraw, spotkał po drodze innych pielgrzymów? Czy z nimi rozmawiał?
- A co on, paterę Jedwab z ulicy Słońca, miał mówić spotykanym ludziom; o co powinien ich pytać?
- Pokonując mozolnie drogę, próbował wymyślić jakiś rozsądny powód, by móc zaczepiać spotykanych na szlaku ludzi i pytać, czy znają doktora Żurawia, czy kiedykolwiek już spotkali go na Drodze Pielgrzymów, o czym z nim rozmawiali.
- Żadna okazja jednak się nie nadarzyła. Droga, choć doskonale oznakowana (zgodnie z zapewnieniem kobiety w Juzga - do), była pusta, stroma i kamienista. W potokach słońca coraz mocniej lśniła niebieska tafla jeziora, od której dzieliło go zawrotne, zapierające dech w piersi urwisko.
 - Jedwab zerknął na Oreba.

- Twoim zdaniem, gdyby jakiś augur musiał przemierzać tę drogę przez całe życie, dzień w dzień, bez względu na pogodę, bez względu na samopoczucie, to czy w ostatnim dniu jego żywota na whorlu nie ukazałaby mu się w końcu wynurzająca się z toni jeziora Scylla Rozkołysana? Ja osobiście, gdybym nie musiał opiekować się swoim manteionem, gdyby mieszkańcy dzielnicy tak rozpaczliwie nie potrzebowali mych posług i gdybym nie musiał z rozkazu Zewnętrznego ratować świątyni, byłbym skłonny podjąć się takiego zadania. Gdybym nawet zawiódł, los wielu ludzi byłby i tak nieporównanie gorszy od mego.
 - Oreb w odpowiedzi mruknął coś niezrozumiale.
 - - Ostatecznie to sama Scylla, najstarsze dziecko Paha, wybiera nas na augurów. W scholi uczono nas, iż rokrocznie przybywa na czele flotylli młodych, chętnych mężczyzn i niewiast.
 - Nachylona skała dawała kilka łokci kwadratowych cienia. Jedwab przykucnął pod nawisem i zaczął rondem szerokiego kapelusza kupionego w Limnie wachlować twarz.
- Ci, których pociąga ideał świętości, żeglują tuż obok Scylli. Spośród nich właśnie bogini wybiera pewną liczbę swych ulubieńców; ani wielką, ani małą, akurat potrzebną na ten rok.
- Inni, odstręczani ideałami życia augurów ślubujących prostotę życia i moralną czystość, trzymają się od bogini jak najdalej. Spośród nich Scylla również wybiera pewną liczbę ulubieńców; ani wielką, ani małą, akurat potrzebną na ten rok. Z tego też względu artyści przedstawiają ją w wieloma ramionami przypominającymi bicze. Rozumiesz, mnie zagarnęła jednym z tych ramion. Orebie, możliwe, że zagarnęła również i ciebie.
 - Nie widzi!
 - Ja też nie - przyznał Jedwab. - Ja również jej nie widziałem. Lecz czułem, jak przyciąga mnie do siebie.
- Wyobraź sobie, mój drogi, iż wierzę, że pielgrzymka ta w cudowny sposób uleczy mi nogę. Musiałem zmusić ją do maksymalnego wysiłku. A teraz następna kwestia. Czy twoim zdaniem powinienem złożyć Scylli w ofierze laskę, którą dostałem od Krwi?
 - Nie uderzy?
 - Przysięgam, nie uderzę.
 - Zatrzyma.
 - Obawiasz się, że znajdzie ją ktoś inny i zacznie cię bić? Nie bój się. Cisnę ją w przepaść jak najdalej.
- Jedwab dźwignął się z ziemi i podszedł ostrożnie na sam skraj urwiska. Pod nogami otwierała mu się pięciusetłokciowa otchłań. Na dole fale jeziora obmywały skalne płyty.
- I co ty na to, Orebie? Czy mam złożyć Scylli Rozkołysanej nieformalną ofiarę? Z całą pewnością za jej zrządzeniem spotkaliśmy tamto sympatyczne małżeństwo. Chętnie podali nam swój adres, a niektóre pytania, jakie zadawał im doktor Żuraw, były bardzo znaczące i dają dużo do myślenia.

- Zamilkł. Nagły podmuch chłodnego wiatru, jakby stanowiący nieoczekiwany podarek bogini, targnął połami czarnej sutanny Jedwabia, osuszył pot przenikający jego koszulę.
- Z Alką i Acalyphą zastanawiałem się, czy oddać Żurawia w ręce gwardzistów, gdy już dostaniemy od niego pieniądze. Problem ten dręczył mnie wtedy i dręczy nadal. By do tego nie dopuścić, jestem prawie gotów zawieść Zewnętrznego.
 - Dobry człowiek!
 - Zgadza się. - Jedwab próbował wesprzeć się na lasce, ale ślizgała się po wygładzonych kamieniach i paterę rozważnie dał krok do tyłu. - W tym szkopuł. Gdybym dowiedział się, że któryś z moich znajomych udał się do innego miasta, by szpiegować na rzecz Yironu, uważałbym go za bohatera i patriotę. Doktor Żuraw natomiast jest szpiegiem innego miasta; swojej ojczyzny. Może to być Ur, Urbs, Trivigaunte, Sedes lub Palustria. Czyż w takim razie również nie jest na swój sposób bohaterem i patriotą?
 - Idzie dalej?
 - Chyba masz rację. Należy zająć się własnymi sprawami. - Jedwab przypomniał sobie, gdzie jest, i popatrzył pod nogi, na rozciągające się w dole jezioro. - Chcę powiedzieć, że jeśli Scylla przyjmie moją ofiarę, to znaczy jeśli laska wpadnie do wody, pozwolę Żurawowi odejść, gdy mój manteion będzie już bezpieczny. Doktor opuści bezpiecznie Viron, nie będziemy go dłużej molestować.
- A już na pewno nie oddamy w ręce gwardzistów... hycli, jak mawia Alka. - Stuknął laską w skałę. - Ale ofiara laski byłaby jedynie gusem niegodnym augura. Należy zatem później złożyć przed świętym oknem stosowną ofiarę, najlepiej w scyldag, zgodnie z wszelkimi wymogami ceremoniału.
 - Nie zarżnie!
 - Nie ciebie. Ile razy mam ci to powtarzać? Barana, jakieś inne zwierze, ale z całą pewnością nie ciebie.
- Widzisz, Orebie, niegdyś ludzie umieli wróżyć z wody. Sztukę tę posiadali wybrani augurowie, odczytywali wolę Scylli z ruchu fal. Całkiem przypadkowo przypomniałem sobie o tym w Juzgado, gdy rozmawiałem z tamtą uprzejmą kobietą. Pomysł ten przyszedł mi do głowy już wcześniej, gdy tylko ujrzałem jezioro, i wcale bym się nie zdziwił, gdyby taki właśnie cel przyświecał radcy Le -murowi, kiedy budował sanktuarium, do którego zmierzamy. Wrózenie z wody znane było już sto lat temu, a zatem chciał przypomnieć o nim tysiącom ludzi. Radca Lemur po prostu pragnął wskrzesić ten obyczaj.
- Ptak nic nie odpowiedział, a Jedwab jeszcze przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, wpatrzony się w kotłujące się daleko w dole fale jeziora. Później przeniósł wzrok na postrzępione skały.
- Czy widzisz już sanktuarium? - Wskazał kierunek laską. - Filary podtrzymują kopułę niczym ramiona Scylli. Czy dostrzegasz ich falistą linię?
 - Tam człowiek!

- W błękitnawej poświęconej przez chalcedonowe sanktuarium Scylli majaczyła niewyraźna sylwetka, jednak szybko zniknęła. Zapewne człowiek ten opadł na kolana.
- Masz rację - mruknął Jedwab. - Ktoś tam jest. Ktoś przed nami wybrał się na pielgrzymkę. Zaraz do niego dołączymy.
- Dłuższą chwilę spoglądał na sprawiające wrażenie jak nie z tego whorla sanktuarium, po czym zerknął na ptaka.
- Pewnie spotkamy go na ścieżce. W każdym razie należy poczekać, aż skończy modły. Co z laską? Mam ją wrzucić do jeziora?
 - Nie rzuci! - Oreb rozłożył skrzydła, jakby zamierzał wzbić się w powietrze. - Zatrzyma!
 - Masz rację. W powrotnej drodze noga zapewne będzie mnie jeszcze bardziej boleć.
 - Jedwab walczy.
 - Czym, Orebie? Laską? Mam azoth i niewielki igłowiec. To bardzo skuteczna broń.
 - Walczy! - powtórzył nocny kruk.
 - Z kim? Nikogo nie widzę.
 - Oreb zaświstał, a po chwili wydał kolejny, dużo wyższy dźwięk.
 - Czy w mowie ptaków znaczy to „kto wie?”. Cóż, ja nie wiem. Ani ty, Orebie.
- Cieszę się, że zabrałem ze sobą broń, bo dzięki temu paterę Gulo jej nie odkryje, a na pewno w tej chwili dokładnie przeszukuje moją sypialnię. Gdyby jednak broń nie należała do Hiacynta, rzuciłbym ją wraz z laską do jeziora w ofierze dla bogini. Wtedy Gulo z całą pewnością nigdy by jej nie odkrył.
 - Zły człowiek?
 - Chyba tak. - Jedwab odwrócił się w stronę Drogi Pielgrzymów. - Prawdopodobnie wierzy głęboko, że jest dobry, a tacy ludzie należą do najniebezpieczniejszych.
 - Uwaga.!
 - Uważam - zapewnił ptaka Jedwab, choć nie wiedział, czy stworzenie miało na myśli paterę Gulo, czy skalistą drogę prowadzącą samym skrajem urwistego klifu. - Tak zatem, jeśli mam rację, paterę Gulo stanowi odwrotność Alki, który jest dobrym człowiekiem, a uważa się za złego.
 - Chyba zdążyłeś już sam to zauważyć?
 - Zauważyć.
 - Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. Alka bardzo mi pomógł; nie wspominam już nawet tej brylantowej błyskotki. Paterę Gulo był bardzo zgorzony bransoletą, którą wręczył mu inny złodziej. Nie mam pojęcia, co by powiedział lub zrobił, gdyby odkrył azoth.
 - Człowiek idzie.
 - Masz na myśli paterę Gula? Cóż, sądzę, że jakoś sobie poradzę, choć chwilowo nie mam jeszcze żadnych pomysłów.

- Człowiek idzie - powtórzył gniewnie Oreb. - Żadnych modłów.
- Ach, rozumiem! Opuścił już sanktuarium. - Jedwab wskazał kaplicę łaską. - Nie mógł wyjść, chyba że skoczyłby ze skał. Nie widziałem, jak wychodzi, a mam stąd bardzo dobry widok.
- Ku zdziwieniu Jedwabia, Oreb podskoczył mu na ramieniu, wzbił się w powietrze, a po chwili wrócił.
 - Nie widzi.
 - Wiem, że go nie widzisz. Wciąż przebywa w sanktuarium. Zapewne poniżej jego poziomu znajduje się wykuta w skale kaplica. Droga wprawdzie odbija teraz w stronę łądu, lecz za niecałe pół godziny dotrzemy na miejsce i sami wszystko sprawdzimy.
 - **RAMIONA SCYLLI**
 - Niech sprzyja ci każdy bóg tego... yyy... popołudnia, paterę - powiedział Remora, gdy protonotariusz wpuścił do środka Gulo i zamknął za nim drzwi. Takie powitanie ze strony Remory było czymś niezwykłym. - I wzaj emnie, Wasza Eminencj o. - Gulo skłonił się prawie do ziemi.
 - Ów ukłon i konwencjonalne słowa dały mu czas na zebranie myśli i ustalenie kolejności spraw, jakie miał zreferować.
- Niech Waszej Eminencji zawsze błogosławią Molpe Dziewicza, patronka dnia, Pah Wielki, patron whorla, któremu zawdzięczamy wszystko, oraz Scylla Parząca, patronka naszego świętego miasta. - W trakcie ukłonu poklepał się dyskretnie po kieszeni, gdzie trzymał bransoletę i list. - Mam nadzieję, że Wasza Eminencja cieszy się dobrym zdrowiem, a moja wizyta nie jest nie w porę. - Ach, bynajmniej - odparł uprzejmie Remora. - Hm... wcale nie. Wręcz... aaa... jestem bardzo rad, bardzo, z twego widoku, paterę.
 - Siadaj, proszę. Jakie wrażenie wywarł na tobie... aaa... młody Jedwab?
 - Pękaty Gulo usadowił się w obitym czarnym aksamitem fotelu stojącym nieopodal sekretarzyka Remory.
- Jak dotąd nie miałem okazji bliżej go poznać. Opuścił manteion w kilka minut po moim przybyciu i nadal go nie ma. Oświadczył, że wróci wieczorem, więc zapewne przyjdzie mi na niego jeszcze trochę poczekać.
 - Remora skinął głową.
- Ale muszę wyznać Waszej Eminencji, iż mimo że widziałem go krótko, wywarł na mnie ogromne wrażenie. Ogromne.
- Aaa... rozumiem. - Remora rozparł się na krześle i złożył dłonie, stykając palce opuszkami. - Byłoby jednak dobrze, gdybyś... hm... opisał ze szczegółami to wasze pierwsze, przelotne spotkanie.
- Wedle życzenia Waszej Eminencji. Wkrótce po tym jak znalazłem się w tamtej dzielnicy, jakiś obcy człowiek wręczył mi to.

- Paterę Gulo wyciągnął z kieszeni bransoletę i podał Remo - rze, który ściągnął usta.
- Muszę dodać, Wasza Eminencjo, że podczas mego pobytu w manteionie pojawiło się przed drzwiami plebanii wiele osób. Odniosłem wrażenie, mam wręcz pewność, że przyszli z podobnymi darami. Na wieść jednak, że paterę Jedwab jest nieobecny, odchodzili.
 - Aaa... próbowałeś może trochę ich podpytać, paterę?
- Na ile się odważyłem. Nie byli to ludzie, których można bezkarnie podpytywać Remora chrząknął.
- Miałem właśnie zamiar powiedzieć Waszej Eminencji - ciągnął Gulo - że kiedy pokazałem tę bransoletę paterę Jedwabowi, on wręczył mi podobny klejnot i polecił oba zamknąć w kasie.

Była to brylantowa bransoletka na nogę, Wasza Eminencjo. Towarzyszyły mu dwie osoby, mężczyzna i kobieta. We trójkę pojechali nad jezioro. Wywnioskowałem to z ich rozmowy. - Chrząknął znacząco. - Wydaje mi się, Wasza Eminencjo, że Jedwab pojechał tam tylko z kobietą, a mężczyzna miał do nich dołączyć później.

- Wyczuwam w twych słowach potępienie. Czyżbyś uważał, że paterę powinien postępować dyskretniej? - Remora jeszcze bardziej skulił się na krześle. - Lecz skoro nie wiesz, kim były owe dwie osoby, nie możesz... hm... przesądzać, czy Jedwab zachowuje się dyskretnie, czy niedyskretnie. Mam rację? Gulo poruszył się nerwowo.
 - - Nazywali się Alka i Acalypha, Wasza Eminencjo. Przedstawił mi ich.
- Pokaż mi tę... aaa... bransoletę. - Remora wyciągnął do Gula rękę. - Chyba nie muszę ci mówić, paterę, że i ty... aaa... powinieneś być dużo bardziej dyskretny. Aaa... w tym przypadku przez dyskrecję rozumiem... hm... stanowczość. Jestem pewien, że... aaa... pojmujesz znaczenie tego słowa. Dzięki dyskrecji, paterę, będziesz miał lepszy osąd sytuacji, prawda? W tej konkretnej... aaa... kwestii dobry osąd pozwoli ci przyjąć bardziej zdecydowaną strategię. Podejście. Albo nastawienie.
 - Rozumiem, Wasza Eminencjo.
 - Powinieneś łaskawie i z wdzięcznością brać od wiernych dary, paterę. - Remora poruszył bransoletą i w kamieniu odbiło się światło z owalnego okna. - Nie chcę... aaa... hmm... słuchać żadnych wykrętów w tej kwestii, paterę. Czy wyrażam się jasno? Żadnych.
 - Gulo potulnie skinął głową.
- Ci... aaa... dżentelmeni wrócą, prawda? Zapewne jeszcze... hm... pod nieobecność paterę. Może zatem trafić ci się... hm... doskonała okazja, kiedy... aaa... wybije godzina spłaty twego długu, prawda? Nie jest to niemożliwe. Dopilnuj tego, paterę.
 - Gulo skulił ramiona.
 - Spróbuję, Wasza Eminencjo. Zapewniam, że będę działać stanowczo.
- Zatem dobrze. Jakie masz... aaa... uwagi na temat samego Jedwabia? Jego rysopis... aaa...

możesz pominąć.

- Tak, Wasza Eminencjo. - Gulo na chwile zamilkł. Usta miał otwarte, wypukłe oczy bez wyrazu. - Sprawiał wrażenie bardzo zdecydowanego.
- Hm... zdecydowanego? - Remora położył bransoletę na stercie papierów zalegających sekretarzyk. - Na co?
- Nie wiem, Wasza Eminencjo. Ale szczęki miał zaciśnięte. Zachowywał się władczo. Jeśli mogę się tak wyrazić, Wasza Eminencjo, oczyma miotał stalowe błyski. Na twarzy malował mu się ironiczny uśmiech...
 - Rozumiem, rozumiem - odparł surowo Remora.
 - Poza tym wyczułem w nim wielką energie. W scholi paterę Jedwab był o dwie klasy wyżej ode mnie.
 - Remora skinął głową.
- Znałem go jak wszystkich innych kolegów, Wasza Eminencjo. Był przystojny, pilny i rozmiłowany w nauce, jakkolwiek trochę ospały, że tak się wyrażę. Teraz jednak...
 - Remora zbył ten temat machnięciem ręki.
- Twierdzisz, że paterę... aaa... wyjechał gdzieś ukradkiem? Z tamtą parą. Czy twoim zdaniem... hm... aaa...
 - było to małżeństwo?
 - - Chyba tak, Wasza Eminencjo. Kobieta nosiła pierścionek. Remora obracał w palcach wysadzany drogimi kamieniami gammadion, który nosił na szyi.
 - Czy możesz ich opisać? Jak... yyy... wyglądali.
 - Mężczyzna sprawiał groźne wrażenie, Wasza Eminencjo, i był trochę starszy ode mnie. Nie ogolony, lecz ubrany przyzwoicie. U pasa nosił kordelas. Proste, kasztanowe włosy, Wasza Eminencjo. Rudawa broda i czarne, przenikliwe oczy. Wysoki. Szczególną uwagę zwróciłem na jego dłonie, gdy odbierał ode mnie te bransoletę. I kiedy mi ją oddawał. Wyjątkowo duże i muskularne, Wasza Eminencjo. Jestem przekonany, że to awanturnik. Niech Wasza Eminencja nie sądzi, że ponosi mnie fantazja.
 - Remora ponownie chrząknął.
 - Mów dalej, paterę. Opowiedz wszystko. Później ja ci coś powiem.
 - Ten kordelas, Wasza Eminencjo. Miał mosiężną rękojeść i dużą gardę. Sądząc po pochwie, był dłuższy i szerszy niż typowa broń. Odniosłem wrażenie, iż nóż ten bardzo przypomina swego właściciela, jeśli Wasza Eminencja wie, co mam na myśli.
 - Aaa... wątpię, byś sam to rozumiał, paterę. Niemniej szczegóły te mają...
- hm... pewną wartość. Mów teraz o kobiecie. Acalypha, tak? Pozwalam ci w dalszym ciągu puszczać wodze fantazji.
 - - Bardzo atrakcyjna, Wasza Eminencjo. Ma około dwudziestu lat i jest wysoka... Było w niej coś...

- Remora gestem przerwał Gulowi w pół słowa.
 - O wiśniowych włosach?
 - Zgadza się, Wasza Eminencjo.
 - Znam ją, paterę. Widziałem ją... aaa... wczoraj wieczorem. A wiec jednak owa...

aaa... ognista zmijka wróciła rankiem do manteionu. Będę miał to i owo do powiedzenia moim... hm...

ad - herentom, paterę.

Rzucmy jeszcze raz okiem na te błyskotkę.

Wziął do ręki bransoletę.

- Orientujesz się w jej wartości? Zielony kamień... Ile twoim zdaniem może to kosztować?
- Pięćdziesiąt kart, Wasza Eminencjo?
- Nie mam pojęcia. Jeszcze jej... hm... nie dałeś do wyceny? Nie, nie rób tego.

Odlóż ją na miejsce. Nie mów Jedwabiowi, że mija... aaa... pokazywałeś. Powiem mu to osobiście. Wychodząc stąd, zawiadam Kowadełko, że w tardag chce porozmawiać z paterę. Niech Kowadełko wystosuje list, który ty zanieziesz Jedwabiowi. Ale nie wspominaj mu o naszej rozmowie. I niech Kowadełko umieści to spotkanie w moim terminarzu.

- Zrobię, jak każesz, Wasza Eminencjo.
- Aaa... co owa niewiasta robiła i mówiła w twojej obecności? Powtórz każde słowo.
- Chyba nie odezwała się ani razu, Wasza Eminencjo. Niech sobie dokładnie przypomnę...
- Tak, tak, dobrze się... aaa... zastanów - łaskawie zezwolił Remora.

Gulo zamknął oczy, pochylił głowę i przyłożył rękę do skroni. W przestronnej sali, w której paterę Remora, jako koadiu - tor, prowadził zawikłane sprawy Kapituły, zapadła głęboka cisza. Z bezcennego malowidła pędzla Firletki spoglądał na Gula czterema płonącymi oczyma Pah Dwugłowy. Z ulicy dobiegał nieustanny, miarowy krok gwardzisty.

Po dwóch minutach Remora wstał z miejsca i podszedł do owalnego okna. Było otwarte (jego szerokość wielokrotnie przewyższała wysokość). Rozciągał się z niego widok na masywne A wieże Juzgado oraz na stromy zachodni stok Pałatynu. Nad najwyższą z wież, na niewidocznym na tle jaskrawego słońca maszcie powiewał jasnozielony sztandar Yironu. Wymalowane na nim długie białe ramiona Scylli, kapryśnie ożywiane przez lekki, gorący wiatr, zdawały się chwiać niczym wypustki pewnego gatunku bezkręgowców żyjących w jeziorze, które falując w rytm fal, poszukują na oślepie w czystych wodach żywych ryb i kawałków padliny.

- Wasza Eminencjo, mogę dokładnie sprawę zreferować. Remora odwrócił się do Gula.
- Doskonale. Aaa... kapitalnie! Mów, paterę.
- Nasze spotkanie, jak już Waszej Eminencji mówiłem, było krótkie. Gdyby trwało dłużej, nie zapamiętałbym wszystkich szczegółów. Czy Wasza Eminencja widział niewielki ogródek przylegający do manteionu?

- Remora skinął głową.

- Otóż przez ten ogród, Wasza Eminencjo, można dostać się do manteionu... Tak właśnie ja się tam dostałem, gdyż najpierw udałem się do manteionu. Sądziłem, że paterę Jedwab odprawia modły.
 - Mów o kobiecie. O tej... aaa... Acalyphie?

- Pośrodku ogrodu stoi obrosnięta winoroślą altana. Kobieta siedziała w środku, prawie całkowicie skryta przez zielony gąszcz. Paterę i tamten człowiek świecki, Alka, z ożywieniem o czymś z nią rozprawiali.
 - Obaj wyszli mi na spotkanie, lecz ona została w środku.
 - A czy... aaa... wyszła w końcu z altany?
 - Tak, Wasza Eminencjo. Rozmawialiśmy z minutę. Paterę Jedwab przedstawił mi ich z imienia. Następnie oświadczył, że wychodzi, a jego ptak... czy Wasza Eminencja widział to stworzenie?
 - Remora znów skinął głową.
 - Kobieta, paterę! Mów o kobiecie.
 - Jedwab oświadczył mi, że wychodzą, i wtedy właśnie ona opuściła altanę.

- Powiedział... chyba przytaczam jego słowa dosłownie: „Acalypho, to jest paterę Gulo. Rozmawialiśmy o nim wcześniej”. A ona z uśmiechem skinęła głową.
 - I co dalej? Co wydarzyło się... aaa... później?
 - Odeszli, Wasza Eminencjo. Cała trójka. Paterę rzekł: „Jedziemy nad jezioro, niemądry ptaku”. A kiedy szli w stronę bramy... z ogrodu na ulicę Słońca wychodzi się przez bramę, Wasza Eminencjo... ów świecki mężczyzna powiedział: „Mam nadzieję, że coś znajdziecie, lecz jeśli się wam nie powiedzie, nie spuszczać nosów na kwintę”. Kobieta nic na to nie odpowiedziała.
 - Jak była ubrana, paterę?
 - W czarną suknie, Wasza Eminencjo. W pierwszej chwili sądziłem nawet, że to habit, lecz była to czarna wełniana suknia, jakie modne kobiety noszą zimą.
 - Kosztowności? Powiedziałeś, że na palcu nosiła pierścionek, nieprawdaż?

- - Zgadza się, Wasza Eminencjo. Oraz nefrytowe naszyjnik i kolczyki. Lecz najpierw dostrzegłem pierścionek, ponieważ rzucał migotliwe lśnienia, kiedy jego właścicielka rozchyłała gąszcz winorośli. W pierścieniu ten wprawiono ciemnoczerwony kamień

przypominający rubin. Bardzo duży.

- Sam pierścionek był chyba ze szczerego złota. Gdyby tylko Wasza Eminencja powiedział mi...
- Dlaczego Acalypha jest taka... hm... ważna? Może wcale nie jest. - Remora ciężko westchnął, odepchnął krzesło od se - kretarzyka i znów podszedł do okna. Stojąc plecami do Gulo, założył ręce do tyłu i powtórzył: - Może wcale nie jest.
 - Jak nakazywało dobre wychowanie, Gulo również wstał.
- Albo... hm... przeciwnie, jest. Pałasz chęcią służenia bogom, paterę - zastanawiał się na głos Remora. - Prawda?
 - O tak, Wasza Eminencjo. Pragnę służyć im z całego serca.
 - A także dostać się do... aaa... ksiąg... yyy... hm... wyjątkowo licznej rodziny. To również... aaa...
- zauważyłem. Liczysz nawet, że przy... hm... korzystnym układzie zostaniesz przewodniczącym Kapituły, czy nie tak?
 - Gulo zarumienił się jak dziewczyna.
 - Och, nie, Wasza Eminencjo. Ja... ja...
 - Nie zaprzeczaj. Każdy młody augur ma takie ambicje; ja też pragnąłem podobnego zaszczytu. Ale czy ci, na których zamierzasz wyrzucić stosowne wrażenie, docenią ciebie, skoro zdążyłeś zaledwie...
 - hm... liznąć tego miodu? Na co liczysz, paterę, Gulo, mój chłopcze? Że twoi konkurenci umrą?
 - Odejda? Zapomniani przez wszystkich z wyjątkiem bogów? A ty? Zapomniany przez wszystkich z wyjątkiem bogów i ciebie? Kto może ręczyć za bogów? Taka jest... aaa... prawda. Yyy... zaręczam ci.
 - Gulo przełknął ślinę, lecz rozsądnie milczał.
 - Nie dokonasz tego, choćbyś nie wiadomo jak się starał, paterę. Żadną miarą. Nie obejmiesz tego urzędu.
- A na pewno nie przed moją śmiercią. Ani przed śmiercią mego następcy. Wciąż będziesz... aaa... za młody.
 - Nawet gdybym żył długo. Wiesz o tym, prawda? Nie jesteś przecież głupcem. Nieszczęsny Gulo miał ochotę skryć się w mysią dziurę. Koadiutor odwrócił się w jego stronę.
 - Nie mogę... hm... mówić za niego, prawda? Za swego następcę. Tylko za siebie. Co zaś do mnie... aaa...
 - hm... zamierzam sprawować władzę dłużej niż stary Kwezal.
 - Zawsze życzyłem Waszej Eminencji jak najlepiej.
 - Jego pokoje mieszczą się tam, paterę. - Remora wykonał ręką nieokreślony ruch.
 - Na tym piętrze pałacu.

- W południowym skrzydle. Ich okna wychodzą na ogród. - Zachichotał. - Większy niż ogród paterę Jedwabia. Dużo... aaa... rozleglejszy. Fontanny... aaa... posągi i wielkie drzewa. Gulo skinął głową.
 - To piękny ogród, Wasza Eminencjo.
 - Sprawuje urząd już od trzydziestu trzech lat. Stary Kwezal. Paterę, istnieje setka... aaa... kandydatów z twego pokolenia. Wielu z nich ma lepsze... hm... koneksje niż ty. Ja... aaa...
 - proponuję ci bliższy cel, prostszą... aaa... drogę do zaspokojenia twych ambicji. Remora wrócił na krzesło i gestem polecił Gulowi usiąść.
 - Aaa... masz ochotę na niewinną zabawę? Żeby przetrwać jakoś tę... hm...
- najgorętszą porę dnia. Wybierz sobie miasto, paterę. Którekolwiek, byleby nie Yiron. Mówię całkiem poważnie. W ramach... hm... naszej zabawy. Zastanów się. Duże? Piękne? Bogate? Które miasto wybierzesz, paterę?
 - Czy może być Palustria, Wasza Eminencjo?
 - Najmniejsze z najmniejszych, tak? Dobrze. Wyobraź sobie, że jesteś głową Kapituły w Palustrii. Za jakieś... aaa... dziesięć lat. Będziesz płacić dziesięcinę macierzystej Kapitulie w Yironie i będziesz podlegał bezpośrednio jej przewodniczącemu, tak? Ktokolwiek nim zostanie. Staremu Kwezalowi albo... aaa... mnie, bo za dziesięć lat najpewniej ja go zastąpię. Paterę, czy taka perspektywa...
 - hm... wydaje ci się atrakcyjna?
- Remora znów machnął ręką, nie dając mu dojść do głosu. - Nie musisz odpowiadać, jeśli... aaa... wprawia cię to w zakłopotanie.
 - Wasza Eminencjo...?
 - Nie wiem. Lecz nie zapominaj, że mamy susze. Jesteś tego świadom, prawda? Nie unikniemy jej. Jaka jest sytuacja żywnościowa Palustrii podczas suszy?
 - Gulo przełknął ślinę.
- Słyszałem, że pola ryżowe nie wydały plonu, Wasza Eminencjo. U nas na rynku brakuje ryżu, choć pojawiło się kilku handlarzy z tym towarem.
 - Remora skinął głową.
 - Wybuchły tam zamieszki, paterę. Ale... hm... głodu nie ma. Jeszcze nie ma. Lecz wisi nad nimi to widmo.
- Żołnierze próbują... yyy... kontrolować... aaa... tłum. Niektórzy z tych żołnierzy są już kompletnie zużyci.
 - Masz w rodzinie wojskowego, prawda?
 - - Ja... tak... jeden z moich wujów służy w wojsku, Wasza Eminencjo - wydukał zdezorientowany tak nieoczekiwaną zmianą tematu Gulo.
 - Major w Drugiej Brygadzie. Zapytaj go, gdzie jest obecnie nasza armia, paterę. A może już wiesz?

- Prysłuchiwałaś się... hm... rozmowom przy stole. Gdzie ona jest?
- W przechowalni, Wasza Eminencjo. Pod ziemią. W Yironie całkowicie wystarcza nam gwardia cywilna.
- No właśnie. Ale nie wszędzie tak jest, paterę. Umieramy, prawda? Starzejemy się jak... aaa... Jego Mądrość. I ruszamy ścieżką wiodącą do Centralnego Procesora. Ale chemy żyją dłużej. Wiecznie?
 - Nie zastanawiałem się nad tą sprawą, Wasza Eminencjo. Przemyśle... Remora uniósł w uśmiechu kącik ust.
 - Przemy ślisz? Z całą pewnością, paterę. Ale dobrze wiedzieć, że... aaa... ramiona Scylli są jak nowe.
- Albo... aaa... prawie jak nowe. Inaczej rzecz ma się... aaa... hm... w Palustrii, prawda? I w innych miastach.
- Żołnierze... aaa... są prawie jak nowi. Ich broń też. Pomyśl o tym, paterę. - Remora wyprostował się na krześle i oparł łokcie na sekretarzyku. - Co... hm... masz mi jeszcze do zakomunikowania o Jedwabiu?
- Wasza Eminencjo wspomniał o broni. Znalazłem igły w papierowym pudełku, Wasza Eminencjo. W otwartym pudełku.
 - Pudełko igieł, paterę? Nie rozumiem...
- Nie igieł do szycia - wyjaśnił pośpiesznie Gulo. - Mówię o nabojach do igłowca, Wasza Eminencjo.
 - Jedwab trzyma je pod bielizną w jednej z szuflad.
 - Aaa... ciekawa sprawa - oświadczył powoli Remora. - Hm... jest to... hm... pewien kłopot. Niewątpliwie.
 - Czy masz coś... aaa... jeszcze?
- Tak. Ostatnia rzecz, Wasza Eminencjo. Donoszę o tym z bólem serca. Mam list. - Gulo wyciągnął z kieszeni sutanny kopertę. - Jest od...
 - Yyy... otworzyłeś go. - Remora obdarzył Gula serdecznym uśmiechem.
 - Pisany kobiecą ręką, Wasza Eminencjo. I mocno pachnie perfumami. Uważałem zatem za swój obowiązek rozpieczeto - wać kopertę. Miałem jednak gorącą nadzieję, Wasza Eminencjo, iż list ten pochodzi od jego siostry lub kuzynki, Wasza Eminencjo. A jednak...
 - Jesteś... aaa... odważny, paterę. To dobrze. Sphigx faworyzuje odważnych. - Popatrzył na rozłożony list. - Nie jest od... hm... Acalyphy, prawda? Inaczej od razu byś mi o tym powiedział.
 - Wasza Eminencjo się nie myli. List pochodzi od innej kobiety.
 - Przeczytaj mi ten list, paterę. Zapewne lepiej niż ja poradysz sobie z tymi... hm... bazgrołami.

- Obawiam się, Wasza Eminencjo, iż uznasz ten list za kompromitujący. Chciałbym...
- Osąd zostaw mnie. Czytaj.
- Gulo chrząknął i przysunął papier do oczu.
- „Najdroższa malutka pchełko. Piszę tak do ciebie nie dlatego, że wyskoczyłeś z mego okna, lecz że wskoczyłeś do mego łóżka! Jakże twój samotny paczuszek tęsknił za listem od ciebie!!!!”.
 - Paczuszek, paterę?
 - Kobieta, Wasza Eminencjo.
 - Cóż... aaa... doskonale. Czytaj dalej, paterę. Są tam jeszcze jakieś... aaa... rewelacje?
- Obawiam się, że tak, Wasza Eminencjo. „Mógłbyś przesłać go za pośrednictwem naszego miłego przyjaciela, który już raz przekazał ci mój prezencik”.
- Pozwól, że sam... aaa... obejrzę ten list, paterę. Remora wyciągnął rękę i Gulo wręczył mu kartkę papieru noszącą ślady wielokrotnego składania i rozkładania.
 - Aaa... hm...
 - No właśnie, Wasza Eminencjo.
 - Naprawdę tak... aaa... napisała. Prawda? Tak, tak. Nigdy bym... eee... nie przypuszczał, że istota ludzka może coś podobnego wypisywać. - Remora, marszcząc brwi, jeszcze bardziej pochylił się nad listem. - „Teraz winien mi jesteś”... aaa... hm... „gorące podziękowania”. Jakżeby inaczej, co?, J wiele, wiele więcej, ale to” ... aaa... hm...”, „kiedy znów się spotkamy. Chyba znasz tamto miejsce na”... hm... „Palatynie”...
 - Proszę, proszę!
 - No właśnie, Wasza Eminencjo.
 - „Tamto miejsce na Palatynie, gdzie Thelx”... Zapewne chodziło jej... aaa... o Thekiepeię, lecz nie umiała poprawnie napisać jej imienia. „Gdzie Thelx trzyma zwierciadło. W hie - raxdag”.
 - To ostatnie słowo podkreślone. Grubą kreską. Podpis: „Hia”.
 - Remora postukał w list długim paznokciem.
- I co ty na to, paterę? Czy wiesz, o co jej chodzi? Jakiś obraz... aaa... jak sądzę. Ale w żadnym z manteionów. Znam je wszystkie.
 - Gulo potrząsnął głową.
 - Nigdy takiego wizerunku nie widziałem, Wasza Eminencjo.
 - Najprawdopodobniej w jakimś... aaa... domu, paterę. W prywatnej... hm... rezydencji. Takie jest... aaa...
 - moje zdanie. Kowadełko!!!
 - W progu stanął niski augur o szelmowskim wyrazie twarzy. Pojawił się tak szybko, bo podsłuchiwał pod drzwiami.

- Czy spotkałeś gdzieś tutaj, na Palatynie, wizerunek... aaa... Thelxiepei z lustrem? Nie widziałeś? Zatem...
- aaa... poszukaj. Czekam do jutra... hm... do obiadu. Nie powinno ci to nastęrczyć większych problemów. - Remora popatrzył na złamany na liście lak. - I napraw te pieczęć za pomocą... hm... serduszka lub pocałunku. Twoja rzecz, jak to zrobisz. Rzucił protonotariuszowi list.
 - Natychmiast, Wasza Eminencjo. Remora odwrócił się do Gula.
 - Jeśli nawet paterę się z nią spotkał, nic to jeszcze nie znaczy. Ona ma tuziny mężczyzn. Nie umiesz otwierać listów bez... hm... łamania pieczęci? Kowadełko nauczy cię tej sztuki.
 - To bardzo użyteczna umiejętność.
 - Kiedy za gnącym się w niskich ukłonach protonotariuszem zamknęły się drzwi, Remora dźwignął się z krzesła.
- Odniesiesz list z powrotem na ulicę Słońca, gdy tylko Kowadełko upora się z pieczęcią. Jeśli Jedwabia nie zastaniesz, połóż list na okapie kominka. Jeśli już będzie, powiesz, że...
 - aaa... wręczono ci go, kiedy opuszczałeś manteion. Ale nie wiesz, od kogo jest list.
 - Naturalnie, Wasza Eminencjo - odrzekł Gulo, kiwając ponuro głową. Remora uważnie na niego spojrzał.
 - Coś cię... hm... gnębi, paterę. Wyduś to z siebie.
- Wasza Eminencjo, jak namaszczony i bardzo obiecujący augur mógł się aż tak skompromitować? Mam na myśli tę odrażającą kobietę. A jednak bogini... ! Aż nazbyt dobrze rozumiem, dlaczego Wasza Eminencja uważa, iż na Jedwabia należy mieć bacne oko, ale... ale teofania!
 - Remora zagryzł wargi.
- Stary Kwezal już dawno... aaa... odkrył prawdę, że bogowie nie rządzą się żadnymi prawami, paterę.
 - Postępują według własnego widzimisie i są nieprzewidywalni.
 - Wiem o tym, Wasza Eminencjo. Lecz kiedy augur, o którym mowa... Remora przerwał mu gestem.
- Może i my zostaniemy... yyy... dopuszczeni do tego sekretu, paterę. W stosownym czasie. Możliwe też, że nie ma w tym żadnej tajemnicy. Czy rozważyłeś już ten pomysł z Pa - lustrią?
 - Czując, że nie do końca panuje nad własnym głosem, Gulo skinął tylko głową.
 - Kapitalnie. - Remora popatrzył na niego z uwagą. - Co wiesz o historii... aaa... urzędu cal de, paterę?
- Calde, Wasza Eminencjo? Tyle tylko, że ostatni umarł jeszcze przed moim narodzeniem, a Ayuntamiento doszła do wniosku, że nikt nie jest godny zająć jego miejsca.
 - I sama przejęła jego... hm... kompetencje. Wiesz o tym, prawda?

- Tak, Wasza Eminencjo.
Remora podszedł do wysokiego regału z książkami.
- Znałem go. Ostatniego. Typ człowieka hałaśliwego, apodyktycznego i wybuchowego. Tłum go... hm...
- uwielbiał. Hałastrą zawsze przepada za tego typu przywódcami. - Zdjął z półki cienki wolumin oprawiony w brunatną skórę, wrócił do Gula i rzucił mu książkę na kolana. - Karta.
- Napisana w... hm... boskim języku przez Scyllę i poprawiona przez Paha. Tak się powszechnie twierdzi. Przeczytaj paragraf siódmy. Tylko szybko. I powiedz mi, co widzisz w nim... hm... osobliwego.
- Kiedy młody augur pochylił się nad książką, w wielkiej, umeblowanej na ciemno komnacie ponownie zaległa głucha cisza. Na ulicy niczym wróble swarzyli się lektykarze; słychać było ich podniesione głosy i od czasu do czasu odgłos siarczystego ciosu. Płynęły minuty, a Remora stał bez ruchu przy oknie i obserwował awanturę.
 - W końcu Gulo podniósł głowę.
 - Mówią tutaj o wyborze nowych radców, Wasza Eminencjo. Co trzy lata. Podejrzewam jednak, że prawa te zostały zawieszona.
- Delikatnie... hm... mówiąc, paterę. Co jeszcze? - Piszą tu również, iż calde sprawuje swój urząd do końca życia i ma prawo wyznaczać następcę. Remora skinął głową.
- Odstaw, z łaski swojej, książkę na półkę. Już nie teraz. Teraz w ogóle nie ma calde. Ale prawo wciąż istnieje. Słyszałeś o handlu zamrożonymi embrionami, paterę? Nowe gatunki bywała, egzotycznych zwierząt, niewolników; na przykład w Trivi - gaunte. Skąd one pochodzą?
Gulo szybko podszedł do regału.
 - Z innych miast, Wasza Eminencjo?
 - Co na jedno wychodzi, paterę. Nowe nasiona i sadzonki, z których wyrastają... hm... dziwaczne formy.
 - Szybko jednak umierają. Albo... hm... osiągają nadnaturalne rozmiary.
 - Słyszałem o nich, Wasza Eminencjo.
- Większość tych zwierząt czy ludzi jest... aaa... normalna. Albo prawie normalna. Czasami jednak powstają potworności. Żalotne. Albo przerażające. Osiągają na rynku nieprawdopodobne ceny. A teraz, paterę, nadstaw ucha.
 - Słucham, Wasza Eminencjo.
- Remora stanął obok młodego augura, położył mu dłoń na ramieniu i szepnął: - Kiedyś wszyscy o tym wiedzieli. Przed piętnastu laty. Nazywaliśmy to szaleństwem calde. Dziś nikt już nie pamięta. A tobie nie wolno nikomu o tym wspominać, paterę. Żadnych sensacji, rozumiesz?
- Gulo odwrócił głowę, popatrzył koadiutorowi prosto w oczy i oświadczył: - Wasza Eminencja może na mnie polegać.
 - Kapitalnie. Zanim calde odebrał... aaa... nagrodę od bogów, paterę, wyłożył...

hm... ogromną sumę. Kupił ludzki embrion. Coś... aaa... wyjątkowego.

- Rozumiem. - Gulo zwilżył czubkiem językiem wargi. - Doceniam zaufanie, jakim darzy mnie Wasza Eminencja.
- Następca. Albo... aaa... broń. Tego nikt nie wie, paterę. Nawet Ayuntamiento nie jest... aaa... w tym względzie mądrzejsza od ciebie, gdyż teraz już wiesz tyle samo.
 - Jeśli wolno spytać, Wasza Eminencjo...?
 - Co się z tym stało? To właśnie jest zagadką, paterę. Do czego było zdolne?

Zapewne dysponowało ogromną siłą fizyczną. Albo czytało myśli innych. Poruszało przedmioty na odległość? Krążą plotki, że pewni ludzie mają takie zdolności. Ayuntamiento nieustannie bada tę sprawę.

Nigdy nie zaprzestała poszukiwań, nigdy nie dała za wygraną.

- Czy to coś zostało implantowane, Wasza Eminencjo?
- Tego nikt nie wiedział. I nie wie do dziś. - Remora wrócił do sekretarzyka i usiadł. - Minął rok. Później dwa, pięć... aaa... dziesięć. Zgłosiła się do nas Ayuntamiento. Chcieli przebadac każde dziecko w każdej palestrze w mieście. Zrobiliśmy to. Pamięć. Sprawność fizyczna... Kilkoro dzieci zwróciło... aaa... naszą uwagę. Ale nic to nie dało. Im wnikliwiej je badaliśmy, tym mniej było w nich...
 - aaa... dziwacznych cech.
 - Wcześniejszy rozwój, to wszystko. Po kilku latach różnice między nimi a resztą dzieci wyrównały się. - Remora bezradnie pokiwał głową. - Nie... aaa... hm... nie do sprawdzenia, oświadczyliśmy, a Lemur, Lori i reszta przyznali nam rację. Z zamrożonymi embrionami nie zawsze się udawało...
 - Najczęściej ginęły jeszcze w łonie matki. W końcu wszyscy o tym zapomnieli.
 - Choć Gulo rzadko kiedy doznawał olśnień, teraz nieoczekiwanie dotarła doń cała prawda.
 - W - w - wasza Eminencja odnalazł tę osobę! To ta kobieta, Aca - lypha!
Remora ściągnął usta.
 - Nic... aaa... takiego nie powiedziałem, paterę.
 - W rzeczy samej, Wasza Eminencjo.
- Jak już ci to wczoraj... yyy... zaznaczyłem, paterę stał się... aaa... postacią popularną. Z całą pewnością przez tę teofanię. Na wszystkich murach między lasami a jeziorem pojawiają się napisy „Jedwab na calde”.
- Przyciąga powszechną uwagę. Musi być bacznie obserwowany przez... hm... bystrego i roztropnego akolitę. I bardzo dyskretnie. Jego znajomych też należy mieć na oku. Ciężkie... hm... zadanie dla kogoś tak młodego. Lecz to obowiązek godny przyszłego koadiutora Palustrii.

- Gulo zrozumiał, że posłuchanie skończone, należy się pożegnać. Wstał i złożył niski ukłon.
 - Zrobię co w mej mocy, Wasza Eminencjo.
 - Kapitalnie. Zajdź jeszcze do Kowadełka po list i moją wizytówkę dla paterę.
 - Wasza Eminencjo, czy twoim zdaniem Jedwab czegoś się domyśla? - zapytał nieśmiało Gulo. - Albo ta kobieta wyznała mu wszystko wprost?
 - Remora tylko posępnie pokiwał głową.
 - W najwyższym punkcie urwiska klif zwieszał się nad jeziorem niczym dziób gigantycznej łodzi. Tu właśnie, zgodnie z brązową tabliczką wotywną umieszczoną u wejścia do przybytku, najpokorniejszy petent Lemur, najwyższy urzędnik Ayuntamien - to, wznosił ku chwale Scylli Jeziorowej ową kopułę z mętnego, półprzezroczystego kamienia niebieskiej barwy, wspartą na (Jedwab policzył) dziesięciu zwięzających się ku górze, smukłych filarach spoczywających na niebieskiej, szerokiej balustradzie.
 - Największe wrażenie jednak robił inkrustowany brązem w kamiennej posadzce wizerunek samej bogini z rozwianymi włosami i odkrytymi piersiami. Scylla wyciągała dziesięć swych spiralnych ramion w stronę dziesięciu filarów.
 - Więcej nic tam nie było.
- Nikogo tu nie ma, Orebie - odezwał się Jedwab. - A przecież niedawno widzieliśmy modlącego się człowieka.
 - Ptak mruknął tylko coś niezrozumiale.
 - Zdezorientowany Jedwab wstąpił w zalegający pod kopułą cień. Kiedy podeszwami czarnych, zakurzonych trzewików dotknął kamiennej posadzki, wydało mu się, że spod litej skały dobiegł cichy jęk.
 - Ku najwyższemu zdumieniu paterę, Oreb zerwał mu się z ramienia do niezdarnego lotu. Nie pofrunął daleko. Przeleciał tylko między dwoma filarami i opadł ciężko na ostrym występie skały oddalonej jakieś dziesięć łokci od sanktuarium. Ale poleciał. Na tle jego czarnych piór wyraźnie odcinał się niebieski opatrunek założony przez Żurawia.
 - Czego się boisz, niemądry ptaku? Że spadniesz? Oreb odwrócił łebek w kierunku Limny.
 - Rybie głowy?
 - Tak - zapewnił go Jedwab. - Zaraz po powrocie dostaniesz więcej rybich głów.
 - Uwaga!

Wachlując się szerokim słomkowym kapeluszem, Jedwab spojrział w stronę jeziora. Tu i tam na gładkiej tafli wody lśniły żagle; niewielkie trójkąciki bieli na kobaltowym tle. W cieniu kopuły było chłodniej niż na drodze wiodącej pośród rozpalonych słońcem skał. W łodziach

z pewnością panował jeszcze większy chłód. Jeśli zgodnie z wolą Zewnętrznego uda mu się ocalić manteion, któregoś lata przywiezie do Limny gromadkę uczniów; dzieci, które nigdy w życiu nie

widziały z bliska jeziora, nie pływały łodzią i nie łowiły ryb. Będzie to stanowić dla nich niezapomniane przeżycie; przygodę, którą niczym najcenniejszy skarb hołubić będą w pamięci do końca swych dni.

- Uwaga, ramie!
- Głos Oreba, słaby, choć przenikliwy, dotarł doń wraz z podmuchem wiejącego od lądu wiatru. Jedwab odruchowo zerknął na swoją lewą rękę, wznosił ją prawie pod strop kopuły i oparł się o jeden z filarów.
 - Podpora była mocna i bezpieczna. Rozejrzał się za Orebem, lecz ptak zniknął gdzieś w płątaninie skalnego labiryntu.
 - Wrócił na wolność, pomyślał Jedwab. Sam mu to radził pierwszego wieczoru. Choć myśl, że przebywający długo w niewoli, zamknięty w klatce ptak odzyskał wreszcie swobodę, powinna być krzepiąca i cieszyć, to jednak serce Jedwabia przeszły igielka żalu.
 - Rozglądając się po skałach w poszukiwaniu nocnego kruka, kątem oka spostrzegł, że najbliższy wejścia filar odłączył się od stropu kopuły i zatarasował przejście, przybierając kształt litery S. Inny wyciągnął się w stronę Jedwabia, jego faliste ruchy były pozornie przypadkowe, niedbałe.
 - Jedwab cofnął się gwałtownie i uderzył go laską.
 - Filar owinał się niczym kamienna pętla wokół talii Jedwa - bia. Przy trzecim uderzeniu laska pękła. Wryta w posadzce Scylla otworzyła usta; jej macka nieubłaganie ciągnęła Jedwabia w stronę tej rozwartej paszczy. Paterę stawiał przez chwilę opór, balansując na skraju mrocznego otworu, po czym macka wrzuciła go do środka.
 - Najpierw spadł z niezbyt wysoka. Znalazł się na górze wyłożonych dywanem schodów i dopiero stamtąd zaczął staczać się po stromych stopniach - podłoga była jakies dwadzieścia lub trzydzieści łokci pod poziomem sanktuarium. Podczas spadania skaleczył się w policzek, boleśnie poobcierał sobie kolana i łokcie.
 - Bogowie!
- Dźwięk jego głosu sprawił, że zapłonęło światło. W pomieszczeniu stały wygodne fotele obite brązową lub ciemnopoma - rańczową skórą i duży stół. Ale Jedwab nie zwrócił na meble większej uwagi. Ściskając jedną ręką złamaną kostkę, drugą ściągnął owijacz i kilkakrotnie uderzył nim w podłogę.
- W jakiś cudowny sposób kolista płyta w odległej ścianie pomieszczenia rozsunęła się niczym żrenica oka, za nią pojawił się talus. Jego twarz z czarnego metalu przypominała pysk ogra, a między lśniącymi kłami sterczały cienkie lufy pistoletów pulsacyjnych.
 - To znowu ty! - ryknął potwór.
- W jednej chwili wróciły wspomnienia otaczającego willę Krwi muru zwieńczonego ostrymi szpikulcami, spokojnej, upalnej nocy, bramy z grubymi prętami i tego ryczącego giganta z miedzi i stali. Jedwab potrząsnął głową, spokojnie założył owijacz na kostkę i choć kosztowało go to

wiele wysiłku, nadając głosowi normalne brzmienie, powiedział głośno: - Nigdy tu jeszcze nie byłem.

- Poznałem ciebie!
- Talus błyskawicznym ruchem wyciągnął w jego stronę ramię. Jedwab rozpaczliwie odczołgał się w stronę pokrytych kobiercem schodów.
- Wcale nie chciałem tu przychodzić! Trafiłem tu przez przypadek!
- Znam ciebie!

Na prawym przedramieniu Jedwabia zamknęła się wielka niczym szpadel, metalowa dłoń. Poranioną przez siwogłowego rękę przeszył ostry ból. Jedwab wrzasnął.

- Boli - stwierdził talus.
- Boli - sapnął Jedwab. - Bardzo. Okropnie. Puść mnie. Zrobię wszystko, co zechcesz. Bezlitosna stalowa ręka potrząsnęła nim jak piórkiem.
 - Nic mnie to nie obchodzi.
- Jedwab znów wrzasnął, wijąc się w uścisku grubych jak rury palców.
- Piżmo ukarał mnie - rzekł talus. - Upokorzył! Szarpanie ustało. Olbrzymie mechaniczne ramię uniosło Jedwabia, który zawisł nad ziemią niczym bezradny szczeniak.
- Jesteś talusem Krwi - syknął przez zaciśnięte zęby. - To ty zatrzymałeś mnie wtedy przy bramie.
 - Miałem rację.
 - Stalowe palce rozchyliły się i Jedwab ciężko spadł na podłogę.
 - Spostrzegł, że nie ma za pasem azotha, który zabrał ze sobą na wyprawę nad jezioro. Zdołał zapanować nad łamiącym się głosem i spytał: - Czy mogę wstać?
 - Żywił rozpaczliwą nadzieję, że broń wsunęła się mu w nogawkę spodni.
- Piżmo mnie odesłał! - ryknął talus; jego pionowa, górna część ciała pochyliła się groteskowo nad Jedwabiem.
- Paterę dźwignął się ciężko z ziemi. Azotha w spodniach nie było; zapewne wypadł mu i teraz leżał gdzieś na górze schodów. Jedwab ostrożnie dał krok do tyłu.
- Bardzo mi przykro... naprawdę. Nie mam nic wspólnego z Piżmem, który zapewne nie lubi mnie jeszcze bardziej niż ciebie. Ale prowadzę pewne układy z Krwią, więc obiecuję, że zrobię wszystko, by przywrócono cię do służby.
 - Nie! Nic nie zrobisz!
 - Zrobię. - Jedwab dał kolejny krok do tyłu. - Zrobię, zapewniam cię.
 - Wy miękkie stwory! - Talus bezszelestnie przetoczył się po dywanie na swych dwóch czarnych pasach transmisyjnych, grzebieniem mosiężnego hełmu szorował prawie po

suficie. -Wyglądasz tak samo, bo jesteś taki sam! Łatwy do zniszczenia! Wypełniony paskudztwem!

- Jedwab, wciąż nieznacznie się cofając, zapytał: - Czy byłeś w sanktuarium? Tam na górze?
- Tak. Moim procesorem za pośrednictwem interfejsu. Tym razem talus wyciągnął w jego stronę oba ramiona, lecz Jedwab wykonał szybki unik i stalowe ręce minęły jego twarz o grubość palca.
 - Zatoczył się do tyłu, rozpaczliwie zastawił się ciężkim fotelem i dał nurka pod stół.
 - Ciężki mebel uniesiony został wysoko w powietrze, a następnie ciśniety w dół z taką siłą, że rozgniótłby go jak komara. Jedwab odtoczył się w ostatniej chwili, poczuł tylko podmuch powietrza, dostrzegł, że krawędź blatu musnęła skraj rękawa jego sutanny.
 - Na podłodze coś leżało. W odległości niecałego łokcia od swej twarzy ujrzał zielony kryształ oprawiony w srebro. Odruchowo zacisnął na nim palce i w chwilę później, uniesiony mocarnym ramieniem talusa za czarną sutannę, wisiał w powietrzu jak trzymana za skrzydełka ćma.
- Piżmo mnie skrzywdził! - ryczał talus. - Skrzywdził i wyrzucił. Wróciłem do Wariego. Wcale się z tego powodu nie ucieszył.
- Przecież nie miałem z tym nic wspólnego - odparł Jedwab jak najspokojniej. - Jeśli tylko będę mógł, pomogę ci... Obiecuję.
- Wszedłeś do środka! Ja jestem strażnikiem. - Talus znów nim potrząsnął. - A w tunelach czerwona woda nie ma żadnej wartości!
- Talus cofał się w stronę rozsuniętej jak żrenica ściany; posuwał się powoli i nieubłaganie. Ściągnął stalowe ramiona, przysuwając Jedwabia do swej przerażającej twarzy.
- Nie chcę cię krzywdzić - powiedział paterę. - Nie wolno niszczyć chemów, podobnie jak nie wolno niszczyć bioche - mów. A ty jesteś prawie chemem.
 - Talus na chwilę znieruchomiał.
 - Chemy to śmiecie!
 - Chemy to wspaniałe konstrukcje, rasa, którą my, bioche - my, dawno temu stworzyliśmy z metalu i syntetyków na swój obraz i podobieństwo.
 - Biochemy to rybnie flaki!
- Talus ponownie zaczął się wycofywać. Jedwab ujął pewnie w lewą dłoń azoth, kciuk położył na demonie.
 - Obiecuj, że mnie nie zabijesz. - Nie!
 - Pozwól mi wrócić na powierzchnię. - Nie!
 - Nie zamierzam cię krzywdzić, przysięgam. Pomogę ci, jeśli tylko będę mógł.
 - Rzucę cię na ziemię i zmiażdżę! - ryknął talus. - Jednym uderzeniem!

Zasunęły się za nimi żrenicowe drzwi. Byli w długim, mrocznym pasażu, dwukrotnie szerszym niż talus i wykutym w litej skale klifu.

- Czy nie lękasz się gniewu nieśmiertelnych bogów, synu? - zapytał zdesperowany Jedwab. - Jestem sługą jednego z nich i przyjacielem innego.
 - Służę Scylli!
 - Mnie, augura, strzegą wszyscy bogowie, ona także. Stalowe palce potrzęsły nim jeszcze gwałtowniej, po czym puściły sutannę. Jedwab runął na kamienną posadzkę, o mało nie wypuszczając przy tym z ręki azotha. Leżąc bez ruchu, na wpół oślepiiony bólem, popatrzył w oblicze przypominające pysk ogra i na lśniąca, stalową pięść, którą talus wznosił nad głowę.
- Poraził go gromowy łopot skrzydeł Hieraxa; bez namysłu, bez ostrzeżenia, bez litości i skrupułów, nacisnął demon.
- Z rękojeści azotha wysunęła się klinga uniwersalnej nieciągłości i ugodziła talusa pod prawe oko, skąd trysnęła struga rozżarzonego żużlu. Stalowa pięść spadła wprawdzie na posadzkę, lecz talus najwyraźniej już nie widział i morderczy cios ugodził daleko od głowy Jedwabia.
- Z płataniny żelastwa, w jaki zamieniła się głowa talusa, popłynęły kłęby czarnego dymu, pojawiły się pomarańczowe języki ognia, a po chwili rozległ się ogłuszający ryk gniewu i bólu. Stalowe pięści na oślep młóciły powietrze, trafiając w ściany tunelu, odłupując z nich ostre jak krzemień odłamki. Oślepiony, płonący talus zaczął toczyć się w stronę Jedwabia.
- Kolejny cios azotha rozplątał obie szerokie czarne taśmy, na których potwór się poruszał. Pasy niczym bicze zaczęły chaotycznie chłostać podłogę, ściany i dogorywającego talusa. Po chwili znieruchomiały.
- Rozległa się stłumiona detonacja; z przypominającego furgon korpusu talusa strzeliły płomienie ognia.
- Jedwab odczołgał się od żaru i dymu, zdjął palec z demona, wstał, wsunął broń za pas, strzepnął z czarnej sutanny kurz i wyciągnął paciorki. Skierował w stronę płonącego talusa zwieszający się z nich krzyż próżniowy i zaczął wykonywać nim znaki dodawania.
 - Przynoszę ci przebaczenie wszystkich bogów, synu.
- Początkowo jego inkantacje były ciche, wręcz mechanicznie. W miarę jednak jak umysł wypełniała mu miłość do wspaniałomyślnych, miłosiernych bogów wybaczących wszelkie winy, jego głos rósł, nabierał żaru i mocy.
- A teraz wspomnij słowa, które wypowiedział Pah: „Wypełniaj wolę moją, żyj w pokoju, rozmnażaj się i nie naruszaj mej pieczęci. W ten sposób unikniesz mego gniewu. Jeśli żyjesz godnie, wszelkie zło, jakie popełniłeś, zostanie zapomniane”.
- Z wymuszonym uśmiechem na twarzy Kowadełko oddał Gulowi list Hiacynta. Widniała na nim nowa pieczęć, podobna, choć nie identyczna z poprzednią; przedstawiała gorejący płomień trzymany w złożonych dłoniach.

- Ta dziewczyna powinna nazywać się Hymenocallis - zauważył Kowadełko. - Bardzo piękna pieczęć. Sam używałem takich ze dwa razy.
- Nie ja to pisałem - odparł pośepnie Gulo. - Sporządź jeszcze list do paterę Jedwabia z rozkazem, by w tardag czekał ^{AA}M na wizytę Jego Eminencji. Masz ustalić godzinę i wprowadzić ją do terminarza Jego Eminencji.
 - Protonotariusz o końskich zębach skinął głową.
 - - 1 ty masz dostarczyć wiadomość w naszym imieniu? Cóż, nie muszę zatem wysłać specjalnego gońca. A stary Remo - ra już sobie poradzi i sam zapędzi tego ujadającego kundla do psiarni.
 - Paterę Gulo zacisnął pięści, policzki mu poczerwieniały.
 - Paterę Jedwab jest prawdziwym mężczyzną, ty dziewczko służebna z plebanii.
- Nieważne, co z tą kobietą robił. Wart jest dwunastu takich jak ty i jeszcze na dokładkę trzech takich jak ja. Dobrze zapamiętaj sobie tę proporcję.
 - Kowadełko wyszczerzył zęby w szyderyczym uśmiechu.
 - Widzę, chłystku, że się zakochałeś!
 - **POKARM DLA BOGÓW**
 - Paterę Jedwab obrzucił pełnym goryczy spojrzeniem zamknięte na głucho drzwi.
 - Czuł do siebie niesmak za własną bezradność. W jakiś sposób przecież można było je otworzyć; ostatecznie talus robił to bez trudu.
 - Gdyby zdołał je sforsować, dostałby się schodami pod samo sanktuarium, a tam (co nie nastęczałoby już większych kłopotów) otworzyłby usta wygrawerowanego w posadzce wizerunku Scylli, wyszedł na powierzchnię i wrócił do Limny.
 - Kobieta w Juzgado wyraźnie mówiła, że komisarze, sędziowie i inni urzędnicy pojawiają się tu, by konferować z Ayun - tamiento. Nim zabił azothem talusa...
 - (Z drzeniem serca przypominał sobie tamtą chwilę, choć nieustannie powtarzał sobie, że zabił broniąc swego życia).
 - Wcześniej talus oświadczył, że Piżmo zwolnił go ze służby i zwrócił Wariemu; niewątpliwie mówił o radcy Warim.
 - A zatem człowiek, który wszedł do sanktuarium i już z niego nie wyszedł, zapewne był komisarzem, sędzią lub innym urzędnikiem. W zniknięciu tej osoby nie było nic tajemniczego. Talus zapewne spostrzegł jego obecność w przybytku, a człowiek ten okazał stosowną tesserę. Otworzyły się zatem przed nim usta Scylli, zszedł po schodach i udał się do miejsca przeznaczenia. Miejsce to nie mogło znajdować się daleko, gdyż, kiedy w pół godziny później na talusa natknął się Jedwab, gigantyczny strażnik trwał już na swym posterunku.
 - Wszystko zatem wskazywało na to, że gdzieś w pobliżu mieszczą się biura Ayuntamiento. Jedwab aż zgarbił się na tę myśl, zupełnie jakby na barkach spoczął mu ogromny ciężar. Jak to się stało, że on, prawy obywatel i augur, zachował dla siebie informację o knowaniach Żurawia? Nawet jeśli przyświecał mu szlachetny cel

uratowania manteionu, nie powinien tego robić.

- Z rozdartym sercem odwrócił się znów do drzwi, które, choć tak gładko otworzyły się przed talusem, to na jego obecność nie reagowały. Nie było w nich zamka, klamki - żadnego mechanizmu otwierającego.
- Rozsuwające się jak żrenica płyty przylegały do siebie tak ściśle, że z trudem można było dostrzec miejsca złączy. Użył już hasła „otwórzcie się” i innych podobnych zwrotów, które wydawały się w tej sytuacji na miejscu. Wszystko bez skutku.
- Zniechęcony, zdesperowany rąbał i dźgał płyty lśniąca nieciągłością stanowiącą klingę azotha, spalał je i topił tak długo, aż stało się oczywiste, że nawet ktoś, kto zna sekret ich otwierania, tak jak talus, nie zdoła już nigdy ruszyć tych płyt z miejsca. Ogłuszający hałas i łoskot, jaki powodował, próbując sforsować drzwi, wprowadzał ściany i strop w tak silne wibracje, że odpadały z nich kamienie i kawałki płyt, które kilka razy o mało go nie zabiły. W końcu rękojeść azotha zaczęła parzyć mu dłoń, a drzwi nadal były zamknięte.
- Nie pozostaje mi nic innego, jak dać sobie spokój, pomyślał zniechęcony. Mimo straszliwego zmęczenia, głodu i siniaków musiał ruszyć w głąb tunelu z wątlą nadzieją, że znajdzie jakieś inne wyjście. Zrozpaczony, złorzecząc prawie Zewnętrznyemu i pozostałym bogom, usiadł ciężko na zimnej, skalnej podłodze i zdjął z kostki owijacz. Z goryczą przypomniał sobie, iż Żuraw kazał mu uderzać opatrunkiem jedynie o gładkie powierzchnie, takie jak podnózek krzesła lub oheblowane deski podłogi. Niewątpliwie instrukcje doktora miały na celu uchronienie delikatnego, przypominającego irche owijacza przed zbyt szybkim zużyciem. Brudna, porowata posadzka tunelu zupełnie nie kwalifikowała się do tego celu, a ostatecznie Jedwab coś Żurawiowi był winien; nie tylko za to, że zamierzał wyciągnąć od niego pieniądze, których żądał Krew, lecz również za pomoc i serce, jakie doktor wiele razy mu okazał.
- Ciężko westchnął, ściągnął sutannę, starannie ją poskładał, położył na posadzce i zaczął w nią miarowo uderzać owijaczem tak długo, aż stał się gorętszy od rękojeści azotha. Opatrzył chorą kostkę, z trudem dźwignął się z podłogi, włożył suknię (uczynił to bardzo skwapliwie, gdyż w tunelu panował przenikliwy ziąb) i ruszył przed siebie, wybierając korytarz, który jego zdaniem biegł w kierunku Limny.
- Liczył kroki, chcąc w przybliżeniu orientować się, jaki przebył dystans.
- Najpierw rachował w duchu i po każdej setce zaginał jeden palec. Niebawem dotarło do niego, że liczy na głos.
- Dźwięk własnych słów niebywale krzepił go i podnosił na duchu. Później pogubił się w rachubach, gdyż zapomniał, czy zacisnął dłoń raz, po pięciuset krokach, czy dwa razy - po tysiącu.
- Tunel zmieniał się, w miarę jak Jedwab parł do przodu. Zmiany te stawały się tak interesujące, że paterę szybko zapomniał o liczeniu kroków i bez reszty pochłonęło go badanie otoczenia.
- Miejscami rodzimy piaskowiec ustępował rakplasto - wi; zmiany następowały regularnie, co dwadzieścia trzy kroki, jakby odcinki te wymierzono łokciowym

liniałem. Od czasu do czasu pełzące światła uaktywniane dźwiękiem jego kroków gasły zupełnie i wtedy Jedwab musiał poruszać się w atramentowych ciemnościach. W takich chwilach, na przekór zdrowemu rozsądkowi, ogarniał go strach, że posadzka nagle się skończy, a on runie w czającą się pod stopami czeluść, że natknie się na kolejnego talusa lub na jeszcze gorszego potwora.

- Dwukrotnie minął zamknięte na głucho drzwi, identyczne jak te, które odgrodziły go od komnaty znajdującej się pod sanktuarium Scylli. W pewnym miejscu korytarz rozwidlał się i Jedwab wybrał na chybił trafił pasaż prowadzący w lewo. Trzykrotnie w ścianach tunelu otwierały się wejścia do bocznych korytarzy; wszystkie były ciemne i czaiła się w nich jakaś nieuchwytna groza. Cały czas odnosił wrażenie, że tunel lekko, lecz nieubłaganie się obniża, że powietrze staje się chłodniejsze, a ściany pokrywa wilgoć.
- Idąc odmawiał paciorki i liczył kroki, chcąc w ten sposób ustalić, jaki dystans pokona podczas trzykrotnego odmówienia wszystkich dekad. Ostatecznie obliczył, że po odmówieniu pełnych pięciu paciorków wraz z osobliwą, dziesiątą dekadą przebył dziesięć tysięcy trzysta siedemdziesiąt kroków. Dodając do nich pierwszych pięćset (albo tysiąc), wychodziło na to, że zrobił...
- Znow zaczął doskwierać mu ból w nodze, więc zmienił opatrunek i podjął marsz tunelem, który z każdym przebytym łokciem coraz bardziej go przerażał.
- Nieustannie walczył z pokusą, by zawrócić z drogi. Nabierał coraz większej pewności, że jeśli wystygłym już azothem ponownie zaatakuje drzwi, zdoła w końcu je sforsować, a wtedy bezpiecznie wróci do Limny i pójdzie do którejś z tamtejszych gospod polecanych przez Alkę. Próbował przypomnieć sobie ich nazwy oraz nazwy lokali, jakie mijał w drodze do Juzgado.
- Nie, nie Alka, tylko woźnica furgonu rekomendował mu te zajazdy. Należała do nich „Zardzewiała Latarnia”. Zdaniem woźnicy serwowano w niej wyśmienite potrawy, lecz była bardzo droga. Jedwab miał w kieszeni siedem kart; pięć, które zostały mu po ceremonii pogrzebowej Orlicy, oraz dwie z trzech wręczonych mu w phaedag przez Krew. Alka za wieczerzę zapłacił osiemnaście bitów. Suma zawrotna, lecz w porównaniu z siedmioma kartami to tyle co nic. Wystawna kolacja w Li - mnie w którejś z lepszych gospod, wygodny pokój i sute śniadanie nie powinny kosztować więcej niż jedną kartę. A zatem, skoro wszystkie te wspaniałości znajdowały się w zasięgu ręki, kontynuowanie wędrówki tunelem było szczytem głupoty. Jedwabowi przyszło do głowy wiele haseł, których jeszcze nie użył: uwolnić, wypuścić, rozgrodzić się, rozstać się, rozewrzeć się, ustąpić...
- Co gorsza, odnosił nieprzeparte wrażenie, iż w rzeczywistości dawno już zawrócił, że idzie nie na północ, w kierunku Limny, lecz na południe i za najbliższym zakrętem ujrzy martwego talusa.
- Talusa, którego zabił i który mimo to posłał go do grobu. Stalowy strażnik był martwy, a Jedwab pogrzebany żywcem. Wydawało mu się, że lada chwila spotka Orlice, starego paterę Płetwę i własną matkę; każde w odpowiednim stadium rozkładu. Wtedy położy się na zimnej posadzce, nieważne przy kim, a oni opowiedzą

mu o świecie umarłych, tak jak paterę Płetwa opowiadał mu (tuż po przybyciu Jedwabia na ulice Słońca) o sklepach i mieszkańcach dzielnicy, o tym, że koszule lub rzepę powinien kupować u sklepikarzy, którzy regularnie pojawiają się na ceremoniach ofiarnych w manteio - nie, oraz przestrzegał przed notorycznymi oszustami i spekulantami. Raz usłyszał odległy chichot, szaleńczy śmiech zupełnie pozbawiony wesołości, śmiech, którego nie wydawała istota ludzka, rechot diabła pożerającego w ciemnościach własne ciało.

- Po trwającej chyba pół dnia wędrówce, zmęczony, wystraszony, dotarł do miejsca, gdzie drogę zagradzała woda. W mętym blasku pełzającego za nim po suficie światła dostrzegł rozciągającą się w przodzie połyskliwą taflę. Stojąc chwiejnie na brzegu podziemnego jeziora o czystej, niczym nie mąconej wodzie, pojął, że tunel, którym tak długo podążał, jest zalany. Przyklęknął i łapczywie ugasił pragnienie. Gdy próbował ponownie dźwignąć się na nogi, kostkę przeszył mu tak okropny ból, że z cichym jękiem, bez sił upadł na ziemię. Koniecznie musiał odpocząć. Był pewien, że na powierzchni panuje już zaciemnienie, a szpiegujący go paterę Gulo od dawna już się niepokoi. Martwi się też maytere Marmur, a Alka i Acaly - pha wrócili zapewne do miasta, zostawiając wiadomość na stacji furgonów.
- Jedwab ściągnął buty, rozmasował zmęczone stopy (rozkoszne uczucie), po czym wyprostował
- nogi.
- Szorstka, nierówna podłoga korytarza w niczym nie przypominała wygodnego legowiska, lecz Jedwabowi w tej chwili wydała się komfortowym łóżem. Wykazał się wielkim rozsądkiem, iż wykorzystał okazję i zdrzemnął się na miękkim fotelu ślizgacza Krwi. Jeśli chwilę się prześpi, będzie czujniejszy, będzie w stanie lepiej wykorzystać wszelkie atuty, jakimi dysponuje w dziwacznej znajomości z Krwią. „Taką drogą nie mogę jechać szybciej” - oświadczył szofer. Lecz niebawem, gdy szybko zacznie zanurzać się w coraz bardziej płynną przestrzeń, powinna pojawić się matka Jedwabia, by pocałować synka na dobranoc. W takich chwilach zawsze budził się i mówił: „Ty też dobrze śpij, mamó”. Tym razem postanowił czuwać i poczekać na matkę.
- Z „Rozpostartego Żagla” wyszła chwiejnie kompletnie pijana Acalypha. Kiedy dostrzegła Alkę, zamachała mu ręką.
 - Ej, koleś, my się chyba znamy!

- W odpowiedzi uśmiechnął się i również do niej pomachał. Przeszła przez ulicę i chwyciła go za rękę.
- Bywałeś u Orchidei. Tak, na pewno, i to często. Powinam zatem znać twoje imię. Za chwileczkę je sobie przypomnę. Koleś, chyba nie robisz ci poruty?
 - Alka od najwcześniejszego dzieciństwa wiedział, jak postępować w takich przypadkach.
- Jaka poruta? Postawić ci jednego? - Wskazał kciukiem drzwi „Rozpostartego Żagla”. -

Znajdziemy tam jakiś zaciszny kącik.

- Naprawdę postawisz? - Acalypha wsparła się na ramieniu Alki, otarła się udem o jego udo. - Jak masz na imię? Ja nazywam się Acalypha. Z całą pewnością znam twoje imię, ale trochę kręci mi się w głowie, a ponadto jesteśmy nad jeziorem. - Ścisnęła palcami nos i głośno smarknęła. - To przez tę wodę, koleś.

Powinłam wrócić do Orchidei na kolację, a następnie zejść do salonu. Jeśli skrewię, Orchidea naśle na mnie Okonia, a ten już da mi do wiwatu.

Alka popatrzył na nią kątem oka, po czym, gdy wchodzili do „Rozpostartego Żagla”, powiedział: - Pięknie, szczebiotko. Kompletnie zaćmiło ci pamięć. Acalypha żałośnie potrząsnęła lokami ognistej barwy i usiadła przy stoliku.

- I mam dygot... okropny dygot. Daj choć szczyptę prochu. Alka pokręcił głową.
- Za szczyptę masz całą noc za darmo - kusila.
- Dałbym ci, gdybym miał - odrzekł Alka. - Ale nie mam. Przy stoliku zatrzymała się barmanka i zmarszczyła gniewnie brwi.
 - Proszę ją stąd wyprowadzić - powiedziała.
 - Czerwoną wstążkę i wodę - odpowiedziała barmance Aca - lypha. - Tylko ich nie mieszaj.Barmanka buńczucznie zadarła brodę. - I tak dałam ci więcej, niż powinłam.
 - A ja dałam ci wszystkie moje pieniądze! Alka położył na stoliku kartę.
 - Załóż mi rachunek, kochanie. Nazywam się Alka. Barmanka się rozchmurzyła.
 - Służę panu.
 - I przynieś mi piwa. Najlepszego. Dla niej nic. Acalypha głośno zaprotestowała.
 - Obiecałem ci kolejkę na ulicy, ale teraz już nie jesteśmy na ulicy. Ruchem ręki odprawił barmankę.
- A wiec tak się nazywasz! - powiedziała triumfalnie Acalypha. - Alka. Mówiłam przecież, że znam twoje imię.
 - Gdzie jest paterę? - spytał, pochylając się w jej stronę. Acalypha wytarła przedramieniem nos.
 - Gdzie paterę Jedwab? - nalegał. - Przyjechaliście tu razem. Co z nim się stało?
 - Och, pamiętam go. Pojawił się u Orchidei, gdy... gdy... Alko, strasznie potrzebuję odrobiny prochu.
 - A ty masz pieniądze. Proszę.
- Może za chwilę. Nie dostałem jeszcze piwa. A teraz słuchaj, co do ciebie mówię. Siedziałaś tu i chleptałaś czerwoną wstążkę, prawda?
 - Acalypha skinęła głową.
 - Czuję się tak...
 - - Przestań fanzolić. - Chwycił jej dłoń i ścisnął boleśnie. - Gdzie wcześniej byłaś? Acalypha cicho beknęła.

- Powiem ci prawdę, powiem wszystko. Ale to nie będzie miało najmniejszego sensu. Jeśli ci powiem, kupisz mi?
 - Alka przymrużył oczy.
- Mów szybko. A ja zobaczę, czy sobie zasłużyłaś Barmanka postawiła przed nim oszronioną szklanice z ciemnym piwem.
 - Najlepsze i najzimniejsze. Czy życzy pan sobie coś jeszcze?
 - Alka odprawił barmankę pełnym zniecierpliwienia potrzą - śnięciem głowy.
- Wstałam cholernie późno - zaczęła Acalypha - bo w nocy miałyśmy huczną balangę. Bardzo huczną. Ale ciebie na niej nie było, ogierku. Sam widzisz, już ciebie pamiętam. Żałowałam, że się nie pojawiłeś.
 - Alka jeszcze mocniej ścisnął jej dłoń.
 - Wiem, że mnie tam nie było. Obudziłaś się na golasa.
 - Musiałam się ubrać, bo dziś miałyśmy pogrzeb i Orchidea wszystkim kazała iść.

Poza tym obiecałam wysokiemu auguro - wi, że przyjdę. - Znów beknęła. - Ogierku, jak on się nazywa?

- Jedwab.
- O, właśnie. Włożyłam więc swoją odświętną czarną suknię, mam ją na sobie, widzisz? Zanim się przygotowałam, wszystkie dziewczęta już poszły, więc do manteionu udałam się sama. Ogierku, mogę dostać malutki łyczek?
- Pij.
- Podsunął jej oszronioną szklanice. Acalypha wypila i wytarła usta rękawem.
- Nie powinnaś mieszać trunków. Muszę na ciebie uważać. - Odebrał jej piwo. - Poszłaś na pogrzeb Orlicy.
 - Od tego właśnie zacznij.
- W porządku. Tylko że wcześniej strzeliłam sobie solidną porcję prochu; ostatnią. Straszliwy strzał.
 - Szkoda, że nie mam już rdzy.
 - Alka w milczeniu pociągnął ze szklanki duży łyk piwa.
- Poszłam do manteionu. Orchidea i pozostałe dziewczęta już tam były, a ceremonia trwała. Usiadłam i...
 - i...
 - I co?
 - A, kiedy wstałam, wszyscy ludzie już poszli. Gapiłam się po prostu w święte okno.

Gapiałam się w okno, a w manteionie nikogo poza mną i jakimiś dwiema starymi kobietami nie było. -Acalypha wybuchnęła płaczem, po policzkach popłynęły jej łzy. Alka podał dziewczynie niezbyt czystą chusteczkę. - Dzięki. - Wytarła oczy. - Tak się bałam... boję się zresztą nawet teraz. Myślisz, że boję się ciebie, ale to wspaniałe uczucie mieć przy sobie kogoś, z kim można porozmawiać. Nawet nie wiesz, jakie to uczucie.

- Alka podrapał się po głowie.
 - Później wyszłam. I wcale nie było miasta, nie było ulicy Słońca, nie było nic.
- A ja szłam tam, gdzie zazwyczaj chodziłam jako mała dziewczynka. Nikogo wokół mnie nie było. Znalazłam lokal z markizami, pod którymi ustawiono stoliki. Wypiłam trzy lub cztery kolejki. Wtedy pojawił się wielki czarny ptak.
- Skakał wokół mnie i gadał prawie jak człowiek, więc cisnęłam w niego szklanką, a oni kazali mi się wynosić.
 - Alka wstał od stolika.
- Uderzyłaś go szklanką? Nie, to niemożliwe. Chodź, zaprowadź mnie do tego lokalu z markizami.
 - Jedwabia oddzielało od konwentu strome zbocze porośnięte gęsto krzakami.
 - Niezdarnie schodził nim, kalecząc sobie ręce i twarz, rozdzierając ubranie na cierniach i suchych gałęziach. Wreszcie dotarł do konwentu. Maytere Mięta leżała w łóżku złożona niemocą, a on przez chwilę był z tego bardzo rad, zapominając, że z wyjątkiem augura, który przynosi pojednanie z bogami, do konwentu nie ma wstępu żaden mężczyzna. Na okrągło mamrotał pod nosem imiona bogów, lecz cały czas był święcie przekonany, że zapomniał o jednym. Później pojawił się niski, gruby student ze scholi, którego imienia Jedwab nie pamiętał. Tłuścioch oświadczył, że wszyscy idą odwiedzić chorego prałata.
 - Maytere Mięta wstała z łóżka, mówiąc, że ona też pójdzie. Pod różowym peniuarem była naga; przez cienki materiał przeświecało jej szczupłe, metalowe ciało. Lśniło niczym żywe srebro. Peniuar pachniał dymem z lampy z niebieskiego szkła, a Jedwab oświadczył zdecydowanie, że jeśli Mięta chce z nimi iść, musi się przyzwoicie odziać.
 - W towarzystwie grubego studenta opuścili konwent. Padał deszcz, wielka zimna ulewa, w jednej chwili Jedwab zmarzł do szpiku kości. Na ulicy czekała lektyka z sześcioma tragarzami spierającymi się, do kogo należy lektyka, lecz paterę wiedział, że jej właścicielką jest may terę Marmur.
 - Lektykarze byli starzy, jeden z nich ślepy, a ociekający wodą baldachim lektyki spło - wiały i podarty. Jedwab wstydził się prosić starców, by ich nieśli, ruszyli zatem na piechotę, kierując się do wielkiej budowli pozbawionej ścian. Jej dach tworzyły cienkie białe listwy, między którymi zostawiono odstępy na szerokość dłoni. Wnętrze budynku zastawiono taką ilością białych mebli, że trudno się było między nimi poruszać.
 - Usiedli na krzesłach i czekali. Gdy pojawił się prałat, okazało się, że jest nim Pleśń, szalona córka Krwi.
 - Siedzieli z, nią na deszczu, drżeli z zimna i dyskutowali o problemach scholi. Ona skarżyła

się na kłopoty, z którymi nie umie sobie poradzić, i o wszystko obwiniała Jedwabia.

- Siedział wyprostowany, zeszywniały z zimna, ręce trzymał złożone na piersiach i próbował pod pachami grzać zziębnięte palce.
- Panuje coraz większa susza - powiedziała Pleśń. - Spotkasz się ze mną tam, gdzie śpią biochemy.
 - Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na wodzie i była przezroczysta jak woda.
 - Chciał ją prosić, - by wyprowadziła go na powierzchnię, lecz na dźwięk jego głosu zniknęła wraz z resztą snu, zostawiając jedynie zielonkawą poświatę.
 - Jeśli nawet podczas jego snu spokojna, czysta woda nieco opadła, zmiana ta była niedostrzegalna. Jedwab ściągnął z nóg skarpetki, buty związane sznurowadłami zawiesił sobie na szyi.
 - Zdjął z kostki owijacz i wsunął do kieszeni. Podkasał sutannę, zawiązał ją w pasie na węzeł i wysoko podciągnął nogawki.
 - Wmawiał sobie, że ruch trochę go rozgrzeje. Bez wahania wkroczył do wody.
 - Jak podejrzewał, była zimna, lecz płytka. Liczył na to, że lodowata toń zmrozi mu chorą kostkę, że noga zdrętwieje i przestanie boleć. A jednak przy każdym kroku stopę przeszywały mu ostre igły bólu.
 - Cichy plusk wody burzonej jego bosymi stopami uaktywnił więcej świateł, w których blasku ujrzał ciągnący się w przedzie tunel, zatopiony jak daleko sięgał wzrokiem. Nie sądził, by wilgoć mogła mieć ujemny wpływ na owijacz. Ludzie, których stać było na stworzenie takiego wynalazku, z pewnością zadbali, by woda mu nie szkodziła. Ale opatrunek należał do Żurawia i choć, w imię ocalenia manteionu, zamierzał obrabować Żurawia z pieniędzy, nie chciał niszczyć jego własności.
 - Wpadł na pomysł, by się cały ogrzać owijaczem. Próbnie uderzył nim kilka razy w ścianę tunelu, po czym wsunął gorący opatrunek do kieszeni sutanny. Efekt był znakomity.
 - Z zalem pomyślał o otrzymanej w prezencie od Krwi lasce z rączką w kształcie głowy lwicy. Gdyby jej nie połamał, mógłby teraz odciążać chorą nogę. Pół dnia wcześniej (może trochę dawniej) gotów był ją wyrzucić, nazywając ów bluźnierczy akt ofiarą dla Scylli. Okropnie tym wystraszył Oreba. Kiedy wniósł laskę do sanktuarium, bogini ją zniszczyła (a tym samym zniszczyła swą siostrę Sphigx).
 - Brodząc w wodzie, zakłócił spokój jakimś lśniącym robakom. Rozbiegły się w popłochu po dnie we wszystkie strony, przybierając jasnożółtą, świetlistą barwę, czym wyrażały swój strach. Woda stała się głębsza, szare ściany z rakplastu pociemniały od wilgoci.
 - Talus, którego zabił, utrzymywał, że służy Scylli; przechwałka ta zapewne znaczyła jedynie, że służył interesom Yironu, świętego miasta Scylli; podobnie jak Jedwab, który miał zamiar przerwać wrogą działalność Żurawia. Patrząc jednak na sprawę realistycznie, talus służył Ayuntamiento. Przybytek Scylli wznosił radca Lemur, a więc prawie na pewno w pomieszczeniu pod podłogą sanktuarium radcy spotykali się z komisarzami i sędziami. Musieli też od czasu do czasu pojawiać się w Juz - gado (w prawdziwym Juzgado, w Yironie). Nie tak dawno Jedwab widział przemawiającego do tłumu radcę Loriego.

- A talusa zwrócono Wariemu.
- Jedwab zatrzymał się, przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę i znowu kilkakrotnie uderzył owijaczem o ścianę tunelu.
- Skoro zatem talus służył Ayuntamiento (twierdząc chełpliwie, że służy Scylli), co robił w willi
- Krwi?
- Wszak Pleśń utrzymywała, że potwór nie tylko jest tam zatrudniony, lecz również bardzo łąsy na łapówki.
- Tym razem paterę wsunął gorący owijacz pod koszule. Opatrunek natychmiast przywarł ciasno do jego piersi, ale nie na tyle mocno, by utrudniać Jedwabiowi oddychanie.
- W pierwszej chwili Jedwab pomyślał, że promieniujący z kostki ból mąci mu słuch.
- Ale hałas narastał, daleko w przodzie pojawiła się zbliżająca się plama światła. Paterę, gdyby nawet był w stanie biec, nie miał gdzie uciec, nie miał gdzie się ukryć. Przyłgął zatem płasko plecami do ściany i ściskając w dłoni azoth, czekał.
- Plama światła zmieniła się w oślepiający blask. Zbliżająca się w jego stronę machina miała łeb nisko opuszczony; jak atakujący, rozwścieczony pies. Z rykiem przemknęła obok Jedwabia, ochlapując go strugami wody, i zaczęła oddalać się tunelem.
- Jedwab podjął mozolny marsz, brnąc w coraz głębszej wodzie. W chwili gdy z tyłu dobiegł go hałas i klekot, dostrzegł wylot bocznego, wznoszącego się pasażu.
- Po stu długich i niezwykle bolesnych krokach oddalił się od zalanego wodą tunelu, lecz nie śmiał mitrzyć czasu na nakładanie owijacza, skarpetek i butów. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy na dobre stracił z oczu główny korytarz. Hałas stał się donośny. Jedwab był przekonany, że czyni go ta sama maszyna, która wyminęła go w wodzie. Przystanął zmrożony strachem i bacznie nasłuchiwał. Zgrozą przejmowała go myśl, że potwór skreśli w korytarz, w którym się skrył. Po chwili jednak hałasy ucichły, żelazny stwór oddalił się zalany wodą tunelem.
- Miałem wiele szczęścia, pomyślał Jedwab. A może któryś z bogów okazał mu łaskę?
- Zapewne Scylla, która wybaczyła już mu chęć bluźnierczej ofiary oraz najście jej sanktuarium z łaską o rączce w kształcie głowy jej siostry. Biegnący ostro w górę korytarz nie mógł być długi i niebawem wyprowadzi go na powierzchnię. Zapewne w pobliżu Limny, jeśli nie w samej osadzie. Co więcej, pasaż znajdował się już z całą pewnością ponad poziomem wody.
- Jedwab wsunął azoth za pas, opuścił nogawki spodni i rozwiązał sutannę.
- Dawno już przestał liczyć kroki, gdy wyczuł wyraźny zapach drzewnego dymu. Nie mogła być to woń (tak sobie wmawiał) dymu z płonących w ofiarnym ogniu cedrowych polan wymieszana z duszącym odorem palącego się ciała i sierści. Gdy ponownie pociągnął nosem, doszedł do wniosku, że jednak zapach ten przypomina woń dymu wotywnego ogniska, i przez chwile zastanawiał się, czy przypadkiem w starożytnych tunelach ktoś nie składa ofiary.
- Kiedy zbliżył się do kolejnego, przyćmionego, zielonkawego światła, dostrzegł na posadzce odciski stóp.

- Ślady męskiego obuwia, takiego jakie on miał na nogach, odbite w cienkiej warstwie zalegającego podłogę szarego osadu.
- Czy możliwe, by krążył w kółko? Potrząsnął w zadumie głową. Korytarz od samego początku ostro piał się w górę. Kiedy Jedwab uważniej przyjrzał się śladom i porównał je z własnymi, pojął, że to nie jego trop.
- Tamta osoba stawiała kroki krótsze, nie utykała, a rozmiar trzewików był mniejszy. Poza tym obuwiu nieznanego nie miało tak bardzo zbitych po zewnętrznych stronach obcasów jak buty Jedwabia.
- Badał ślady w blasku ostatniej lampy - dalej tunel tonął w czarnym jak smoła mroku. Po chwili namysłu Jedwab zaczął przeglądać zawartość kieszeni, w nadziei że znajdzie coś, co mógłby zapalić i oświetlać sobie drogę. Nic nie znalazł. W kieszeniach miał tylko azoth, igłowiec, siedem kart, trochę bitówek, paciorki, stary piórnik (w nim kilka piór, niewielką flaszeczkę z atramentem i dwie złożone kartki papieru), okulary, klucze, a na szyi na srebrnym łańcuchu gammadion, który dostał jeszcze od matki.
- Kichnął.
- Zapach spalenizny stawał się coraz wyraźniejszy, a stopy Jedwabia tonęły w miękkim, suchym osadzie. W pewnej chwili, w odległości zaledwie kilku kroków przed sobą dostrzegł błysk krwistej czerwieni, jaką tak często widywał w kuchni na ple - banii. Z całą pewnością był to żar. Jedwab opadł na kolana i lekko dmuchnął. Tak, nie mylił się. Zwinął w rurkę jedną z kartek, które miał w piórniku, i przytknął jej rozek do żaru.
- Popiół.
- Ze wszystkich stron otaczał go popiół. Przyszło mu wspiąć się na górę popiołu sięgającą tak blisko stropu, że musiał skulić się, by nie uderzyć głową w kamienny sufit.
- Brnął wąskim prześwitem między popiołami a stropem (podobnie jak uczynił to jego poprzednik, którego ślady widniały w sypkim popiele), chcąc sforsować przeszkodę, zanim zwitek papieru się dopali. Szedł z wielkim mozołem, zapadając się po kolana w grząskim, lotnym popiele. Do nosa i gardła dostawały mu się dławiące chmury pyłu. Ponownie kichnął, ale tym razem na ten dźwięk odpowiedział jakiś dziwny, cichy zgrzyt przypominający hałas robiony przez zegar z uszkodzoną sprężyną, lecz głośniejszy i dużo głębszy.
- Płomyk palącego się papieru zaczął parzyć palce. Jedwab wznosił płonący zwitek nad głowę, lecz natychmiast cisnął go pod nogi, gdy ujrzał przed sobą czworo błyszczących oczu.
- Wrzasnął głośno, tak jak często robił to, płosząc na pleba - nii szczury, wyszarpnął zza pasa azoth i skierował zabójczą klingę w stronę, gdzie przed chwilą widział żarzące się ślepie. Ciszę rozdarł donośny wrzask bólu, a po nim grzmot pistoletu kulowego. W powietrze wzbily się tumany popiołu, tworząc przed Jedwabiem gęstą zasłonę podobną do dymnej.
 - Znów rozległ się huk pistoletu, zawtórował mu głuchy, na wpół ludzki skrzek.
 - Chmurę popiołu przeszył snop ostrego światła. Jedwab ujrzał przemykające obok stworzenie przypominające trochę psa, trochę diabła. Kiedy wreszcie odzyskał

oddech, zawołał o pomoc. Upłynęło kilka minut, zanim pojawiło się dwóch żołnierzy. Były to chemy, krzepko zbudowane i przewyższające Jedwabia o dobrą głowę. Żołnierze bezceremonialnie wyciągnęli go spod zwałów popiołu.

■ Jesteś aresztowany - oświadczył jeden, świecąc Jedwabiowi prosto w twarz.

- Nie była to ani iatamia, ani świeca, ani też inne, znane Jedwabiowi przenośne źródło światła. Ogarnęło go takie zdumienie, że zapomniał o leku.
 - Kim jesteś? - spytał drugi żołnierz.
- - Jestem paterę Jedwab z manteionu przy ulicy Słońca. Ponownie kichnął i bezskutecznie próbował strzepnąć popiół z sutanny.
 - Czy dostałeś się tu przez luk, paterę? Trzymaj obie ręce tak, bym je widział. Jedwab posłusznie wyciągnął przed siebie puste dłonie.
 - To teren zamknięty. Strefa wojskowa. Co tu robisz, paterę?
- Zabłądziłem. Chciałem skontaktować się z Ayuntamiento i złożyć doniesienie o szpiegu któregoś z obcych miast działającym w Yironie. Zabłądziłem i... - Jedwab chwilę szukał odpowiednich słów. - To wszystko.
 - Posłali po ciebie? Czy jesteś uzbrojony?
 - Nikt po mnie nie posyłał. Tak, w kieszeni spodni mam igło - wiec. - Umilkł i dodał bez sensu: - Bardzo małe.
 - Chciałeś nas pozabijać? - spytał chem z rozbawieniem.
 - Nie. Przecież mówię, że chodziło mi o szpiega. Sądzę, że ma współników, - Wyjmij z kieszeni igłowiec, paterę. Chcemy go obejrzyć. Jedwab niechętnie spełnił polecenie.
 - Żołnierz skierował światło na swój pocętkowany, stalowy tors.
 - Strzel we mnie.
 - Jestem lojalnym obywatelem - sprzeciwił się Jedwab. - Nie mam zamiaru zabijać żołnierzy. Żołnierz przystawił mu do twarzy lufę pistoletu.
- Widzisz to? Strzela kulami z uranu, długimi i grubymi jak mój kciuk. Jeśli nie strzelisz we mnie, ja strzelę w ciebie, roztrzaskam ci głowę. Strzelaj.
 - Jedwab wypalił; trzask igłowca w ciasnym korytarzu zabrzmiał wyjątkowo donośnie. Na masywnym torsie żołnierza pojawiła się jasna rysa.
 - Jeszcze raz.
 - Po co? - burknął Jedwab, chowając broń do kieszeni.
 - Chciałem dać ci jeszcze jedną szansę. - Żołnierz wręczył światło towarzyszowi. - W porządku, wykonałeś swój ruch. A teraz oddaj broń.
 - Chcesz we mnie strzelić? Przecież mnie zabijesz.
 - Może nie. Podaj mi igłowiec. Zobaczmy. Jedwab potrząsnął głową.
 - Powiedziałeś, że jestem aresztowany. Skoro tak, domagam się adwokata. Nazywa się Yulpes, jego kancelaria mieści się przy ulicy Przybrzeżnej w Limnie.

- Drugi żołnierz zachichotał. Był to osobliwie nieludzki dźwięk, jakby ktoś przeciągnął stalowym liniałem po zębatym kole.
 - Daj mu spokój, kapralu. Paterę, jestem sierżant Piasek. Kim jest ten szpieg, o którym mówisz?
 - Wolałbym porozmawiać o tym z którymś z członków Ayun - tamiento. Sierżant wycelował w niego z pistoletu.
 - Paterę, w tych tunelach nieustannie giną biochemy. Wchodzą tu i gubią drogę.
- Za chwilę, jeśli jeszcze będziesz żyć, pokażę ci jednego z nich. Gina i zostają pożarci razem z kośćmi.
 - Czasem zostają strzępy odzieży, czasem nie. Radzę ci, byś mi uwierzył.
 - Wierze. - Jedwab strzepnął z rękawa sutanny popiół.
 - Regulamin nakazuje nam zabijać każdego, kto zagraża Vi - ronowi. Jeśli wiesz coś o szpiegu i nie wyjawisz nam jego imienia, znaczy to, że nie jesteś lepszy od niego. Rozumiesz?
 - Jedwab niechętnie skinał głową.
- Kapral Pieściak żartował. Nie ma zamiaru ci? zabijać. Chciał cię tylko trochę postraszyć. Ale ja nie żartuję. - Rozległ się donośny szcęk, kiedy Piasek odbezpieczył pistolet. - Imię szpiega!
- Jedwabowi słowa przechodziły przez gardło z największym trudem. Kolejna moralna kapitulacja w szeregu nieskończenie wielu.
 - Nazywa się Żuraw. Doktor Żuraw.
 - Może już o tym słyszał - odezwał się Pieściak.
 - Wątpię. O której godzinie tu zszedłeś, paterę? Nie wiesz?

Doktora Żurawia aresztują i zastrzelą lub poślą do jam. Jedwab przypomniał sobie, jak Żuraw puścił do niego oko i wskazując sufit powiedział: „Ktoś tam na górze darzy cię sympatią.

205 Zaślepią uczuciem do ciebie bogini". Z tych słów wywnioskował wówczas, że Hiacynt posłała mu przez doktora tajemniczy przedmiot - azoth.

- W przybliżeniu, paterę. Kończy się molpdag. O której mniej więcej godzinie wszedłeś do
- tuneli?
- Tuż przed południem... zapewne około jedenastej. Z Vi - ronu przyjechałem pierwszym furgonem, lecz zanim wyruszyłem Drogą Pielgrzymów do sanktuarium Scylli, spędziłem w Limnie dobrą godzinę.
 - Czy korzystałeś ze szkła? - zapytał Pięściak.

- Nie. A jest tam szkło? Nie widziałem.
- Pod tablicą wotywną fundatora sanktuarium. Należy ją odchylić. Za nią jest szkło.
- Paterę, chodzi mu o to, że przed objęciem przez nas dziś służby do kwatery głównej naszej dywizji przyszła za pośrednictwem szkła pewna wiadomość. Otóż radca Lemur osobiście zatrzymał szpiega.
- Doktora o imieniu Żuraw.
 - Wspaniale!
- Piasek przechylił głowę.
 - Co jest wspaniałe? Że przyszedłeś tu na próżno?
 - Nie, nie! Mówię o czymś innym. - Po raz pierwszy od chwili, gdy opuścił go Oreb, Jedwab się uśmiechnął. - Rad jestem, że nie przyłożyłem do tego ręki. Czulem wprawdzie, że moim obywatelskim obowiązkiem jest złożenie meldunku komuś... komuś z władz, kto podjąłby zdecydowane działania. Ale wiedziałem też, że Żurawia spotka przez to jedynie cierpienie. Zapewne śmierć.
 - Paterę, on jest tylko biochemem - odparł Piasek prawie łagodnym tonem. - Wy budujecie się nawzajem w swoich wnętrzach i dlatego są was miliony. Jeden więcej, jeden mniej, co za różnica? - Ruszył przez stertę popiołów, zapadając się głęboko przy każdym kroku. - Kapralu, eskortuj go.
- Pięściak szturchnął Jedwabia lufą pistoletu.
 - Ruszaj.
- Pięćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie żołnierze natknęli się na Jedwabia, na stosie popiołu leżała krwawiąca bestia przypominająca psa. Stworzenie było za słabe, by wstać, warczało tylko i szczyrzyło kły.
 - Co to takiego? - zainteresował się Jedwab.
- Bóg. Takie właśnie stwory pożerają tu biochemów. Jedwab potrząsnął głową, spoglądając na dogorywające zwierzę.
 - Bezbożność zawsze obraca się przeciw bezbożnikowi, synu.
 - Ruszaj naprzód, paterę. Jesteś przecież augurem. Czyż nie składasz co tydzień ofiar bogom?
- Nawet częściej, jeśli to możliwe. - Z coraz większym trudem brnął przez wydmy usypane z suchego popiołu.
 - - A co z resztkami, jakie zostają po ofiarach? Co z nimi robicie? Jedwab obejrzał się na żołnierza przez ramię.
- Jeśli ofiara nadaje się do jedzenia, a przeważnie tak jest, rozdzielamy mięso pomiędzy wiernych uczestniczących w ceremonii. Z całą pewnością przynajmniej raz uczestniczyłeś w takim obrzędzie, synu.
- Racja, każą nam na nie chodzić. - Pięściak przełożył pistolet do lewej ręki i wyciągnął wolne

ramię w stronę Jedwa - bia. - Proszę się oprzeć. Co robicie z resztą zwierzęcia, paterę?

- Ze skórą, z głową i tak dalej? Z tym co nie nadaje się do jedzenia.
 - Pochłania je ogień płonący na ołtarzu - wyjaśnił Jedwab.
 - I w ten sposób trafiają do bogów?
 - Tak, symbolicznie.

W popiołach leżało kolejne martwe, przypominające psa zwierzę. Gdy je mijali, Pięściak szturchnął bestię nogą.

- Wasze małe ogieńki są za wątle, paterę. Są za małe i niewystarczająco gorące, by spopielić kości wielkiego stworzenia. Czasami wszystkie pozostałości spychane są tu wraz z popiołem. Kiedy wznoszono manteiony, stawiano je na wylotach tych starych tuneli, by było gdzie usuwać popiół. W Linnie również mamy manteion. Jesteśmy dokładnie pod nim. W Yironie jest dużo więcej takich miejsc, i dużo więcej bogów.
 - Rozumiem - mruknął Jedwab i głośno przełknął ślinę.
 - Pamiętasz tych, których przepędziliśmy? Wrócą natychmiast, jak stąd odejdziemy. Usłyszysz jeszcze ich śmiech i odgłosy walki o najlepsze kąski.
 - Posuwający się w sporej odległości w przodzie Piasek przystanął.
 - Prędeż, kapralu! - zawołał.
 - Jedwab, choć szedł już najszybciej jak mógł, próbował jeszcze przyspieszyć kroku.
- Nie przejmuj się sierżantem. On tak wrzeszczy przez cały dzień. To najłatwiejszy sposób na dochrapanie się naszywek.
- Gdy już prawie zrównali się z Piaskiem, Jedwab uświadomił sobie, że bezkształtny szary tobół spoczywający u stóp Piaska jest ludzkim ciałem. Sierżant wskazał zwłoki lufą pistoletu.
- - Przypatrz mu się dobrze, paterę. Może go znałeś. Jedwab przyklęknął przy okropnie poszarpanych zwłokach i usiłował zetrzeć grubą warstwę popiołu z miejsca, w którym powinna znajdować się twarz. Pod warstwą brudu natrafił jedynie na strzępy mięsa i kawałki połupanych kości.
 - Nie żyje - stwierdził.
 - To robota bogów. Jednym uderzeniem kłów oddzierają wieli płat skóry, tak jak ja zdejmuję swój panel twarzowy lub wy gryziecie... Jak się te rzeczy nazywają?
 - Jedwab dźwignął się z kolan i energicznie zaczął ścierać z dłoni brud.
 - Zupełnie nie wiem, o co ci chodzi.
 - Okrągłe, czerwone przedmioty wiszące na drzewach. O, jabłka! Nie zamierzasz pobłogosławić trupa?
 - Chodzi ci o pojednanie z Pahem? Ostatniego pojednania udziela się jeszcze przed śmiercią... mówiąc językiem technicznym, dopóki nie umrze ostatnia komórka w ciele. Czy to wyście go

zabili?

- Nie będę ci kłamał, paterę. Gdybyśmy dostrzegli intruza i kazali mu się zatrzymać, a on by uciekał, otworzylibyśmy ogień. Ale to nie my strzelaliśmy. Miał ze sobą latarnię; gdzieś tu jeszcze leży. I igłowiec.
 - Te broń mam w kieszeni. Tak więc intruz sądził, że nic mu nie grozi. Ale w okolicy czaili się zgodnie ze swoim obyczajem bogowie. Tutaj zawsze panuje nieprzenikniony mrok, gdyż popiół zakrywa światła.
 - Zapewne zgasła mu latarnia i zgłodniali bogowie ruszyli jego tropem.
 - Pięściak chrząknął i dorzucił: - Sierżant ma racje, paterę. Nie jest to odpowiednie miejsce dla biochemów.
 - Należałoby go pochować - oświadczył Jedwab. - Jeśli pozwolicie, mogę się tym zająć.
 - Chcesz zagrzebać trupa w popiołach? Bogowie, gdy tylko stąd odejdziemy, w mig go odkopią - zauważył Piasek.
 - Wiec możecie przynajmniej stąd wynieść ciało. Słyszałem, że wy, żołnierze, jesteście od nas dużo silniejsi.
 - Mógłbym ciebie zmusić do dźwigania zwłok - burknął Piasek. - Ale tego też nie zamierzam robić.
- Odwrócił się i ruszył przed siebie.
Pięściak poszedł za jego przykładem, lecz po chwili odwrócił się do Jedwabia.

- Chodź, paterę. Jej już nikt nie pomoże, ani ty, ani my. Jedwab ogarnięty strachem, że zostanie sam w ciemnościach, ruszył niezdarnym kłusem za żołnierzami.
 - Chyba mówiliście, że to mężczyzna?
 - Może sierżant tak mówił. Kiedy przeszukiwałem kieszenie trupa, odniosłem wrażenie, że to kobieta przebrana za mężczyznę.
 - Na Drodze Pielgrzymów, w odległości mniej więcej pół godziny marszu, widziałem kogoś przed sobą.

Zatrzymałem się na chwilę i zdrzemnąłem w cieniu skały. Trudno mi powiedzieć, jak długo spałem.

Pięściak zadarł głowę i szeroko się uśmiechnął.

- Powiedziano mi, że ja spałem siedemdziesiąt cztery lata. Jeszcze w dywizji.
- Mógłbym pokazać ci kilkuset wymienników, ani razu jeszcze nie budzonych. Niektórzy są biochemami.
- Przypominając sobie słowa, które w jego śnie wypowiedziała Pleśń, Jedwab odwrócił się szybko do żołnierza.
 - Pokaż, proszę. Bardzo chciałbym ich zobaczyć, synu.

- - Na razie ruszaj w drogę. Major zapewne zechce wziąć cię pod klucz. Zobaczymy. Jedwab skinął głową, lecz na chwilę jeszcze przystanął i popatrzył za siebie.
- Bezimienne zwłoki znów przypominały bezkształtny tłumok. W mroku, który zdawał się nadciągać szybciej, niż poruszały się zdeformowane bestie nazywane przez żołnierzy bogami, trudno było nawet rozpoznać w nich doczesne ludzkie szczątki.
- Jedwab pomyślał o ostatnich chwilach paterę Płetwy dogorywającego samotnie w sypialni obok jego pokoju, pomyślał o spokojnej, łagodnej śmierci starca, który coraz wolniej i wolniej oddychał. Choć śmierć Płetwy była okropna, jakże straszniejsze, jak przerażające musiało być konanie w labiryncie ciemności, w tunelach wydrążonych w trzewiach whorla.
- **W SNACH JAK W RAMIONACH ŚMIERCI**
- Czy paterę Jedwab udał się tą drogą? - spytał Alka siedzącego mu na ramieniu nocnego kruka. - Tak, tak! - Oreb gwałtownie zamachał zdrowym skrzydłem. - Stąd! Do świątyni!
- Ja nigdzie nie pójde - oświadczyła Acalypha. Przechodząca akurat obok pierwszego białego kamienia wytyczającego Drogę Pielgrzymów staruszka odezwała się nieśmiało: - Moi drodzy, nikt tam nie chodzi po zmroku, a niebawem zrobi się ciemno.
 - Ciemno dobre - oświadczył z niezachwianą pewnością siebie Oreb. - Dzień zły. Spać.
 - Staruszka zachichotała.
 - Nasz znajomy wybrał się do sanktuarium i jeszcze nie Wrócił - wyjaśnił Alka.
 - O bogowie! - westchnęła strwożona niewiasta.
- Czy żyje tam jakaś bestia, która zjada ludzi? - zapytała Acalypha. - Ten zwariowany ptak twierdzi, że naszego znajomego pożarło sanktuarium.
 - Staruszka roześmiała się, na jej obliczu pojawiły się tysiące malutkich zmarszczek.
 - O nie, moja droga. Ale łatwo spaść w przepaść. Każdego roku giną tam ludzie.
- - Słyszysz?! - wykrzyknęła piskliwie Acalypha. - Możesz iść sobie po tych przeklętych skałach nawet do samego Hiera - xa. Ale nie ze mną. Ja wracam do Orchidei.
 - Alka bez słowa tak mocno wykręcił jej rękę, że osunęła się na kolana.
 - Jedwab ze strachem spoglądał na spiętrzone półki z siwej stali. Połowa z nich była pusta, na pozostałych leżeli żołnierze. Spoczywali na plecach z rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia. Sprawiali wrażenie martwych lub pogrążonych w głębokim śnie.
- Gdy budowano tę bazę, znajdowała się pod jeziorem - odezwał się gawędziarskim tonem kapral Pięściak.
- Nie było łatwo się tu dostać. Nikt nie mógł wyliczyć dokładnie, gdzie jest to miejsce. Należało przebyć szmat drogi tunelami, a wielu przejść strzegli żołnierze.
- Jedwab odruchowo skinął głową, nie mogąc oderwać wzroku od spoczywających nieruchomo

na plecach żołnierzy.

- Myślisz pewnie, że przeciekała tu woda? Otóż nie. Nad nami jest bardzo gruba warstwa skały. Mieliśmy też cztery pompy, na wypadek gdyby zaszła konieczność odprowadzenia wody, ale trzech z nich ani razu nie użyliśmy. Bardzo się zdziwiłem, gdy po przebudzeniu usłyszałem, że jezioro cofnęło się, ale i tak zdobycie tego miejsca jest niezwykle trudne. Nie chciałbym znaleźć się w szeregach atakujących żołnierzy.
 - Spałeś przez siedemdziesiąt pięć lat? - upewnił się Jedwab.
 - Ostatnim razem siedemdziesiąt cztery. Wszystkich nas, tak jak mnie, budzą od czasu do czasu, ale jeśli udasz się ze mną kawałek dalej, pokażę ci takich, których nigdy jeszcze nie obudzono.
- Chodź.
 - Są ich tysiące - mruknął z niedowierzaniem Jedwab, ruszając za żołnierzem.
 - Pozostało nas około siedmiu tysięcy. Gdy pojawiliśmy się tu po opuszczeniu Krótkiego Słońca, Pah ustalił, że każde miasto będzie niezależne. Był przekonany, że jeśli ktoś przejmie władzę nad zbyt dużym terytorium, spróbuje również zawładnąć Centralnym Procesorem, supermózgiem, który prowadzi astronawigację i kieruje statkiem.
 - Masz na myśli cały whorl? - zapytał nieco zbity z tropu Jedwab.
 - Oczywiście. Cały „Whorl”. Tak zatem dał każdemu z miast, co moim zdaniem było bardzo chytrym posunięciem, potężną dywizję piechoty, dwanaście tysięcy blaszaków. Zarówno do prowadzenia wojny, jak i do obrony potrzeba broni i piechoty pancernej. Podzieliwszy „Whorl” na kilkaset miast i przydzielając każdemu z nich dywizję, zabezpieczył się przed knowaniem któregoś z szalonych calde. Tak trwa już od trzystu lat. Jak powiedziałem, wciąż jeszcze nam została połowa pierwotnych sił.
 - Jedwab był bardzo rad, że i on może podzielić się z żołnierzem interesującą informacją.
 - W Yironie nie ma już calde.
- Wiem - odparł Pięściak z niepokojem w głosie. - Słyszałem. Spowodowało to wiele zamieszania, gdyż wedle regulaminów rozkazy mamy odbierać właśnie od calde. Major utrzymuje, że obecnie obowiązuje nas bezwzględne posłuszeństwo wobec Ayuntamiento, lecz taki pomysł nikomu się nie podoba. Znasz regulaminy, paterę?
 - Słabo. - Jedwab szedł powoli za kapralem i liczył poziomy półek; dwadzieścia.
 - Wydaje mi się, że wspominał coś o nich Piasek.
 - Wy macie swoje - odrzekł Pięściak. - Uważaj!

Nieoczekiwanie wymierzył Jedwabowi potężny lewy sierpowy w głowę. Paterę odruchowo zasłonił się rękami, lecz stalowa pięść żołnierza zatrzymała się o grubość palca przed jego twarzą.

- Widzisz? Wasze regulaminy nakazują wam chronić wasz wewnętrzny mechanizm, a nasze każą nam chronić Yiron. Nie możesz zmienić regulaminów ani ich usunąć, chyba że ktoś

dostałby się do twojej głowy i trochę w niej pogmerał.

- Jednym z takich regulaminów jest potrzeba modlitwy - odparł z namysłem Jedwab.
- Człowiek ma wrodzoną chęć wyrażania podziękowań nieśmiertelnym bogom za wszystkie hojne dary; łącznie z życiem.
- Ty i twój sierżant najwyraźniej w pogardzie macie nasze ofiary, a i ja przyznam, że są aż żałośnie nieadekwatne. Niemniej w dużym stopniu zaspokajają tęsknoty zarówno społeczeństwa, jak i jednostek.
 - Pięściak potrząsnął głową.
 - Trudno mi wyobrazić sobie, by Pah łąpczywie rzucał się na ścierwo kozła, paterę.
 - Czy naprawdę trudno sobie wyobrazić, iż jednak cieszy się widząc, że nawet w tak nieudolny sposób próbujemy wyrazić mu naszą wdzięczność i pamięć? Że nawet mieszkańcy mojej dzielnicy, w większości biedacy, z ochotą dzielą się z nim strawą?
 - To akurat wydaje mi się całkiem w porządku.
 - A zatem nie mamy się o co spierać - odparł pogodnie Jedwab. - Odnosi się to nie tylko do samego Paha, lecz również do innych bogów, do wszystkich Dziewięciu, jak też do Zewnętrznego oraz pomniejszych bóstw.
- Pięściak zatrzymał się i odwrócił w stronę Jedwabia, blokując jednocześnie swą masywną postacią przejście między półkami.
- Czy wiesz, paterę, co moim zdaniem tak naprawdę robisz? Do Jedwabia nieoczekiwanie w pełni dotarł sens tego, co przed chwilą powiedział. Nie zaliczył Zewnętrznego do pomniejszych bóstw, a teraz odnosił wrażenie, że lada chwila oskarżony zostanie o herezję.
 - Nie wiem - mruknął skonfundowany.
 - - Ćwiczysz przede mną to, co zamierzasz powiedzieć moim przełożonym. Zastanawiasz się, jak ich podejść, aby puścili cię wolno. Moim zdaniem tylko o to ci chodzi.
- Być może i szukam usprawiedliwienia - przyznał Jedwab, czując jednocześnie ogromną ulgę. - Ale to wcale nie znaczy, że to, co powiedziałem, jest nieszczerze lub nieprawdziwe.
 - Raczej nie.
 - _ A jak, twoim zdaniem, potraktują mnie twoi oficerowie?
- Nie mam pojęcia, paterę. Piasek też nie wie. - Pięściak zadarł głowę i roześmiał się. - Dlatego pozwolił pokazać ci to miejsce. Gdyby był pewien, że dowództwo puści cię wolno, sam by już to dawno zrobił.
 - Gdyby natomiast sądził, że wezmą cię pod klucz, umieściliby cię w mrocznej celi.
 - Najwyżej w drodze łaski dałby ci dzbanek wody. Skoro jednak domagałeś się adwokata, a Piasek nie jest pewien, co powie na to major, zostawił ci trochę swobody, potraktował uprzejmie, a mnie kazał mieć na ciebie oko.

- Nie odebrał mi również igłowca pożyczonego od przyjaciela. To miło ze strony sierżanta. - Jedwab zawahał się i po chwili, zgodnie z nakazem sumienia, dodał: - Zapewne nie powinienem tego mówić, ale czyż nie przekazałeś mi wielu informacji niebywale użytecznych dla szpiega? Ja nie jestem szpiegiem, tylko lojalnym obywatelem, jak już wcześniej zaznaczyłem, i dlatego nieco troska mnie to, że prawdziwy szpieg również mógłby dostać od ciebie te informacje; na przykład, że nasza armia liczy siedem tysięcy żołnierzy. Pieściak oparł się plecami o półki.
- Nie przegrzewaj. Gdybym był tępakiem, nikt by mnie nie budził, abym pełnił funkcję szefa garnizonu.
- Powiedziałem ci jedynie, że próba zdobycia tego miejsca to czysta korozja. Niech szpiegdy wracają do domu i doniosą o tym swoim szefom. Yiron nie ma nic przeciwko temu. A ja nie tylko ci mówię, ja ci pokazuję, iż Yiron ma siedem tysięcy blaszaków, których w każdej chwili można powołać do życia.
- Wiemy, że w tej części „Whorla” żadne miasto nie posiada nawet połowy takiej siły. A więc najlepiej Yiron zostawić w spokoju. Jeśli Yiron mówi, że pluje na nich olejem, znaczy to, że pluje daleko.
- A zatem mówiąc mi o tych sprawach, nie wystawiasz mnie na żadne niebezpieczeństwo? - upewnił się Jedwab.
 - Ależ skąd! Ciągłe masz ochotę zerknąć na wymienników?
 - Oczywiście, jeśli tylko ty wciąż masz ochotę mi ich pokazać. Ale wyjaśnij mi najpierw, dlaczego zadajecie sobie tyle trudu z wyłapywaniem szpiegów, skoro nie przeszkadza wam, że przypuszczalny szpieg, a w dalszym ciągu utrzymuje, że ja nim nie jestem, może obejrzeć wasze kwatery?
 - Ponieważ szpiegów nasza kwatera nie interesuje. Gdyby tak było, żaden by się tu nie dostał. Ale oni chcą wyśledzić, gdzie kryje się nasz rząd.
 - Jedwab popatrzył pytająco na żołnierza.
 - Gdzie spotyka się Ayuntamiento? - Tak.
 - A zatem Ayuntamiento jest jeszcze lepiej strzeżona niż wasza kwatera główna.
 - Owszem, jest strzeżona lepiej, ale trochę inaczej. W przeciwnym razie łatwo byłoby ją namierzyć.
 - Widziałeś mnie i widziałeś sierżanta. Jesteśmy stworzeni z twardego metalu.
 - O tak.
 - Pieściak uniósł kułak imponujących rozmiarów.
 - Czy zdołałbyś mnie pokonać?
 - Oczywiście, że nie. Gdybyś zechciał mnie zabić, zrobiłbyś to bez trudu.
 - A może znasz biochemę, który byłby w stanie mnie pokonać?
- Mój przyjaciel jest jednym z najsilniejszych biochemów, jakich znam. Nazywa się Alka. Jest

wyższy ode mnie i dużo masywniej zbudowany. I doskonale zna arkana walki. Ale i tak pokonałbyś go bez trudu. Tego jestem pewien.

- W walce wręcz? Tak, na pewno. Pierwszym uderzeniem pięści zmiażdżyłbym mu szczękę. A to pamiętasz? - Pięściak wskazał jasną rysę zrobioną pociskiem z igłowca na jego torsie. - Ale co się stanie, jeśli obaj dysponować będziemy pistoletami kulowymi?
 - Nie sądzę, by Alka posiadał taką broń - odrzekł dyplomatycznie Jedwab.
 - Założmy, że miasto da mu taki pistolet i pudełko naboji.
 - W takim razie wynik walki w dużej mierze zależałby wyłącznie od szczęścia któregoś z was.
 - Czy Alka ma wielu znajomych i przyjaciół?
 - O, z pewnością. Choćby Kocura, który jest jeszcze potężniej zbudowany od Alki. Poza tym do przyjaciół Alki należy również jedna z naszych sybilli.
- Ją zostawmy. Założmy, że mam stoczyć walkę jednocześnie 7 tobą, z Alką i z tym Kocurem, a na dodatek cała wasza trójka jest uzbrojona w pistolety.
- W takim przypadku każde rozwiązanie byłoby możliwe - odrzekł wymijająco Jedwab, nie chcąc niepotrzebnie drażnić żołnierza.
- Pięściak wyprostował się. Znacznie przewyższał Jedwabia wzrostem i szerokością ramion.
- Masz rację. Może pokonałbym waszą trójkę, może wy zabilibyście mnie, sami nie odnosząc przy tym najmniejszego draśnięcia. Ale jaki byłby najprawdopodobniejszy wynik walki?
- Ostrzegam, jeśli znów zaczniesz kręcić i kombinować, przestanę być w stosunku do ciebie grzeczny.
- Dobrze wiec, zastanów się nad odpowiedzią. Jaki byłby wynik tej walki? Wasza trójka przeciw mnie, i wszyscy mamy pistolety. Jedwab wzruszył ramionami.
- Jak sobie życzysz. Niewiele znam się na tych sprawach, ale sądzę, że choć jednego lub dwóch z nas byś zabił, ostatecznie przegrałbyś starcie.
 - Pięściak znów zadarł głowę i roześmiał się.
 - Niełatwo cię zastraszyć, paterę.
 - Przeciwnie, jestem bardzo bojaźliwy. Bałem się skutków tego, co powiem, boje się cały czas, lecz ty mi zadałeś pytanie, a ja musiałem odpowiedzieć na nie zgodnie z prawdą.
 - Paterę, ilu biochemów liczy Yiron?
 - - Nie wiem. - Jedwab zamilkł i pocierał w zadumie policzek. - To ciekawe pytanie! Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.
- Widzę, że jesteś bystrym człowiekiem. Upłynęło dużo czasu od chwili, gdy po raz ostatni

stacjonowałem w mieście. Powiedz, ilu twoim zdaniem Yiron ma mieszkańców.

- Jedwab nieustannie pocierał policzek.
- Teoretycznie, znaczy się tak życzyłaby sobie Kapituła, na każdy manteion przypada pięć tysięcy mieszkańców, a w chwili obecnej prawie wszyscy mieszkańcy miasta to biochemy.
- Zostało wprowadzić trochę chemów, lecz na dwadzieścia man - teionów przypada najwyżej jeden. Obecnie funkcjonuje sto siedemnaście świątyń. Tak uczono mnie w scholi.
 - Czyli pięćset osiemdziesiąt pięć tysięcy biochemów - powiedział Pięściak.
 - Ale tak naprawdę wskaźnik jest dużo wyższy. Z całą pewnością ponad sześć tysięcy osób na manteion, a nawet osiem lub dziewięć.
 - W porządku, powiedzmy sześć tysięcy - zgodził się kapral. - To daje siedemset dwa tysiące biochemów.

Założmy, że połowa z nich to szproty, a połowa reszty to kobiety. Zostaje zatem sto siedemdziesiąt pięć tysięcy pięciuset mężczyzn. Założmy, że połowa z nich to starcy, chorzy lub tchorze. To daje nam osiemdziesiąt siedem tysięcy siedemset pięćdziesiąt osób. Czy już rozumiesz, paterę, dokąd zmierzam?

Oszołomiony potokiem cyfr Jedwab potrząsnął głową.

- Ustaliliśmy już wcześniej, że przy stosunku trzy do jednego walka zakończy się moją śmiercią. W porządku, osiemdziesiąt siedem tysięcy siedemset pięćdziesięciu biochemów przeciwko trzem i pół tysiąca blaszaków, jakimi dysponuje na przykład miasto Wiek, daje stosunek dwadzieścia pięć do jednego.
- Chyba zaczynam rozumieć - powiedział Jedwab. Pięściak wycelował w Jedwabia gruby niczym stalowa sztaba palec.
 - Oni wszyscy będą walczyć. Ale weź samą gwardię. Pięć brygad?
 - Formują kolejną - odparł Jedwab. - Rezerwową. To daje w sumie sześć.
 - Sześć brygad po cztery lub pięć tysięcy ludzi każda. Cóż zatem się stanie, paterę, jeśli wybuchnie wojna?
- Kto będzie ważniejszy dla Ayuntamiento, my, blaszaki, czy gwardia i uzbrojona w pistolety połowa biochemów w Yironie?
 - Jedwab milczał, zatopiony w rozmyślaniach.
 - Teraz już wiesz, paterę, to samo co my. Chodź, pokażę ci wymienników.
- Na tyłach przestronnego arsenału, na półkach ustawionych najbliżej tylnej ściany, leżeli żołnierze zawinięci w brudne płachty z polimeru; kończyny mieli posmarowane jakimś brązowawoczarным, kleistym środkiem konserwującym. Przejęty zdumieniem Jedwab pochylił się i zaczął z uwagą studiować najbliższą postać.
- Zdmuchnął z niej kurz i pajęczyny, a ponieważ zabieg ten okazał się niewystarczający, wytarł

twarz nieruchomego żołnierza rękawem sutanny.

- Jedna kompania - oświadczył z dumą Pieściak. - Dokładnie tacy sami jak w chwili, gdy zeszli z taś my montażowej.
- On nigdy jeszcze nie wymówił słowa ani... nie usiadł, nie rozejrzał się wokół - mruknął z zadumą w głosie Jedwab. - Od trzystu lat.
 - Trochę dłużej. Przed odtransportowaniem na pokład statku gromadzili nas przez dwadzieścia
- lat.
- Ten żołnierz powołany został do istnienia w tym samym mniej więcej w czasie co maytere Marmur, myślał Jedwab. W tym samym czasie co Pieściak. Obecnie maytere była już stara, zużyta i bliska śmierci, kapral wciąż młody i silny, a ten człowiek w ogóle się jeszcze nie narodził.
- Możemy go w każdej chwili obudzić - wyjaśnił Pieściak. - Wystarczy tylko krzyknąć mu do ucha i uderzyć w tors. Ale nie próbuj tego robić.
- Nie mam nawet takiego zamiaru. - Jedwab wyprostował się. - Czy wtedy rozpoczęłyby się jego procesy umysłowe?
- One już trwają, paterę. Zostały wzbudzone po ostatecznym montażu. Twórcy chcieli się upewnić, że funkcjonujemy prawidłowo. Później zostawiali nas na biegu jałowym. W wymiennikach zatem nieustannie przebiegają procesy życiowe. Ten na swój sposób wie, że tu jesteśmy. Słucha naszej rozmowy, lecz sobie nią głowy nie zaprzęta. W razie sytuacji krytycznej, na przykład jeśli wybuchnie tu pożar, obudzi się sam i zacznie wykonywać czynności nakazywane mu przez regulaminy.
- Mam pewne pytanie, ale boję się je zadać - odezwał się Jedwab. - Nawet kilka pytań. Liczę na to, że nie wpadniesz w gniew, jeśli ci je zadam, choć możesz uznać to za impertynencję.

Zanim jednak zacznę pytać, powiedz, czy to samo dotyczy wszystkich śpiących tu żołnierzy?

- Niezupełnie. - Pieściak zdawał się trochę zakłopotany, jak wtedy gdy mówił o Ayuntamiento. - Gdy obudzisz się nawet na krótki czas, trudno wrócić do stanu poprzedniego. Podejrzewam, że w chwili przebudzenia zaczynają się procesy bardziej skomplikowane. Nie wiem, czy dobrze mnie rozumiesz...
 - Chyba tak.
 - W pierwszej chwili wydaje ci się, że po prostu leżysz. Myślisz, że coś poszło nie tak, że w ogóle już nie zaśniesz i powinieneś wstać. Oczywiście tego nie robisz, lecz tak właśnie myślisz. Nie masz nic lepszego do roboty, więc zaczynasz przypominać sobie, co najlepszego ci się przytrafiło.
- Leżysz tak i leżysz, myślisz, a po jakimś czasie przestajesz być pewien, czy wszystko to wydarzyło się naprawdę, zaczynasz podejrzewać, że jesteś kimś innym, - Pieściak wykonał

osobliwy, jakby niedokończony ruch ramieniem. - Nie umiem tego dobrze wyjaśnić.

- Przeciwnie - zapewnił go Jedwab. - Wyjaśniłeś bardzo dobrze.
- I robi cię coraz ciemniej. Chcę ci jeszcze coś pokazać, paterę. Chodź, musimy przejść wzdłuż tylnej ściany.
- Chwileczkę, synu. - Jedwab oparł stopę na najniższym poprzecznym pręcie półki i ściągnął z kostki owijacz. - Czy mogę, zmieniając opatrunek, zadać ci pytania, o których wspomniałem?
- Jasne. Strzelaj.
- Niedawno mówiłeś, że o moim losie zdecyduje major. Domyślam się, że jest najwyższym rangą oficerem, który został obudzony.
- Pięściak skinął głową.
- On jest prawdziwym oficerem pełniącym obowiązki szefa garnizonu. Sierżant, ja i cała reszta tak naprawdę jesteśmy tylko jego jednostkami. Ale o sobie również mówimy „szef garnizonu”. I tak się nas powszechnie nazywa.
- Rozumiem. Ale interesuje mnie, dlaczego ten major, czy każdy inny chem o podobnej szarży, jest oficerem, a ty kapralem. Dlaczego Piasek jest sierżantem? Wydaje mi się, że wy, żołnierze, powinniście być w pełni wymienni.
 - Pięściak znieruchomiał i tak długo milczał, że Jedwabia ogarnął strach.
- Przepraszam, synu. Wiem, że zabrzmiało to obelżywie, lecz nie miałem zamiaru cię obrażać. Cofam to pytanie.
- Nie o to chodzi, paterę. Chcę tylko głębiej się zastanowić, zanim znów otworzę usta. Odpowiedź nie jest prosta i jednoznaczna.
- Nie musisz wcale odpowiadać - zapewnił go Jedwab. - Było to pytanie niemądre i niewłaściwe.
- Zacznę od tego, że masz rację. Pod względem hardware jesteśmy generalnie identyczni, lecz różnimy się oprogramowaniem. Sierżant musi znać się na wielu sprawach, a dla majora wiedza ta jest nieprzydatna; i odwrotnie. Czy zwróciłeś uwagę, jak mówię? Niezupełnie tak jak ty, prawda? Ale obaj mówimy tym samym językiem.
- Nie zauważyłem w twojej dykcji nic niezwykłego, ale teraz, gdy zwróciłeś mi na to uwagę, muszę przyznać ci rację.
- A widzisz. Ty mówisz jak oficerowie, a oni wyrażają się inaczej niż szeregowcy, kaprale czy nawet sierżanci. Używają więcej słów, dużo dłuższych słów, a ich mowa nie jest tak klarowna jak mowa, na przykład, kaprała. Dlaczego? Wyobraź sobie, że nadchodzi wojna. Piasek i ja mamy współpracować z gwardzistami, szeregowcami, kapralami i sierżantami. Mamy pokazywać im, gdzie umieszczać pistolety, zakładać stanowiska i tym podobne rzeczy. Zatem aby nas zrozumieli i abyśmy wspólnie walczyli z wrogiem, a nie ze sobą, musimy mówić jednym językiem. To samo dotyczy majora, który porozumiewa się z oficerami; musi mówić tak jak oni. I mówi! Paterę, czy próbowałeś kiedykolwiek używać naszej mowy?
 - Byłaby to zupełna kompromitacja - przyznał ze wstydem Jedwab.

- No właśnie. Major nie może mówić tak jak ja, a ja jak major. Abyśmy mogli mówić wspólnym językiem, każdy z nas musiałby posiadać podwójne oprogramowanie wzorców mowy. Ty - e że w naszych głowach nie zmieściłyby się tak obszerne Dogramy. Mamy określoną pojemność; podobnie jak wy.
- Tam gdzie lata żelazo, major nie funkcjonowałby tak dobrze jak kapral, ja z kolei nie nadaje się na majora.
 - Jedwab skinął głową.
 - Dziękuję. Bardzo mnie uspokoiłeś.
 - Dlaczego?
 - Trapił mnie problem, że mieszkańcy naszej dzielnicy nie mówią tak jak ja, a ja nie umiem mówić ich językiem. Skoro jednak wyjaśniłeś mi tę kwestię, rozumiem, że tak być powinno.
- Oni żyją tam, by użyć twego określenia, gdzie lata żelazo. Żyją niejako na polu walki i nie borykają się z zawiłościami abstrakcyjnego myślenia, lecz muszą być jasno rozumiani. Ja jednak jestem ich legatem, ich posłem do wyższych warstw naszego społeczeństwa, które prowadzą bardziej próżniaczy tryb życia, mam do czynienia ze sprawami bardziej skomplikowanymi i abstrakcyjnymi, a kara, jaką poniósłbym za to, że ktoś mnie nie zrozumie, nie byłaby tak surowa. Skoro więc mam pełnić rolę rzecznika moich ludzi, muszę mówić jak wyższe warstwy społeczeństwa.
 - Pięściak skinął głową.
- Rozumiem, paterę. A ty rozumiesz mnie. Istnieje jednak jeszcze inna sprawa, sztuczna inteligencja. Czy coś o niej wiesz?
 - Po raz pierwszy słyszę ten termin.
- Jedwab uderzył owijaczem Żurawia w jedną z pówek, znów oparł stopę na poprzeczce i założył opatrunek.
- To takie wymyślne określenie na proces uczenia się - tłumaczył Pięściak. - Wykonując jakąś czynność, nabierasz w niej wprawy. Na przykład strzelam do jednego z bogów. Jeśli chybię, wyciągnę z tego jakąś naukę. Jeśli trafię, również wyciągnę pewną naukę. Tak więc za każdym razem moja wiedza i umiejętności rosną, aż w końcu nie marnuję pocisków, próbując strzelać na los szczęścia. To samo dotyczy was.
 - Oczywiście.
 - Otóż nie! Tu się mylisz, paterę. - Pięściak pomachał przed nosem Jedwabia wielkim stalowym palcem. - Wiele istot tego nie potrafi. Weźmy na przykład ślizgacz. Zdaje sobie sprawę z tego, że w kierunku południowym nie wolno mu jechać szybko, ale nie wie już, nad czym może przelatywać, a nad czym nie. To musi za niego wiedzieć szofer. Miałeś kiedyś kota? Próbowałeś czegoś go nauczyć?

- Nie - przyznał Jedwab. - Ale mam ptaka; a właściwie miałem. On potrafił przyswajać sobie wiedzę.
- Nauczyłem go, na przykład, wymawiać swoje i jego imię.
- Ja mówię o kotach. Jakiś czas temu, podczas drugiej wojny z Urbs, znalazłem w zburzonej chacie kotka i zatrzymałem go, by mieć z kim gadać i o kogo dbać. Był milusi.
 - Doskonale cię rozumiem, synu.
 - Tamtego lata obsługiwaliśmy usytuowane na szczycie wzgórza wielkie działo miotające. W trakcie zażartego boju strzelaliśmy szybko jak nigdy, a porucznik jeszcze bardziej nas poganiał. Kilka razy w powietrzu unosiło się jednocześnie osiem lub dziewięć pocisków kruszących. Czy obsługiwałaś kiedyś działo miotające?
 - Jedwab odmownie pokręcił głową.
- Mniejsza o to. Należy otworzyć komorę zamkową, zimną, wsunąć w nią pocisk kruszący i odpalić. Wtedy znów otwierasz komorę, a z niej wyskakuje pusta łuska. I jest bardzo gorąca.
 - Wyobrażam to sobie.
 - Lecz kiedy strzela się tak szybko, że w powietrzu unosi się jednocześnie sześć, siedem lub osiem pocisków, komora rozgrzewa się do tego stopnia, że zanim szarpniesz za cięgieł, pocisk w lufie również rozpala się do białości. Gdy więc wyskakuje pusta łuska... cóż, możesz widzieć ją po ciemku.
- Tak więc strzelamy, strzelamy i strzelamy. Donosimy amunicję, rzucamy ją obok działa, znów ładujemy i strzelamy. Sami omal nie spłoneliśmy w okropnym żarze. Z łusek utworzył się olbrzymi stos. Wtedy też pojawił się kotek i postanowił znaleźć sobie jakieś miejsce, z którego mógłby nas obserwować. Wybrał oczywiście stos pustych łusek i wskoczył na samą górę. Na górze łuski były tak gorące, że prawie się ze sobą stapiały.
 - Jedwab ze współczuciem pokiwał głową.
- Kot przeraźliwie zapiszczał, dał drapaka i nie widziałem go przez trzy dni - dokończył Pięściak.
 - Ale wrócił?
 - W serce Jedwabia wróciła nadzieja, że Oreb również do niego powróci.
- W końcu pojawił się, ale nigdy nawet nie zbliżył się do żadnej łuski. Mogłem mu je pokazywać, dotykać nimi jego nosa i łap, by się przekonał, że metal nie jest gorący, nic do niego nie trafiało. Nauczył się, że łuska jest gorąca, paterę. I nigdy już, mimo moich wysiłków, zdania nie zmienił.
 - Nie miał sztucznej inteligencji, podobnie zresztą jak wielu ludzi.
Jedwab ponownie skinął głową.
- Pewien wybraniec boży napisał, iż mędrzec uczy się z doświadczeń innych, głupiec z

własnego doświadczenia, a większość ludzi w ogóle niczego się nie uczy. Zapewne i on uważał, że większość ludzi nie posiada sztucznej inteligencji.

- - Trafiłeś w sedno, paterę. Lecz jeśli ją posiadasz, to wiesz, że im ktoś ma większe doświadczenie, tym bardziej jest tobie przydatny. Dlatego Piasek jest sierżantem, ja kapralem, a Łupek szeregowcem. Mówiłeś, że masz kilka pytań. Jakie jest następne?
- Skoro zamierzasz coś jeszcze mi pokazać, porozmawiajmy idąc - powiedział Jedwab i ruszył obok żołnierza szerokim przejściem między półkami. - Chciałbym zapytać cię o ustalenia Pah co do niezależności miast. Gdy mi o tym powiedziałaś, wydawało mi się to całkiem oczywiste. I odniosłem wrażenie, że funkcjonuje to dokładnie tak, jak przewidział Pah.
- Zgadza się - przyznał Pięściak. - Powiedziałem, iż uważałem to, i uważam do dziś, za bardzo sprytne.
- Lecz później rozmawialiśmy o żołnierzu walczącym z trzema biochemami uzbrojonymi dokładnie jak on, rozmawialiśmy o gwardii cywilnej i innych podobnych sprawach. Przyszło mi do głowy, iż porządek rzeczy, jaki mi opisałeś, niegdyś naprawdę godny podziwu, obecnie zaczyna się chwiać. Skoro Wiek ma trzy i pół tysiąca żołnierzy, a nasze miasto siedem tysięcy, to jesteśmy dwukrotnie silniejsi, nawet jeśli w walce weźmie udział jedynie wojsko. Gdyby włączyli się również gwardziści, których szacujemy na dziesięć lub dwanaście tysięcy, nie mówiąc już o setkach tysięcy szarych obywateli, to Wiek nie ma szans.
 - Czy Pah przewidział taką okoliczność? Pięściak z zadumą pokiwał głową.
- Ten problem bardzo wszystkich niepokoi. Moim zdaniem Pah miał na myśli pierwsze dwieście lat. Może dwieście pięćdziesiąt. Zapewne uznał, że po takim czasie albo nauczymy się żyć w zgodzie, albo wzajemnie się pozabijamy. To wcale nie było głupie. Widzisz, paterę, początkowo biochemów było niewiele i nie potrafili budować. Przyszli tu do gotowych miast 0 wybrukowanych ulicach i domach wzniesionych z rakplastu. Najpilniejszą sprawę stanowiła żywność.
- Lecz kiedy już uporali się z tym problemem, zaczęli wytwarzać ubrania i niezbędne narzędzia, później wymyślili cegły z mułu, aż w końcu przyszła kolej na domy wznoszone tam, gdzie Pah ich nie przewidywał... Zaczekaj, paterę. Coś ci pokaże.
- Pięściak zatrzymał się przez szerokimi, podwójnymi drzwiami. Stał dokładnie na wprost miejsca zetknięcia ich skrzydeł. Najwyraźniej coś zasłaniał.
- Jak mówiłem, przed trzystu laty biochemów było niewiele. Większość prac wykonywały chemy. Czasami zatrudniano 1 nas, żołnierzy, lecz w większości trudniły się tym chemy cywilne. Zapewne kilku już spotkałeś. Nie mają pancerzy i zostały inaczej oprogramowane.
 - Przykro mi to mówić, ale obecnie większość z nich już odeszła - odparł Jedwab.
 - Wiem. W tym właśnie, moim zdaniem, Pah popełnił największą omyłkę. Z kob - chemem

możemy tworzyć szproty. Czy wiedziałeś o tym?

- Naturalnie.
- Każdy z nas sprzężony jest z połową planów. Rzecz w tym, że zajmuje nam to rok, jeśli mamy szczęście.
- Jeśli nie, to nawet i dwadzieścia lat, podczas gdy wy, biochemy, wypełniacie swe główne zadania każdej nocy po pracy.
- Uwierz mi - zapewnił go żarliwie Jedwab - Z całego serca życzyłbym sobie, byście bardziej przypominali nas, a my was. Nigdy w życiu jeszcze nie mówiłem tak szczerze.
- Dziękuję. Tak czy owak biochemów przybywało, wyrabiali coraz lepsze narzędzia, głównie dzięki pomocy che - których wciąż jeszcze było dużo. A po żołnierzach, którzy polegli w wojnach, pozostało w miastach trochę pistoletów kulowych. Broń taką produkuje się łatwo.
- Potrzeba tylko tokarki, prętu do wytoczenia lufy oraz frezarki. Ale ktoś, kto ma czas i zna się na rzeczy, jest w stanie frezarkę zastąpić zestawem pilników i ręczną wiertarką. Pięściak rozłożył swe pancerne ramiona.
- I oto wciąż jesteśmy. Może nie tak mocni jak dawniej, ale winę za to ponosi wyłącznie staruszek Pah.
 - To przykre - mruknął zamyślony Jedwab.
 - Uszy do góry, paterę. Pokażę ci teraz coś najlepszego. Jesteś augurem, więc zachowałem to na koniec. Czy słyszałeś kiedyś o pieczęci Paha?
 - Jedwab szeroko otworzył oczy ze zdumienia.
- Oczywiście. Wspomina o tym formuła pojednania. „Wypełniaj wolę moją, żyj w pokoju, rozmnażaj się i nie naruszaj mej pieczęci. W ten sposób unikniesz mego gniewu”.
 - Pięściak znów zadarł głowę i szeroko się uśmiechnął.
 - Czy widziałeś taką pieczęć?
 - Nie. Jak wiem, określenie „pieczęć Paha” stanowi jedynie metaforę. Gdybym, na przykład, dawał ci rozgrzeszenie, wszystko, co byś mi wyznał, znalazłoby się pod pieczęcią Paha.
 - Bez twojej wyraźnej zgody nie mógłbym wyjawić tego komuś innemu.
 - A więc spójrz - mruknął Pięściak i odstąpił na bok.
- Na wysokości jego pasa, w miejscu gdzie stykały się ze sobą skrzydła drzwi, widniała szeroka tabliczka z szarego gipsu lub zaprawy tynkarskiej. Jedwab opadł na kolano, by odczytać napis i cyfry odcisnięte w plakietce: 5553 8783 4223 9700 34 2221 0401 1101 7276 56 ZAPIECZĘTOWANE DLA MONARCHY - Zawieszono ją, zanim jeszcze sprowadzono nas na pokład - oświadczył Pięściak.
 - Widzisz jedną z pieczęci Paha, o których ludzie tyle gadają. Było ich tu zresztą dużo

więcej.

- Jeśli jest to naprawdę napis i pieczęć Paha, mam przed sobą bezcenny zabytek - mruknął Jedwab, wykonał przed plaketką znak dodawania i odmówił modlitwę.
- Stałaby się jeszcze większym zabytkiem, gdybyśmy mogli ją zdjąć i zanieść do któregoś z wielkich manteionów. Rzecz jednak w tym, że jeśli spróbujesz pieczęć oderwać, cała się rozsypie. Kiedy pojawiliśmy się na pokładzie „Whorla”, próbowaliśmy wiele takich pieczęci zdjąć, lecz za każdym razem się rozpadały, zamieniały w pył przypominający proszek H - sześć.
- I nikt nie wie, co znajduje się za tymi drzwiami? - zapytał Jedwab. - Nie wiadomo, co jest w sąsiednim pomieszczeniu?
- O nie, wiemy, co tam jest. To samo co tutaj: masa ludzi na półkach. Tylko że są to biochemy. Chcesz ich zobaczyć?
 - Biochemy? - powtórzył jak echo Jedwab.
- W jednej chwili z całą mocą powrócił sen sprzed kilku godzin; ale tym razem sen był zupełnie inny: stok wzgórza porośnięty krzakami jeżyn, maytere Marmur (absurdalne) w łożu złożona niemocą, przenikliwy zapach bijący z należącej do maytere Róży niebieskiej lampy oraz Pleśń, która odegrała we śnie swoją rolę, a później, po przebudzeniu się Jedwabia, siedziała na wodzie. „Panuje coraz większa susza. Spotkasz się ze mną tam, gdzie śpią biochemy”.
- Tak, biochemy, takie same jak ty - odrzekł Pięściak. - W sali, w której jesteśmy, spoczywają dodatkowi żołnierze, a w sali za zapieczętowanymi drzwiami dodatkowe biochemy. Stary Pah musiał obawiać się nadejścia jakiejś zarazy lub klęski głodu, po których Yiron potrzebować będzie nowych bio - chemów, mogących zacząć wszystko od początku. Ale oni nie leżą jak my. Są ustawieni pionowo. Chcesz ich obejrzeć?
 - Naturalnie, pod warunkiem że nie będziemy łamać pieczęci Paha.
 - Nie martw się, robiłem to już kilka razy. - Pięściak zastukał głośno w drzwi stalowymi kłykciami. - Nie robię tego po to, by ktoś otworzył drzwi i wpuścił nas do środka. Chcę tylko uaktywnić światła, bo po ciemku nic byś nie zobaczył.
 - Jedwab kiwnięciem głowy przyznał mu rację.
- Nie masz dosyć siły, więc ja to zrobię - mruknął Pięściak Między skrzydła drzwi wsunął swe przypominające dłuta paznokcie. - Za pieczęcią znajduje się zamek, który blokuje drzwi. Tak więc gdybym nawet z całych sił próbował je otworzyć, nie udałoby mi się ta sztuka. Ale mogę odrobinę rozchylić u góry skrzydła tak, byś przez szczelinę zerknął do środka. Popatrz.
- Z klatki piersiowej Pięściaka dobiegło ciche brzdąknięcie i cieniutka szpara wypełniła się zielonkawym światłem.
 - Wsuń się między mnie a drzwi i zajrzyj.
- Jedwab wcisnął się przed Pięściaka, przyłożył oko do szpary. Dostrzegł fragment wielkiego holu zalewanego jaskrawym światłem. Przestrzeń wypełniały pomalowane na szaro metalowe

półki, a nieruchome sylwetki biochemów w rzędzie najbliższym posadzki (który Jedwab widział przez szczelinę) znajdowały się w prawie pionowej pozycji. Każdy zamknięty był w cylindrze z najcieńszego szkła pokrytego cienką warstwą kurzu. Przez wąską szparę Jedwab dostrzegł tylko trzech biochemów: kobietę i dwóch mężczyzn. Cała trójka była naga, mniej więcej w wieku Jedwabia, i spoglądała przed siebie szeroko rozwartymi nieruchomymi oczyma. Twarze śpiących wyrażały niczym nie mącony spokój.

- Czy masz dosyć światła? - zapytał Pięściak i sam przystawił twarz do szpary; jego pobródek znajdował się wysoko nad głową Jedwabia.
 - Tam jest ktoś, kto nie śpi - oświadczył paterę.
 - W środku? - Pięściak z głośnym metalicznym szczękiem ponownie przyłożył czoło do drzwi.
 - Popatrz, jak tam jasno. Pali się każde światło. Kilka puknięć w drzwi nie uaktywniłoby lamp aż do takiego stopnia.
 - Ależ to niemożliwe!
 - Dlaczego tak myślisz? Po prostu istnieje jakieś inne wejście, to wszystko.

Powoli - tak powoli, że początkowo Jedwab nie był pewien, czy w ogóle widzi jakiś ruch -kobieta w najniższym rzędzie uniosła ręce i przycisnęła dłonie do cylindra, w którym była zamknięta.

- Kapral dyżurny! - ryknął Pięściak. - Na tyłach Przechowalni Personelu! Z oddali dobiegł cichy odzew wartownika.
- Jedwab nie zdążył zaprotestować, Pięściak kolbą pistoletu skruszył pieczęć, która w mgnieniu oka zamieniła się w chmurę pyłu. Zanim Jedwab zdołał zapanować nad ogarniającą go zgrozą, żołnierz wbiegł do ogromnego holu.
- Paterę opadł na kolana i zebrał jak najwięcej czarnego kurzu. Wyciągnął z piórnika ostatnią kartkę papieru, wsypał na nią proszek, zwinął papier i pieczołowicie schował.
- Gdy zamknął piórnik i wsunął do kieszeni sutanny, ujrzał, że uwięziona w szklanym cylindrze kobieta zaciska kurczowo dłonie na krtani, a oczy wychodzą jej z orbit. Wbiegł do rzęsiście oświetlonego holu.
- Rozpaczliwie rozejrzał się wokół siebie w poszukiwaniu jakiegoś ciężkiego przedmiotu, którym mógłby roztrzaskać przezroczystry klosz, po czym wyrwał z kieszeni igłowiec i uderzył kolbą w prawie niewidoczny cylinder.
- Pękł po pierwszym uderzeniu. Gdy tylko do środka dostało się powietrze, szkło ściemniało, nabierając koloru niebiesko - czarnych, dojrzałych winogron, potem zawirowało, unosząc się spiralnie w powietrze, i zniknęło równie nagle jak Pleśń w pokłosiu jego snu. Z somnambuliczną powolnością kobieta oderwała ręce od szyi i opuściła je wzdłuż tułowia.
 - Łapczywie zachłysnęła się powietrzem.
 - Jedwab skromnie odwrócił wzrok i rozwiązał troki sutanny.
 - Włóż to, proszę - powiedział.

- Czy zostaniemy kochankami? - spytała kobieta. Przy ostatnim słowie jej głos lekko się załamał.
 - Miała włosy czarne jak Hiacynt, a oczy jeszcze bardziej niebieskie niż Jedwab.
 - Znasz rozkład pomieszczeń? - spytał pośpiesznie paterę. - Czy jest stąd inne wyjście? Kobieta, poruszając się już prawie normalnie, powoli zeszła z półki.

- Muszę stąd uciec - powiedział, zastanawiając się, czy ona go zrozumie, choć mówił wyraźnie jak do dziecka. - Muszą tu być jakieś inne drzwi, którymi intruz dostał się do środka.
 - Wskaż mi drogę, proszę.
 - Tędy.

- Niepewnie popatrzył jej w twarz, nie odważając się spuścić wzroku na długą, kształtną szyję. W uśmiechu tej kobiety było coś znajomego; coś okropnego, co z całych sił próbował wypchnąć z pamięci. Drżącymi rękami zarzucił jej na ramiona sutannę.
 - Musisz ją z przodu zawiązać - powiedział cicho.
 - Czy możesz to zrobić ty?
 - Bardziej właściwe byłoby... - zaczął niepewnie.
 - Nie wiem jak. - Dała krok w jego stronę. - Proszę! Niezdarnie zaczął wiązać troki. Dziwne, ale czynność, którą automatycznie wykonywał każdego ranka, nagle zaczęła nastreczać mu wiele kłopotu.

- Teraz mogę latać! - Rozłożyła ramiona, rozpościerając poły sutanny, i ruszyła niezdarnie przejściem między półkami, po czym prawie zniknęła Jedwabiowi z pola widzenia, jakby wtopiła się w ścianę. Tam zawróciła i zaczęła biec z powrotem, teraz już całkiem sprawnie. - Naprawdę...

- umiem! - Znów zaczerpnęła głęboko tchu, piersi jej zafalowały. - Ale... wtedy... ty... byś... mnie...

- nie... widział. - Wciąż ciężko łapiąc powietrze, uśmiechnęła się z dumą, zadana głowę jak Pięściak i roześmiała się, szczerząc zęby niczym trup. Jedwab natychmiast ją rozpoznał.
 - Pleśnio, nie masz prawa do tej kobiety! - Wykonał w powietrzu znak dodawania.
 - W imię Paha, Władcy Whorła, przepadnij!
 - Jestem... kobietą. O... tak!
 - W imię Echidny, przepadnij!
 - Znam... ją. Lubi... mnie.

- W imię Scylli i Sphigx! W imię najświętszego imienia Zewnętrznego! Nie zwracała uwagi na jego inkantacje.

- Czy... wiesz... dlaczego... to... pomieszczenie... jest... takie... wysokie? - Wyciągnęła ramiona, wskazując strop sali. - Po to by lotnicy... mogli latać... i nie musieli... chodzić. - Wskazała splątany stos kości, włosów i poczerzniętego ciała na dnie cylindra na drugim poziomie półek. -

Kiedyś...

- byłam nią Ona... to zapamiętała.
 - Dla mnie jesteś diabłem, który opętał nieszczęsną Rzep.
- małą dziewczynkę - odparł z gniewem Jedwab. - Diabłem, który opętał Orlice. - Dostrzegł w oczach kobiety błysk leku. - Jestem, oczywiście, złym człowiekiem, postępuje często samowolnie i daleko mi do pobożności. Niemniej jestem świętym augurem, konsekrowanym i pobłogosławionym.
 - Czyż nie istnieje żadne imię, przed, którym czułabyś respekt?
 - Nie boję się ciebie, Jedwabiu - powiedziała, cofała się jednak z lękiem.
 - W imię Phaei, odejdz! W imię Thelxiepei, odejdz! W imię Molpe, której dzień dzisiaj święcimy, a także w imię Scylli i Sphigx. Przepadnij w imię wszystkich bogów!
 - Chciałam pomóc...
 - Przepadnij w imię Tartarosa i Hieraxa!
- Wzniosła ramiona w takim samym geście, jaki on wykonał, próbując zasłonić się przed ciosem Pięściaka.
- Na widok malującego się na jej twarzy strachu Jedwab przypomniał sobie, iż Piżmo nadał płowemu sępowi, siwogłowemu z dachu willi Krwi, imię Hieraxa. W jednej chwili wróciło doń wspomnienie nocy w phaedag; szalony bieg w chmurze, która nieoczekiwanie spowiła trawnik w posiadłości Krwi, łoskot rozwidlonej gałęzi spadającej na dach cieplarni, ostrze jego tasaka wsunięte między futrynę i skrzydło okna; okna, którego nie zaniknął, przez co następnego dnia musiał wypędzać Pleśń z domu Orchidei.
- - Jeśli nie dasz mi spokoju, Pleśnio, zamknę twoje okno na dobre - powiedział prawie serdecznie. - Odejdz.
- W jednej chwili opuściła ciało kobiety o kruczoczarnych włosach; zupełnie jakby jej tam nigdy nie było.
- Jedwab nic nie dostrzegł i nic nie usłyszał. Odniósł tylko wrażenie, iż było to niczym błysk ognia i podmuch huraganu.
 - Kobieta dwukrotnie zamrugnęła powiekami. Miała błędny, nierozumiejący wzrok.
 - Iść? Dokąd?
- Szczelnie się owinęła sutanną Jedwabia. Chwała Hieraxowi Wielkiemu, Synowi Śmierci, Nowej rci, którego łaska jest ostateczna i nieskończona - powie - ał paterę głosem pełnym żaru. - Dobrze się czujesz, córko?
 - Popatrzyła na niego, przyciskając ręce do piersi.
 - Moje... serce?
 - Wciąż łopocze od wysiłku Pleśni, ale za chwile puls wróci do normy.

Kobieta zadrżała, lecz nie odezwała się słowem. Jedwab usłyszał łoskot metalowych nóg. Zamknął

otwarte przez Pieściaka drzwi, przypominając sobie, iż kapral wezwał posiłki. Minie zapewne trochę czasu, nim żołnierze zrozumieją, że wezwani zostali do tej przestronnej sali.

- Znajdź jakieś zaciszne miejsce, gdzie będziesz mogła usiąść. Czy znasz inne wyjście? Kobieta nic nie odpowiedziała, lecz nie stawiała oporu, kiedy Jedwab pociągnął ją za sobą w
- wybrane na chybił trafił przejście między półkami. Dopiero teraz spostrzegł, że pod każdym z cylindrów widnieje czarny napis. Wspiął się na palce, by przeczytać jeden z nich, umieszczony pod kloszem znajdującym się na drugiej kondygnacji. Głosił, że w kloszu znajduje się kobieta (Oliwka), podawał jej wiek (dwadzieścia cztery lata) oraz wykształcenie.
- Powiniennem był przeczytać napis pod twoim kloszem - mruknął tak, jak zawsze zwracał się do Oreba, gdy chciał uporządkować myśli. - Ale lepiej tam nie wracajmy. Gdybym okazał więcej zimnej krwi, poznałbym przynajmniej twoje imię.
 - Mamelta.
 - Zaintrygowany popatrzył na kobietę. Nigdy jeszcze nie spotkał się z podobnym imieniem.
 - Tak się nazywasz?
 - Chyba tak. Nie mogę...
 - Nie możesz sobie przypomnieć? Kobieta skinęła głową.
 - Nie jest to pospolite imię - rzekł paterę. Zielonkawy Wask bijący z sufitu wyraźnie przygasł. W zalegającym pomieszczeniu półmroku Jedwab dostrzegł w oddali, na skrzyżowaniu przejść, przebiegającego Pieściaka. - Mamelto, czy możesz iść trochę szybciej?
 - Kobieta nie odpowiedziała.
- Wolalbym się z nim nie spotkać - wyjaśnił Jedwab. - Mam ku temu swoje powody. Ale nie musisz się niczego obawiać... On nie wyrządzi krzywdy ani tobie, ani mnie.
 - Choć Mamelta skinęła głową, Jedwab nie był pewien, czy zrozumiała.
- Obawiam się, iż ten nieszczęśnik nie znajdzie tego, kogo szuka. Próbuje wytropić człowieka, który zasilił energią wszystkie światła, lecz ja mam wszelkie powody sądzić, że uczyniła to Pleśń, która już stąd odleciała.
 - Pleśń?
 - Mamelta wskazała na siebie i przyłożyła dłonie do twarzy.
- Nie - odrzekł zdecydowanie Jedwab. - Nie jesteś Pleśnią, choć ona na krótki czas tobą zawaładnęła. Jak sądzę, zbudziła cię, gdy przebywałaś w szklanej rurze. Nie powinno do tego dojść. Czy możemy iść odrobinę szybciej?
 - Oczywiście.
 - Ale nie biegnijmy, bo Pięściak usłyszy nasze kroki. Idąc szybko, zdołamy zapewne mu umknąć. Jeśli nie uda się nam ta sztuka i on nas złapie, z całą pewnością uzna, że to ty

uruchomiłaś światła.

- Kto to jest Pleśń?
- Jedwab popatrzył na Mamelkę z niejakim zdziwieniem.
 - Czujesz się już lepiej, prawda?
- Ona spoglądała nieruchomym wzrokiem przed siebie, na odległą ścianę. Sprawiała wrażenie, jakby pytanie Jedwabia wcale do niej nie dotarło.
- Należy ci się pełne wyjaśnienie, ale obawiam się, że nie jestem ci w stanie niczego wytłumaczyć. Sam wiem niewiele, a to, co wiem, jest bardziej niż dziwaczne. Pleśń jest młodą osobą, która potrafi opuszczać swe ciało, inaczej mówiąc, wysyłać swą duszę. Nie jest zupełnie normalna, a w każdym razie takie sprawiała wrażenie podczas naszego jedyne jak dotąd spotkania. Później jednak, kiedy miałem czas głębiej się nad A zastanowić, doszedłem do wniosku, że nie jest aż tak szalona, jak pierwotnie sądziłem. Ona widzi whorl zupełnie inna - niż większość z nas.
 - Odnoszę wrażenie, że jestem tą Pleśnią i... Jedwab skinął głową.
 - Licz uwagi. Ale w drodze do sanktuarium przemyślałem tamtą rozmowę, opowiem ci o tym później, i pojąłem ważkość jej słów. Powiedziała mianowicie: „Ale nawet wtedy coś by pozostało. Zawsze zostaje”.
 - Jeśli dobrze ją zrozumiałem, Pleśń, opuszczając opętaną osobę, zostawia w niej jakąś cząstkę swej duszy.
 - Uważamy duszę za niepodzielną, lecz Pismo przyrównuje ją do wiatru. Wiatr nie jest niepodzielny. Wiatr to ruch powietrza, a powietrze dzieli się za każdym razem, ilekroć zamykamy drzwi lub bierzemy oddech.
 - Tyłu martwych - szepnęła Mamelka.
- Spoglądała na kryształowy cylinder, w którym znajdowały się jedynie kości, czarny proch i kilka pasem włosów.
- W dużej mierze musi być to dzieło Pleśni - powiedział Jedwab i umilkł, dręczony wyrzutami sumienia. - Nie powiedziałem najważniejszego; w każdym razie najważniejszego dla mnie.
- Chodzi o to, że ją zdradziłem. Jest córką niejakiego Krwi, potężnego człowieka, który traktuje ją w okropny sposób. Gdy z nią rozmawiałem, obiecałem, że upomnę się o jej prawa. Później rzeczywiście długo konferowałem z Krwią, lecz tematu córki nie poruszyłem. Bałem się, że srogo ją ukarze, gdy dowie się, że ze mną rozmawiała. Teraz jednak odnoszę wrażenie, iż popełniłem zdradę. Gdyby zrozumiała, że inni ją cenią, zapewne...
 - Paterę! - rozległo się wołanie Pięściaka.
 - Tak, synu? - odpowiedział Jedwab, rozglądając się wokół siebie.
 - Tutaj. Dwa rzędy dalej. Nic ci się nie stało?
 - Nie, nic! - odkrzyknął Jedwab. - Zwiedzam cały ten zdumiewający magazyn, jak

nazwałeś to miejsce, i oglądałam ludzi.

- A z kim rozmawiałeś?
- Z jedną z tych osób. Obawiam się, że robiłem jej wymówki. Pięściak zachichotał. Był to ten sam suchy, nieludzki dźwięk, jaki Jedwab słyszał w tunelu, gdy śmiał się Piasek.
- jcuui" - ". - " auuL,iiu,i.a. i uju^A »[jiciwuz.iu, cu się siaio. spotkamy się przy drzwiach, przez które weszliśmy.
 - Pięściak odbiegł z łoskotem, nie czekając na odpowiedź Jed - wabia.
- Muszę wrócić do tuneli - oświadczył Mamelcie paterę. - Zostawiłem tam coś bardzo cennego, co nie należy do mnie. Nawet jeśli przełożony tego żołnierza puści mnie wolno, dopilnuje, bym został odeskortowany do Limny.
 - Tedy - powiedziała Mamelta.
 - Ale ja nie zdołam biec - wyjaśnił Jedwab. - Nie jestem w stanie poruszać się tak szybko jak ty. Mamelta po raz pierwszy popatrzyła mu w oczy.
 - Masz poranioną twarz i utykasz. Jedwab skinął głową.
- Przytrafiło mi się kilka nieszczęść. Między innymi spadłem ze schodów. Ale wszystkie te kontuzje szybko się wygoją. Czy jesteś pewna, że idziemy we właściwym kierunku? Jeśli wrócimy...
- Jego towarzyszka znów wyciągnęła przed siebie rękę i tym razem Jedwab ujrzał na posadzce zieloną linię.
 - Musimy trzymać się tego szlaku - oświadczyła Mamelta. Jedwab uśmiechnął się.
 - Powinienem był się domyślić wcześniej istnienia czegoś takiego.

Zielona linia kończyła się przed sześcienną konstrukcją, której jedna ściana zbudowana była z małych płytek. Mamelta nacisnęła tę ścianę i płytki zdrząły, zapiszczały, zmieniły barwę na jasną, a następnie rozchyliły się ze zgrzytem. W pierwszej chwili przywiodły Jedwabowi na myśl drzwi o kształcie źrenicy oka, których nie zdołał sforsować, a następnie rozkwitającą różę.

- Piękne - mruknął pod nosem. - Ale przecież nie tędy chyba droga? Przypomina to... zwykłą narzędziwnię.
- Kwadratowe pomieszczenie, które znajdowało się za przypominającymi płatki róży drzwiami, było mroczne i zaśmieczone.
- Na podłodze wały się odłamki szkła, a w kątach zalegały jakieś stalowe przedmioty pomalowane szarą farbą. Mamelta usiadła na jednym z nich, wzbijając przy tym chmurę kurzu.
 - Czy zawiezie nas to do promu?
- Choć zadając to pytanie spoglądała mu w twarz, Jedwab odniósł wrażenie, że Mamelta wcale

go nie widzi.

- Obawiam się, że nigdzie nas to nie zawiezie - odparł w chwili, kiedy drzwi znów się złożyły. -Ale mamy przynajmniej dobrą kryjówkę. Po odejściu żołnierzy wyjdę stąd i poszukam drogi do tuneli.
 - Wyjdziemy. Siadaj.
- Gdy usiadł, odniósł osobliwe wrażenie, że stalowa konstrukcja wraz z całym magazynkiem zapadają się w jakąś niepojętą otchłań.
 - Mamelto, co to jest prom?
 - „Chybotliwy Głaz”, rakieta, która zawiezie nas na krążownik międzygwiazdny „Whorl”.
 - Sądzę... - Jedwab umilkł, rozważając w myślach nie znany sobie termin. - Chodzi mi o to, że... Czy nie przyszło ci do głowy, iż łódź, która miała ciebie gdzieś tam zabrać, zabrała cię już dawno temu? Bardzo dawno temu?
 - Mamelta popatrzyła mu prosto w twarz, zacisnęła szczęki.
 - - Dokończę ci o Pleśni, a następnie przejdziemy do omówienia innych spraw. Rozumiem, jak bardzo jesteś wystraszona i zbita z tropu.
 - Mamelta prawie niedostrzegalnie skinęła głową.
- Dręczy mnie to, że Krew nie ma zielonego pojęcia, do czego jego córka jest zdolna. Jak już mówiłem, Pleśń wysyła swoją duszę. Potrafi zawładnąć ludźmi, tak jak zawładnęła tobą. W swej bezcielesnej formie nawiedziła również na plebanii mnie, a dzisiaj ujrzałem ją w tunelach, najpierw we śnie, potem na jawie.
- Co więcej, prawie w tym samym czasie nawiedził mnie duch bardzo serdecznego przyjaciela; mego mentora i doradcy. Zapewne Pleśń umożliwiła mu pojawienie się przede mną, choć przyznaję, że na tych sprawach niedostatecznie się znam.
 - Czy ja jestem duchem?
 - Nie, z całą pewnością nie. Ty żyjesz, jesteś uroczą i bardzo atrakcyjną kobietą. Pleśń, kiedy mi się objawiła, również nie była duchem. Stanowiła duszę żyjącej osoby, która wcale nie umarła. Gdy mówiła, słyszałem normalny głos, a poza tym, przebywając tutaj, musiała bardzo głośno krzyczeć lub w coś uderzać, aby do tego stopnia uaktywnić światła.
- Jedwab przygryzł wargi. Szósty zmysł podpowiadał mu (z całą pewnością nie mogła być to prawda), że spada i spada w nieskończoność, że stalowa konstrukcja, na której siedzi, i zasłana potłuczonym szkłem podłoga nieustannie, wraz z nim i z Mamelką, zapada się w bezdenną otchłań.
- Chce powiedzieć, że kiedy Pleśń opętała kilka kobiet w pewnym domu w Yironie, jej ojcu nawet nie zaświtała myśl, że diabłem, na którego skarżyły się mieszkanki domu, jest jego córka.
- Myślałem o tym cały dzień i chyba znalazłem odpowiedź. Chcę, abys mi powiedziała, jeśli

oczywiście możesz, czy mam rację.

- Zapewne wiesz, czy Pleśń zostawiła w tobie jakąś część swej duszy. Jeśli tak, powiedz mi, czy przeszła kiedykolwiek operację. Czy jakiś chirurg operował jej głowę?
 - Nie jestem pewna - odrzekła po bardzo długim namyśle Mamelta.
 - Gdy rozmawiałem z jej ojcem, poruszyłem między innymi kwestię lekarzy. Krew zatrudnia obecnie domowego lekarza, a wcześniej miał chirurga specjalizującego się w operacjach mózgu.
- Jedwab umilkł, ciekaw reakcji Mamelty. Kobieta jednak milczała, a jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.
- Wydało mi się to początkowo dziwne i dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że Krew zatrudnił neurochirurga w konkretnym celu. Zapewne Pleśń pod każdym względem była normalnym dzieckiem, tylko że potrafiła zawładnąć innymi ludźmi. Jak sądzę, opętywała swych najbliższych, a ci wcale nie byli tym zachwyceni. Krew konsultował się zapewne z wieloma lekarzami, gdyż fenomenalne zdolności córki traktował jako przejaw choroby, zwłaszcza że nie był człowiekiem religijnym. W końcu trafił na lekarza, który oświadczył mu, że potrafi "wyleczyć" dziewczynkę, usuwając z jej mózgu jakiś guz czy coś w tym rodzaju. Podejrzewam, że przy okazji wyciął część samego mózgu, choć taka myśl przeraża mnie w najwyższym stopniu. - Mamelta w milczeniu skinęła głową i zachęcony tym Jedwab ciągnął dalej: - Krew uwierzył, że operacja się powiodła. Nie podejrzewał zatem, że to jego córka opętuje inne kobiety, gdyż przez lata żył w przeświadczeniu, iż Pleśń nie jest już w stanie zawładnąć innymi ludźmi. Sądzę, że operacja ta odniosła tylko chwilowy skutek, ale też wywarła ogromny wpływ na procesy myślowe Pleśni.
- Kiedy po jakimś czasie jej mózg zregenerował się, niezwykle zdolności wróciły. Gdy dostała nową szansę, wykazała tyle zdrowego rozsądku, by ukryć fakt odrodzenia się dawnego talentu.
- Później wysłała swą duszę za ojcem lub za kimś innym do domu, w którym mieszkają kobiety; podobnie jak później ruszyła moim tropem. Mamelto, czy coś sobie przypominasz? Czy możesz mi coś o tym powiedzieć?
 - Operacja miała miejsce, zanim trafiłam na statek.
 - Rozumiem - mruknął Jedwab, choć nic nie rozumiał. - A później...?
 - To nadeszło. Teraz sobie przypominam. Pojmano nas.
 - Łódź łowców niewolników? Wprawdzie w Yironie ich nie ma, ale wiem, że inne miasta korzystają z ich usług. Amnis wysyła łodzie do rybackich wiosek i osad. Przykro mi słyszeć, że również poza whorlem istnieją łowcy niewolników.
 - Tak - powiedziała Mamelta.
- Jedwab wstał i nacisnął ręką środek ściany, jak uczyniła to wcześniej Mamelta, lecz drzwi nawet nie drgnęły.
 - Jeszcze nie. Niebawem otworzą się automatycznie - wyjaśniła.

- Jedwab znów usiadł. Odniósł nieprzeparte wrażenie, iż pomieszczenie przesuwa się w lewo.
 - Pojawiła się łódź?
 - Musieliśmy iść na nią z własnej woli. Byli... nie mogliśmy odmówić.
 - A czy pamiętasz, Mamelto, jak było na zewnątrz? Trawa, drzewa, niebo i tak dalej?
 - Oczywiście - odparła z lekkim uśmiechem. - I moi bracia. - Goszczący na jej obliczu uśmiech zgasł. - Graliśmy na patio w piłkę. Mama nie pozwalała mi wychodzić na ulice; puszczała tylko moich braci. Na patio była fontanna i rzucaliśmy piłkę przez wodę. Często byliśmy cali mokrzy. -A czy widziałaś słońce? Było długie czy krótkie?
 - Nie rozumiem.
- Jedwab usiłował przypomnieć sobie wszystko, co o Krótkim Słońcu mówiła maytere Marmur.
- Nasze słońce jest długie i proste, to linia płonącego złota odgraniczająca nasze krainy od krain nieba. Czy u was też było takie samo? A może miało kształt tarczy umieszczonej pośrodku nieba?
 - Mamelta wybuchnęła płaczem. Po policzkach zaczęły płynąć jej łzy.
 - - Nigdy już tam nie wrócę. Przytul mnie. Och, przytul mnie!
 - Jedwab wziął ją w ramiona jak niezdarny, zażenowany chłopiec. Był w pełni świadom delikatnego, ciepłego ciała kobiety pod czarną sutanną.
 - **NA BRZUCHU „WHORLA”**
 - Alka wychylił się przez niską balustradę sanktuarium Scylli i popatrzył w dół na poszarpane szare skały u podnóża klifu. Majaczyły widmowo w blasku nieba, a ich pęknięcia i szczeliny były czarne jak smoła.
 - Tu! Tu! - Oreb energicznie dziobał usta wrytego w - posadzce wizerunku Scylli.
 - Świątynia zeżarła!
 - Nie wracam z tobą - oświadczyła głośno Acalypha. - Zmusiłeś mnie, bym w swej najlepszej wełnianej sukni odbyła długą i bezsensowną wędrowkę. Uderzyłeś mnie, kopnąłeś, więc poszłam. Ale jeśli chcesz, bym z tobą wracała, musisz mnie nieść. Spróbuj. Uderz mnie jeszcze kilka razy i wymierz solidnego kopniaka, a przekonasz się, że i tak nie podniosę się z ziemi.
 - Przecież nie możesz tu nocować - warknął Alka.
 - Nie mogę? Zaraz się przekonasz.
 - Tutaj, Alka! - Oreb ponownie dziobnął wizerunek Scylli - - Ty chodź tutaj - burknął złodziej, chwytając ptaka. - Po - słuchaj. Poślę ciebie na te skały, tak jak już raz posłałem w drodze do tego miejsca. Poszukaj paterę Jedwabia. Jak go zobaczysz, zakracz.
 - Tym razem nie wróci - mruknęła ze znużeniem Acalypha.
 - Wróci. Trzymaj się, ptaku! Leć!

Przerzucił Oreba przez balustradę i patrzył, jak ptak szybuje na dół.

- Są tu setki miejsc, skąd ten rzeźnik mógł runąć w przepaść - oświadczyła Acalypha.
 - Najwyżej osiem lub dziesięć. Cały czas bacznie obserwowałem teren. Acalypha położyła się na kamiennej posadzce.
 - Na Molpe, umieram ze zmęczenia!
- Naprawdę zamierzasz zostać tu na noc? - zapytał Alka, odwracając się w jej stronę, lecz jeśli nawet jego towarzyszka skinęła głową, nie dostrzegł tego gestu w panującym pod kopułą mroku.
 - Ktoś może się tu pojawić.
 - Ktoś gorszy od ciebie?
 Alka w odpowiedzi tylko chrząknęła.
 - Śmieszne. Założę się o wszystko, co mam, że gdybyś nawet spotkał się z najgorszym draniem w tym przeklętym miasteczku, nie znalazłbyś...
 - Zamknij się!
 - Acalypha zamilkła, trochę ze strachu przed Alką, a trochę dlatego że ze zmęczenia nie chciało się jej otwierać ust. Słyszała chłopot fal obmywających podnóże klifu, zawroźnienie wiatru między dziwnie zakrzywionymi filarami sanktuarium, szum krwi w uszach i rytmiczny łoskot serca.
 - Tak bardzo brakowało jej rdzy. Przypomniała sobie pustą fiolkę, którą zostawiła na swym łóżku w domu Orchidei. W wyobraźni roiała się jej fiołka dwudziestokrotnie większa, większa "niż cała flaszka wypełniona rdzą. Gdyby wzięła teraz działkę, Aszyłaby z Alką w powrotną drogę, a w miejscu gdzie występ skalny zwiesza się nad przepaścią, zepchnęłaby go w otchłań. Leciałby i leciał do rozciągającego się w dole jeziora...
 - Ale nie miała fiołki, nigdy już nie będzie jej mieć, a czer - 'ona, której wypłała pół butelki, dawno już wywietrzała jej głowy. Z rozpaczą ścisnęła dłońmi pulsujące skronie. Ptaku! - wrzasnął Alka. - Jesteś tam?
 - Odezwij się! Oreb nie dał znaku życia.
 - Po co on tu przylazł? - mruknął zamyślony Alka.
 - Już raz o to pytałeś. Nie wiem. Pamiętam tylko, że jechaliśmy jakimś furgonem.

Konie. Ale wtedy ktoś inny mną kierował. Bardzo chce, by wróciła. - Zacisnęła pięści, zdumiona własnymi słowami. - Radziła sobie lepiej niż ja - dodała ze znużeniem. - Lepiej niż ty teraz.

- Zamknij się i posłuchaj. Spróbuje pomyszkować trochę wśród skał, a ty odpocznij. Niedługo wrócę.

- Będziemy mieli defiladę - powiedziała Acalypha i po chwili milczenia dodała: - Wielką defiladę, tutaj, w Alamedzie. Z orkiestrami.
- Zaraz zasnęła i wkroczyła do ogromnej, rzęsiście oświetlonej sali wypełnionej ubranymi na

czarno i biało mężczyznami oraz obwieszonymi biżuterią damami. Asystował jej admirał w paradnym mundurze z trzema słońcami na pagonach. Ona kroczyła dumnie, przesyłając na lewo i prawo promienne uśmiechy. Na szyi miała brylantową kolie, w uszach lśniły jej, niczym światła na nocnym niebie, brylantowe kolczyki. Na przegubach rąk pobrzękiwały drogocenne bransolety. Skupiała na sobie uwagę wszystkich gości.

- Alka potrząsnęła ją za ramie.
 - Wracam do Limny. Idziesz ze mną? - Nie.
 - W miasteczku są doskonale gospody. Zafunduje ci kolację, wynajmę pokój, a z rana wrócimy do miasta. Idziesz?
 - Nigdzie nie idę - burknęła zupełnie już rozbudzona. - Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Daj mi święty spokój.

- W porządku. Ale gdy dorwie cię tu jakiś zakapior, nie miej do mnie pretensji.

Acalypha znów zamknęła oczy.

- Jeśli nawet zgwałci mnie jakiś zbir, dobrze. Byleby nie był tobą i nie kazał mi nigdzie chodzić.
- Nawet jeśli zechce poderżnąć mi gardło, też dobrze. - Ciężko westchnęła. - Byleby tylko nie chciał mi pomagać.
- Alka szurając głośno nogami opuścił sanktuarium i Acalypha niezdarnie dźwignęła się z posadzki.
 - Noc była cicha.
 - płynący z nieba blask rzucał tajemnicze lśnienia na jezioro w dole, wyłuskiwał z mroku każdą sterczącą w urwisku skałę. Na horyzoncie odległe miasta oraz sam Yiron lśniły niczym fosforyzujące w ciemności próchno.
 - Ogierku! - zawołała i podnosząc głos, zawołała ponownie: - Ogierku!
- Prawie natychmiast wynurzył się z cienia, stanął na sterczącej skale, z której Jedwab dostrzegł znikającego w sanktuarium szpiega i z której Acalypha zamierzała zepchnąć Alkę w przepaść.
 - Nic ci nie jest, szczebiotko?
 - Jest. Ale wszystko wróci do normy. Ogierku?
 - Słucham?

Płynący z nieba blask, który wyławiał z ciemności każdy krzak i skalny załom, w dziwny sposób zaćmiewał postać mężczyzny, którego głos brzmiał płasko i wyprany był z wszelkich emocji.

- Chciałabym zacząć wszystko od początku. Ty chyba też. Alka milczał. Dopiero gdy Acalypha doliczyła się siódmego uderzenia serca, dobiegło do niej pytanie: - Czy mam po ciebie wrócić?
- Nie! - odkrzyknęła, odnosząc dziwne wrażenie, iż Alka skurczył się do mikroskopijnych rozmiarów. - Chodzi mi o to... Chcę, byś któregoś wieczoru znów pojawił się w domu Orchidei.
 - Zgoda?
 - Zgoda.
 - Nie było to echo.
 - W przyszłym tygodniu. I nie znam ciebie. Ani ty mnie. Zaczniemy wszystko od nowa.
 - Zgoda - powtórzył i po chwili dodał: - Z miłą chęcią kiedyś się z tobą spotkam.
- Chciała zawołać „spotkamy się”, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Pomachała tylko ręką i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że Alka jej nie widzi. Wyszła zatem spod kopuły i stanęła w bladym, mdłym świetle płynącym z nieba. Znów Pomachała ręką i patrzyła, jak Alka znika za zakrętem Drogi Pielgrzymów, która w tamtym miejscu odbijała w głąb lądu. i to tyle, pomyślała Acalypha.
 - Była zmęczona, bolały ją nogi, lecz nie chciała wracać pod kopułę sanktuarium.
 - Usiadła na płaskim, wygładzonym kamieniu przed wejściem do przybytku bogini i z ulgą ściągnęła z pokrytych pęcherzami nóg buty.
 - Zabawne było mu to powiedzieć, pomyślała. Zgodził się, a ja z niczego nie zdawałam sobie sprawy aż do chwili, gdy powiedział: „Z miłą chęcią kiedyś się z tobą spotkam”.
 - Pragnął, by odeszła z domu Orchidei. Nieoczekiwanie uświadomiła sobie, że bez żalu odeszłaby z parszywego żółtego domu i zamieszkała z Alką. Choćby pod mostem.
 - Zabawne.
 - Do gładkiego kamienia przy wejściu do sanktuarium przymocowana była mosiężna tabliczka. Acalypha odruchowo zaczęła wodzić po niej palcami, odczytując litery, jeśli je знаła.
 - Odniosła wrażenie, że tabliczka się rusza, jakby nie została dobrze zamocowana. Wsunęła więc pod nią paznokcie i uniosła metalowy prostokąt. Pod nim ujrzała wirujące kolory: czerwone, niebieskie, różowe, żółte, złocistobrązowe, zielone, zielonkawo - czarne i wiele innych barw, których nawet nie potrafiła nazwać.
 - - Niezwłocznie, Wasza Eminencjo - powiedział Kowadełko i ponownie się uklonił. - Rozumiem, Wasza Eminencjo. Za godzinę. Wasza Eminencja może bez zastrzeżeń na mnie polegać. Jak zawsze.
 - Gnąc się w kornym ukłonie, powoli i prawie bezgłośnie zamknął za sobą drzwi i dopiero słysząc trzask opadającego rygła, splunął ze złością pod nogi. Krąg miał zebrać się po kolacji u Mewy. Słodkogorz obiecała zademonstrować cuda, jakich dokonuje ze starym

portierem, który, jak zwierzyła się paterę Tussahowi, w zależności od jej zachcianki czcił ją jako Echid - nę, Scyllę, Molpe, Thekiepeię, Phaeę lub Sphigx, a wszystko to za sprawą programu kompilacyjnego. Kowadełko bardzo chciał obejrzeć portiera z usuniętymi panelami czaszkowym i twarzowym. Przyznawał ze złością przed samym sobą, iż jest niezmiernie ciekaw demonstracji technik stosowanych przez Słodkogorz, ponieważ chciał je porównać ze swoimi.

- Czy rzeczywiście możliwy jest zrzut zawartości banku danych do terminalu? A może cała sprawa jest dużo prostsza, niż sądził? Idealnie byłoby, gdyby udało się odwrócić sztukę programistów z Krótkiego Słońca i wykorzystał ją do własnych celów, postąpić jak doświadczony zapaśnik, który stosując odpowiedni chwyt, wykorzystuje do własnych celów siłę drzemiącą w przeciwniku.
- Kowadełko zgrzytnął zębami i zacisnął małe piąstki. Może jeszcze jakiś życzliwie usposobiony doń bóg zamroczy starego Re - morę, ten odwoła polecenie i Kowadełko nie będzie musiał tam jechać tego wieczoru.
- Wiedział jednak, że to marzenie ściętej głowy. Dostał rozkaz. Kolejne spotkanie kręgu odbędzie się dopiero za miesiąc, a na całym whorlu nie było człowieka bardziej oddanego czarnej mechanice niż on.
- Nikt tak jak Kowadełko nie zasłużył sobie na to wieczorne spotkanie. Zaiste, nie było na whorlu sprawiedliwości. A bogów nic to nie obchodziło; wręcz zachowywali się szydyczko. Szydzyli zwłaszcza z niego.
- Ze złością zasiadł na krześle i energicznie wsunął pióro do kałamarza.
Drogi przyjacielu Mewo!
- Z głębokim żalem donoszę, iż stary dureń wymyślił dla mnie na dzisiejszy wieczór kretyńskie zadanie. Mam jechać do Lim - ny, dogadać się z tamtejszymi rybakami i odszukać kobietę (tak, właśnie, kobietę), której w życiu nie widziałem, i której w ogóle tam może nie być; a wszystko to z powodu nieudolnego szpiega, który znów go zawiódł.
- Donosi Ci o tym osobiście, najserdeczniejszy druhu, Twój pograżony w niezmiernej żalości współpracownik, który całym sercem pragnąłby być tego wieczoru z Tobą.
- No, zrozumiałby to nawet taki tuman jak Mewa. Krótko i tre - 'ie, pomyślał Kowadełko z zadowoleniem, po czym po - 'ist i wrzucił go do spalarki. Istniała nikła szansa, by list stał się w ręce starego Remory, który bez trudu rozpoznał - autora, więc wrodzona przezorność kazała Kowadełkowi szczyć pismo. Kolejna kartka papieru, jeszcze trochę atramentu i - pióro trzymane w lewej dłoni.
- Drogi przyjacielu!
- Naglące obowiązki nie pozwalają mi pojawić się na przyjacielskiej kolacji, na którą mnie dziś zaprosiłeś.
- Zmienił nieco charakter pisma. Znamienne dla siebie ostre „m” zastąpił literką „e” odwróconą i pisaną podwójnie.
- Sam najlepiej wiesz, przyjacielu, jak bardzo chciałem wysłuchać relacji z pierwszej ręki o przygodach Pszczoły. Z ust samego Pszczoły.
- Niedobrze. Mewę kompletnie zmyli męski zaimek. Musi zatem osobiście wpaść do domu

Mewy i zostawić wiadomość u lokaja. Ale fatyga i strata czasu nie pójdą na marne. On, Kowadełko, nie odmówi sobie satysfakcji spytania, kiedy po raz ostatni nieszczęsny lokaj odebrał gażę, czym kompletnie che - ma zbije z tropu. Lokaj pod względem technicznym był wyjątkowym osiągnięciem i Mewa bez pomocy Kowadełka nigdy nie zdołałby go stworzyć.

- Kowadełko wstał i przenikliwym gwizdnięciem przywołał grubego, wiecznie wystraszonego chłopca, który natychmiast stawiał się na wezwanie.
- Potrzebuję szybkiej lektyki z ośmioma tragarzami. Muszę dostać się nad jezioro. Pewna głupia kobieta...
- mniejsza o to. Jego Eminencja, choć nakazał mi wyjątkowy pośpiech, nie pozwoliłby mi wziąć ślizgacza.
- Powiedz lektykarzom, że będą nieśli tylko jedną osobę. Mnie. Powiedz też, że niewiele ważę. W Limnie ich zwolnię, ale zapłacę im za kurs powrotny. Zrób to szybko. Mam jeszcze do załatwienia setkę pilnych spraw... No, idź! Pośpiesz się! Czy tyłek masz jeszcze spuchnięty? Jeśli będziesz zwlekać, moja głowa w tym, by spuchł ci jeszcze bardziej.
 - Tak, paterę. Już, natychmiast.
- Grubasek ukłonił się nisko, zamknął za sobą drzwi i dopiero słysząc trzask opadającego rygla, z wprawą splunął do kąta.
- Zafascynowany Jedwab patrzył, jak przypominające kwiat róży drzwi otwierają się z wirowaniem płatków.
 - Za nimi ukazał się korytarz o wysokim stropie i zielonych ścianach.
- Dopiero teraz zrozumiałem, co naprawdę czułem - oświadczył paterę Mamelcie. - Czułem się jak w dzieciństwie, gdy matka podnosiła mnie nad głowę, a następnie szybko opuszczała na ziemię. - Zamilkł i chwilę dumał. - Jesteśmy już w innym miejscu, dużo głębiej pod ziemią.
 - Zadziwiające! Ale czy Pię - ściak nie ruszy za nami tą samą drogą?
 - Mamelta potrząsnęła głową, lecz Jedwab nie wiedział, czy gest ten oznaczał zaprzeczenie, czy potwierdzenie jego domysłów.
 - Wszystko to jest takie dziwne... - powiedziała. - Może to kolejny sen?
 - Nie - zapewnił ją z całą mocą Jedwab i dźwignął się z siedzenia. - Wcale nie śnisz. Wszystko dzieje się na jawie. Czy tam dużo śniłaś?
 - Nie wiem, jak długo to trwało. Może śniłam tylko raz na każde sto lat...?
- Jedwab wyszedł na korytarz. Nieopodal drzwi widniała w posadzce studnia otoczona niską podmurówką. Zalewanym smugą światła szybem biegly kręcone schody. Idąc w stronę studni, Jedwab na coś nadepnął.
 - Schylił się i podniósł z podłogi kartę.

- Mamelto, tylko na to spójrz! Pieniądze! Z całą pewnością z chwilą kiedy cię spotkałem, mój los uległ radykalnej zmianie. Jakiś bóg uśmiechnął się zarówno do ciebie, jak i do mnie.
 - To nie są żadne pieniądze.
 - Ależ są! Czy na Whorlu Krótkiego Słońca mieliście inne pieniądze? My w Yironie płacimy takimi właśnie kartami, i skoro akceptują je również kupcy z innych miast, zakładam, 56 i na Krótkim Słońcu musieliście ich używać. Za jedną kartę, na przykład, można kupić Pahowi kozła, a nawet, jeśli na tynku panuje zastój, białą owieczkę. Kartę można pociąć na sto :?ści, a wtedy otrzymuje się sto bitów. Za jeden bit kupisz dwie kapusty lub sześć jajek... Nie wychodzisz? Nie sądzę, by to poszczenie zamierzało jechać jeszcze niżej.
 - Mamelta wyszła z kabiny i stanęła obok Jedwabia.
- Maytere Marmur pamięta Krótkie Słońce - ciągnął. - Poznam was ze sobą. Sądzę, że znajdziecie wiele wspólnych tematów. - Mamelta milczała, więc dodał: - Opowiedz o swych snach.
 - Możesz mi w ten sposób bardzo pomóc. O czym śniłaś?
 - O ludziach takich jak ty.
- Pochylił się nad krawędzią studni i zerknął w dół. Na pierwszych sześciu stopniach widniało sześć słów: KTO TĘDY SCHODZI, NAJLEPIEJ SŁUŻY PAHOWI - Popatrz na to. - A kiedy Mamelta nie odpowiedziała, zapytał: - Kim byli ludzie, których spotykałaś w snach?
- Długo milczała. Jedwab sądząc, że nie ma zamiaru mu odpowiedzieć, przeszedł przez podmurówkę i stanął na pierwszym stopniu.
- Na wszystkich schodkach widnieją słowa. O, na tych jest napisane: „Nauczę swe dzieci, jak realizować plan Paha”. Tak, z pewnością stopnie te prowadzą do sanktuarium Paha. Chcesz je zwiedzić?
 - Zastanawiam się, jak... jak ci to wszystko wyjaśnić. Nie rozmawialiśmy.
- Słowami. Muszę przypomnieć sobie, jak mówić za pomocą słów. Coś mówię. Ale dopóki nie poruszam ustami, ty mnie nie słyszysz.
 - Dopóki nie poruszam ustami i językiem... dopóki nie wydaję z krtani dźwięku.
- Mówisz bardzo dobrze - zapewnił ją Jedwab. - Niebawem wrócimy na górę, ale nie tym pomieszczeniem, którym tu przybyliśmy, gdyż wydaje mi się, że odwiozłoby nas do punktu wyjścia.
- A ja muszę dostać się do tuneli pod Limną i odnaleźć wrzucane tam z manteionu popioły. Nie musimy więc marnować czasu, schodząc do tego sanktuarium, by się tam pomodlić. Co ty o tym sądzisz?
 - Ja... - Mamelta zamilkła i spoglądała przed siebie nieruchomym wzrokiem.

- Paterę Płetwa, mój poprzednik i wyjątkowo pobożny człowiek, często wołał przez sen - oświadczył Jedwab. - Czasami nawet, gdy spałem w sąsiednim pokoju, budził mnie swoim krzykiem. Może więc nie chcesz mówić w obawie, że pobudzisz innych śpiących.
- Mylisz się. Ty wcale już nie śpisz. Mamelta prawie niedostrzegalnie skinęła głową.
- Może na początku krzyczałam. Jedna z nich była małą dziewczynką, drugą córką monarchy. To ta, której wy każecie tańczyć.
 - Molpe? - podpowiedział Jedwab.
 - Często widywałam ją w snach, jak tańczy w moim domu. Była wspaniałą tancerką, lecz my nagradzaliśmy ją rześzystymi oklaskami ze strachu. Na jej twarzy zawsze malował się głód aplauzu innych.
 - Najwyraźniej zaskarbiłaś sobie względy Paha - stwierdził Jedwab. - Wszak to poruszające się pomieszczenie zawiozło nas prosto do jego przybytku. Tak więc z pewnością poczuje się urażony, jeśli po tym wszystkim, co dla nas zrobił, nie złożymy mu wizyty. Nie zamierzasz tam ze mną zejść?
- Mamelta stanęła obok Jedwabia na najwyższym stopniu i oboje ruszyli w dół po spiralnych schodach. W cienkiej warstwie kurzu zalegającego stopnie widzieli czyjeś ślady. Ktoś schodził przed nimi. W ciasnym szybie panował przenikliwy chłód, studnia stawiała się coraz węższa, zapadał w niej coraz większy mrok.
- Przebyli połowę drogi, kiedy Jedwab poczuł smród zgnilizny; zupełnie jakby nie umyto dokładnie ołtarza (zakładając naturalnie, że w sanktuarium znajduje się ołtarz). Paterę obiecał sobie, że osobiście go wyczyści.
 - Mamelta nieoczekiwanie dotknęła jego ramienia.
 - Czy to Pięściak?
 - Jedwab odwrócił się w jej stronę.
 - Pięściak? Gdzie?
 - Na dole. - Wskazała koniec schodów. - Jęczy? Słyszę czyjeś jęki.

Jedwab znieruchomiał i bacznie nadstawił uszu. W pierw - !zej chwili sądził, że słuch płata mu figle; niesamowity lament 'znosił się i opadał prawie do granicy słyszalności.

Na dole, tam gdzie leżał martwy żołnierz, osobliwy dźwięk wcale nie był mocniejszy. Jedwab chwycił trupa za ramię i od - wrócił go na plecy. Na pomalowanym na niebiesko torsie widniała poszarpana dziura o średnicy kciuka.

- Odsuń się, Mamelto - powiedział, gdy odzyskał już panowanie nad sobą. - Wprawdzie po śmierci chemy rzadko eksplodują, ale czasem to się zdarza.
- Przykucnął i za pomocą jednego z zagiętych ramion gam - madionu tworzących krzyż próżniowy zdjął panel twarzowy martwego mężczyzny. Gdy zmostkowane z gammadionem połączenia nie wywołały łuku, potrząsnął uspokajająco głową.

- Jak...? Mówiłam ci, że nazywam się Mamelta. A jak ty masz na imię?
 - Paterę Jedwab - odparł prostując plecy. - Mów do mnie, proszę, paterę. Chciałaś zapytać, jak ten człowiek zginął?
 - To maszyna - odparła Mamelta spoglądając na dziurę w pancerzu. - Robot.
- Żołnierz - wyjaśnił Jedwab. - Ale nigdy dotąd nie spotkałem niebieskiego. Nasi są w łaty, zielone, brązowe i czarne. Sądzę zatem, że ten pochodzi z innego miasta. Tak czy owak zginął już dawno, ale ktoś przebywający w sanktuarium żyje i bardzo cierpi.
 - Masywne drzwi w ścianie studni stały otworem. Jedwab przekroczył próg i wszedł do sanktuarium. Ku swemu zdumieniu znalazł się w kolistej komorze o stropie wznoszącym się na pełne trzydzieści łokci.
 - Pomieszczenie wypełniały miękkie otomanki i szkła, a na suficie, posadzce i zbiegających się łukowato ścianach widniały wielobarwne wzory i symbole. W każdym szkłe zasilanym energią unosił się postrzępiony, wyjący, przypominający czaszkę kształt, który dawno już przestał być twarzą.
 - Monitor! - zawołał Jedwab i klasnął w dłonie. Groteskowe oblicze wydało bełkotliwy dźwięk, rozwarła się w nim i zamknęła nieregularna dziura. Dźwięk stawał się coraz przenikliwszy i nieoczekiwanie pośrodku podłogi otworzyły się drzwi zapadowe.
 - Chce, abyśmy przeszli na dziób - odezwała się Mamelta. Jedwab podszedł do drzwi w podłodze i zerknął do środka.
 - Dno pomieszczenia znajdowało się pięćdziesiąt łokci niżej. Unosiły się tam trzy poruszające się zgodnym ruchem, jasne punkciki światła. Nieodparcie skojarzyły się Jedwabowi ze światłami na dnie grobu Orlicy, które widział we śnie. Po chwili zlały się w pojedynczą iskrę.
 - Schodzę.
 - Tak, tego właśnie chce.
 - Monitor? Rozumiesz go? Mamelta lekko pokręciła głową.
 - Już to widziałam. To wejście do statku, który zabierze nas z „Whorla”.
 - To nie może być żadna łódź - sprzeciwił się Jedwab. - Przecież sanktuarium wykute jest w litej skale.
 - Tu jest przycumowany - mruknęła, lecz Jedwab wsunął już nogi w ziejący w podłodze okrągły otwór.
 - Po umieszczonych w ścianie szczelkach zszedł do przezroczystej bańki, przez której ściany widział pograżoną w nocnym mroku skalistą równinę. Kiedy wyteżył wzrok, dostrzegł pod wklęsłą, kryształową posadzką rój iskier rozsianych w nieprawdopodobnej otchłani; lampy i ognie nowych krain niebios.
 - i Pahu Wielki...
 - Ś więte imię zabrzmiało w tym miejscu po prostu banalnie i głupio; a przecież Jedwab

przez całe życie wymawiał je z czcią i uszanowaniem. Tutaj Pah Wielki wcale nie był wielki, a po zewnętrznej stronie w ogóle przestawał być bogiem.

- Jedwab próbował przełknąć ślinę, lecz kompletnie zaschło mu w ustach.
- Zawieszonym na szyi gammadionem wykonał w powietrzu znak dodawania.
- A więc to mi pokazałeś, prawda? To właśnie ujrzałem na boisku; rozciągający się pod moimi stopami czarny aksamit i barwne iskry.
- Wydawało mu się, iż uzyskał nie wypowiedziane słowami potwierdzenie. W jednej chwili opanował się, otrzeźwiał. Zdjął z lodowato zimnych szczebli spocone dłonie i wytarł je o koszulę.
- Jeśli chcesz, bym umarł, umrę; okażę absolutne posłuszeństwo twojej woli. Ale na boisku, po tym jak mi pokazałeś to, co w tej chwili mnie otacza, poprosiłeś, bym ocalił manteion.
- Pozwól mi zatem wrócić; pozwól mi wrócić do whorla, który znam. Przysięgam, przy pierwszej nadarzającej się okazji, jeśli tylko będzie mnie na to stać, złożę ci w ofierze białego byka. Tym razem nie padła żadna odpowiedź.
- Rozejrzał się po przezroczystej bańce. Niektóre światełka były czerwone, inne żółte jak topaz, jeszcze inne fioletowe. Większość jednak przypominała diamenty. W kilku miejscach dostrzegł coś, co przypominało świetlistą mgłę lub chmury - niewątpliwie całe miasta. Posępna równina usiana była dziurami jak twarz dziecka, które przeszło ospę; i jeszcze bardziej ogołocona z życia niż klify, którymi prowadziła Droga Pielgrzymów. Żadnych drzew, żadnych kwiatów, trawy czy mchu, jakie zazwyczaj rosną w skalnych rozpadlinach.
- Jedwab z zapartym tchem obserwował lśniąca iskrami ciemność. Nieoczekiwanie czubka jego głowy dotknęła stopa schodzącej po szczeblach Mamelty. Wyrwany z zadumy popatrzył w jej stronę, lecz natychmiast odwrócił głowę, zmieszany widokiem jej odkrytego krocza.
 - Pokaż mi to, co znalazłeś. Przypomniałam sobie, do czego służy.
 - Zaraz ci podam. - Gdy próbował wspiąć się po metalowych szczeblach, skonstatował, że ma zziębnięte i zupełnie sztywne ręce. - Chodzi ci o kartę?
 - Mamelta nie odpowiedziała.
 - Wszystkie pomieszczenia były małe, ciasne i tylko w jednym z nich, wyższym od głównej wieży Wielkiego Manteionu usytuowanego naprzeciwko pałacu przewodniczącego Kapituły na Palatynie, wszystkie ściany były zastawione otomankami. W komorze znajdującej się powyżej wysokiej, cylindrycznej izby Jedwab poślizgnął się na niewielkim, białym, martwym stworzeniu. W jednej chwili zrozumiał, skąd brał się smród zgnilizny. Na podłodze wałało się wiele podobnych, rozkładających się strzępów. Zapytał Mamelte, co to jest. Ona pochyliła się, p^o~ patrzyła uważnie na cuchnący ochłap i powiedziała: - Człowiek.
 - Gdy przykucnął przy kolejnych szczątkach, spostrzegł, że spoczywają w czarnym pyłe. Pomieszczenie z polerowanego metalu, gdzie właśnie przebywał, podobnie jak sala, w której znalazł śpiącą Mamelte, zawierało dziesiątki tysięcy biochemów i zostało niegdyś

zamknięte pieczęcią Paha. Pieczęć ktoś złamał i embriony zostały wyrzucone z ochronnych pojemników.

- 5;W scholi uczono, że wzywianie boskich imion nadaremnie jest bluźnierstwem.
- Jeśli tak rzeczywiście było, jak nazwać to, co miał przed oczyma? Zadrzał i spieszenie ruszył za Mamelką.
- W pomieszczeniu tak maleńkim, że musieli ciasno przylgnąć do siebie, Mamelką wskazała ramkę i zwieszające się z niej przewody.
 - Jesteśmy na miejscu. Nie wiesz, jak to połączyć. Pozwól, ja to zrobię.
- Zaintrygowany i wciąż oszołomiony faktem rabunku skarbów Paha, bezwolnie podał jej kartę. Mamelką spięła ją trzema zaciskami i przez chwile z uwagą studiowała znajdujące się nad jej głową szkło.
- To nie ten typ - oświadczyła. Pochyliła się i wsunęła kartę w ramkę znajdującą się na wysokości jej łydki.
 - Pokaż mi inne.
- Jedwab posłuchał. Mamelką sprawdzała wszystkie karty. Pracowała powoli, z namysłem, jakby nie była pewna kolejnych czynności. W szkłe pojawiła się zniekształcona twarz.
- Czy już czas? - zapytała. I znów: - Czy już czas? Jedwab odmownie pokręcił głową, lecz oblicze w kółko zadawało to samo pytanie.
 - Masz jeszcze jakieś karty? Musisz dać mi wszystkie - oznajmiła w końcu Mamelką.
 - Dałem ci wszystkie dziesięć. Siedem, które zostały mi po Pogrzebie Orlicy, dwie z trzech ofiarowanych mi przez Krew °raz tę, którą tu znalazłem. To za mało, żeby naprawić ten nieszczęsny monitor? Nie wiedziałem, że pieniądze służą także...
 - Musimy zdobyć więcej kart - oświadczyła zdecydowanie Mamelką.
 - Tak, z pewnością, ale dopiero gdy uratuję manteion. Du - 5 więcej niż dziesięć. Jeśli jednak nawet odbiorę od ciebie te Irjy, manteionowi to nic nie pomoże. Śmiertelnie zmęczony oparł się o ścianę. Najchętniej by gdzieś usiadł.
 - Kiedy ostatnio jadłeś? Na pokładzie znajduje się żywność.
- Muszę wrócić do tuneli pod jeziorem. - Zdecydowanie poskromił zadowolenie, jakie odczuł, słysząc w jej głosie troskę. - Chce to jeszcze raz zobaczyć. Monitor... C/y naprawdę znajdujemy się w jakiejś łodzi?
 - W niczym nie przypomina ona „Chybotliwego Głazu". Jest mniejsza.
 - Tak czy owak monitor się nie mylił... Miałem zobaczyć to, co zobaczyłem z dziobu. Ale masz racje, najpierw należy coś zjeść. Nie miałem nic w ustach od... od rana, gdy wybraliśmy się nad jezioro. To już chyba było wczoraj. Przed porannymi modłami zjadłem na chybcika pół gruszki. Nic dziwnego, że tak osłabłem.

- Jedzenie było w niewielkich porcjach. Gdy rozrywali opakowania z nieprzezroczystej folii, potrawy stawały się tak gorące, że parzyły w palce. Jedwab znalazł w środku kruche, chrupiące ciastka. Siedząc ramię w ramię na jednej z otomanek, drżąc z chłodu, z apetytem pałaszowali ciepłą strawę. A monitor nieustannie pytał: „Czy już czas? Czy już czas?”. W pewnej chwili Mamelta podała Jedwabowi jakieś ciemnozielone warzywo; smakiem przypominało mu mięso bernikli, którą złożył w ofierze wszystkim bogom w dniu, kiedy pojawił się po raz pierwszy w manteionie przy ulicy Słońca.
 - On z kolei zrewanżował się Mamelcie niewielkim, ciemnozłocistym ciastkiem.
- A teraz wracam na dziób - oświadczył kończąc posiłek. - Może nigdy już nie zawitam w te strony, zatem chcę jeszcze raz się upewnić, że naprawdę widziałem to, co widziałem.
 - Brzuch „Whorla”? Jedwab skinął głową.
 - Skoro tak to nazywasz... I wszystko co znajduje się za tym brzuchem. A ty sobie odpocznij albo wracaj sama. Zatrzymaj sutannę, tylko oddaj, proszę, piórniki. Jest w kieszeni.
- Pozostało wprowadzić trochę jedzenia, lecz Jedwab był już syty. Wstał z otomanki i strząsnął z zabrudzonej popiołem koszuli okruchy.
- Gdy wrócę, pójdziemy razem, albo sam pójdę, jeśli nie zg' chcesz mi towarzyszyć, do tuneli. Muszę odzyskać azoth, który zostawiłem tam, gdy aresztowali mnie żołnierze. Ostrzegam, żyją tam straszliwe zwierzęta i wyprawa może okazać się bardzo niebezpieczna.
- Choć nie masz już więcej kart, może uda mi się dokonać innych napraw - oświadczyła odchodzącemu Jedwabowi Mamelta. - Ostatecznie na tym polega moja praca; między innymi na tym.

Nic się nie zmieniło. Drabina była taka sama; iskierki niewyobrażalnie odległych światła również takie same; a jednocześnie nowe. Pochodząca nie z tego whorla łódź z pewnością jednak jest sanktuarium, zdecydował Jedwab i uśmiechnął się pod nosem. A raczej stanowiła wrota do sanktuarium rozle - glejszego niż cały whorl; do sanktuarium boga większego nawet niż Pah

Wielki.

W znajdującej się u samego dołu drabiny bańce stały cztery otomanki. Zaopatrzone były w takie same pasy, jakie widział w fotelu, na którym siedział z Mamelką podczas posiłku. Na ich widok przypomniał sobie o łowcach niewolników, którzy podobno nawiedzali osady rybackie leżące nad rzekami zasilającymi jezioro Limna.

Doszedł do wniosku, że skoro rzemienie te były na tyle mocne, by krępować nimi niewolników, to z całą pewnością utrzymają też jego ciężar. Wskoczył więc na najbliższą kanapkę i zapiął górny pas. Trzymając się kurczowo ostatniego szczebla drabiny, stanął na nim tak, że znalazł się dosłownie w samym środku bańki.

Kiedy znów wyrzął, wydarzyło się coś całkiem nowego. Skalista równina pojaśniała, zostało na niej jedynie kilka smug czerni. Gdy odwrócił głowę i zerknął do tyłu, ujrzał cieniutki Półksiężyc oślepiającego światła przecinającego skalne pustko - wie. Odniósł wrażenie, że to Zewnętrzny ścisnął w dłoni whorl, jak człowiek ściska kij; chwycił go tak niewyobrażalnie wielką dłonią, że Jedwab był w stanie dostrzec jedynie koniuszek Paznokcia u jednego z palców.

Przerażony paterę zaczął szybko wspinać się po drabinie.

PARĘ WNIOSKÓW

Alko, czyżbyś o mnie zapomniał? - doszło go wołanie. Sądził, że jest sam. Wracił do Limny wystawioną na podmuchy wiatru Drogą Pielgrzymów. Dwukrotnie już zatrzymał się na odpoczynek, przysiadając na białych kamieniach i kontemplując krainy niebios. Alka często przebywał samotnie pod gołym niebem po ciemnej stronie i kiedy tylko miał czas, lubił spoglądać na srebrzyste nitki rzek, z których nigdy nie napije się wody, penetrować myślami niezliczone, nieznanne miasta, w których (tak to sobie wyobrażał) fanty wynoszone z rabowanych domów były dużo lepsze niż w Yironie. Mimo uporu Acalyphy nie wierzył, by naprawdę zamierzała spędzić noc w sanktuarium Scylli. Ale nie przyszło mu też do głowy, że zdoła go dogonić. Pamiętał stan, w jakim dotarła do sanktuarium. Była wyczerpana, nogi miała opuchnięte i poobcierane, twarz jej lśniła od potu, wzburzone, malinowe loki tworzyły wielką, splątaną masę, a jej ponętna sylwetka przygarbiła się i skurczyła jak więdnące na mogile kwiaty.

A jednak był pewien, że głos, który usłyszał, należał do niej - - Acalypho! - zawołał. - Czy to ty?

- Nie. \ Komplettnie zdezorientowany zerwał się z kamienia.
- Acalypho! - krzyknął ponownie, lecz odpowiedziało mu tylko echo odbijające się od skał. - Nie zamierzam na ciebie czekać!
- A więc przy najbliższym kamieniu ja poczekam na ciebie! - usłyszał dużo już wyraźniej. Cichy stukot mogły wydawać krople deszczu i Alka ponownie popatrzył w bezchmurne niebo.
- Dźwięk narastał; zza pleców dobiegał go odgłos szybkich kroków na Drodze Pielgrzymów.
- Jeszcze raz spojrzął na obce rzeki, po czym przeniósł wzrok na opustoszały kręty szlak prowadzący między skałami.
- W płynącym z nieba blasku dostrzegł ją natychmiast. Była niespodziewanie blisko, do ud przylegała jej suknia, biegnąc wykonywała rytmiczne ruchy ramionami. Zniknęła na chwilę w gęstym cieniu rzucanym przez skalę, znów wynurzyła się z mroku i pomknęła w stronę Alki z szybkością kamienia wyrzuconego z procy. Przez chwilę odnosił wrażenie, że Acalypha z każdym krokiem biegnie szybciej, że nigdy już nie zwolni ani się nie zatrzyma, że zawsze już będzie biegła coraz prędzej i prędzej. Gapiąc się z otwartymi ustami, ustąpił jej z drogi.
- Minęła go niczym trąba powietrzna. W otwartych szeroko ustach połyskiwały jej zęby, oczy prawie wychodziły z orbit. Po chwili zniknęła między karłowatymi drzewkami.

- Alka wyciągnął igłowiec, sprawdził magazynek i odbezpieczył broń. Zawodzący wiatr przyniósł dźwięk dartego materiału i chrapliwego oddechu.
 - Acalypho! Odpowiedziało mu milczenie.
 - Acalypho, przepraszam!

Azuł, że w ciemności czeka na niego jakaś monstrualna be - lt'a, i choć wyzywał siebie od głupców, nie potrafił wyzbyć się krachu.

Przepraszam! - powtórzył. - Postąpiłem paskudnie. Nie winienem być ciebie tam zostawiać. uszył naprzód; przed nim rozciągała się kompletna ciem - - . w której czaiła się bestia; teraz była jeszcze bliżej. Otarł bandaną spoconą twarz i wsunął chustkę do kieszeni. W tej samej chwili, w plamie blasku płynącego z nieba, dostrzegł Aca - lyphe. Siedziała na jednym z białych kamieni, była naga, czarna suknia i jasna bielizna leżały rzucone obok. Z ust zwisał jej język tak długi, że dotykała nim piersi.

Alka stanął jak wryty, mocniej uchwycił kolbę igłowca.

Kobieta wstała z kamienia i ruszyła w jego stronę. Alka cofnął się w zalegający za jego plecami mrok i uniósł broń. Acalypha minęła go bez słowa, przeszła między bezlistnymi zaroślami i stanęła na skraju urwiska. Stała tam przez chwilę lub dwie, ramiona trzymała wzniesione nad głowę.

Skoczyła. Alce wydawało się, że upłynęło bardzo dużo czasu, zanim usłyszał odległy plusk wody.

Szybko podszedł do krawędzi urwiska, zabezpieczył igło - wiec i wsunął go za pas.

Choć nie miał lęku wysokości, po grzbiecie przebiegł mu zimny dreszcz, kiedy stanął nad stułok - ciową przepaścią, w której na dole lśniła tafla jeziora.

Acalyphy nigdzie nie dostrzegł. Ostre skały u podnóża klifu lizały niesione wiatrem, przypominające końskie grzywy fale.

- Acalypho?
- Miał właśnie odejść od urwiska, kiedy wynurzyła z wody głowę.
 - Tam ciebie spotkam.
- Wskazała ramieniem skalistą plażę, za którą lśniły światła Limny. Przez mgnienie oka wydawało się, że jest to zaledwie jedno z wielu ramion.
 - Ramiona?
- Pytanie to zadał Oreb. Głos ptaka dotarł ze splątanych zarośli po prawej stronie Alki. Złodziej odetchnął z ogromną ulgą rad, że ma towarzystwo, a jednocześnie zawstydzony własnym

tchórzostwem.

- Tak. Zbyt wiele tych ramion. - Ponownie otarł spoconą twarz. - To oczywiście bzdura. Było to jak w zwierciadle, prawda? Acalypha wysunęła z wody ramię, które odbiło się w wodzie, powodując złudzenie, że jest ich wiele. To wszystko. Znalazłeś paterę?
 - Świątynia zeżarła.
 - Jasne. Chodź, zaniosę cię do Limny.
 - Lubi ptaka?
- Pewnie. Nie zrobię ci krzywdy, ale należysz do paterę Jed - wabia. Gdy go w końcu znajdziemy, wrócisz do swego pana. Oreb wyfrunął z zarośli i opadł na ramię Alki.
 - Dzieweczka jaka? Jaka teraz?
 - Acalypha? - Alka zamilkł na chwilę. - Masz rację. To nie ona, prawda?
 - Nie, nie!
 - Właśnie - zgodził się Alka. - To jakiś rodzaj diabła, który jedynie wygląda jak ona. Do licha, nie wiem, czy lubi ptaki. Podejrzewam, że jeśli nawet je lubi, to wyłącznie na śniadanie lub obiad, chociaż ja osobiście wolałbym przekąsić coś solidniejszego. Ale postaram się tego diabła wykiwać.
- Alka, mimo ogromnego zmęczenia, zwawo pokonał kolejne skaliste wzniesienie. Odnosił wrażenie, że droga zajmie mu całe miesiące. Trudna wędrówka trwała godzinę. Choć towarzyszył mu siedzący na ramieniu Oreb, Alka nigdy jeszcze w życiu nie czuł się tak samotny.
- Znalazłam! - rozległ się tuż przy jego uchu głos Acaly - phy. Alka aż podskoczył ze strachu, Oreb głośno zaskrzeczał. - Umiesz pływać? Czy masz przy sobie jakieś wartościowe przedmioty, które woda mogłaby uszkodzić?
- Kilka - przyznał Alka. Przystanął i rozejrzał się, ale dziewczyny nigdzie nie było widać. Odruchowo zacisnął dłoń na kolbie igłowca. Kiedy znów się odezwał, głos mu drżał. - Tak, kilka.
- A zatem potrzebujemy łodzi. - Niczym unosząca się z powierzchni jeziora mgła, między nim a skalistą plażą wyrosła kobieca postać. - Wszystko to nie mieści ci się w głowie, prawda? Jestem Scylla.

Dla Alki stanowiło to tak niebywale doniosłe oświadczenie, że byłby zuchwalcem, gdyby zarzucił Acalyphie fałsz. Opadł na kolana i zaczął mamrotać modlitwę.

- Złe, powiedz: „Scylla Rozkoszna” - oświadczyło bóstwo - w° - - „Fantazja Wód”, nie „kobieta z wody”. Skoro musisz już Wygadywać te bzdury, wymawiaj je właściwie.
 - Tak, Scyllo. Chwyciła go za włosy.
 - Wyprostuj się! I przestań bełkotać! Jesteś włamywaczem i opryszkiem, a ktoś taki jest mi właśnie potrzebny. Ale tylko jeśli dokładnie wykonywać będzie moje polecenia. - Przez chwilę spoglądała nań płonąącym wzrokiem. - Wciąż nic nie rozumiesz. Gdzie znajdziemy

łódź? Sądzę, że w pobliżu wioski.

- Gdy wyprostował się, przewyższał ją o głowę, choć z całej duszy pragnął jedynie znaleźć do mikroskopijnych rozmiarów i paść plackiem u jej stóp.
 - Scyllo Rozkoszna, niedaleko Limny wypożyczają łodzie. Mam trochę pieniędzy.
 - Nie próbuj mnie rozśmieszać. Taka sztuka ci się nie uda. Ostrzegam. Chodź ze mną.
 - Oczywiście, Scyllo.
 - Nie obchodzą mnie ptaki - oświadczyła nie patrząc na Oreba. - Kiedyś należały do taty, teraz do Molpe, a takie jak ten do małego Hieraxa. Wiesz, że jestem najstarsza z rodzeństwa?
 - Naturalnie, Scyllo Rozkoszna - odparł Alka głosem o oktawę za wysokim.
- Chrząknął i przełknął ślinę, starając się ze wszystkich sił zapanować nad rozdygotanymi nerwami. - Nauczał tego w palestrze paterę Płetwa.
 - Płetwa? - Bogini popatrzyła na Alkę. - To dobrze. Czy oddaje mi szczególną cześć?
 - O tak, rozkoszna Scyllo. A raczej oddawał. Nie żyje.
 - To nie ma znaczenia.

Dotarli do miejsca, gdzie kończyła się Droga Pielgrzymów i zaczynała osada. Na ulicę padało światło z okien jadłodajni i tawem. Wychodzący z nich zapóźnieni goście bądź gapili się bezwstydnie na nagą Acalypnę, bądź odwracali wzrok.

- Po mnie było jeszcze sześcioro! Tacie chodziło o męskiego potomka i nieśmiertelność. - Pijany furman próbował uszczypnąć ją w sutek, lecz wbiła mu w oczy wyprostowane kciuki i obojętnie odeszła, zostawiając w rynsztoku zwijającego się z bólu gbura. - Molpe była kolejną dziewczynką, następnie pojawił się Tartaros. Myślisz, że mu to wystarczyło? Otóż nie! Przypętał się jeszcze malutki Hierax, ale tacie i tego było mało. Zatem pojawiły się jeszcze trzy dziewczynki, a później... Chyba już wiecie, że możemy was przejmować w taki właśnie sposób.
 - Dziewczę? - zaskrzeczał Oreb, lecz Acalypna nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi.
 - Nie wiedziałem, że to wciąż może się dziać, Scyllo Rozkoszna - mruknął Alka.- To nasze prawo, lecz zwykle musimy się posłużyć szkłem, czyli, jak wy to nazywacie, oknem. Terminalem. Moim terminalem jest całe to jezioro, co daje mi szczególną władzę nad miastem. Choć nie patrzyła w jego stronę, Alka skinął głową.
- Nie było mnie tu od dłuższego czasu - ciągnęła. - Ta kobieta jest kurwą. Nic dziwnego zatem, że upodobała ją sobie Kypris.
 - Alka znów lekko pokiwał głową, lecz wciąż milczał.
 - - Na początku podzieliliśmy się władzą, z tatą jako głównym bogiem, i rządaliśmy wszystkimi... Gdzie są te łodzie?
 - Musimy skręcić na najbliższym rogu i zejść nad wodę, Scyllo Rozkoszna.
 - Ale on już nie żyje. Przed trzydziestu laty wytarliśmy go z rdzenia. Jego miejsce zajęła mama. Zagarnęła dla siebie władzę nad całą wewnętrzną powierzchnią.

Wiedziała, że głównie przebywać będzie na łodzi, więc wybrała dla siebie wodę. W tamtym czasie bardzo dużo nurkowałam. Molpe wzięła sztukę. - Skręciwszy za róg, Acalypha dostrzegła przy końcu ulicy zacumowaną łódź rybacką.

■ Są na niej ludzie.

- Dwóch, jeden jest augurem. Doskonale! Czy umiesz żeglować?
Pah nie żyje! Alka nie był w stanie myśleć o niczym innym.

- Nie umiesz? Zatem ich nie zabijaj. Chciałam powiedzieć, że przybraliśmy nowe imiona, które najlepiej do nas pasowa - ty - W domu tata był Tyfonem Pierwszym. Ale żadnemu z nas nie przyszłoby do głowy, że i tej głupiej Kypris pozwoli wybierać. Wybrała miłość. Też mi niespodzianka! Zajęła się seksem i wszystkimi związanymi z nim brudami. Na początku w nic się nie wtrącała, bo...

- Na dźwięk jej głosu paterę Kowadełko uniósł głowę.

- Ty! Augurze! Przygotuj łódź do odcumowania. Zniknęła na chwile w gęstym cieniu rzucanym przez solar - nię. W chwilę później Alka ujrzał ją, jak leci w powietrzu (gdyby nie została opętana przez boginie, nie byłaby zdolna do podobnego wyczynu), po czym wylądowała z przewrotną na pokładzie rybackiej łodzi.

- Kazałam wam przygotować się do odcumowania! Ogłuchliście?

- Augura wyrznęła lewą ręką; rybaka prawą. Dźwięk obu ciosów przypominał zatrzaśnięcie podwójnych drzwi. Alka wyszarpnął zza pasa igłowiec i ruszył za Acalyphą.

- Kolejny upalny, skwarny poranek. Maytere Marmur powa - chlowała się ulotką. W policzkach miała cewki; nie potrafiła wprawdzie wywołać ich rzutu poziomego, ale była pewna, że je ma.

- Jej główne cewki mieściły się w nogach, a w każdym z policzków - obwód pomocniczy. Znajdujący się w nich płyn przepływał (w każdym razie powinien przepływać) pod ciśnieniem, jakie pozostawało jeszcze w jej wnętrzu, wchodząc w bezpośredni kontakt z wykonanym z tytanu panelem twarzowym, który z kolei miał bezpośredni kontakt z powietrzem wypełniającym kuchnię.

- A powietrze to powinno być chłodniejsze. Ale nie, to nie mogło być tak. Kiedyś wyglądała... tego była prawie pewna...

- dokładnie jak biochem. Jej policzki pokrywał... pokrywał jakiś materiał, który zabezpieczał przed przenikaniem gorąca. Co wyznała tamtego dnia paterę Jedwabowi? Trzy wieki? Trzysta lat? Jej system dziesiętny przesunął się, z całą pewnością przesunął się na lewo. Tak, bez wątplenia wyglądała wówczas jak biochem, jak bio - dziewczyna o czarnych, lśniących włosach i rumianych policzkach - Jak cokolwiek starsza od niej Dalia, a Dalia zawsze była słaba z arytmetyki, nic nie pojmowała, mnożyła dwa ułamki dziesiętni i otrzymywała wynik z dwoma przecinkami, gryzmoła których znaczenia nie odszyfrowałby nawet sam Jego Wolną ręką zamieszała w garnku. Owsianka była gotowa, wręcz rozgotowana. Maytere Marmur zdjęła garnek z pieca i znowu powachlowała się ulotką. Za drzwiami, w refektarzu, z przykłądną cierpliwością czekała na śniadanie malutka may - tere Mięta.

- Jedz już, sybillo. Maytere Róża zachorowała.
 - Dobrze, sybillo.
 - To wyraz szacunku, prawda? - Maytere Marmur znów machnęła przed twarzą ulotką (widniał na niej wizerunek Scylli swawolącej z samogłowem i jesiotrem), lecz nie doznała ochłody.
- Gdzieś w samym środku maytere Marmur odezwał się niebezpiecznie jakiś zapomniany już prawie czujnik. - Nie musisz okazywać mi obiedencji, sybillo.
 - Jesteś starsza, sybillo.
- Normalnie Mięta odpowiedziałaby prawie niedosłyszalnie. Tego ranka jednak jej słowa zabrzmiały zdecydowanie i wyraźnie. Maytere Marmur była zbyt przegrzana, by zwrócić na to uwagę.
 - Nie chcę zmuszać cię do jedzenia, lecz musiałam zdjąć śniadanie z ognia.
 - Chcę tego, czego chcesz ty, sybillo.
 - Idę na piętro. Może maytere potrzebuje mojej pomocy. - Doznała natchnienia. - Zaniosę jej jedzenie. - Dzięki temu wybiegowi maytere Mięta zje śniadanie, nie czekając na najstarszą sybillę. - Ale najpierw podam ci owsiankę, a ty całą zjesz.
 - Jak sobie życzysz, sybillo.
- Maytere Marmur otworzyła kredens i wyjęła miskę maytere Róży oraz stary, poobijany talerz, z którego maytere Mięta lubiła jadać najbardziej. Wspinaczka po schodach mogła M przegrzać, lecz nie wolno było o tym myśleć. Nakładała ka - e warząchwią, która po chwili zamieniła się w chmurę cy - t. Zawsze uczyła swe klasy, że każdy materialny przed - at zbudowany jest z rojących się atomów. Grubo się myliła. ażdy materialny przedmiot, każda materialna myśl składa się rojących się cyferek.
- Zacisnęła oczy, odłożyła ulotkę, wydała palcami krawędzie miski i dołożyła kolejną porcję Schody nie były tak strome, jak się obawiała, lecz pierwsze piętro świątyni zniknęło, a jego miejsce zajęły więdnące zioła i płożące się winoroślą. Na ścianie widniał wykonany przez kogoś kredą napis: JEDWAB NA CALDE!
 - Sybillo? - Głos maytere Mięty był nikły i dobiegał jakby z niezmierzonej dali.
 - Czy nic ci nie jest?
 Kulfonowate litery i wykonana z rakplastu ściana zamieniły się w cyferki.
 - Sybillo?
- Tak, tak. Idę przecież na górę. Chce zajrzeć do maytere Betel. - Słowa te powinny uspokoić bojaźliwą, malutką maytere Mięte. - Przystanąłam tylko na chwilę, by nieco się ochłodzić.
 - Maytere Betel nas opuściła, sybillo. Ty chcesz zajrzeć do maytere Róży.
 - Naturalnie, sybillo. - Odnosiła wrażenie, że stąpa po tańczących wstęgach cyfr. Czy schody prowadziły do drzwi, czy na wyższe piętro? - Musiało mi się coś pomieszać, maytere. To przez ten straszliwy upał.

- Odwagi, sybillo. - Poczula na ramieniu dotyk czyjejś dłoni. - Mogę tak do ciebie mówić? Jesteśmy siostrami.

I znów ujrzała prawdziwe schody przykryte brązowym dywanem z wytartym od częstego chodzenia wzorem. Drzwi do pokoju maytere Róży, narożnej izby, znajdowały się w końcu krótkiego korytarzyka.

Zapukała. Jej kłykcie roztrzaskały drzwi. Przez poszarpaną dziurę dostrzegła sybillę spoczywającą nieruchomo w łóżku. Maytere Róża usta i oczy miała otwarte, na twarzy roiły się jej muchy.

Maytere Marmur weszła do izby, rozdarła wytartą koszulę nocną chorej i otworzyła maytere Róży klatkę piersiową. Następnie ściągnęła z siebie habit, położyła go na krześle i otworzyła własny tors. Prawie niechętnie zaczęła wymieniać ze zmarłą sybillą części składowe; sprawdzała każdą przed włożeniem na miejsce. Kilka komponentów odrzuciła. Jest tardag, przypomniała sobie. Skoro jednak maytere odeszła, nie jest to kradzież.

W szkłe na północnej ścianie izby pojawiła się łódź rybacka z rozpostartym żaglem. Stojąca obok sternika naga kobieta nosiła na palcu lśniący pierścień. Maytere, choć również naga, odwróciła wzrok.

Jedwabowi pulsowało w głowie, odnosił wrażenie, że ma sklezione oczy. Majaczył przed nim radca Wari; niski i gruby, lecz w osobliwy sposób olbrzymi. Miał uniesione pięści i czekał, aż Jedwab rozchyli powieki.

Gdzieś... gdzieś panował spokój. Tylko przekręcić kluczyk i tancerze znów zaczną pląsać, znów rozbrzmi muzyka, wrócą minione noce...

Ciemność i nieustanne dudnienie, niebywale kojące. Podciągnięte kolana, ręce złożone w modlitwie.

Milcząca kontemplacja, uwolnienie od potrzeby jedzenia, picia i oddychania. Tunelem, ciemnym i ciepłym dotąd, nadciągał chłód. Skowyty bólu, obok niego Mamelta, jej dłoń w jego dłoni. Ujadający jak terier igłowiec pięknej Hiacynt.

- Ile ci dali?! Wstrząsnął nim cios. Popiół, niewidoczny, lecz dławiący.
- To tu.
- Co powiedziałeś Krwi?!

Snop ognia. Poranne modły w manteionie w Limnie; w man - teionie wysokim na trzydzieści łokci, lecz odległym o tysiąc mil.

- Za tobą! Za tobą! Odwrót i strzał.

- Latarnia martwej niewiasty, świeca w niej w trzech czwartych wypalona. Mamelta dmucha na kawałek żaru, by ją rozpaścić.
 - Jestem lojalnym obyw...
 - Radco, jestem lojalnym obyw... Pluje krwią.
 - Ci, którzy krzywdzą augura... - Ile...?!Jedwab otworzył prawe oko, ujrzał szarą jak popiół ścianę i znów opuścił powiekę.

Próbował liczyć wystrzały... i nieoczekiwanie naraz znów znalazł się w gospodzie. „Cóż, patere, w moim mieści się więcej igieł... Ściany są grube i solidne, w dawnych czasach mieściła się tu Alambra”.

Otworzyły się drzwi i do środka wkroczył Wari. Na tacy niósł kolację. Za nim wynurzył się sierżant Piasek z pudłem i straszliwymi prętami.

Wróć! Wróć!

Kłęczał, grzebał w zwałach popiołu. Bóg, który dostał już pięć igieł, wciąż stał na skraju kręgu światła rzucanego przez latarnię, warczał, z pyska ściekała mu krew i piana. Huk pistoletu kulowego, wyjątkowo donośny w ciasnym tunelu, i dobiegający z bardzo bliska.

- Ile mu dałeś?
- Stalowy pręt wyrznął go w krocze. Wykonujące młyńca ramię Piaska, jego pozbawiona wyrazu twarz zniknęła spowite obłokiem straszliwego bólu.
 - Kupił twój manteion.
 - Tak, jestem...
 - Na czas nieokreślony? Dał ci nieokreślony czas? - Tak.
 - Czas nieokreślony.
 - Tak. Nie wiem...(Wrócić, och, wrócić! Ale prąd jest zbyt silny).

Jedwab otworzył lewe oko. Pomalowana stal, szara jak popiół. Przetarł spuchnięte powieki i usiadł. Bolała go głowa, czuł mdłości. Znajdował się w niewielkim pomieszczeniu o szarych ścianach, pozbawionym okien. Zadrżał. Leżał na niskiej, twardej i bardzo wąskiej pryczy.

Głos dochodzący gdzieś z samego skraju jego pamięci: - Obudziłeś się. Wreszcie będę miał do kogo otworzyć usta.

Zdumiony Jedwab zamrugał. Miał przed sobą doktora Żurawia, który spoglądając nań błyszczącymi oczyma, wyciągał przed siebie rękę.

- Ile palców?
- Ty? Śniło mi się...
- Zostałeś schwytany, Jedwabiu. Podobnie jak ja. Ile widzisz palców?
- Trzy.
- Doskonale. Jaki mamy dziś dzień?

Jedwab musiał się zastanowić; zebranie myśli kosztowało go wiele wysiłku.

- Tardag? - odezwał się w końcu. - Egzekwie i pogrzeb Orlicy odbyły się w scyldag. W molpdag pojechaliśmy nad jezioro. Tam zszedłem...
 - Tak?
 - Do tuneli. Przebywałem w nich długi czas. Tak więc dziś może być nawet hieraxdag.
 - Bardzo dobrze, ale nie jesteśmy w tunelach. - W Alambrerze?
Żuraw przecząco pokręcił głową.
 - Powiem ci wszystko, lecz wymagać to będzie pewnych dodatkowych wyjaśnień.
- Muszę jednak cię od razu przestrzec. Zamknęli nas w jednej celi, bo liczą na to, że rozmawiając dostarczymy im użytecznych informacji. Chyba nie wyświadczysz im tej grzeczności.
 - Chciałbym napić się wody.
 - Otacza nas ze wszystkich stron. Ale musisz poczekać, aż ci przyniosą, jeśli w ogóle przyniosą.
 - Radca Wari uderzył mnie pięścią. - Jedwab ponuro potarł opuchliznę na głowie.
 - To ostatnia rzecz, jaką pamiętam.
- Mówiąc „oni” masz na myśli Ayuntamiento? - Żuraw przysiadł obok niego na pryczy. - Wybacz, kiedy byłeś nieprzytomny, siedziałem na podłodze, a jest bardzo zimna i twarda. Po co wybrałeś się nad jezioro?
 - Możesz mi to powiedzieć?
 - Nie pamiętam.
 - Żuraw z aprobatą pokiwał głową.
 - To chyba najlepsza linia obrony.
 - To nie żadna linia. Miałem... miałem bardzo dziwne sny. - Jedwab wypchnął z pamięci straszliwe wspomnienia o Warim i Piasku. - W jednym nawiedziła mnie naga kobieta, która również miała dziwne sny.
 - No, no!
 - Rozmawiałem z... mniej szał o to. I pokonałem diabła. Czy wierzysz mi, doktorze?
 - Nie - odparł szczerze Żuraw.
 - Ale tak było. I wezwałem bogów. Przestraszyła się dopiero Hieraxa.
 - Kobieta - diabeł. Czy wyglądała tak? Żuraw wyszczerzył zęby.
 - Podobnie. - Jedwab milczał przez chwile i masował głowę. - I nie był to sen... nie skończył się. Ty ją znasz. Musisz ją znać.
 - Lekarz uniósł brew.
 - Znam diabła, którego przepędziłeś? To prawda, mam szeroki krąg znajomych, ale...
 - Mówię o Pleśni, córce Krwi. Potrafi zawładnąć ludźmi. Opętała towarzyszącą mi niewiastę. Żuraw cicho gwizdnał przez zęby i nagle spowaźniał.

- Czy to ty ją operowałeś? - spytał Jedwab.
- Wiesz o tym od Krwi?
- Powiedział mi, że przed tobą zatrudniał chirurga specjalizującego się w operacjach mózgu. Gdy przekonałem się, do czego zdolna jest Pleśń, wszystko zrozumiałem... Co masz mi na ten temat do powiedzenia?
 - Żuraw gładził przez chwilę brodę, po czym wzruszył ramionami.
- Szkody chyba nikomu już tym nie wyrządzą. Ayuntamiento - to i tak wie o wszystkim, a my musimy wypełnić czymś czas. Lecz gdy ja spełnię twoją prośbę, czy odpowiesz mi na kilka pytań? Uczciwie i szczerze, chyba że będzie to coś, o czym nie chcesz, by dowiedzieli się oni.
- - Przed Ayuntamiento nie mam żadnych tajemnic - oświadczył Jedwab. - Poza tym odpowiedziałem już na wiele pytań radcy Wariego. Opowiem ci o wszystkim, co dotyczy mnie i innych ludzi, chyba że obowiązywać mnie będzie tajemnica spowiedzi.
- W takim razie zacznę od podstawowego pytania - powiedział z uśmiechem Żuraw. - Dla kogo pracujesz?
- Najpierw ja zapytam ciebie o Pleśń. Taką zawarliśmy umowę. Zamierzam tej dziewczynie pomóc w miarę swych możliwości.
Lekarz znów uniósł brew.
- Ale później odpowiesz na moje pierwsze pytanie? - Odpowiem. Lecz teraz moja kolej. Czy Pleśń naprawdę jest córką Krwi? Ona tak twierdzi.
- Z punktu widzenia prawa, tak. Jest jego adoptowaną córką. Nieżonatym mężczyznom zazwyczaj nie zezwala się na adopcję, lecz Krew pracował dla Ayuntamiento. Wiedziałeś o tym?
 - Nie. I nie wierzę. To przestępca.
 - Nie płacili mu kartami. Traktowali tylko życzliwie. Nie wtrącali się w jego interesy; pod warunkiem że nie wynikały z nich żadne większe kłopoty. Tak więc wystarczyło jedno słówko któregoś z radców, by sędzia wydał zgodę na adopcję i opiekę nad dziewczynką, aż do osiągnięcia przez nią pełnoletności.
 - Rozumiem. Kim byli jej prawdziwi rodzice? Żuraw ponownie wzruszył ramionami.
 - Nigdy ich nie miała. W każdym razie nie na naszym whor - lu. Zresztą nieważne, kim byli, spotkali się jedynie na płycie Petriego. Była zamrożonym embrionem. Podejrzewam, że Krew zapłacił za niego majątek. Zatrudnienie chirurga, o którym wspomniałeś, również kosztowało go fortunę.
 - Fortunę za zniszczenie tego, za co tyle zapłacił - mruknął z goryczą Jedwab, przypominając sobie ogołocony ze sprzętów, plugawy pokój, w którym po raz pierwszy spotkał Pleśń.
 - Wcale nie. Miało to nauczyć ją uległości i pokory. Słyszałem, że była istnym potworem.

Lecz gdy ten specjalista od mózgu, który przybył do nas aż z Palustrii, otworzył jej czaszkę, w środku ujrzął jakiś zupełnie nowy organ. - Żuraw zachichotał. - Przystudiowałem jego raport.

- Znajduje się w kartotece medycznej w willi.
 - Nowy organ? Jaki?
 - Nie twierdzą, że nie był to mózg. Bo był to mózg. Ale z takim mózgiem chirurg nigdy jeszcze się nie spotkał. Z medycznego punktu widzenia nie był to mózg ani ludzki, ani zwierzę - cy -
- Lekarz musiał, jak mawiają, pójść na całość i mieć nadzieję w bogach. No i spartaczył robotę. Tak w każdym razie twierdził. Jedwab stał z twarzy łyzy.
- Och, daj spokój... - zachnął się doktor Żuraw. - Działo się to dziesięć lat temu, a my wszystko utrzymywaliśmy w najgłębszej tajemnicy.
 - Czy ktoś przynajmniej przejął się jej losem, doktorze? Ty, Krew, Piżmo Jub tamten chirurg?
- Nikt?
 - O ile dobrze wiem, nikt.
 - Wiec pozwól, że ja to zrobię. Tyle jej się należy.
 - Nie zamierzam cię powstrzymywać. Ale nie zapytałeś, dlaczego Krew się jej nie pozbył.
 - Jak powiedziałaś, jest jego córką; przynajmniej w obliczu prawa.
 - To by i tak go nie powstrzymało. Nie zgładził jej, gdyż chirurg oświadczył, że zdolności Pleśni odrodzą się po jej powrocie do zdrowia. Było to tylko domniemanie, lecz sądząc z tego, co mówiłaś o diable, rzeczywiście się odrodziły. A teraz, dzięki tobie wie o tym również Ayuntamiento. Viron stanie się jeszcze bardziej niebezpieczny.
 - Jedwab ponownie skrajem rękawa przeciągnął po oczach i głośno wytarł nos.
 - Masz na myśli, że stanie się potężniejszy. Cóż, to problem twojego rządu w Palustrii, nie nasz.
 - Rozumiem. - Żuraw rozłożył się na pryczy i oparł plecami o stalową ścianę. - Obiecałeś, że jeśli wyznam ci prawdę o Pleśni, ty wyjawisz mi, dla kogo pracujesz..Czy jesteś na usługach Jego Mądrości, przewodniczącego Kapituły?
 - Nie. Choć w pewnym sensie tak. Mówię to z czystym sumieniem. Na pewno robię dokładnie to, czego życzyłby sobie Jego Mądrość, choć o niczym mu jeszcze nie wspominałem...

nie złożyłem Kapitulie formalnego doniesienia. Stara wymówka; naprawdę nie miałem na to czasu.

Czy uwierzyłbyś mi. gdybym powiedział, że szpieguje dla Jego Mądrości?

- Nie uwierzyłbym, i nie wierze. Przewodniczący Kapituły ma innych szpiegów, i to licznych. Święci augurowie do nich nie należą. Nie jestem aż tak głupi. Komu więc służysz?
 - Zewnętrznemu.
 - Bogowi?
 - Tak. - Jedwab, mimo że nie patrzył w stronę Żurawia, wiedział, że lekarz znów uniósł brew. Zaczerpnął głęboko tchu. - Skoro poza maytere Marmur nikt mi nie wierzy, nie uwierzysz i ty, doktorze. Jesteś ostatnim człowiekiem, który dałby wiarę czemuś takiemu. Wyznam ci jednak to samo, co wyznałem już radcy Wariemu. W ostatni phaedag przemówił do mnie Zewnętrzny, przemówił na boisku w naszej palestrze.
 - Zamilkł, spodziewając się pogardliwego śmiechu Żurawia.

- To bardzo interesujące - rzekł doktor. - Powinniśmy o tym porozmawiać już dawno. Czy tyś go widział?
 - Jedwab zastanawiał się chwile nad odpowiedzią.

- Nie tak jak widzę ciebie. Nie sądzę zresztą, by można go było zobaczyć w taki sposób. Jak powiedziałem przed kilkoma dniami Krwi, wizualne przedstawienia bogów są z gruntu fałszywe.

- Są tylko mniej lub bardziej zbliżone do oryginałów, ale nigdy mniej lub bardziej do nich podobne.
 - Zewnetrzy objawił mi się...
 - jego dusza, jeśli można mówić o duszy boga... ukazując mi niezliczone rzeczy, które zrobił lub stworzył; ludzi, zwierzęta, rośliny i mnóstwo innych rzeczy, na których niezwykle mu zależy. Ale nie wszystko było piękne i godne podziwu; ani w twoim pojęciu, doktorze, ani w moim. Olbrzymie ognie płonące poza whorlem, żuk wyglądający jak klejnot, a składający jaja w gnoju, i chłopiec, który mówił, a żył... żył jak dzikie zwierzę.
 - Był tam nagi przestępca na szafocie; wróciliśmy ponownie, kiedy umarł; i jeszcze później, kiedy zdjęto jego ciało. Była tam jego matka i grupa przyjaciół, a gdy ktoś oświadczył, że skazaniec podzegał do buntu, matka nieszczęśnika oświadczyła, że jej syn nie był złym człowiekiem i zawsze będzie go kochać.
 - Widziałem również martwą kobietę porzuconą w bocznej alejce, i paterę Płetwę, a wszystko to było ze sobą ściśle powiązane, jakby stanowiło kawałki większej całości. Jedwab zamilkł i zamyślił się, wspominając tamtą chwilę.
 - Wróćmy do boga - odezwał się doktor Żuraw. - Czy słyszałeś jego głos?
 - Głosy - uściślił Jedwab. - Przez cały czas mówił mi do obu uszu. Jeden głos był bardzo męski, niezbyt głęboki, lecz stanowczy i twardy, jakby przemawiała do mnie góra z litej skały. Drugi był łagodny, kobiecy, ale oba należały do niego. Kiedy skończyło się objawienie, rozumiałem już dużo lepiej niż przedtem, dlaczego artyści przedstawiają Paha jako dwugłowego. Uwierzyłem też, że Zewnętrzny może przemawiać wieloma różnymi głosami. Cały czas je słyszałem, choć były bardzo

niewyraźne.

- Zupełnie jakby czekały za mną tłumy, ich przywódcy szeptali mi do uszu, a jednocześnie cała ta ciżba stanowiła jedną osobę, Zewnętrznego.
 - Gdy te dwa głosy przemawiały do ciebie jednocześnie, czy rozumiałeś, co mówiły?
- O tak. Mimo że każdy z nich mówił o czymś innym. Jednego tylko dotąd nie rozumiem; to bardzo skomplikowana sprawa. Mianowicie wszystko to działo się w jednej chwili. Komuś już powiedziałem, że trwało to setki lat, choć nie upłynęła ani jedna sekunda. Miało to miejsca poza czasem. Trudno mi to wytłumaczyć, ale sądzę, że rozumiesz.
 - Żuraw skinął głową.
- Jeden z chłopców, Róg, najlepszy nasz napastnik, sięgał właśnie po piłkę - mówił dalej Jedwab. - Miał ją już prawie w dłoni, gdy znaleźliśmy się poza czasem. Było to tak, jakby przez całe me życie stał za mną Zewnętrzny, lecz odezwał się dopiero wtedy, gdy okazało się to niezbędne.
- Pokazał mi, kim jest i co czuje do wszystkiego, co stworzył. Później pokazał mi, co czuje do mnie i czego ode mnie chce. Ostrzegł jednak, że nie zamierza udzielać mi pomocy... Jedwab urwał i przycisnął dłoń do czoła. Żuraw zachichotał.
 - Nie było to z jego strony uprzejme.
 - Uprzejmość nie ma tu nic do rzeczy - wyjaśnił powoli Jedwab. - To kwestia logiki. Przecież miałem zostać jego agentem. Prosił mnie o to... Muszę podkreślić, że niczego nie żądał, tylko prosił. Miałem zostać jego agentem i ocalić nasz manteion; prosił mnie właśnie o to. Chciał go uratować za moim pośrednictwem. Ja jestem tą zesłaną przez niego pomocą; a nie idzie się z odsieczą komuś, kto z tą odsieczą nadchodzi. Podobnie jak nie kupujesz śliwek, by zawieszać je na drzewie - i Oczywiście obiecałem mu, że spróbuje tego dokonać. Powiedziałem, że zrobię wszystko co w mojej mocy.
 - Więc twoja nocna eskapada do willi Krwi miała na celu ratowanie ginącego manteionu? I nędznej plebanii, w której mieszkasz? Wszystkich świątynnych zabudowań? Całej posesji?
 - Tak. - Jedwab w skinął głową i dodał: - Ale nie chodzi - io o same budynki.
- Jeszcze lepiej byłoby, gdyby udało się na ich miejsce postawić nowe, co pewnego wieczoru zasugerował mi paterę Remora, koadiutor.
- Tak więc odpowiedziałem ci na twoje pytanie. Wiesz już, dla kogo pracuję... dla kogo szpieguję, jeśli wolisz, bo szpiegowałem ciebie.
 - Dla pomniejszego boga o imieniu Zewnętrzny.
 - Tak. Zamierzaliśmy... zamierzałem powiedzieć ci przy twojej kolejnej wizycie, iż wiem, że jesteś szpiegiem. Że rozmawiałem z twoimi informatorami, że wiem, kto przekazuje twoje raporty dalej.
 - Dostrzegłem w tym wszystkim wzór; a teraz widzę go jeszcze wyraźniej.

Żuraw uśmiechnął się i potrząsnął głową w udawanej desperacji.

■ A zatem, niestety, wie o tym również radca Lemur.

- Rozumiem też inne sprawy - kontynuował Jedwab. - Na przykład dlaczego trafiłeś do Krwi. I dlaczego tu, w tunelach, natknąłem się na talusa Krwi.
- Nie jesteśmy w tunelach - mruknął Żuraw. - Nie pamiętasz? Powiedziałem ci już, że ze wszystkich stron otacza nas woda. Znajdujemy się w zatopionym statku. A dokładnie w statku, który potrafi zanurzać się w wodzie i wypływać na powierzchnię, gdy kapitan wyda taki rozkaz. Wierz mi lub nie, ale porusza się pod wodą jak ryba. Stanowi największy sekret Vironu. Zostałbym bardzo bogatym człowiekiem i bohaterem, gdyby udało mi się przekazać tę wiadomość moim szefom.
- Jedwab podniósł się z pryczy i podszedł do stalowych drzwi. Tak jak się spodziewał, były zamknięte na głucho i nie było w nich żadnego okienka, judasza czy wziernika, przez który mógłby wyjrzeć na zewnątrz.
- Nieoczekiwanie dotarł do niego smród własnego ciała; spostrzegł, jak bardzo ma zabrudzone Popiołem ubranie.
 - Czy nie ma sposobu, byśmy się trochę umyli? - spytał.
 - Pod pryczą stoi ceber z kiblem.
 - Nie, nie chce.
 - Dlaczego tak bardzo obchodziło cię, czy jestem szpiegiem, skoro nie zamierzałeś oddać mnie Ayuntamiento?
 - Oddałbym, gdybyś nie pomógł mi wykupić od Krwi man - teionu - odrzekł Jedwab szczerze. - Gdybyś pomógł, pozwoliłbym ci opuścić bezpiecznie miasto.

Usiadł na podłodze w rogu celi, z dala od pryczy. Posadzka rzeczywiście była zimna i twarda, jak mówił Żuraw.

- Gdybyś mi nie pomógł, zamierzałem oddać cię hyclom, jak mawiają mieszkańcy mojej dzielnicy. A ja pracuje zarówno dla nich, jak i dla Zewnętrzznego, który pragnie ocalić nasz manteion z tego względu, że mieszkańcy tej dzielnicy bardzo go potrzebują. - Ściągnął buty. - Przez słowo „hycle” rozumieją żołnierzy gwardii cywilnej. W swych zielonych uniformach przypominają rakarzy chwytających bezpańskie psy.
 - Wiem. Po co wszedłeś do tuneli? Czy dlatego że ja o nie rozpytywałem?
- Jedwab najpierw ściągnął skarpetki i dopiero później wyjaśnił: - Niezupełnie. Nie zamierzałem wchodzić do tuneli, choć słyszałem o nich różne niejasne plotki. Że zbiera się tam krąg czarnych mechaników i tak dalej. W scholi uczono nas, że to stek bzdur. Dzięki owijaczowi, który mi pożyczyłeś, mogłem podjąć wyprawę do znajdującego się nad jeziorem sanktuarium Scylli. A udałem się tam dlatego, że odwiedził to miejsce również komisarz Wyrak... i pewna osoba, która powiedziała, że interesowałeś się tamtym miejscem.
 - Acalypha. - Nie.

- Oczywiście że ona. Ale to i tak nie ma znaczenia. Podśluchiwałem was podczas jej spowiedzi. Nie usłyszałem wiele, ale to akurat usłyszałam.
- Kłamiesz. O tym nie rozmawialiśmy. - Jedwab zdjął z chorej kostki owijacz.
- Zgoda. Czy to właśnie talus oddał ciebie w ręce Wariego - - Sprawa jest bardziej skomplikowana - odrzekł z wahaniem [jedwab. - Może to nieroztropne z mojej strony o tym mówić, lecz jeśli podśluchuje nas radca Wari, tym lepiej. Chcę od tego wreszcie uwolnić swe sumienie. Zabiłem talusa. Zrobiłem to z bólem serca, ale w obronie koniecznej.
 - Za pomocą...? Jedwab skinął głową.
 - Za pomocą azotha, który miałem przy sobie. Później mi go odebrano.
 - Rozumiem. Skończmy ten temat.
 - Zatem pomówmy o tym. - Jedwab podniósł nad głowę owi - jacz. - Postąpiłeś bardzo wielkodusznie, pożyczając mi ten opatrunek, a ja odplaciłem ci niewdzięcznością. Powód znasz.
- Musiałem zrobić to, o co prosił mnie Zewnętrzny; aby usprawiedliwić jego wiarę we mnie. We mnie, który przez dwadzieścia trzy lata ani razu nie oddał mu czci. Byłoby zatem nieuczciwością z mej strony, gdybym zatrzymał ten owijacz.
 - Zwracam ci go z radością.
 - Odmawiam. Czy już wystygł? Tak, z pewnością. Daj, naładuję go energią.
 - Chcę ci go oddać, doktorze. Gdyby mi się powiodło, wydarłbym od ciebie pieniądze, których potrzebuję.
 - Nie zasługuję na żadne względy.
- Przecież nie zabrałeś mi żadnych pieniędzy. - Żuraw podciągnął nogi i skrzyżował je na pryczy. - Choć nie udało mi się ciebie skaptować, zaciągnąłem u ciebie wielki dług. Dokładnie takiej osoby jak ty potrzebujemy. Dla biedoty Yironu stanowisz postać centralną, a miasto podzielone jest miastem zbyt słabym, by atakować sąsiadów... Naładuj energią owijacz i opatrz sobie nogę.
 - Nigdy nie miałem zamiaru osłabiać Yironu - odparł Jedwab. - Mam inne zadania.
- Nie obarczaj się winą. Za wszelkie szkody wyrządzone tve - niu miastu odpowiada Ayuntamiento, która zleciła zabójstwo ostatniego calde, po czym sama przejęła władzę, lekceważąc Kartę oraz własnych poddanych... I nie zamierza darować ci Życia, gdy już Lemur z tobą skończy.
 - Zabiją zarówno ciebie, Jak i mnie. Jedwab ponuro pokiwał głową.
- Radca Wari obiecał mi to samo. Miałem nadzieje, i nadal ją mam, iż były to wyłącznie czcze pogroźki.
 - Mimo gróźb nie mogą mnie zabić, podobnie jak nie mógł zrobić tego Krew.

- Teraz sytuacja jest całkiem inna. Gdy wybrałeś się do Krwi, ktoś wiedział, dokąd idziesz. Skoro jednak pochwycił cię talus i zaciągnął do tuneli, z całą pewnością nikt nie wie że wpadłeś w ręce Ayuntamiento. A talusa, jak sam powiedziałaś, zgładziłeś.
 - Wie tylko Mamelta, ale ją pochwyciono wraz ze mną.
 - Co więcej - ciągnął Żuraw - twoja śmierć sprawi, że Krew przestanie czuć się bezpieczny. Twoja śmierć sprawi, że Lemur i pozostali poczują się bezpieczniej. W ogóle dziwię się, że jeszcze nie zostałeś zabity. A swoją drogą, kim jest Mamelta? Jedną z twych świętych kobiet?
 - Jedną z osób, które Pah wprowadził na whorl, kiedy skończył go budować. Czy wiesz, że niektórzy z tych ludzi jeszcze żyją, choć pogrążeni są we śnie?
 Żuraw potrząsnął głową.
 - Kto ci to powiedział? Pah?
 - Nie, Mamelta. Gdy schwytali mnie żołnierze, wiedząc, że zostanę zrewidowany, ukryłem azoth w tunelach. Zakopałem w popiołach, którymi zasypane były korytarze.
 - Sprytnie - mruknął Żuraw i zachichotał.
 - Wcale nie. Nic a nic. Ale słuchaj dalej. Pewien żołnierz pokazał mi śpiących ludzi i wyjaśnił, że umieszczono ich tam w czasach pierwszych osadników. Pleśń obudziła jedną z tych osób, właśnie Mamelte. Później, jak już ci mówiłem, przepędziłem ją egzorcyzmem.
 - To prawda, mówiłeś.
 - Mamelcie i mnie udało się uciec... obawiam się, że Pię - ściak poniesie za to karę... lecz ponownie nas aresztowano, gdy wróciliśmy po azoth. Zamknęli mnie w pomieszczeniu jeszcze gorszym niż to, a po jakimś czasie przyniesiono mi sutannę. Miała ją na sobie Mamelta, więc zapewne dali jej jakieś inne, przyzwoite ubranie; taką w każdym razie mam nadzieję. - Umilkł i przez chwilę przygryzał dolną wargę. - Z azothern ' dłoni mogłem stawić żołnierzom opór, sądzę nawet, że obu ich bym zabił. Nie potrafiłem jednak się do tego zmusić.
 - Postawa godna pochwały. Czy przy aresztowaniu obecny był Wari?
 - Zgadza się.
 - I szybko zrozumiał, kim jesteś.
 - Powiedziałem mu - przyznał Jedwab. - To znaczy, zapytał o moje imię, a ja mu powiedziałem. Zrobiłbym to i teraz.
- i Jestem lojalnym obywatelem, o czym go zresztą nieustannie zapewniałem. - Ciekaw jestem, jak wygląda lojalność nieboszczyka. Ale [to już twój problem. Mnie interesuje twoja wycieczka w towarzystwie tamtej kobiety. Jak to pogodziłeś ze swoją lojalnością?
- Miałem do wykonania zadanie - wyjaśnił Jedwab. - Nie chcę wdawać się w szczegóły, lecz powody były naprawdę ważne. A ponieważ nie zrobiłem nic złego, z czystym sumieniem wykorzystałem nadarżającą się okazję.
 - A teraz? Czy jesteś przestępcą zasługującym na śmierć?
 - Nie. Może przeszkrobałem to i owo, lecz moim największym wykroczeniem jest zawód,

jaki sprawiłem Zewnętrznemu. Gdyby jednak udało mi się stąd uciec, choć to mało prawdopodobne, z całą pewnością skorzystałbym z okazji, by dokończyć dzieła.

- A zatem byś uciekł?
 - Ze stalowego pomieszczenia o zamkniętych na głucho drzwiach? - Jedwab przeciągnął palcami po strzesze żółtych, zmierzwionych i brudnych włosów. - Masz jakiś pomysł, doktorze?
 - Nie będą nas tu trzymać w nieskończoność. Naprawdę chcesz uciec?
 - Oczywiście.
 - A zatem naładuj energią owijacz. Zapewne będziemy musieli szybko biec. No... kopnij go lub wyrznij nim o ścianę.
 - Jedwab posłusznie spełnił polecenie Żurawia i uderzył kilka razy opatrunkiem o stalową ścianę.
 - Muszę spełnić obietnicę złożoną Zewnętrznemu. I spełnię.
 - A wtedy on pobłogosławi cię, podobnie jak ja, za twoją wielkoduszność.
 - - Na twoim miejscu tak bardzo bym na nim nie polegał - mruknął z szyderczym uśmiechem Żuraw i przez chwilę sprawiał wrażenie naprawdę rozbawionego. - Miałeś zapewne niewielki wylew. Zbyt duży wysiłek wkładałeś w grę i pękło ci drobne naczynko w mózgu. W takich przypadkach często występują omamy i halucynacje. Wylew prawdopodobnie uszkodził ten rejon mózgu, obszar Wernicke'a.
 - Dotknął własnej głowy, pokazując, w którym to jest miejscu.
 - **LEMUR**
 - Jedwab pogrążony w niemej modlitwie klęczał odwrócony twarzą do pomalowanej na szaro ściany. - Molpe Cudowna, nie bądź na mnie gniewna, nie odwracaj oblicza od kogoś, kto zawsze cię wielbił. Do ciebie należy muzyka. Czy już nigdy nie będzie mi dane jej słuchać? Wspomnij moją pozytywkę, Molpe, przypomnij sobie, ile wieczornych godzin spędziłem, słuchając jej dźwięków.
 - Pozytywkę wciąż mam w szafie, Molpe, i jeśli tylko sprawisz, że mnie stąd wypuszczą, naoliwię ponownie tancerzy i będę co wieczór słuchać muzyki. Zrobiłem rachunek sumienia, Molpe, i wiem już, w czym uchybiłem twej czci.
 - Otóż postąpiłem zbyt szorstko z Pleśnią, gdy opętała Mamelkę. Ci, którym pomieszały się zmysły, wciąż pozostają dziećmi i należą do ciebie. Teraz już to rozumiem, Molpe, i w imię twej dobroci powinienem postąpić wobec niej łagodniej. Nie powinienem też nazywać jej diabłem, gdyż wcale nim nie jest.
 - Wyrzekam się pychy i dumy; jeśli tylko zdołam, odbiorę Krwi Pleśń i będę ją traktować jak własne dziecko. Przysięgam. Śpiewające ptaki dla ciebie, Molpe, jeśli tylko...
- Naprawdę sądzisz, że te bzdury ci pomogą? - spytał Żuraw - Śpiewające ptaki dla ciebie, Molpe, jeśli tylko sprawisz że nas stąd wypuszczą.
 - Tartarosie Mroczny, nie bądź na mnie gniewny, nie odwracaj oblicza od kogoś, kto zawsze cię wielbił.

- Do ciebie najeży złodziejstwo i morderstwo, a wszelkie plugawe czyny mają miejsce w mroku. Czy nigdy już nie będzie mi dane wędrować swobodnie ciemnymi ulicami mego rodzinnego miasta?
- Wspomnij, jak przemierzałem je, niczym złodziej, w towarzystwie Alki. Gdy pokonałem okalający posiadłość Krwi mur, spoglądałeś na mnie łaskawie, a ja z najwyższą radością zapłaciłem za czarne Jagnie i koguta, jak ci obiecałem. Wspomnij, że to ja przyniosłem pojednanie z Pahem Kalanowi, i pozwól, Tartarosie, umknąć mi stąd wraz z doktorem Żurawiem. Nigdy nie zapomnę, Tartarosie, że złodzieje należą do ciebie, a ja jestem jednym z nich. Zrobiłem rachunek sumienia, Tartarosie, i wiem już, w czym uchybiłem twej czci. Otóż z całego serca nienawidziłem twych mrocznych tuneli, zaślepiony dumą nie pomyślałem, żeś to ty mnie do nich wysłał, że jest to najodpowiedniejsze miejsce dla kogoś takiego jak ja. Wyrzekam się swej pychy i dumy, jeśli znów mnie tam pošlesz, przyjmę to z pokorą jako cenę za wszelkie łaski, jakimi mnie obdarowałeś. Przysięgam.
- Dwadzieścia czarnych szcurów dla ciebie, Tartarosie, jeśli tylko sprawisz, że nas stąd wypuszczą.
- Hieraksie Najwyższy, nie bądź na mnie gniewny, nie odwracaj oblicza od kogoś, kto zawsze cię wielbił. Czy nigdy już nie będzie mi dane nieść pociechy umierającym? Wspomnij, Hieraksie, chwile gdy niosłem pojednanie z Pahem Mrówko - jadowi, Krzewowi, Lnu, Orlicy, Muflonowi, Kalanowi i Kucowi. Wspomnij ostatnie tchnienie, jakim pobłogosławił mnie Kuc, i nie zapominaj o tym, że to ja zabiłem ptaka, którego bluźniercy nazwali twym świętym imieniem. Jeśli tylko sprawisz, że nas stąd wypuszczą, będę niósł do końca życia pojednanie umierającym, a umarłych grzebał.
 - Zrobiłem rachunek sumienia, Hieraksie, i wiem już, w czym uchybiłem twej czci. Otóż...
 - Myślałem, że do modlitwy używacie paciorków.
 - Zabrał mi je Wari - wyjaśnił ze smutkiem Jedwab. - Zabrał mi wszystko, nawet okulary.
 - Nie wiedziałem, że używasz okularów.

- ...Otóż widząc umierających podczas snu, który zesłał na nich Pah, nie próbowałem ich pogrzebać, a nawet nie odmówiłem za nich modlitwy; a kiedy ja i Mamelta znaleźliśmy kości tej, która niosła latarnię, przepełniony pychą przywłaszczyłem sobie te latarnię, nie zwracając uwagi na ludzkie szczątki. Wyrzekam się swej pychy i dumy. Zawsze już będę pamiętać o zmarłych. Przysięgam. Czarnego kozła dla ciebie, Hieraksie, jeśli tylko sprawisz, że nas stąd wypuszczą.

Thehiepeio Czarowna, nie bądź na mnie gniewna, nie odwracaj oblicza od kogoś, kto zawsze cię wielbił.

Do ciebie na - ;leżą proroctwa i magia. Czyż nigdy nie będzie mi dane rzucać losów w thekdag ani wypatrywać we wnętrzościach ofiarnych zwierząt nadchodzących dni? Wspomnij, ile zwierząt w imieniu Orchidei złożyłem w ofierze w ostatni scyldag. Zrobiłem rachunek sumienia, Thekiepeio, i wiem już, w czym uchybiłem twej czci. Otóż...

Nieoczekiwanie cęła pogrążyła się w ciemnościach, jakich Jedwab nigdy jeszcze w życiu nie doświadczył, nawet w zawałonym popiołami tunelu. Mrok był wręcz namacalny i dławiący.

- To Lemur! - szepnął gorączkowo Żuraw. - Zakryj głowę. Zmieszany, nie wiedząc dlaczego i czym ma zakrywać głowę, Jedwab nie wykonał żadnego ruchu.
 - ...Otóż nie dostrzegałem czaru...
- Otworzyły się drzwi. Jedwab obrócił się i dostrzegł na ich tle postać, która prawie całkowicie zasłaniała wejście. Drzwi ponownie zamknęły się z głuchym hukiem, lecz nie rozległ się trzask
- rygła.
- Wstań, paterę - odezwał się głębokim, dźwięcznym barytonem radca Lemur. - Potrzebuję was obu.
 - Doktorze, weź to. Ponowne głuche uderzenie.
 - Podnieś to.
 - To moja lekarska walizeczka - rozległ się głos Żurawia. - Skąd ją macie?

Lemur wybuchnął śmiechem. Śmiech był tak miły i głośny, że Jedwab poczuł irracjonalną ochotę, by mu zawtórować - Sądziś że jesteśmy pośrodku jeziora? - rzekł Lem Mylisz się. Wciąż znajdujemy się w pieczarze, lecz niebawem ją opuścimy. Rozmawiałem z Krwią. Przysłał ten neseser nr szofera. To wszystko... Paterę, dla ciebie również mam kilka drobiazgów. Zabierz je, są twoje.

Jedwab wyciągnął dłonie i otrzymał paciorki, gammadion oraz srebrny łańcuch, który dostał jeszcze od matki. Łańcuch był beznadziejnie splątany z paciorkami.

- Dziękuję - powiedział Jedwab.
- Jesteś odważnym człowiekiem, paterę. Wyjątkowo dzielny jak na augura. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że działając ręka w rękę z doktorem, moglibyście pokonać nawet mnie?
- Nie sądzę.
- Ale nie aż tak dzielny, by w takiej chwili stracić ufność w bogów. A co z tobą, doktorze? Z augurem?
- Razem?
 - Nie - dobiegła od strony pryczy odpowiedź i Jedwab usłyszał trzask zamka broni.
 - Mam za pasem twój igłowiec, doktorze. A w rękawie twój, paterę. Czy myślisz, że zdołacie zabić mnie w ciemnościach?
- Bogowie brońcie, nie zabiłbym nikogo! - wykrzyknął Jedwab. - Taka myśl nawet nie zaświtałaby mi w głowie!
 - Lemur znów się roześmiał, tym razem cicho.

- Ale Wariego chciałeś zabić, paterę, prawda? Powiedział mi, że przesłuchiwał cię przez kilka godzin.
- Znam Wariego od najwcześniejszych lat życia i przyznaję, że na całym whorlu nie ma człowieka bardziej odrażającego, nawet gdy stara się być przymilny.
- To prawda, mam wszelkie powody nie czuć do niego sympatii - odparł Jedwab, rozważnie dobierając słowa. - Ale szanuję go jako członka Ayuntamiento, a tym samym jednego z prawowitych władców naszego miasta. Z całą pewnością nie chciałbym wyrządzić mu krzywdy.
 - Długo cię bił, a po ostatnim ciosie przez wiele godzin le" załeś nieprzytomny.
 - Zaiste, whorl powinien się pozbyć mego kuzyna, Wariego. Nie chcesz, bym zwrócił ci igłowiec?
 - Przeciwnie, bardzo chcę. Jedwab na oślep wyciągnął rękę.
 - A ty spróbujesz mnie zabić?
- Podobnie prowokował mnie Pięściak - burknął Jedwab. - powiedziałem o tym radcy Warriemu, co z pewnością powtórzył tobie. Lecz ty nie jesteś żołnierzem.
 - Nie jestem też chemem.
 - On nie wie nawet, jak wyglądasz - rozległ się w ciemności głos Żurawia.
 - A zatem spójrz na mnie, paterę.

Wysoko, prawie pod sufitem pojawił się lekki blask, mglista poświata. Jedwab spoglądał z fascynacją, jak z ciemności wynurza się gładko ogolona twarz człowieka mniej więcej sześćdziesięcioletniego. Było to szlachetne oblicze, wysokie czoło pod grzywą srebrzystych włosów, orli nos i szerokie, wrażliwe usta.

Jedwab uświadomił sobie, że radca Lemur wzrostem przewyższa nawet Kocura.

- Nie jesteś ciekaw, jak to robię? - spytała twarz. - Moja skóra sama z siebie wydziela blask. Oczy również.
 - Popatrz!
 - Pojawiły się dwie mgliste plamy światła, które okazały się dłońmi Lemura. Jedna z nich trzymała za lufę igłowiec rozmiarów broni Alki.
 - Proszę, doktorze. Twoja własność.
 - Nie zrobiłeś wielkiego wrażenia na Jedwabiu - dobiegł z ciemności kpiący głos Żurawia. Igłowiec zniknął.
 - To dzielny człowiek - zachichotał Żuraw.
 - Ja też, paterę. Ja też. Straciłeś swego boga. Czy mogę zaproponować ci innego?
 - Tartarosa? Tuż przed twoim nadejściem modliłem się właśnie do niego.
 - Rozumiem, że czyniłeś to z powodu panującego tu mroku.

Twarz i dłonie Lemura zniknęły. Znów zapadły atramentowe ciemności; tym razem wydawały się jeszcze głębsze.

- 1 dlatego że dzisiaj święcimy jego dzień - dodał Jedwab. - Tak mi się wydaje, że jest tardag.
- Tartaros i cała reszta to wyłącznie duchy, paterę. Zawsze nimi byli, a duchy znikają. Przez ostatnie trzysta lat Pah, Ech'H na, Tartaros, Scylla i reszta bractwa zbladła tak, że jest już D wie niewidzialna. Przewodniczący Kapituły dobrze o tym \y - a ponieważ ty masz odziedziczyć po nim urząd, również po' winienes o tym wiedzieć.
- Ponieważ ja...? - Jedwab umilkł, niebywale rad, że w pomieszczeniu panuje nieprzenikliwy mrok.
- Lemur roześmiał się i przerażony Jedwab, z mocno bijącym sercem, o mało mu nie zawtórował.
 - Gdybyś tylko mógł teraz siebie widzieć, paterę! Powinieneś zostać sportretowany.
 - Ty mnie...
 - Mówiono mi, że jesteś wyszkolonym augurem. Scholę ukończyłeś z oceną celującą. A więc powiedz mi, czy Tartaros widzi po ciemku?
- Jedwab skinął tylko w milczeniu głową, gdyż nabrał już całkowitej pewności, że również Lemur widzi w ciemnościach.
 - Naturalnie - mruknął po chwili. - Wszyscy bogowie widzą w mroku.
 - W każdym razie tak ciebie nauczono - dobiegł z boku głos Żurawia.

- Ja też widzę bez światła, i to nie gorzej od nich - stwierdził Lemur tak dźwięcznym barytonem, że głos doktora w porównaniu z tembrem głosu radcy wydał się cienki i piskliwy. -Dzięki falom energii zbyt długiej dla waszych oczu widzę was doskonale. Widzę też, a także słyszę, co dzieje się w miejscach, gdzie mnie nie ma. Gdy wróciłeś do przytomności, doktor Żuraw wyciągnął w twoją stronę palce i kazał ci je liczyć. Teraz twoja kolej. Pokaż tyle palców, ile chcesz.

Jedwab uniósł prawą dłoń.

- Wszystkie pięć. Jeszcze raz. Jedwab spełnił polecenie.
- Trzy, tyle samo pokazał ci Żuraw. Jeszcze raz.
- Już wierzę - powiedział Jedwab.
- Sześć. Uwierzyłeś również Żurawiowi, gdy oświadczył ci, że zamierzam was zabić. To nieprawda.
- Zamierzamy was obu wynieść na wysokie stanowiska.
Dziękuję - powiedział Jedwab.
- _ Najpierw jednak chce ci powiedzieć o bogach. Doktor Żu - raw zna już tę historię, a przynajmniej wszystkiego się domy - a. Pewien władca, człowiek o takiej sile, że potrafił

władac w pojedynkę, nazwał się monarchą i zbudował nasz whorl. Miał on stanowić osobiste przesłanie władcy dla wszechświata.

- Widziałeś ludzi, których umieścił na pokładzie; rozmawiałeś i przebywałeś w towarzystwie jednej z tych osób.
- Jedwab skinął głową, po czym (przypominając sobie o Żurawiu) powiedział: - Tak. Nazywa się Mamelta.
- Rozmawialiście o Pleśni. Podobnie jak chirurg Krwi bawił się jej umysłem, lekarze monarchy manipulowali umysłami mężczyzn i kobiet umieszczonych na whorlu. Byli jednak dużo przemyślniejsi, wymazując z pamięci pacjentów, na ile tylko zdołali, wspomnienia osobistego życia.
- Mamelta wyznała mi, że zanim została przywieziona na whorl, również przeszła operację - przerwał mu Jedwab.
- Chirurgi jednak odkryli, że pamięć pacjentów dotycząca ich władcy, jego rodziny i niektórych wysokich urzędników, jest zbyt mocno zakorzeniona, by ją usunąć. Tak zatem, aby zaciemnić sprawę, nadali im nowe imiona. Ich władca, człowiek nazywający siebie monarchą, został Pahem, sekutni - ca, którą poślubił - Echidną i tak dalej, i tak dalej. Echidna urodziła mu siedmioro dzieci.
 - Nazwaliśmy je Scylla, Molpe, Tar - taros, Hierax, Thehdepeia, Phaea i Sphigx. Jedwab wykonał znak dodawania.
- Monarcha pragnął syna, który zostałby jego następcą - ciągnął Lemur. - Scylla miała równie silny charakter jak ojciec, lecz była niewiastą. Prawo natury dotyczące naszej rasy wymaga, by kobiety podlegały mężczyznom. Ojciec pozwolił córce ufundować nasze miasto, jak też wiele innych. Ufundowała również waszą Kapitułę, parodię religii państwowej z jej rodzinnego whorla. Była zaledwie dzieckiem.
- Jedwab przełknął głośno ślinę, lecz nie odezwał się słowem. - Królowa urodziła następną córkę, która okazała się jeszcze gorsza. Była wprawdzie zdolną tancerką i utalentowaną muzyczką, ale niewiastą, a na dodatek trochę szaloną. p\fa7 warny ją Molpe.
 - Cisze zmaćił lekki szcęk.
- Nic nie znalazłeś, doktorze? Oczywiście, przeszukaliśmy dokładnie twój neseser... Ale wracajmy do tematu. Trzeci urodził się chłopiec, lecz okazał się równie nieużyteczny jak pozostałe dwoje dzieci; był ślepy. Został Tartarosem, w którego ręce składałeś swój los, paterę. Wierzysz, że potrafi widzieć bez światła. Prawda jest taka, że nie widzi światła dziennego. Czy cię nie nudzę?
- To nie ma znaczenia, lecz mówiąc tak, uchybiasz bogom i wystawiasz na ogromne niebezpieczeństwo swoją duszę.

Z ciemności dobiegł śmiech Żurawia.
- Niemniej zamierzam wszystko ci powiedzieć - stwierdził Lemur. - Echidna znów poczęła i

wydała z siebie następnego chłopca, który odziedziczył po ojcu męską obojętność na doznania innych, ale doprowadził ją do granic manii. Musisz wiedzieć, paterę, że wszyscy ludzie czerpią niebywałą radość z zadawania cierpień tym, których nie lubią. Kolejny potomek monarchy rozwinął w sobie tę cechę do tego stopnia, że dla własnej uciechy, będąc jeszcze dzieckiem, potrafił mordować ludzi tysiącami. Obecnie nazywamy go Hieraxem, bogiem śmierci.

- Czy mam ciągnąć dalej? Było jeszcze troje dzieci, same dziewczynki, i znasz je dobrze. To Thelxiepeia ze swymi czarami, narkotykami i truciznami, tłusta Phaea i Sphigx, która odziedziczyła zarówno hart ducha ojca, jak i jędzowate usposobienie matki. Niewątpliwie w takiej rodzinie albo musiała kultywować cechy swego charakteru, albo umrzeć.
 - Jedwab zakaszłał.
 - Radco, oświadczyłeś, że zamierzasz zwrócić mi igłowiec. Czy możesz to zrobić?
- Tym razem niesamowite światło spowiło całą postać Lemu - ra. Blask był tak silny, że przenikał nawet przez jego ubranie.
 - Proszę, oto on - powiedział radca i wyciągnął prawe ramię.
- Pod haftowanym rękawem koszuli przesunął się jakiś przedmiot, dotarł do przegubu, po czym na otwartej dłoni pojawił się inkrustowany złotem mały igłowiec. to zrobiłeś? - spytał zaintrygowany Jedwab.
- w ramionach tysiące maleńkich obwodów. Rozluźniając pewne mięśnie, potrafię wytwarzać pole magnetyczne, a następnie napinając je w odpowiednich sekwencjach przy jednoczesnym rozluźnianiu innych, mogę tym polem sterować. Spójrz. Igłowiec przesunął się z dłoni na nadgarstek, po czym znów zniknął pod rękawem.
 - Mówiłeś, że chcesz go odzyskać?
 - O tak, bardzo.
 - A ty, doktorze? Twój już ci oddałem, a teraz zamierzam skorzystać z twoich usług. Czy potraktujesz zwrot igłowca jako zapłatę?
- Emanujący z Lemura blask stał się tak silny, że Jedwab dostrzegł siedzącego na pryczy Żurawia. Doktor wyciągnął igło - więc go w stronę radcy.
 - Mogę ci go oddać. Wystarczy mi, jeśli oddasz Jedwabiowi jego broń.
 - Doktor Żuraw próbował już mnie zastrzelić. - Pałająca blaskiem twarz Lemura rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. - On z tobą bawi się w okrutny sposób, paterę.
 - Nie. Był i jest moim przyjacielem. Wielu ludzi wstydzi się dobrych odruchów, ponieważ utożsamiają dobroć ze słabością. Oddaj mi broń, proszę.

Spod rękawa na rozwartą dłoń Lemura wypełził niczym srebrzysty pajak nie igłowiec, lecz azoth Hiacynta.

Jedwab wyciągnął rękę, ale Lemur zamknął na broni palce, roześmiał się i pomieszczenie znów spowiły smoliste ciemności.

- Jedwab powiedział mi, że wraz z nim pochwyciłeś również kobietę - odezwał się doktor Żuraw. - Jeśli jest mocno poturbowana, chciałbym ją zbadać.
- Potrafię zmiążyć azoth w palcach - odpowiedział bez związku Lemur. - Lecz to mogłoby okazać się niebezpieczne nawet dla mnie.
- Jedwabowi udało się w końcu odłączyć srebrny łańcuch od paciorków. Zawiesił go sobie na szyi, po czym ustawił w odpowiedniej pozycji gammadion Paha.
 - A zatem nie radzę tego robić.
 - Nie zamierzam. Dopóki nie wyjawiałem ci prawdy o twoich bogach, paterę, zaproponowałem ci nowego boga, żywego boga, przed którym najmędrsi powinni klęknąć w pokorze g}0. wy.
 - Chyba już wiesz, że mam na myśli siebie. Czy jesteś go - tów oddawać mi cześć?
 - - Obawiam się, że nie posiadamy stosownego zwierzęcia ofiarnego. Oczy Lemura zapalały zimnym blaskiem.
- Brak ci wyczucia, paterę. Czy nie chcesz zostać przewodniczącym Kapituły? W pierwszej chwili gdy o tym wspomniałem, sądziłem, że za samą tylko sugestie gotów jesteś pocałować mnie w tyłek. A oto proszę, zachowujesz się, jakby moje słowa wcale do ciebie nie dotarły.
- Od razu podejrzewałem, że jest to rodzaj nowej, wymyślonej tortury. Szczerze mówiąc, sądzę tak i teraz.
- Mylisz się. Mówię poważnie. Doktor chciał cię skaptować. Ja też chcę. Jeśli stanowisz tak łaskomy kasek dla niego i jego mocodawców, to dla mnie przedstawiasz jeszcze większą wartość.
 - Jedwab poczuł, że brakuje mu w płucach powietrza.
- Mam oświadczyć wiernym, że to ty jesteś bogiem, radco? Że tobie należy oddawać boską cześć?
- Więcej - rozległ się donośny, ciepły, przyjazny i dźwięczny głos Lemura. - To mógłby uczynić obecny przewodniczący Kapituły; i zrobi tak, gdy tylko go poproszę. Mogę też, wedle własnego kaprysu, zastąpić go którymś z setki augurów.
- Wątpię - mruknął Jedwab, kręcąc głową. - Lecz jeśli nawet, to i tak nikt mu nie uwierzy.
- Masz rację. Ale tobie uwierzą. Jego Mądrość jest stary. Jego Mądrość umrze, zapewne jutro. Kiedy oświadczy, że ciebie wyznacza na swego następcę, wieść ta wzbudzi zdumienie, lecz przyjęta zostanie z ogromnym zadowoleniem. A wtedy ty wytłumaczysz ludowi, że Pah, przez wzgląd na mnie, odwrócił się?
- od was. Teraz muszą tylko oddać mi cześć boską, a wszystko zostanie im wybaczone. W końcu zrozumieją, że ja jestem bogiem większym niż Pah. Wysłuchałeś mnie przecież. Czy nadal dotrzymujesz mi wierności?

- Oraz Echidnie i jej dzieciakom?
- Jedwab ciężko westchnął.
- Gdy mi to wszystko mówiłeś, uświadomiłem sobie, jak moja lojalność w/.gledem nich jest niewielka.
- Twoje bluźnier - stwa powinny mnie rozwścieczyć, lecz byłem tylko poruszony niczym stara ciotka, panna, która podsłuchiwała, jak jej kucharz klnie. O czymś jednak nie wiesz. Spotkałem na swej drodze prawdziwego boga, Zewnętrznego...
 - Żuraw ryknął śmiechem.
- 1 prawdziwą boginie, Kypris - ciągnął Jedwab. - Tak zatem wiem, jak wygląda prawdziwa boskość; wiem, jak wygląda, jak przemawia. Ale powiedziałaś coś, radco, na co w pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi.
 - Co takiego? - Po raz pierwszy z głosie Lemura zabrzmiała nietajona groźba.
 - Powiedziałaś, że nie jesteś chemem. Nie należę do tych ciemnych, przesądnych biochemów, którzy uważają się za coś lepszego od chemów, lecz wiem...
 - Kłamiesz!
- Podwójnie przerażające w panujących ciemnościach ostrze azotha przecięło płaszczyznę rzeczywistości jak papier, śmignęło obok ucha Jedwabia, wprawiając w drżenie każdą komórkę jego ciała, bardziej zatrważające od najbardziej zatrważającej rzeczy we wszechświecie.
 - Zatopisz nas! - wrzasnął Żuraw, gdy statek zadrżał i gwałtownie się zakołysał. Przerażony Jedwab gwałtownie odskoczył, bo posypał się nań ognisty deszcz złuszczonej farby i
- rozżarzonej stali.
- Dokonał tego tylko jeden biologiczny człowiek, paterę. Człowiek, który stał się kimś więcej. -W ciemności rozległ się dźwięk przypominający uderzenie młota w kowadło. - Ja jestem człowiekiem biologicznym... i jestem bogiem.
 - Dręcząca nieciągłość łamiąca strukturę wszechświata minęła.
 - Dziękuję - powiedział Jedwab i głęboko odetchnął. - Bardzo dziękuję. Ale nie rób tego więcej. Gwałtowne ruchy statku przeszły w rytmiczne, łagodne kołysanie. Ponownie pojawiło się
 - emanujące blask ramię Lemura, który otworzył dłoń i rękojeść azotha gładko wsunęła się w rękaw. Rozległ się głuchy dźwięk, gdy Żuraw rzucił na podłogę swój neseser.
 - Czy jesteś tu naprawdę?
 - Dlaczego pytasz? - odezwał się znów serdecznym głosem Lemur.
 - Jestem ciekaw. Podejrzewam, że nie jest to zwykły pancierz szturmowy, lecz coś lepszego.

- Co bardzo interesuje twoich mocodawców, władców...
- Palustrii.
- Nie, nie Palustrii. Wyeliminowaliśmy pewne miasta, między innymi Palustrie.

Niebawem, jak paterę Jedwab, przejdziesz na stronę Yironu i wtedy będziesz musiał być bardziej szczerzy. Chwilowo niech ci wystarczy to, że przebywam w innej części tej łodzi. Gdy dobijemy targu, może ci się pokażę.

- Chcesz, bym ci służył?
- My, bogowie, mamy wiele imion... Paterę, nie musisz zaprzętać sobie głowy losem swej kochanki. Nawet teraz, gdy z tobą rozmawiam, hołubi pacjenta doktora Żurawia i bardzo się o ciebie troska.
- Używasz czasami staroświeckich słów - dobiegł z mroku głos Żurawia. - Radco, ile ty masz
- lat?
- A ile mi dajesz? - Lemur wyciągnął fluoryzującą w ciemności rękę. - Wy, lekarze, uwielbiacie roztrząsać dziwaczne przypadki. Co masz do powiedzenia na temat tego?
- Utrzymałeś się na swym urzędzie przez okres władzy dwóch calde i potem przez dwadzieścia dwa lata po śmierci ostatniego. To budzi zdumienie.
- W Palustrii. Tak, w Palustrii z całą pewnością. Ale na obcym terenie postawiłeś pewne diagnozy, a ja bardzo chcę je poznać.
 - Paterę, czy nie budzi to twego zdumienia?
 - Jestem w stanie wyobrazić sobie biochema z częściami protetycznymi, takiego jak nasza maytere Róża. - Jedwab skonstatował, że trzęsą się mu dłonie, więc szybko wsunął je w kieszenie.
 - Ale nie pojmuję, jak możesz przebywać w innej części tej łodzi.
 - Na tej samej zasadzie jak szkło przenosi do ciebie wyobrażenie pokoju znajdującego się w domu na drugim końcu miasta.
- W ten sam sposób święte okno przekazuje ci pozorny wizerunek kobiety zmarłej przed trzystu laty, a ty jesteś przekonany, że rozmawiasz z jedną z pomniejszych bogiń. - Lemur zachichotał. - Ale zmitreżyłem już i tak zbyt wiele czasu, podczas gdy pacjent doktora Żurawia umiera.
- Pocieszam się tylko tym, że doktor mi wybaczy. - Na świetlistej dłoni pojawił się igłowiec Hiacynta. - Oto cena, której zażądał Żuraw. A teraz chce, doktorze, byś zerknął na pacjenta. Aby zarobić na to honorarium, musisz go zbadać i powiedzieć całą prawdę o jego stanie zdrowia. Czy to wbrew lekarskiej etyce wyznać pacjentowi prawdę? - Nie.
 - - A ja kiedyś sądziłem, że tak. Czwarty z moich więźniów również jest szpiegiem. Czy zrobisz, o co cię proszę? Jest naprawdę w złym stanie.

- A później zabijesz Jedwabia i mnie - parsknął Żuraw. - Cóż, przez całe życie byłem szarlatanem. Skoro mam umrzeć, niech umrę jako szarlatan.
- Obaj zostaniecie przy życiu, gdyż tworzycie niepowtarzalny duet - oświadczył Lemur. - Mógłbym już teraz wziąć was na swych wspólników, lecz chwilowo lepiej mi się przysłużycie jako adwersarze. Nie powiem: wrogowie. Oświadczyłem czwartemu więźniowi, że lekarz, który go zbada, oraz au - gur, który udzieli mu rozgrzeszenia, nie należą do moich przyjaciół. Że obaj knują przeciwko mojemu rządowi.

Ś wietliste ramię Lemura jeszcze bardziej pojaśniało i grawerowany, wyłożony złotem, maleńki igłowiec wyslizgnął się niczym żywe stworzenie na jego dłoń.

- Wasza Mądrość, oto broń. - Radca wręczył przedmiot Jedwabowi. - Czy jako namaszczony augur przyniesiesz pojednanie z Pahem pacjentowi doktora Żurawia, jeśli lekarz osądzi, że chory stoi u progu śmierci?
 - Naturalnie - powiedział Jedwab.
 - A więc chodźmy. Uznasz to za bardzo interesujące doświadczenie.

Lemur otworzył drzwi. Mrugając powiekami i wycierając załzawione oczy, ruszyli za nim wąskim korytarzem o wyłożonej stalowymi płytami podłodze, a następnie zeszli metalowymi schodkami, niewiele mniej stromymi od zwykłej drabiny.

- Prowadzę was na kil statku - wyjaśnił w pewnej chwili Lemur. - Chyba nie spodziewaliście się, że łodzią będzie kołysać. Gdy bawiliśmy się azothem, wydałem stosowne rozkazy i łódź odbiła od dna. Płyniemy pod wodą, gdzie nie ma fal.
 - Przystanął przy masywnych drzwiach w podłodze, przekręcił dwa ręczne koła i otworzył luk.
 - Na dół. Pokaże wam otwór w dnie.
- Pierwszy ruszył Jedwab. Wibracje łodzi, które spowodował Lemur grożąc mu azothem, były tu silniejsze; powodowały wręcz efekty dźwiękowe. Pomieszczenie wypełniało chłodne, świeże powietrze, a stalowa barierka schodków, po których schodził, była wilgotna. Zielone światła sprawiały wrażenie imitacji starożytnych świateł stworzonych przez Paha dla pierwszych osadników. Czuć było jakiś nieokreślony zapach, który wyróżniał się tylko dlatego, że innych woni nie było. Jedwab po raz pierwszy naprawdę poczuł, że znajduje się pod wodami jeziora Limna.
- Najpierw ujrzał połamane skrzydła lotnika. Leżały rozpostarte na przezroczystej plandecie sporej szalupy; strzępy prawie niewidocznej materii rozpięte na stalazu wykonanym zapewne z polerowanej kości, nie grubszej niż wskazujący palec człowieka.
 - Zaczekaj tu chwilę, Wasza Mądrość! - powiedział Lemur. - Chcę ci to pokazać. Tobie i doktorowi. To jest warte obejrzenia.
 - W końcu jednego dopadliście - odezwał się Żuraw. - Upolowaliście lotnika.
 - W jego głosie było tyle rezygnacji, że zdziwiony Jedwab popatrzył w jego stronę.

- Wszyscy poszli - odezwał się Żuraw. - Krew, jego zbiry i prawie cała męska służba. Wiedziałem, że tak się może stać, lecz miałem nadzieję...
 - Nie dokończył zdania.
 - Lemur podniósł dziwacznie pozaginaną, przypominającą kształtem łzę konstrukcję wykonaną z materiału kremowej barwy.

- Zgadza się, doktorze. A to jest cały sekret. Prosty, lecz bezcenny. Nie chcesz tego zbadać? Nie chcesz dostarczyć swym mocodawcom sekretu latania? Klucza, który otworzy im drogę do nieba? Podnieś go.
 - Zobacz, jaki jest lekki. Przeciągnij po nim palcami, doktorze.
Żuraw odmownie potrząsnął głową.

- A więc ty, Wasza Mądrość. Kiedy już twoi wyznawcy obwołają cię calde, wiedza o tym może okazać się zbawienna.
- Nigdy nie zostanę calde - odparł Jedwab. - Nigdy nie chciałem nim zostać. - Wziął do ręki nic prawie nie ważącą konstrukcję. - I to właśnie pozwala lotnikom unosić się w powietrzu?
 - Chodzi o ten opływowy kształt? Lemur skinął głową.

- Oraz o materiał, z którego to wykonano. Tarsjusz właśnie go bada. Kiedy późnym wieczorem w phaedag wdarłeś się do willi Krwi... jak widzisz, wiem również o tym. No więc kiedy się tam wdarłeś, nie zastanowiłeś się, dlaczego rodzinne miasto Żurawia wysłało go, by miał bacne oko na Krew, prawda?
 - Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, że doktor jest szpiegiem - wyjaśnił Jedwab.

- Odłożył osobliwą konstrukcję i dotknął opuchlizny na głowie w miejscu, gdzie trafiła go pięść Wariego. W całym ciele czuł okropną słabość, ledwo trzymał się na nogach.
- Jego szefowie chcieli na bieżąco śledzić postępy Krwi w tresurze orła - wyjaśnił Lemur. - Przed ponad dwudziestu pięciu laty uświadomiłem sobie, że możemy opanować sztukę latania.

- Zrozumiałem, że gdybyśmy nauczyli naszych żołnierzy latać, śledzilibyśmy wszelkie ruchy wrogich wojsk, moglibyśmy dokonywać desantów na tyły przeciwnika, by niszczyć i w linii komunikacyjnej oraz przeprowadzać inne operacje wojskowe. Zatem w pierwszej sprzyjającej chwili przystąpiłem do działania, wspierając finansowo szereg obiecujących badań. Ale nie udało się nam zbudować aparatu, który uniósłby w powietrze dziecko, nie mówiąc już o żołnierzu.
 - Dlaczego? - zapytał Jedwab, przypominając sobie Pię - ściaka.
Żuraw chrząknął.
 - Bo są zbyt ciężcy. Lemur waży czterokrotnie więcej niż ty i ja razem.

- - A! - Radca odwrócił się w stronę doktora. - Widzę, że sumiennie przestudiowałeś to

zagadnienia.

- Żuraw skinął głową.
- Lotnicy są znacznie mniejsi od żołnierzy. Ja jestem niski co zresztą wszyscy mi nieustannie wytykają, a mimo to i tak większy od lotników.
 - Czyżbyś oglądał ich z bliska?
 - Przez teleskop - wyjaśnił Żuraw. - Czy zaprzeczysz, że trudno ich ze mną porównać?
 - Nie zaprzeczę.
 - Nie znaczy to, że chciałbym być wyższy i postawniejszy. Drobnobudowany człowiek ma inne proporcje ciała niż duży, któż o tym wie lepiej niż lekarz. Drobnobudowany człowiek, na przykład, ma większą głowę w stosunku do ramion.
 - Skoro ten ktoś może w każdej chwili umrzeć... - zaczął z niepokojem Jedwab.
 - Możesz być to ty, Wasza Mądrość. - Na ramieniu Jedwabia spoczęła ciężka dłoń Lemura. - Zupełnie hipotetycznie; powiedzmy, że planuję skrócić cię o głowę, gdy tylko przyniesiesz temu nieszczęśnikowi pojednanie z Pahem. W takim przypadku im szybciej skończymy tę rozmowę, tym szybciej ty stracisz życie.
 - Jako obywatel mam prawo do publicznej rozprawy i do adwokata. Jako augur... Lemur mocniej zacisnął palce na jego ramieniu.
- Szkoda, że sam nie jesteś adwokatem, Wasza Mądrość. Gdybyś nim był, wiedziałbyś, że istnieją inne, niepisane prawa. Na przykład dobro Yironu ma zawsze priorytet. Podczas gdy my tu rozmawiamy, pewna zakłamana, radykalna frakcja próbuje obalić usankcjonowany porządek i zastąpić Ayuntamiento niedoświadczonym, choć przyznam oddanym augurem, rozpowszechniającym łgarstwa o objawieniu i rzekomej łasce bogów - Czy nie za mocno ściskam ci ramię?
 - Jest to dosyć bolesne.
 - Może być bardziej bolesne. Czyżbyś naprawdę rozmawiał w domu rozpusty z boginią? Potwierdź, a zmiżdżę ci ramię.
 - Z boginią w takim sensie, w jakim bogiem był bóg, który mi się objawił. Doktor Żuraw upiera się, że taka istota nie istnieje. Może ma rację, może nie. Sam zaczynam wątpić, czy istnieją jeszcze tacy bogowie.

Ucisk palców Lemura stał się tak silny, że Jedwab z bólu chciał opaść na kolana.
- Zamierzam wyjawić ci, Wasza Mądrość, pewne szczegóły o tym, jak wpadłem na pomysł, by użyć drapieżnego ptaka do upolowania lotnika. O tym jak widok sokoła zabijającego o zmierzchu nurogeś podsunął mi pomysł. Jak w najgłębszej tajemnicy przeczesywałem Yiron w poszukiwaniu odpowiedniego człowieka, który podjąłby się tego zadania. I jak go znalazłem.
 - Udręczony Jedwab jęknął głośno i w jego obronie stanął doktor Żuraw.
 - I tak dalej, i tak dalej. Puść go, a ja ci powiem, jak się o wszystkim dowiedziałem.
 - Puść go! - Nieoczekiwanie z mroku wybiegła Mamelta 1 własnym ciałem zasłoniła Jedwabia. - Ty przekłety robocie! Ty maszynie! Puść go!

- Poza zbrukaną krwią szmatą, którą zasłoniła biodra, nic na sobie nie miała. Jej skóra przybrała barwę kości słoniowej, pełne piersi i krągłe uda drżały. Lemur puścił Jedwabia i pozornie niedbałym ruchem uderzył Mamelte. Na czole, w miejscu gdzie trafiły jego długie paznokcie, pod rozdartą skórą zabielała kość, która po chwili naszła krwią.
 - Natychmiast do rannej przypadł Żuraw i otworzył swą brązową torbę.
 - Bardzo ładnie, doktorze - pochwalił Lemur. - Możesz ją załatać, ale nie tutaj. Zrzucił Mamelte na ramie i odszedł.
- - Chodź! - Ze zdumiewającą jak na jego wiek zwinnością Żuraw wbiegł po stopniach wiodących do drzwi zapadowych, które otworzył Lemur, i zakręcił jednym z kół.
- Nie możemy jej zostawić! - sprzeciwił się Jedwab. Poruszył próbnie rękami. Z ulgą stwierdził, że żadna kość nie jest pęknięta.
 - Jako więźniowie na pewno jej nie pomożemy.
- Z odległego końca ładowni dobiegł szyderczy głos Lemura - Jeden umiera, a druga krwawi jak zarzynana świnia. Nie obchodzi was ich los?
 - Mnie obchodzi! - zawołał Jedwab i pokuśtykał w stronę skąd dobiegł głos radcy.
- Za dziobem szalupy, na rozłożonym na stalowej podłodze kocu spoczywał lotnik, jego ogorzałą od słońca i wiatru twarz wykrzywiał grymas cierpienia. Obok widniały kolejne drzwi zapadowe, dużo większe od tych, którymi tu weszli - na tyle duże, jak stwierdził z niejakim zdziwieniem Jedwab, by zmieściła się w nich cała szalupa. Na końcu pomieszczenia, przy grodzi, znajdowała się tablica rozdzielcza.
 - Lemur położył Mamelte obok lotnika.
- Podejdź do nas, doktorze! - ryknął grzmiącym głosem, który Jedwabowi skojarzył się z głosem talusa. - I tak nie zdołasz otworzyć luku. - Odwrócił się do paterę. - Mocno zakręciłem te koła. Nie tylko ważę więcej, ale jestem silniejszy od was obu razem wziętych.
 - Jedwab klęczał już przy głowie lotnika.
- Przynoszę ci przebaczenie wszystkich bogów, synu. A teraz wspomnij słowa, które wypowiedział Pah...
- Starczy. - Lemur ponownie chwycił go za ramie. - W pierwszej kolejności potrzebujemy lekarza. Jeśli sam nie zechce tu przyjść, ty go przyprowadzisz.
 - Jestem - odezwał się Żuraw za ich plecami.
 - Oto nasz lotnik - oświadczył Lemur. - Nazywa się lolar. Trochę nam powiedział, lecz nic istotnego; nie wymienił nawet nazwy swego miasta. Jest twojego wzrostu, choć odrobinę lżejszy.
 - A jednak nie przeszkadzało mu to być lotnikiem.
 - Żuraw milczał. Wyjął z walizeczki nożyczki i zaczął przecinać lotniczy skafander.

Jedwab w tym czasie oderwał pas materiału ze swej sutanny, owinał nim dwukrotnie głowę Ma - melty i mocno zawiązał prowizoryczny opatrunek.

- Lemur z aprobatą pokiwał głową.
 - Paterę, jestem pewien, że dziewczyna okaże ci wdzięczność za twój starunek. Podobnie, jak sądzę, lolar Żurawiowi. Słyszysz, doktorze?
 - Lekarz skinął głową, nie spoglądając w kierunku radcy.
 - Musze cię przekręcić. Połóż ręce za głową, ale nic nie rób sam. Ja ciebie obrócę.
- Sami widzicie - ciągnął towarzyskim tonem Lemur. - Przez przypadek lolar spadł do jeziora w pobliżu statku, co było dla nas niebywale korzystne. Wysłaliśmy więc na powierzchnię szalupę i zabraliśmy jego i skrzydła bez pomocy gwardii cywilnej. Ani bez udziału Krwi; ku jemu wielkiemu niezadowoleniu.
 - Lemur zachichotał.
 - Stało się to wczoraj wczesnym rankiem. Tak się zdarzyło, że przebywałem nad jeziorem, więc Lori polecił mi przeprowadzić akcję. Nie wiem dlaczego mnie, ale mniejsza o to. W każdym razie nie udało mi się odzyskać pewnego niebywale istotnego urządzenia, jakkolwiek przejąłem samego lotnika oraz skrzydła i uprzęż, które umożliwiały mu latanie. On to urządze - i nie nazywa modułem napędowym, czy tak, lolarze?
 - Żuraw zerknął na Lemura, po czym znów przeniósł wzrok na pacjenta.
 - Nie lżę, doktorze. Bez tego elementu nasi żołnierze mo - ; gliby wprawdzie wzbijać się w powietrze, lecz jedynie szybko - iwać tak, jak mewy na wietrze bez poruszania skrzydłami. Po - f za tym musieliby skakać z wyniosłej skały lub z wieży i fruwać jedynie przy silnym i sprzyjającym wietrze. Czasami, w wyjątkowych okolicznościach, będą w stanie oderwać się od zie - | mi i polecieć w kierunku, z którego wieje wiatr, nawet słaby. Dla ciebie to zbyt skomplikowane, paterę. Ale doktor Żuraw zapewne wie, o czym mówię.
 - Ja chyba też - odrzekł Jedwab.
 - Początkowo kłopoty wydawały się bagatelką. Dowiedzieliśmy się od lolara, że miał moduł napędowy.
 - Przy uderzeniu w wodę element ten oderwał się od konstrukcji i opadł na dno.
 - Cały dzień staramy się go wyłowić. A lolar nie zamierza nam powiedzieć, jak skonstruować taki moduł.
 - Wielka szkoda.
 - Z pewnością macie na łodzi lekarski gabinet zabiegowy - odezwał się Żuraw.
 - Naturalnie - zapewnił Lemur. - Początkowo nawet tam właśnie umieściliśmy lolara. Ale nie odpłacił nam grzeczność' za grzeczność, więc ponownie wylądował tutaj. Czy jest pr/v tomny?
 - Przed chwilą zamieniłem z nim kilka słów.
 - To dobrze. lolarze, wysłuchaj mnie. Jestem radca Lemur Zamierzam powiedzieć ci coś niezmiernie ważnego. Słyszysz mnie? Daj choćby znak głową.

- Lotnik, który leżał na brzuchu, odwrócił twarz w stronę szerokiego luku, po czym odezwał się cicho i z osobliwym akcentem: - Słyszę. Lemur uśmiechnął się i skinął głową.
- Przekonałeś się już, że jestem człowiekiem słownym. Daje ci słowo, że wszystko, co ci powiem, jest całkowitą prawdą. Nie zamierzam cię więcej zwodzić, ale i ty też nie nadużywaj mojej cierpliwości, bo nie zamierzam się z tobą cackać. To są właśnie ludzie, o których mówiliśmy ci ja i Wari. Lekarz, podobnie jak ty, jest szpiegiem. Możesz być pewien, że nie naszym szpiegiem. Utrzymuje, że pochodzi z Palustrii.
 - Augur stoi na czele frakcji, która zamierza przejąć w naszym mieście władzę.
 - Jeśli doktor Żuraw uzna, że umrzesz, wygrales. Wtedy pozwolę augurowi przynieść ci pojednanie z Pahem. Jeśli jednak przeżyjesz, to odmawiając współpracy z nami, również skazesz się na śmierć. Czy wyrażam się jasno? Ani ja, ani Wari nie zamierzamy tracić czasu i siłą wyciągać z ciebie informacji. Gromadzimy właśnie nowy sprzęt, by odnaleźć spoczywający na dnie jeziora moduł napędowy. Odnajdziemy go, a twoja śmierć pójdzie na marne. Jeśli natomiast poszukiwania nie dadzą rezultatów, wciąż mamy orła.
 - Został już odpowiednio wyszkolony, więc pošlemy go tropem innego twego pobratymca, a on dostarczy nam moduł. - Wskazał palcem na Żurawia. - Doktorze, nie grożą ani nie łudzą nadzieją. Prawda nic nie będzie cię kosztować, a kłamstwo nic nie da. Czy on przeżyje?
- Nie wiem - odparł cicho lekarz. - Ma złamanych kilka żeber... Ale nie przebiły płuc, gdyż wówczas dawno by już umarł. Kilka kręgów piersiowych jest w fatalnym stanie. Ma również uszkodzony rdzeń kręgowy, ale chyba nie przerwany, choć pewności nie mam. Przy odpowiedniej opiece i zdolnym chi - furgu ma duże s/anse przeżyć.
 - Lamur popatrzył nań sceptycznie.
 - 1 zupełnie wyzdrowieć?
 - _ W to wątpię. Ale chodzić zapewne będzie mógł.
- Dobrze. - Lemur zniżył głos prawie do szeptu. - Jak będzie, lolarze? Za dwie lub trzy godziny możesz być na brzegu. Te czarne kanistry, które miałeś przy sobie... Jak działają?
- W ładowni zapadła cisza. Jedwab pochylił się nad Mamel - tą. Gdy zamrugła powiekami, ujął ją za rękę.
- Żuraw wzruszył ramionami i zamknął walizeczkę. Trzask zamka zabrzmiał nagle i groźnie, jak wystrzał igłowca Alki w „Kogucie”.
- Wiedziałem, że tak będzie - odezwał się Lemur prawie przyjaznym tonem. - Dlatego się wycofuję. Paterę, jeśli chcesz, możesz rozpocząć swe gusta. Mnie nic do tego. Gdy skończysz, umrze.
 - Co zamierzasz zrobić? - zapytał Żuraw.
 - Wyrzucić go z łodzi. - Lemur podszedł do tablicy rozdzielczej. - Doktorze, ciebie, człowieka nauki, powinno to zainteresować. Jak już wspomniałem, pomieszczenie to

znajduje się na dnie łodzi. Jest szczelnie zamknięte, sam zdążyłeś się o tym przekonać kilka minut temu, próbując otworzyć luk. W tej chwili... - zerknął na jeden ze wskaźników - ...znajdujemy się na głębokości siedemdziesięciu łokci. A więc na zewnątrz panuje ciśnienie trzech atmosfer. Czy ktoś ci wyjaśnił, w jaki sposób zanurzamy się i wynurzamy?

- Nie - odparł Żuraw. - Ale zawsze mnie to ciekawiło. Zerknął na Jedwabia, jakby chciał sprawdzić, czy jego też ta sprawa interesuje. Paterę kołysał paciorkami nad głową ciężko rannego lotnika.
- Korzystamy ze sprężonego powietrza. Jeśli chcemy zejść głębiej, otwieramy jeden zbiorników balastowych. Wtedy dostaje się do niego woda z jeziora, tracimy wyporność i opadamy na dno. Gdy zamierzamy się wynurzyć, za pomocą sprężonego powietrza usuwamy z balastów wodę, odzyskujemy wyporność i wypływamy na powierzchnię. Gdy otworzę ten zawór, do naszego pomieszczenia dostanie się więcej powietrza.
 - Lemur zwolnił zawór, rozległ się głośny syk.
- Gdybym otworzył go na cały regulator, byłoby to dla was bardzo bolesne, więc odkręciłem tylko odrobinę. Jeśli zacznie boleć was w uszach, przełykajcie ślinę.
- Jedwab, który jednym uchem słuchał wyjaśnień Lemura przestał zanosić inkantacje i przełknął ślinę. W tej samej chwili lotnik szepnął: - Słońce... - Otworzył szeroko oczy i z wysiłkiem odwrócił twarz w stronę Jedwabia. - Powiedz swym ludziom!
- Przed zakończeniem liturgii Jedwabiowi nie wolno było odezwać się słowem na oderwany temat, więc tylko skinął głową i wykonał paciorkami znak odejmowania.
 - Błogosławię cię.
 - Zgodnie z nakazami rytuału skinął dziewięć razy głową i wykonał znak dodawania.
- Kiedy ciśnienie wewnątrz osiągnie poziom trzech atmosfer, co stanie się niebawem, będziemy mogli otworzyć luk, nie zatapiając przy tym pomieszczenia. - Lemur zachichotał. - Poluzuję teraz łączniki.
 - Żuraw chciał zaprotestować, lecz poskromił język.
 - - Przegrywamy - szepnął do Jedwabia lotnik i zamknął oczy. Jedwab dotknął prawą dłońią jego skroni, dając tym znak, że usłyszał.
- Ja i wielu innych często wyrządzaliśmy ci krzywdę, synu, dopuszczając się wobec ciebie odrażających postępów. Ale nie chowaj w sercu urazy i zacznij życie, które przychodzi po życiu na tym whorlu, z niewinną duszą, albowiem wszelkie zło zostało ci wybaczone.
 - Wykonał paciorkami znak odejmowania.
 - Mamelta odnalazła dłoń Jedwabia i zacisnęła na niej palce.
 - On... Czyja śnię?
 - Jedwab odmownie potrząsnął głową.

- Przemawiam w imieniu Paha Wielkiego, Echidny Boskiej, Scylli Parzącej, Molpe Cudownej, Tartarosa Mrocznego, Hieraxa Najwyższego, Thelxiepei Zamyślonej, Phaei Zawziętej oraz Sphigx Mocarnej. A także w imieniu wszystkich pomniejszych bogów. - Zniżył głos. - Wybacz ci też Zewnętrzny, synu, gdyż przemawiam również w jego imieniu.
 - Czy on umrze?
- Jedwab przyłożył palec do ust, a Żuraw powiedział zdumiewająco łagodnym tonem: - Lemur zamierza go zgładzić. Mnie też.
- I mnie. - Mamelta dotknęła czarnego materiału, którym Jedwab opatrzył jej głowę. - Mówili nam, że zmierzamy do cudownego świata wiecznego pokoju i wszelkiego dobrobytu, gdzie przez cały dzień trwa południe. Wiedzieliśmy, że nas okłamują. Gdy umrę, wrócę do domu. Do mej matki, do braci... do siedzącego na swym drażku na patio Chiąuita.
- Żuraw ponownie wyjął z walizki nożyczki i kiedy Lemur otworzył luk, przeciął czarny opatrunek na głowie Mamelty.
- Było to (w pojęciu Jedwabia), jakby do ładowni wszedł sam Zewnętrzny. Tam gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się ciemna stalowa płyta, pojawił się prostokąt płynnego blasku, półprzezroczystego i migotliwego. Światło Długiego Słońca, l przenikające przez czyste wody jeziora Limna aż na głębokość \ siedemdziesięciu łokci, skrzyło się, było rozproszone, wypeł - Iniało otwór, który Lemur tak nieoczekiwanie otworzył, sprawiło, iż w pomieszczeniu zapanował boski brzask niebiańskie - !go błękitu. Przez kilka sekund Jedwab nie mógł wprost uwierzyć, ; iż owa eteryczna substancja jest zwykłą wodą. Przechylił się : nad lotnikiem, wyciągnął rękę (w której wciąż trzymał paciorki) i wsunął w wodę palce.
 - Uciekło trochę powietrza - odezwał się Żuraw. - Poczujesz to?
- Spoglądając w krystaliczną wodę, Jedwab potrząsnął głową. Przed lukiem przepłynęła ławica smukłych, srebrzystych ryb.
 - Odsuń się, paterę - zakomenderował Lamur, podnosząc lotnika.
 - Uważaj! - krzyknął Żuraw. - Nie podnoś go w taki sposób.
 - Boisz się, że zrobię mu jeszcze większą krzywdę, doktorze? To już i tak nie ma znaczenia. -Lemur wyprostował się i bez wysiłku uniósł lotnika nad głowę. - l co, lolarze? Możesz coś jeszcze powiedzieć.
 - Daję ci ostatnią szansę.
 - Podziękuj kobiecie - szepnął lotnik. - Ludziom. Silnych skrzydeł!
- Lemur rzucił go w pałający blaskiem luk. Połyskliwa woda wzburzyła się, szeroką strugą prysnęła na Jedwabia, mocząc go i oślepiając na chwilę. Gdy znów odzyskał wzrok, przez moment widział jeszcze twarz lotnika wykrzywioną cierpieniem wytrzeszczone oczy i rozwarłe usta, z których wypływały bąble przypominające szklane bańki. Po chwili lolar zniknął w odmetach.
 - Lemur z ogłuszającym trzaskiem zamknął luk i zapiął zaciski.

- Kiedy otworze ten, przez który tu weszliśmy, ciśnienie się wyrówna, opadnie do ciśnienia panującego w reszcie statku. Trzymajcie usta szeroko otwarte, gdyż mogą popękać wam w uszach bębenki.
- Tym razem poprowadził ich innym pomostem, potem szerszym korytarzem (tu minęli pogrążonych w rozmowie radców Leniwca i Wartego), a następnie przeszli przez drzwi, których strzegło dwóch żołnierzy.
- Doktorze, jesteśmy w miejscu, którego szukałeś, choć sam dobrze nie wiedziałeś, czego szukasz - poinformował Lemur Żurawia. - W tej sterowni zobaczysz nasze prawdziwe, biologiczne jaźnie. Tam leżą ja.
- Wskazał krąg lśniących urządzeń i Żuraw spiesznie ruszył w ich stronę. Jedwab, utykając, podtrzymując Mamelkę, również powoli udał się za doktorem.
- Biociało radcy Lemura spoczywało na nieskalanie białym materacu; równie nieskalanie białe prześcieradło spowijało jego postać aż po szyję. Oczy miał zamknięte, policzki wpadnięte.
- Pięć lekko mu się unosiła i opadała, słychać było delikatny szmer oddechu. Spod czarnego syntetyku i siatki utkanej z wielobarwnych przewodów, które spowijały mu czoło aż do brwi, wysuwał się kosmyk siwych włosów. Wężowe rurki wychodzące z tuzina maszyn i wypełnione płynami (bezbarwnymi, słomkowożółtymi - mi i ciemnokarmazynowymi) niknęły pod prześcieradłem.
- Nie ma tu żadnych zdradzieckich biochemów - wyjaśnił Lemur. - Pielęgnują nas oddane nam bez reszty chemy. Strzegą też maszyn, które podtrzymują nasze życie. Obiecaliśmy jmn nieśmiertelność i dotrzyaliśmy słowa. Mają nieograniczony dostęp do części zamiennych. Odpłacają nam tym, że przedłużają nasze, tak bardzo śmiertelne życie. Żuraw zaczął z uwagą studiować jedną z maszyn.
- Wasz sprzęt podtrzymujący życie rzeczywiście robi wrażenie. Chciałbym mieć do takiego dostęp.
- Przestały mi funkcjonować nerki i wątroba, a zatem ich funkcje muszą pełnić urządzenia mechaniczne. W piersi mam rozrusznik, który w razie potrzeby przejmuje całkowicie rolę serca.
 - Proces oddychania również jest sztuczny. Żuraw zagryzł usta i potrząsnął głową.
 - Po raz pierwszy nie jest mi zimno - odezwała się Mamelka.
 - Co siedemdziesiąt sekund powietrze w tej sali jest całkowicie wymieniane.

Przechodzi przez filtry, gdzie zostaje napromieniowane, by usunąć bakterie i wirusy; jego wilgotność utrzymywana jest niezmiennie na poziomie trzydziestu pięciu procent, a temperatura, idealna dla biociała, waha się tylko w zakresie jednej czwartej stopnia.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że będę ci współczuć - odezwał się Jedwab, spoglądając na

nieruchomą postać radcy. - No i proszę.

- Rzadko kiedy mam świadomość, że tu leżę. Ja jestem tutaj. - Lemur uderzył się w tors. Dźwięk przypominał uderzenie młota w kowadło, taki sam dźwięk Jedwab wcześniej usłyszał w ciemnościach. - Żywy, przytomny, o perfekcyjnym słuchu i wzroku. Brakuje mi jedynie dobrego trawienia. A czasami... - Lemur umilkł znacząco. - Czasami cierpliwości.
Żuraw pochylił się i zanim radca zdołał go powstrzymać, uniósł leżącemu powiekę.
 - Ten człowiek jest martwy.
 - Absurd! - Lemur ruszył w stronę lekarza, lecz Jedwab kierowany nieświadomym odruchem zastąpił mu drogę.
- Radca, zapewne pod wpływem wpojonego mu w dzieciństwie szacunku dla augura, zatrzymał się jak wryty.
 - Popatrz - rzekł Żuraw.
- Wsunął w oczodół dwa palce i wyciągnął czarną drobinę przypominającą mieszanę ziemi i dziegiu.
- Przez chwilę trzymał tę substancję w wyciągniętej w stronę Lemura ręce, po czym rzucił ją na prześcieradło. Czarna grudka szpeciła nieskalaną biel całunu, a lekarz wytarł palce w cienką białą poduszkę, zostawiając na niej smugę brudu.
- Lemur wydał cichy dźwięk, jakiego Jedwab nigdy jeszcze w życiu nie słyszał (choć wielokrotnie, mimo młodego wieku był świadkiem rozdzierających okrzyków rozpacz). Było to płaczliwe sapnięcie, a pobrzmiwał w nim jęk przypominający wizgot coraz szybciej obracającego się wiertła; wiertła, która natrafiło na gwóźdź, wprawianego w ruch przez szaleńca; szalenie coraz mocniej i mocniej naciska, aż metal zaczyna dymić, po czym pęka. W kilka godzin później, gdy Jedwab przypomniał sobie ów dźwięk, w pamięci stanął mu mechaniczny wszechświat, który na boisku w ostatni phaedag ukazał mu Zewnętrzny; był to dźwięk konającego wszechświata, może jakiejś jego części, a raczej (pomyślał wówczas sennie) umierającej za kogoś części tego wszechświata.
- Lemur, nieustannie wydając ten osobliwy dźwięk, którego wspomnienie dręczyło Jedwabia aż do nocy, powoli i niepewnie przykucnął. Jego ręce poruszały się chaotycznie, jakby nabrały własnego życia i woli.
- Palce nie próbowały niczego chwycić, nie wykonywały żadnych konkretnych ruchów; ramiona wykręcały się to w jedną, to w drugą stronę jak ręce martwego lotnika (zapewne) unoszącego się w zimnych wodach jeziora, czekające chwili, aż po upływie połowy dnia ciało kompletnie zeszywnieje. (Lub po upływie całego dnia, a nawet półtora, w zależności od warunków i okoliczności). Siedzący w kucki Lemur nie spuszczał wzroku ze spoczywającego na śnieżnobiałym materacu z mumifikowanego ciała radcy. Po długiej chwili, dotykając kolanem zielonej podłogi, sprawiając wrażenie, że nie jest w stanie uklęknąć na drugim, opuścił ramiona. I wtedy z haftowanego rękawa wysunął się srebrzysty azoth, który Jedwab późnym wieczorem, w dniu kiedy Zewnętrzny ukazał mu istotę wszechświata, znalazł w szufladzie toaletki pięknej Hiacynt.
- Doktor rzucił się w stronę broni. Przy gwałtownym ruchu potracił jedną z maszyn medycznych

otaczających łoże martwego radcy - Urządzenie przewróciło się, lecz podstarzały doktor zreżnie i szybko chwycił azoth. Wystrzelił z niego straszliwy promień i Lemur eksplodował kulą ognia. Jedwab wraz z Mamelką gwałtownie odskoczyli do tyłu, zasłaniając twarze ramionami.

- Żuraw wyminął ich i zanim paterę odzyskał wzrok, opuścił pomieszczenie. Mamelką zaczęła krzyczeć.
 - Jedwab chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Pomyślał, że należałoby kobietę uciszyć, lecz zdawał sobie sprawę, że jest to niemożliwe, a nie miał ani chwili do stracenia.
 - Gdy otworzył drzwi, stojący za nimi żołnierze otworzyli ogień. Zanim zdążył się cofnąć, szarżowali już szerokim korytarzem, trzykrotnie szybciej od chyżego Roga i dziesięć razy szybciej niż mógł poruszać się Jedwab z chorą kostką i z uwieszoną u ramienia, wrzeszcząca ze strachu Mamelką. Dwóch żołnierzy jednak nie przebyło nawet połowy dystansu, [kiedy z pomostu wystrzelił promień i rozległa się podwójna eksplozja. Jedwabowi, któremu wciąż jeszcze dzwoniło w uszach tpo huku wybuchającego Lemura, wydała się dziwnie cicha.
- Musimy się stąd wydostać, dopóki nie zatrzaśnie luku - [oświadczył Mamelcie, po czym, gdy kobieta w dalszym ciągu stała jak słup soli, chwycił ją w pasie (ku swemu późniejszemu zdumieniu), zarzucił sobie na ramię niczym zrolowany dywan lub worek mąki i pobiegł. Biegł chwiejnie, utykał, zataczał się, raz o mało nie upadł na twarz.
 - Zaczekaj! Zaczekaj! - krzyczał ktoś, lecz dopiero gdy dotarł do luku, uświadomił sobie, że to woła on sam.
Kłapa była zamknięta. Postawił Mamelkę na ziemi i zaczął kręcić ręcznymi kołami.
Głośny, silny podmuch powietrza uniósł kłapę.
 - Doktorze!
 - Pomóż mi! - wrzasnął Żuraw. - Możemy uciec szalupą. Gdy Jedwab i Mamelką chwiejnie szli krótkim pomostem do ładowni, z korytarza dobiegł huk sześciu pistoletów. Paterę zamykał za sobą zamki kłapy łukowej, kiedy w stal po drugiej stronie drzwi uderzył pierwszy pocisk.
 - Dobiegli do Żurawia, który mozolił się przy dużo większej kłapie zamykającej przedział szalupowy. We trójkę unieśli kłapę i do środka zaczęła wlewać się szerokim strumieniem woda, a jednocześnie sprężone powietrze otworzyło dużo mniejszy luk znajdujący się na górze. Przez chwilę Jedwab czuł, jak zalewa go wciąż rosnąca woda. Splunął, udało mu się wychylić głowę i zaczerpnąć tchu.
 - Napływ wody małał, po czym na sekundę czy dwie (a wydawało się, że trwa to dużo dłużej) pozostał na równym poziomie. Jedwab był w pełni świadom tego, iż przez odkręcony na pełen regulator zawór napływa powietrze; był świadom, że ktoś (nie wiedział kto, Mamelka czy Żuraw) miota się obok niego w wodzie.
 - Kierunek fali się odwrócił. Najpierw powoli, później coraz szybciej i szybciej woda, która prawie już zalała pomieszczenie, ponownie zawróciła z impetem do jeziora Limna, porywając Jedwabia. Bezradny jak szmaciana lalka, ciśnięta w potężny, wodny wir, wirował w

przyprawiającym o zawrót głowy whorlu niebieskiego światła (powietrze prawie rozsadzało mu płuca). Później wirowanie ustało, a on dostrzegł inną postać, podobnie jak on zawieszoną w wodzie. Ramiona miała rozpostarte, włosy rozwiane. I wtedy też, mgliście, ujrzał monstualną twarz pokrytą cętkami - czarnymi, czerwonymi i złotymi - większą niż największa ściana w jego plebanii. Jej rozwarte usta pochłonęły postać, którą przed chwilą widział. Groteskowy stwór przemknął niczym ślizgacz w opętańczym pędzie nad górką porośniętą ostami.

- W kilwaterze wytworzonym przez cielsko potwora Jedwab zaczął wirować.

- **KAPITULACJA CALDE**

- Paterę? A, paterę! Maytere Marmur stała na frontowych schodkach starego manteionu przy ulicy Słońca i machała rękę. Towa - Irzyszyło jej dwóch żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym; [ich oficer w zielonym uniformie trzymał się ostentacyjnie may - (tere Mięty i demonstrował jej z dumą obnażony miecz. Gulo - spiesznie wysunął się do przodu. Oficer popatrzył na niego.

- Paterę Jedwab? Jesteś aresztowany!

- Gulo potrząsnął głową i wyjaśnił żołnierzowi pomyłkę. Maytere Marmur parsknęła. Było to głośne i pogardliwe parsknięcie, obróciło w proch zadowolenie młodego oficera 'z podziwu, jaki maytere Mięta wyrażała dla jego broni.
 - Aresztować paterę Jedwabia? Niemożliwe! Tak święty...
- Od strony tłumu gromadzącego się wokół Gula dobiegł cichy pomruk. Gulo nie był człowiekiem odważnym, lecz teraz odniósł wrażenie, że budzi się w nim lew, że modły zanoszone przez niego w każdy sphigxdag nie poszły jednak na marne.
- Nie walczy! - May terę Mięta oddała oficerowi miecz i uniosła rękę. - Proszę! Nie ma takiej potrzeby.
- W hełm jednego z żołnierzy trafił kamień. Kolejny pocisk przeleciał obok głowy maytere Marmur i z łoskotem uderzył w drzwi Trafiony żołnierz strzelił w ciżbę ludzi. Rozległ się wrzask bólu. Maytera Mięta zbiegła po schodkach i wmieszała się w tłum.
 - Żołnierz ponownie wystrzelił, lecz oficer chwycił jego broń za lufę.
- Otwórz drzwi - polecił Gulowi. - Wejdzmy do środka. Spiesznie chronili się w manteionie, a już sypały się dalsze kamienie. Kiedy maytere Marmur przy pomocy jednego z żołnierzy zamykała ciężkie wrota, trafiony kamieniem gwardzista wystrzelił jeszcze dwukrotnie w tak krótkim odstępie czasu, że wydawało się, iż padł tylko jeden strzał. W odpowiedzi rozległ się jeszcze gęstszy grzechot kamieni o ścianę budynku.
- Wszystko przez ten upał - powiedział z wielką pewnością w głosie oficer i nawet się uśmiechnął. - Skoro zeszedliśmy im z oczu, szybko o nas zapomną. - Wsunął miecz do pochwy. - Paterę Jedwab cieszy się ogromną popularnością.
 - Maytere Marmur skinęła tylko głową.

- Muszę już iść - oświadczył Gulo, odsuwając rygiel. - Jaja w ogóle nie powinienem być tu przychodzić. - Przez chwilę próbował przypomnieć sobie imię drugiej sybilli, lecz mu się nie udało, więc mruknął tylko: - Miała rację.
- Oficer chciał chwycić go za poję sutanny, lecz nie zdążył i Gulo opuścił manteion; do środka dotarły pełne wściekłości wrzaski wzburzonego tłumu, które jednak stłumiły ponownie zamknięte przez żołnierzy wrota.
 - Do oficera dotarły ciche okrzyki Gula: „Ludzie! Ludzie!”.
- Nie wyrządzą mi krzywdy, maytere - oświadczył i przez chwilę jeszcze nasłuchiwał z przekrzywioną głową. - Nie chcę aresztować...
- Słowa usprawiedliwienia zamarły mu na ustach, gdyż spostrzegł, że maytere wcale go nie słucha. W jej metalowej twarzy odbiły się kolory: cytrynowy, różowy i gniady. Powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem i ujrzał kurzawę barw J W świętym oknie. Padł na kolana. Tańczące barwy tworzyły obrazy, których nie umiał do końca rozróżnić; wzory szlifierskie, figury, na wpół sformowane krajobrazy, pływające, rozmyte, zlewające się ze sobą twarze, aż w końcu przemówiła bogini w języku, który prawie zrozumiał; w języku, który znał również w swym pradawnym życiu w jakimś niewyobrażalnym miejscu i w niepojętym czasie.
- Teraz był robakiem, a ona oświadczyła, iż niegdyś urodził się mężczyzną, jakkolwiek wszelkie wzbudzone przez nią wspomnienia stanowiły zapewne tylko martwe myśli trupa, którego jako robak pożarł.
 - Uczynię to, wielka bogini, uczynię. Z nami będzie bezpieczny.
 - Za sobą i nad sobą słyszał chema przemawiającego do tłustego augura.
- Gdy byłś na zewnątrz, paterę, objawił się bóg. Okazał nam łaskę bez składania mu ofiary. Nie było nikogo, kto by zinterpretował tę teofanię. Niewymownie mi przykro, że ominęła cię...
- I augur: - Wcale nie ominęła, maytere. Nic mnie nie ominęło. Oficer chciał, by zamilkli. W uszach wciąż dźwięczał mu boski głos; odległy i słodki. Wiedział, czego żądała od niego bogini.
- Wyrwanie się na powierzchnię jeziora, zaczerpnięcie w udrę - t czone, półmartwe już płuca haustu powietrza, widok cienkiej, jaskrawej smugi słońca były dla Jedwabia niczym nowe narodziny. Nie należał do tęgich pływaków; tak naprawdę wcale nie umiał pływać. Niemniej śmiertelnie wyczerpany unosił się na wielkich, łagodnych falach i gwałtownie wymachiwał nogami. Dręczył go mglisty lęk, że gwałtowne ruchy mogą zwrócić uwagę olbrzymiej ryby.
- Dotarł doń odległy krzyk, a następnie klekot czyniony przez barkę. Początkowo nie zwrócił na te hałasy uwagi i dopiero kiedy kolejna fala wyniosła go wysoko nad poziom wody, ujrzał postrzępione brązowe żagle.
 - Trzech półnagich rybaków wciągnęło go na łódź.
 - W wodzie jest jeszcze jeden człowiek - wysapał. - Musimy go znaleźć.
 - Już znaleźli - odezwał się Żuraw, szczerząc w szerokim uśmiechu zęby.

Jeden z rybaków, najwyższy i najbardziej siwy, grzmotnął Jedwabia w plecy.

- Bogowie strzegą augurów. Zawsze mi to podpowiadał rozum, paterę.
- Augurów i głupców - zauważył rezolutnie Żuraw.
- Tak, proszę pana. Durniów też. Gdy następnym razem wybierzecie się na wodę, zaangażujcie doświadczonego żeglarza. Miejmy nadzieję, że odnajdziemy waszą kobietę.
 - Jedwab znów przypomniał sobie ogromną rybę i zadrzał.
 - Szukajcie, ale obawiam się...
 - Że jej nie znajdziemy, paterę?
 - Nie, ale... Nie.
 - Cóż, jak tylko ją zobaczymy, wyciągniemy na pokład. Jedwab wstał, lecz łódź mocno kołysała; stracił równowagę i ciężko usiadł na stosie sieci.
 - Odpocznij - poradził Żuraw. - Masz za sobą ciężkie chwile. Ja zresztą też. Ale przynajmniej solidnie się wykąпалиśmy, a to najważniejsze. Gdy eksploduje chem, wyzwala wiele izotopów. - Wyciągnął połyskliwą kartę. - Kapitanie, czy znajdziesz dla nas coś do jedzenia? Może też odrobinę wina?
 - Pozwólcie, że najpierw ustawię łódź na kursie, a wtedy zobaczę, co da się zrobić.
 - Uratowałem pas z pieniędzmi - wyjaśnił szeptem Żuraw zdumionemu Jedwabiowi. - Lemur kazał wyrzucić mi kieszenie, ale całego nie rewidował. Obiecałem im kartę, jeśli odstawią nas do Limny.
 - Nieszczęsna kobieta - mruknął Jedwab, nie zwracając się do nikogo konkretnie.
 - Trzysta lat i taki koniec.

Na takielunku którejś z odległych łodzi przysiadł czarny ptak i Jedwab pomyślał o Orebie. Uśmiechnął się, po czym skarcił się w duchu za ów niewczesny uśmiech.

Dręczony poczuciem winy rozejrzał się wokół w nadziei, iż taki brak panowania nad sobą uszedł uwagi innych pasażerów łodzi. Żuraw spoglądał na kapitana, a ten z kolei na największy żagiel. Jeden z żeglarzy stał na dziobie i opierał nogę na Ibuszprycie. Drugi trzymał linę przymocowaną do długiej tycz - I ki (Jedwab nie mógł przypomnieć sobie jej nazwy; nie był na -Iwet pewien, czy kiedykolwiek ją znał), na której rozpostarty I był żagiel, i najwyraźniej czekał na jakąś komendę kapitana. I Widziany od tyłu wydał się Jedwabiowi dobrze znajomy.

Gdy paterę zmienił pozycje, by mieć na niego lepszy widok, zauważył, że sieci, na których siedzi, są zupełnie suche.

Żuraw kupił Jedwabiowi czerwoną koszulę, brązowe spodnie i w takim samym kolorze trzewiki. Swe czarne buty paterę zrzucił z nóg, kiedy pływał w jeziorze. Przebierał się w bocznej, opustoszałej alejce.

Sutanę, podartą koszulę i znoszone spodnie zostawił za stosem odpadków.

- Odzyskałem igłowiec, gammadion i paciorki - oświadczył. - Straciłem jednak okulary i resztę dobytku.
 - Zapewne stanowi to jakiś znak. Żuraw wzruszył ramionami.
- Reszta twoich rzeczy została w kieszeni Lemura. - Doktor również miał na sobie czystą koszulę i nowe spodnie, kupił również brzytwę. Zerknął w stronę wylotu alejki i mruknął: - Mów ciszej.
 - Co widzisz?
 - Dwóch gwardzistów.
 - W Ayuntamiento z całą pewnością sądzą, że nie żyjemy - skostatował Jedwab. - Dopóki nie dojdą prawdy, nie musimy się niczego obawiać.
 - Żuraw potrząsnął głową.
 - Gdyby uważali, że udało się nam zbiec, z całą pewnością Wyruszyliby w pogoń.
 - A wtedy wszyscy na jeziorze dowiedzieliby się o istnieniu łodzi podwodnej?

Jedwab popatrzył po sobie, żałując, że nie ma lusterka. - I tak musieli ją wyprowadzić, by zabrać ciało nieszczęsnego lolara.

- Zmizerniałeś - zauważył Żuraw. - Wcale nie, posłał szalupę, przy której leżał lotnik. Za nami jej wysłać nie mogli, I ponieważ po otwarciu luku zalaliby pomieszczenie w kilu wodą.
 - Tak jak my to zrobiliśmy - mruknął Jedwab.
 - Właśnie. Otworzyłem zawór powietrzny na cały regulator, lecz czasu było zbyt mało, by wytworzyło się odpowiednie ciśnienie, zanim ty i ta kobieta dobiegliście do mnie. No i do środka dostało się sporo wody.
- Później ciśnienie się wyrównało, a następnie wzrosło do tego stopnia, że wypchnęło wodę, a wraz z nią nas.
 - Jedwab po krótkim namyśle skinął głową.
 - Gdy otworzą górny luk wiodący na korytarz, pomieszczenia znów zaleje woda.
 - Jasne. Woda dostanie się też do reszty łodzi. Dlatego nie mogli natychmiast wysłać za nami pogoni. Nie wiem, jak zdołają zamknąć klapę w dnie łodzi podwodnej, skoro nie mogą dostać się do pomieszczenia w kilu, lecz niewątpliwie coś wymyślą.
 - Jedwab zdjął z kostki owijacz.
- Nie jestem żeglarzem, lecz gdyby zależało to ode mnie, na ich miejscu wypłynąłbym dalej na jezioro, tam gdzie nikt by ich nie zobaczył. Może do pieczary, o której wspomniał Le - mur, gdy go spytałeś, skąd ma twój neseser.

- Żałuję, iż go straciłem. - Żuraw w zamyśleniu przeciągnął palcami po brodzie.
- Miałem go od dwudziestu lat.
- Wiem, co czujesz, doktorze - odparł Jedwab, przypominając sobie piórniki, i uderzył opatrunkiem o ścianę.
 - Jeśli nawet popłyną do pieczary, cóż z tego? Tak wielką łódź trudno wyciągnąć na brzeg.
 - Mogą ją unieść - odrzekł Jedwab. - Przenieść wszystko na jedną stronę łodzi i wypchnąć wodę z pływaków po drugiej stronie. Mogliby ją wtedy wyciągnąć na kablach przymocowanych do ściany pieczary.
 - Żuraw skinął głową i popatrzył w stronę wylotu alejki.
 - Masz rację. Czy jesteś gotów?
- Po wyjściu Żurawia Jedwab otworzył okno. Ich pokój znajdował się na drugim piętrze „Zardzewiałej Latami”, rozciągał się stąd przepyszny widok na jezioro, od którego dochodziły podmuchy rzeńskiego wiatru. Jedwab oparł się łokciami o parapet i wyrżał na ciągnącą się w dole ulicę Doków. Żuraw postanowił zwiedzić miasto; tak w każdym razie oświadczył. Kiedy wynajęli pokój, zażądał pióra i papieru, napisał krótki list i niezwłocznie opuścił zajazd. Teraz zatem
- Jedwab, rozglądając się po ulicy Doków, doszedł do wniosku, że skoro Żuraw nie obawiał się wyjścia do miasta, to nic się nie stanie, jeśli on powygląda przez okno.
- „Limna jest cichą i spokojną osadą” - oświadczył właściciel zajazdu. Ostatniej nocy jednak w mieście wybuchły zamieszki, brutalnie stłumione przez gwardie. „Ludzie Jedwabia - powiedział właściciel. - Moim zdaniem to oni wszczęli rozruchy”. Ludzie Jedwabia.
- Kim byli? Paterę w zamyśleniu pocierał policzek. Pod opuszką - I mi palców chrzęścił mu nie golony od dwóch dni zarost. Niewątpliwie to oni wypisywali kredą hasła na murach. Wielu pocho - I dziło z jego dzielnicy i wszyscy zapewniali, że działają z jego polecenia. Nie po raz pierwszy błysnęła mu myśl, że zapewne na - I leżeli do nich również ci ludzie, którzy klęczeli obok niego na ulicy - I cy Słońca, gdy rozmawiał z Krwią. Byli tak zdesperowani, że za - I akceptowaliby każdego przywódcę, który cieszy się łaską bogów.
 - Nawet jego.
 - Ulicą Doków nadchodziło dwóch gwardzistów w zielonych 'zbrojach szturmowych. Dłonie trzymali na kolbach pistoletów 'gotowych do strzału. Najwyraźniej celowo obnosili się z broń - nią, w nadziei że ich widok w dzień zapobiegnie nocnym roz - ruchom; w nadziei że powstrzymają uzbrojony w pałki, kordelasy oraz w igłowce lud przed atakiem na żołnierzy E uzbrojonych po zęby. Jedwab rozważał przez chwilę pomysł, czy nie zawołać do nich, że jest paterą Jedwabiem i chce się poddać, by w ten sposób zapobiec kolejnym rozruchom. Jeśli podda się publicznie, Ayuntamiento nie odważy się zgładzić go bez jawnej rozprawy sądowej. Gdyby nawet nie zdołał ich przekonać, że jest niewinny, umrze z godnością.
 - Ale obiecał, że dołoży wszelkich starań, by ocalić manteion, a teraz świątynia

znajdowała się w jeszcze większym niebezpieczeństwie - 1 czeństwie. Ile czasu dał mu Piżmo? Tydzień? Tak, jeden tydzień, L licząc od scyldagu. Tylko czy Piżmo naprawdę przemawiał w imieniu Krwi? Prawnie manteion należał do Piżma; tak zatem gdyby Jedwab teraz pozwolił się aresztować, nieuchronnie oddałby manteion w jego ręce.

- Na taką myśl wszystko się w paterę gotowało. W ostateczności gotów był przekazać manteion Krwi, lecz nigdy, przenigdy komuś... komuś... Już sama taka możliwość zapewne skłoniła Zewnętrzznego, by oświecić Jedwabia i w ten sposób zapobiec utracie manteionu. Jedwab zabiłby Piżma, gdyby...
 - Gdyby nie miał innego wyjścia i zdołałby zmusić się do takiego czynu. Odszedł od okna, położył się i zaczął wspominać radcę Le - mura i jego śmierć.
 - Jako sekretarz Ayuntamiento, Lemur praktycznie dzierżył stanowisko calde, a Żuraw go zabił. Miał ku temu ważne powody, gdyż Lemur zamierzał zgładzić go bez sądu.
 - A rozprawa sądowa i tak stanowiłaby czystą formalność. Doktor jest szpiegiem; szpiegiem Palustrii, sam to oświadczył. W takim razie czy Żuraw miał prawo zamordować Lemura? I czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Poniewczasie przyszła Jedwabowi do głowy myśl, że list, który Żuraw pośpiesznie skreślił przed wyjściem, przeznaczony był dla rządu jego miasta - dla calde, czy jak go tam nazywano. Dla księcia prezydenta. Żuraw z pewnością opisał łódź podwodną należącą do Ayuntamiento (uważał ów pojazd za rzecz niebywale doniosłą) oraz osobliwą konstrukcję skrzydeł lola - ra przypominającą w przekroju łzę. W korytarzu za drzwiami rozległy się kroki i Jedwab wstrzymał oddech. Wprawdzie Żuraw nakazał mu zawrzeć drzwi belką i zdjąć ją tylko na jego trzykrotne puknięcie, lecz przecież nie miało to najmniejszego znaczenia. Gwardziści mogli bezkarnie wkraczać do każdego mieszkania. Gdy tylko Ayuntamiento wybierze nowego sekretarza, a ten uzna, że Jedwab i Żuraw (oraz nieszczęsna Mamelta, ponieważ nie będzie wiedzieć, iż kobieta zginęła) przeżyli, nakaże energiczne poszukiwanie zbiegów. Żuraw zamówił wprawdzie pokój w najlepszym zajeździe w Limnie, w nadziei że gwardia nie będzie skora zakłócać spokoju zamożnym obywatelom, lecz w przypadku naglących 1 rozkazów Ayuntamiento żołnierze nie zawahają się nachodzić każdego, bez względu na jego majątek i pozycje społeczną.
 - Po chwili kroki w korytarzu ucichły.
 - Jedwab usiadł na łóżku i ściągnął nową, czerwoną koszulę. Powinien się ogolić.
 - Pociągnął energicznie za sznur dzwonka i prawie natychmiast usłyszał na schodach za drzwiami szybkie kroki. Dwudniowy zarost zmieniał go wprawdzie nie do poznania, ale z drugiej strony Jedwab nie chciał sprawiać wrażenia, że próbuje zmienić powierzchowność. Ponadto z pewnością nie rozgniewa Zewnętrzznego, gdy się ogoli; ostatecznie czynność tę wykonywał codziennie. A jeśli zostanie później aresztowany, to trudno. Skończą się zamieszki i rozlew krwi, a on zostanie zamknięty jako on - jako Jedwab, jako człowiek, którego lud okrzyknął calde, a nie jak nędzny, ukrywający się zbieg.

- Mydło, ręczniki i miednica z gorącą wodą - polecił ugrzecz - nionej pokojówce, kiedy stawiała się na jego wezwanie. - Koniecznie muszę się umyć i ogolić. - Pokojówka wniosła ze sobą 1 ba do pokoju smakowite zapachy kuchenne, którymi przesiąknięta była jej odzież. Jedwabowi zaburczało w brzuchu. - Proszę mi też przynieść kilka kanapek. I herbatę lub matę. Dopiszcie to do naszego rachunku.
- Gdy w pokoju pojawił się Żuraw, natychmiast zadzwonił po więcej ręczników i kolejną miednicę z gorącą wodą.
- Myślałeś już, że cię zostawiłem i uciekłem - rzeki stawiając miskę na stojaku i rozwieszając ręczniki.
 - Jedwab potrząsnął głową. Nie czując w niej bólu, ostrożnie dotknął guza.
 - Gdybyś nie wrócił, pomyślałbym, że cię aresztowano. Zamierzasz zgolić brodę? Chyba nie masz pretensji, że użyłem twojej brzytwy.
 - Ani trochę. - Żuraw przejrzał się w wytwornym, wielkim lustrze. - Oczywiście, ogolę się.
- W twojej sytuacji większość ludzi najpierw by się ogoliła, a dopiero później składała raport. Czy rybacy doniosą o nas gwardii?
 - Hm... - mruknął Żuraw i ściągnął koszule.
 - A zatem Ayuntamiento dowie się, że należy nas szukać w Li - mnie.
 - I tak by szukali. To najprawdopodobniejsze miejsce naszej kryjówki.
 - Też tak sędzę. Zapłaciłeś rybakom kartę? Dla nich to ogromna suma.
 - Uratowali nam życie. Kapitan wybrał się na zakupy do Vi - ronu, a jego żeglarze piją na umór. Gdy będą pijani, nikt nie zechce ich przesłuchiwać.
 - Jedwab skinął głową.
- Nie muszę chyba mówić, jak bardzo się zdziwiłem, kiedy w jednym z członków załogi łodzi rozpoznałem kierowcę śliz - gacza, który odwiózł mnie do domu z willi Krwi. Wygląda na to, że zmienił fach i został rybakiem.
- Żuraw odwrócił się w stronę Jedwabia. Twarz miał pokrytą mydłem, we wzniesionej ręce trzymał brzytwę.
- Wciąż ciebie nie doceniam. Ilekroć czymś mnie zaskakujesz, obiecuję sobie, że to już ostatni raz. - Nie doczekał się odpowiedzi. - Dziękuję, że na łodzi trzymałeś język za zębami. - Odwrócił się do lustra.
- Od razu wydał mi się znajomy - rzekł Jedwab - lecz dopiero kiedy wyszliśmy na nadbrzeże, przypomniałem sobie, skąd go znam. Wprawdzie nieustannie odwracał się do mnie plecami, lecz w ślizgaczu również siedział do mnie tyłem. Zajmowałem tylny fotel.

- Żuraw przeciągnął brzytwą po policzku.
 - A zatem wiesz.
 - Dotarło to do mnie dopiero tutaj, gdy rozmyślałem o tym, jak dobrym jesteś szpiegiem; ile dobrego robisz dla swego miasta.
- Żuraw zachichotał.
 - Wygląda na to, że prawimy sobie nawzajem komplementy.
- Całą historię z rybacką łodzią zrozumiałem, kiedy się przebieraliśmy w alejce - wyjaśnił Jedwab. - Do tego czasu byłem w kropce. Ktoś na łodzi, kapitan, a najprawdopodobniej kierowca Krwi, przekazał ci kilkanaście kart.
- Zauważyłeś, że nie mam żadnego pasa z pieniędzmi. Pro - | blem ten przez cały czas nie dawał mi spokoju i miałem jedy - I nie nadzieję, że nic nie spostrzegłeś.
 - Kiedy Acalypha poinformowała cię, że komisarz...
 - Wy rak.
 - Właśnie, Wy rak. Kiedy Acalypha powiedziała ci, że miał nad jeziorem się spotkać z członkami Ayuntamiento, udałeś się tam i ty, by na miejscu osobiście zbadać sprawę. A wiem o tym od pewnej pary małżeńskiej, twoich znajomych. Skoro jednak nie miałeś tam swego człowieka, wynająłeś kapitana łodzi.
- Bacznie obserwował Drogę Pielgrzymów. Miejscami ścieżka wiedzie skrajem urwiska i z jeziora można bez trudu dostrzec każdego wędrowca, który nią podąża. Jestem ciekaw, czy kapitan jest virończykiem.
 - Tak - odparł Żuraw. - Ale to nieważne.
 - Nie golisz się. Przepraszam, nie chciałem ci przeszkadzać. Żuraw ponownie odwrócił się w jego stronę.
 - Powinien jednak bez reszty skupić uwagę na tobie. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że pracowałem zarówno dla ciebie, jak i dla swego miasta. Robiłem wszystko, byś doszedł do władzy i zapobiegł wojnie.
 - Nie chcę władzy - burknął Jedwab. - Lecz okazałbym się niewdzięcznikiem, gdybym nie podziękował ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Zwłaszcza za uratowanie mi życia, pomimo iż z twego punktu widzenia najbezpieczniej byłoby zostawić mnie w wodzie i pozwolić utonąć.
 - Skoro tak uważasz, czy możemy zawrzeć formalny sojusz? Ayuntamiento Yironu z całą pewnością nas zgładzi, gdy znów nas dorwie. Ja jestem szpiegiem, a ty stanowisz największe zagrożenia dla ich władzy.
 - Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Jedwab niechętnie przyznał mu rację.
- Tak zatem musimy wzajemnie chronić sobie plecy - ciągnął doktor Żuraw. - W przeciwnym razie obaj zginiemy. Powiesz mi wszystko, co wiesz, a ja z kolei odpowiem na każde twoje pytanie. Daję ci na to słowo. Nie masz wprawdzie powodów mi ufać, ale naprawdę jest lepiej,

niż sądzisz. I co ty na to?

- Niezbyt ci się to oplaca, doktorze. To, czego się domyślam, dla ciebie ma niewielką wartość; natomiast to, co ty wiesz, dla mnie jest wręcz bezcenne.
- Powiem więcej. Przekonasz się sam, że nie zamierzamy czynić krzywdy twemu miastu. Ponadto zdajesz sobie z pewnością sprawę z tego, że zapewne będziesz musiał uciekać, by ratować głowę. Jeśli nie uda się nam obwołać ciebie calde, to przynajmniej zapewnimy ci bezpieczną gościnę. I nie wynika to wcale z naszego dobrego serca czy sympatii, lecz z tego, że dopóki żyjesz, wciąż pozostajesz głównym punktem zapalnym. Potrzebujesz nas już teraz, a za kilka dni możesz nas potrzebować jeszcze bardziej.
 - Czy odpowiesz szczerze na wszystkie moje pytania?
 - Przecież obiecałem. Masz na to moje słowo. Jeśli nam się uda, zapewnimy ci dojdzie do władzy, a ty zaprowadzisz pokój i nie będziesz nas ścigać. Chcę na to twego słowa. Czy mi je dasz?
- Jedwab skinął głową, po czym wyciągnął rękę. Żuraw odłożył brzytwę i skwapliwie uściśnął mu dłoń.
 - Mów, co wiesz o mojej działalności.
 - Wiem niewiele. Hiacynt pracuje dla ciebie, prawda? Żuraw skinął głową.
 - Z tego właśnie względu to robię. - Jedwab wyciągnął z kieszeni paciorki i zaczął przesuwac je w palcach.
- Chodzi mi o to, że występuję przeciw własnemu miastu. Ta pęknięta żyłka w moim mózgu... nie chcę się teraz spierać na ten temat, gdyż znów moglibyśmy stać się wrogami. To ona właśnie sprawiła, że muszę za wszelką cenę uratować manteion; ale pragnę też ocalić piękną Hiacynt. Pewnie uważasz mnie za głupca.
- Też próbuję ją ocalić - odrzekł Żuraw. - I załogę łodzi rybackiej, która uratowała nam życie. I innych ludzi. Na Tarta - rosa, czuję się za nich odpowiedzialny. Gdyby nie to, wyznałbym ci prawdę jeszcze na pokładzie. Lecz co by było, gdybyś został schwytany i zaczął mówić? Śmierć trzech ludzi obciążałaby moje sumienie.
 - Jedwab ze zrozumieniem kiwnął głową.
- Podobne uczucia żywią do wiernych uczęszczających do mego manteionu. Powiesz, że to tylko tragarze, złodzieje i praczki, lecz to oni właśnie stanowią o naszym manteionie. Budynki, święte okno, a nawet mnie można wymienić; ich nie. - Wstał i podszedł do okna. - Powiedziałem ci już, doktorze, iż zastanawiałem się nad tym, jak ważną jesteś osobą i jak byłem głupi, nie zdając sobie z tego sprawy. Masz zapewne co najmniej pięćdziesiąt lat.
 - Żuraw znów odwrócił się do lustra i starł z brody zeschnięte mydło.
 - Pięćdziesiąt sześć.
 - A zatem jesteś szpiegiem od dawna i zajmujesz wysokie stanowisko. Poza tym jako lekarz przedstawiasz dla rządu swego miasta dużą wartość. Tak więc nie wysłano cię do Krwi samego.

- Hiacynt jest rodowitą vironką. Wiem to od pewnej osoby, która знаła ją w czasach, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Ale szofer, jak sądzę, pochodzi z twego miasta. Czy to twój zastępca?
- Nie mylisz się. - Żuraw ponownie namydlił brodę, używając do tego wielkiego pędzla z włosia dzika.
- Krew polecił Piżmowi sprowadzić szofera ze ślizgaczem. Ty to przewidziałeś i kiedy opuściłeś nasze towarzystwo, kazałeś swemu zastępcy czekać w pogotowiu. Dostarczyłeś mi azoth, a przecież istniało niebezpieczeństwo, że szofer to zauważy.
- Masz rację. - Żuraw przeciągnął brzytwą po policzku. - Chciałem też, by dobrze ci się przyjrzał i zapamiętał twoją twarz. Sądziłem, że może się to w przyszłości przydać. No i chyba się przydało.
- Pochlebiasz mi. - Jedwab wychylił się przez okno i popatrzył w górę. - Ale wróćmy do dzisiejszych wydarzeń. Twój zastępca wiedział nie tylko, że zostałeś pojmany, ale również że zabrano cię nad jezioro.

Poza tym dokładnie orientował się, gdzie szukać łodzi podwodnej. Wyłowili cię zaraz po tym, jak wynurzyłeś się na powierzchnię. Z pewnością wypłynąłeś tuż przede mną. Nie przebywałem w wodzie długo, ale ty już zdążyłeś dostać się na pokład, a co więcej twój zastępca miał czas przekazać ci karty. Był na to przygotowany, bo wiedział, że wszystko ci zabrano. Jeśli to nawet on dostarczył Lemurowi twój neseser...

- Nie on. Wille Krwi opuścił wcześniej. Na swój sposób była to okoliczność bardzo niesprzyjająca. Mógł przemycić mi coś użytecznego.
- Zmierzam do tego, że jeśli nawet dowiedział się, iż inny szofer zawiózł nad jezioro twoją walizkę, miał sposób, by precyzyjnie zlokalizować miejsce twego pobytu. Próbowałem wyobrazić sobie, jakimi środkami dysponował, i przyszło mi do głowy jedynie to, że wysłał dusze; tak jak wysłała ją Pleśń. Albo też miał przy sobie jakieś małe szkło czy inne tego typu urządzenie. Obiecałeś uczciwie wyznać mi całą prawdę. Czy mam rację? A jeśli tak, jak to się stało, że nic przy tobie nie znaleziono?
- Bo mam je tu. - Żuraw poklepał się po torsie. - Osiem lat temu przeszedłem operację wszczepienia by - passu. Przy okazji zainstalowano tam urządzenie przesyłające co dwie minuty pół - sekundowy impuls.

Sygnal ten mówi nasłuchującemu, jak funkcjonuje moje serce, oraz precyzuje miejsce mego pobytu. Tak zatem gdy następnym razem potrzebować będziesz odsieczy, po prostu mnie zabij. -

Roześmiał się. - Lecz dopóki jesteśmy wśród żywych, powiedz mi, co cię tak interesuje w tym oknie?

- Zastanawiam się, czy w razie czego możemy przez nie uciec. Na przykład gdy gwardziści

zaczną wyłamywać drzwi naszego pokoju. Jestem w stanie sięgnąć z parapetu do krawędzi dachu.

- Ja nie. Takiej sztuki mógłbym dokonać w czasach młodości. - Żuraw wrócił do golenia.
- Czy umiesz latać? Doktor zachichotał.
- Chciałbym.
- Ale o tym właśnie złożyłeś raport księciu prezydentowi, prawda? O konstrukcji, jaką pokazał nam Lemur.
- O tym w jaki sposób unoszą się w powietrzu lotnicy.
 - Raport dotyczył czegoś zupełnie innego. Jedwab odwrócił się od okna.
 - Dlaczego? Przecież ta sprawa ma ogromne znaczenie dla wojskowości!
 - Chciałbym ci to wyjaśnić, ale nie mogę. To nie wchodzi w zakres naszego porozumienia. Mam nadzieję, że rozumiesz.
- Daję słowo, że powiem ci wszystko o organizacji mej grupy i operacjach, jakie prowadzimy. Mogę tylko wyjawić, co zamieściłem w raporcie. Raport dotyczył tej właśnie operacji. - I co dalej?
- Raport ten nie był przeznaczony dla księcia prezydenta Pa - lustrii. Czyżbyś sądził, że wyznałem temu szaleńcowi Lemu - rowi prawdę? Tak, tak właśnie sądziłeś. Wiem o tym. Ale ja nie jestem tobą.
 - Doktorze, chyba nie próbujesz wmawiać mi, że nie jesteś szpiegiem?
 - Jestem szpiegiem. Czy twoim zdaniem powinienem zgolić brodę?
 - Na twoim miejscu bym zgolił.
 - Tego się obawiałem. - Żuraw niechętnie przeciągnął brzytwą po zaroście. - Nie jesteś ciekaw, dla kogo szpieguję? Dla Trivigaunte.
 - Dla kobiet?!
 - Żuraw ponownie się roześmiał.
- W TrMgaunte dziwiono by się: „Dla mężczyzn?!“ Yiron, jak większość innych miast, zdominowany został przez mężczyzn. Ale czy Ayuntamiento nie angażuje kobiet szpiegów?
 - Angażuje, zapewniam cię.
 - Nasze kobiety są lojalne.
 - Jestem pod wrażeniem! - wykrzyknął Żuraw, zataczając brzytwą szeroki łuk i odwracając się do Jedwabia. - W Trivi - gaunte żyje wielu mężczyzn. Nie jesteśmy niewolnikami. Poza tym znaczymy tam więcej niż u was niewiasty.
 - Naprawdę?
 - Naprawdę.
 - A więc powiedz, co zamieściłeś w swoim raporcie.
 - Z miłą chęcią. - Żuraw wytarł brzytwę. - Był krótki. Zresztą widziałeś, jak go piszę. Doniosłem, że Ayuntamiento wpadła na nasz trop, że zostałem aresztowany oraz

że podczas ucieczki zabiłem radcę Lemura. Że przechwycili lotnika, lecz moduł napędowy zatonął w jeziorze. Że odkryłem ich kwaterę główną oraz łódź, która pływa pod wodą. Zażądałem też nagrody wyznaczonej przez naszą rani. - Doktor Żuraw uśmiechnął się szeroko. - I oczywiście ją dostane. Po powrocie do Trivigaun - te stanę się bardzo bogatym człowiekiem.

- Napisałem też, że nie zamierzam jeszcze wracać, gdyż istnieje szansa, że Jedwab wysadzi z siodła Ayuntamiento. Że wyrwałem go z ich rąk, a zatem ma wszelkie powody darzyć mnie wdzięcznością.
 - Dodałem, iż próba doprowadzenia do zmiany rządu jest warta ryzyka.
 - - Darz? cię wdzięcznością - odezwał się Jedwab. - I to wielką. Czy to wszystko? Żuraw skinął głową.
- Tak. I wcale nie było to mało. A teraz ty powiedz mi, jak się dowiedziałeś, że Hiacynt dla mnie pracuje.
 - Czy wiesz to od niej?
- Nie. Na trop naprowadziły mnie inkrustacje na jej igłowiec - cu. - Jedwab wyciągnął broń z kieszeni. - Został ozdobiony wizerunkami hiacyntów, lecz widnieje też na nim smukły ptak brodzący w stawie. Z początku sądziłem, że to czapla, dopiero później rozpoznałem żurawia. Doszedłem do wniosku, że to ty kazałeś go wygrawerować. - Otworzył zamek. - Czy woda nie uszkodziła broni?
- Nim zaczniesz strzelać, musisz ją dokładnie wysuszyć. Po naoliwieniu igłowiec będzie jak nowy. Ale fakt, że podarowałem Hia wytworny igłowiec, z pewnością nie stanowił jedyne tropu. Byle podstarzały głupiec napalony na piękną kobietę mógł jej dać taki podarek.
 - To prawda, ale w tej samej szufladzie trzymała też azoth... Czy wciąż go masz?Żuraw potaknął w milczeniu.
- Wydało mi się zatem bardzo prawdopodobne, że dostała go od tej samej osoby, która podarowała jej igłowiec. Nie musiała przed nią ukrywać tak cennej broni. Azoth wart jest kilka tysięcy kart, a więc jeśli dostała go od ciebie, nie mogłeś być zwykłym medykiem, za jakiego się podawałeś.
- Lekarzy nie stać na tak drogie podarunki. Co więcej, gdy badałeś mnie w obecności Krwi, wsunąłeś mi azoth za pasek. Nie wierzyłem, że przeciętny lekarz odważyłby się na tak zuchwały czyn.
 - Żuraw ponownie zachichotał.
 - - Jesteś bardzo bystry. Zaczynam wątpić w twoją niewinność. Czy aby na pewno nie uprawiasz samej profesji co ja?
- Mylisz niewinność z ignorancją, choć przyznaje, iż w wielu sprawach jestem kompletnym ignorantem.

- Niewinność jest wyborem. Jeden wybiera to, inny tamto, a ktoś inny uważa, że najlepsza jest niewinność.
- Musze przemyśleć ten problem. Ale mylisz się sądząc, że to ja podarowałem Hia azoth. Kilka dni wcześniej ktoś myszkował w moim pokoju, lecz na szczęście broni nie znalazł.
 - Poprosiłem więc Hia, aby mi ją przechowała.
 - Kiedy wsunąłeś mi go za pasek...
 - Powiedziałem, że jakaś bogini na górze bardzo cię lubi. Wcześniej przysłała z azothem do mnie i oświadczyła, że musimy ci go jakoś przekazać, ponieważ jej zdaniem Krew zamierza polecić Piżmowi, by cię zabił. Gdy do mnie szła, sądziła, że wciąż jeszcze opatruję twoje rany. Ale ja już z tobą skończyłem i odesłałem cię do Krwi. W trakcie naszej rozmowy pojawił się Piżmo. Puściłem zatem do Hia oko i zabrałem azoth, w nadziei że uda mi się dyskretnie ci go przekazać.
 - A więc pomysł wyszedł od niej?
 - Zgadza się. I jeśli cieszysz się z tego powodu, nie mam ci tego za złe. W twoim wieku potrafiłem z radości tańczyć na stromym dachu.
 - Cieszę się i wcale tego nie kryję. - Jedwab zagryzł wargi. - Czy mogę prosić cię o pewną grzeczność?
- Podaj mi azoth. Na chwilę. Nie zamierzam wyrządzić ci krzywdy, nie wysunę nawet klingi, a na pierwsze twoje żądanie zwrócę ci go bez słowa. Chcę tylko jeszcze raz na niego popatrzeć i potrzymać w ręku.
 - Żuraw wyciągnął broń zza paska i wręczył Jedwabowi.
- Dziękuję - rzekł paterę. - Od początku intrygowało mnie, dlaczego nie ma na nim ani jednego wizerunku hiacynta. Teraz jednak już to rozumiem. Demon; czy jest to krwawnik?
- Masz rację. To prezent dla Krwi. Nasza rani dała mi okrągłą sumkę, którą miałem go przekupić, a jedna z kalifek, na dowód naszej dobrej woli, dorzuciła do tego azoth. Krew miał już dwie sztuki takiej broni, lecz wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy.
- Dziękuję - powtórzył Jedwab, obracając azoth w dłoniach. - Gdybym wiedział, że azoth należy do ciebie, nie wracałbym z Mameltą do tych diabelskich tuneli, by go odzyskać nie wpadłbym w ręce żołnierzy Lemura, a Mameltą by żyła - Gdybyście nawet nie wrócili, też by was pochwycono - odparł Żuraw. - A wtedy azoth nie dostałby się w ręce Lemura, ja nie zdołałbym go zabić i w rezultacie obaj byśmy już nie żyli. Twoja kobieta zapewne też.
- Chyba masz rację. - Jedwab przyłożył usta do lśniącej, srebrnej rękojeści. - Ta broń przyniosła mi chyba tylko pecha. Z drugiej strony gdybym jej nie miał, zabiłby mnie talus.
 - Bardzo niechętnie zwrócił azoth Żurawowi.
 - I Nocą Jedwab leżał spoglądając w obcy sufit, a w jego myślach rozciągały się we wszystkie strony tunele, ich mroczne, splątane nici zapętlały się i zapętlały w nieskończoność. Czy teraz, kiedy oczekiwał na sen, otwierała się pod nim przestronna komora wypełniona śpiącymi w swych kruchych kloszach? Było to całkiem możliwe, gdyż

komora ta znajdowała się niedaleko zawałonego popiołami tunelu, a popioły pochodziły z man - teionu w Limnie. Niewątpliwie i jego manteion przy ulicy Słońca stał nad podobnym tunelem. Tak utrzymywał Pięściak.

- Jakże ciasne wydawały się te korytarze, gotowe w każdej chwili zamknąć się wokół i zgnieść go na miazgę! To nie Ayun - tamiento wydrążyła owe podziemne pasáže. Były dużo starsze.
 - Robotnicy kopiący fundamenty pod nowe budynki nieustannie na nie trafiali, lecz rozsądnie zasypywali zapadliska.
 - Zatem kto je stworzył i jakie było ich przeznaczenie? May - tere Marmur pamiętała Krótkie Słońce. Ale czy pamiętała tunele, czy pamiętała kopaczy, którzy je stworzyli, i przyczynę, dla której drążono owe mroczne labirynty?
 - W pokoju panował okropny upał. Było w nim cieplej nawet niż w sypialni na plebanii, gdzie też panował skwar, mimo iż oba okna, zarówno te wychodzące na ulicę Słońca, jak i od ogrodu, zawsze zostawiał szeroko otwarte. Zawieszane w nich cienkie firanki nieustannie szarpał wiatr tak gorący, że nie przynosił ochłody. W tej chwili doktor Żuraw czekał na zewnątrz w towarzystwie maytere Marmur i przez okno wrzucał do jego sypialni pochodzące z tuneli kawałki rakplastu. Chciał w ten sposób obudzić Jedwabia i posłać go do Hia po srebrny azoth.
 - Paterę niczym dym uniósł się i podpłynął do okna. Ujrzał tam szybującego w powietrzu martwego lotnika, z ust i nosa trupa wypływały bąbelki ostatniego oddechu. Zawsze któryś oddech jest ostatni, choć człowiek jeszcze o tym nie wie. Czy to właśnie lotnik próbował mu powiedzieć?
 - Gwałtownie otworzyły się drzwi i w progu stanął Lemur. Za nim majaczył groteskowy, czarno - czerwono - złoty pysk ryby, która pożarła kobietę do niedawna jeszcze śpiącą w szklanej rurze, w rurze, w jakiej teraz spał on obok Acalyphy, która była Kypris, która była Hiacyntem, która była Mamelką o czarnych jak noc włosach Hiacynta, Mamelką, którą pożarła ryba, chapnęła monstrualnymi szczękami...
 - Jedwab ocknął się, usiadł w przestronnym, ciemnym pokoju; panowała cisza, a w niej wciąż jeszcze drżał dźwięk, który go obudził. Na sąsiednim łóżku niespokojnie poruszył się Żuraw.
 - I znów ten dźwięk, cichutkie pukanie do drzwi, rytmiczne jak tykanie małego zegarka w jego sypialni na plebanii.
 - Gwardia - szepnął Jedwab, choć nie wiedział, skąd ma tę pewność.
 - To pokojówka ze zmianą pościeli - mruknął Żuraw.
- Za oknem wciąż jeszcze ciemno. Jest środek nocy. Jedwab zsunął nogi z łóżka. Pukanie do drzwi nie ustawało.

Pośrodku ulicy Doków, z pistoletem kulowym w ręku, prawie niewidoczny w mroku, stał gwardzista. Na widok Jedwabia w oknie machnął ręką i zaszalutował.

- Gwardia - powiedział Jedwab. Najwyższym wysiłkiem woli zapanował nad drżącym głosem.
-Mają nas.

- Gwardziści nie pukają w taki sposób - odezwał się Żuraw i usiadł w łóżku.
- Jeden stoi na dole i obserwuje ten dom.

Jedwab podniósł rygiel i otworzył drzwi. Stojący w progu kapitan gwardii zasalutował i strzelił obcasami wypolerowanych butów; trzask ten skojarzył się z dźwiękiem chapniecia szczek ogromnej ryby.

Stojący za kapitanem żołnierz również oddał Jedwabiowi honory. Druga dłoń gwardzisty spoczywała na kolbie pistoletu.

- Niech ci sprzyja każdy bóg - odezwał się Jedwab trochę nieprzytomnie i odstąpił na bok, robiąc przejście.
 - Czy zamierzacie wejść do pokoju?
 - Dziękuję, mój calde. Oszołomiony Jedwab zamrugał oczyma.

Weszli do pokoju; kapitan niedbale w swym nienagannie skrojonym mundurze, żołnierz - w wypolerowanej zielonej zbroi - sztywno i służbiście.

- Chyba nie przyszliście nas aresztować? - odezwał się Żuraw i szeroko ziewnął.
- Nie, nie! - zapewnił pośpiesznie oficer. - W żadnym wypadku. Przybyłem ostrzec was, ostrzec zwłaszcza naszego calde, że inni chcą go aresztować. Inni, którzy w tej chwili go szukają.
- Doktor Żuraw to pan?
- Wystawiono nakaz aresztowania na was obu. Potrzebujecie ochrony, więc przybyłem. Przepraszam, że obudziłem, ale cieszę się niezmiernie, że zdążyłem na czas.
- Całe zamieszanie spowodowała uwaga rzucona przez radcę Lemura zbyt pochopnie - powiedział powoli Jedwab.
 - Nic mi o tym nie wiadomo, mój calde.
 - Podszłuchał go jakiś bóg... Która godzina, kapitanie?
 - Za piętnaście czwarta, mój calde.
 - A zatem jest zbyt wcześnie, by wracać do miasta. Siadajcie, proszę... Nie, najpierw ściągnijcie tu żołnierza czuwającego pod oknem. Wtedy zdacie mi dokładną relację, co dzieje się w Yironie.
 - Lepiej niech tam zostanie, mój calde. Niech inni myślą, że was właśnie aresztuję.
 - Już nas aresztowałeś. - Jedwab sięgnął po spodnie, włożył je i usiadł na łóżku. - Doktor i ja zostaliśmy pojmani i rozbrojeni. A zatem ten człowiek na zewnątrz może opuścić posterunek.
 - Wezwij go.
 - Kapitan usiadł na krześle, po czym skinął na żołnierza, który podszedł do okna i machnął

ręką. Jedwab uderzył owijaczem o słupek łóżka. _ Tytułujesz mnie calde. Dlaczego?

- _ Wszyscy wiedzą, mój calde, że ponownie ustanowiony zostanie ów urząd. Napisana przez naszą patronkę i Paha Karta wyraźnie o tym mówi... Choć przez ostatnie dwadzieścia lat nie było żadnego calde.
- A mimo to wszystko szło normalnym torem, prawda? - odparł Żuraw. - Czy w mieście panuje spokój?
- Niezupełnie, doktorze - odrzekł kapitan. Popatrzył na żołnierza i wzruszył ramionami. - Zeszłej nocy wybuchły rozruchy, wiele domów i sklepów spłonęło. Do obrony Palatynu trzeba było całej brygady. Nie do uwierzenia! Z każdym rokiem jest coraz gorzej. A w tym roku sprawę pogorszyły jeszcze straszliwe upały, susza i wysokie ceny na rynku... - Znów wzruszył ramionami. - Gdyby Ayuntamiento spytała mnie o zdanie, doradziłbym zakupić żywność, zboże i fasole, jedzenie dla biedoty, a następnie sprzedać je po niższych cenach. Ale nikt nie pytał mnie o zdanie, więc wypiszę swoją opinię ich własną krwią.
 - - Przemówiła do nas bogini, calde - odezwał się niespodziewanie żołnierz. Kapitan wyglądził wąsy.
- To prawda, mój calde. Wczoraj w twoim manteionie, gdzie przemawiają bogowie, doznaliśmy szczególnej łaski.
 - Jedwab założył opatrunek na kostkę.
 - - Czy któryś z was zrozumiał, co mówiła bogini? - zapytał.
- Wszyscy zrozumieli, mój calde. Może nie tak jak rozumiemy twoją mowę, nie tak również jak ty rozumiałbyś boginię. Ale wyraźnie oświadczyła nam, że przełożeni zmuszają nas do bluźnierstwa, a ty jesteś nietykalny. Mieliśmy szczęście, bo twój akolita wrócił na czas. Potrafił ją w pełni zrozumieć i przekazać nam przesłanie. Chodziło o to, że nieśmiertelni bogowie są niezadowoleni z naszego nieszczęsnego miasta, że wybrali ciebie na calde, a każdy, kto się temu sprzeciwi, skazany jest na zagładę.
 - Moi ludzie... Jakby w odpowiedzi na te słowa rozległo się pukanie do drzwi i w progu pojawił się żołnierz.
- Moi ludzie - kontynuował kapitan - by mnie zabili, gdybym próbował wykonać rozkazy Ayuntamiento, mój calde. Ale zapewniam cię, że i tak nie zamierzałem być posłuszny.
- Jedwab skwitował jego oświadczenie milczeniem. Sięgnął po czerwoną koszule i wciągnął ją przez głowę.
- Żołnierz, który przed chwilą wszedł do pokoju, popatrzył na kapitana. Kiedy uzyskał pozwolenie, powiedział: - Każdy widzi, że dzieje się źle. Pah odebrał nam deszcze i zesłał upały. Plony są coraz gorsze. Mój ojciec miał rozległy staw, lecz musieliśmy z niego wypompować całą wodę, by nawodnić pola. Teraz cieszymy się, jeśli uzyskamy dziesięć kwintali.
- Kapitan pochylił głowę w stronę żołnierza, jakby chciał powiedzieć: „Sam widzisz, z jakimi

kłopotami muszę się borykać".

- Mówią o kopaniu kanałów prowadzących od jeziora, mój calde, ale prace zajmą całe lata. Na razie niebiosa są przed nami zamknięte, a manteiony, z wyjątkiem twego, milczą.
- Jeszcze zanim bogini przemówiła, było oczywiste, że bogowie są z nas bardzo niezadowoleni. Dla wielu przyczyna jest oczywista. Czy jesteś świadom, mój calde, że na murach wypisują hasło „Jedwab na calde”?
 - Jedwab skinął w milczeniu głową.
- Dzisiejszego wieczoru ja i moi ludzie sami wykonaliśmy kredą trochę takich napisów. Pisaliśmy: „Jedwab jest calde”.
 - Z głębi pokoju dotarł śmiech Żurawia.
 - Oni robią podobnie, kapitanie, prawda? „Gdy schwytamy Jedwabia, zabijemy go”.
 - Ciesz się, że do tego nie doszło, doktorze.
 - Cieszę się, i to bardzo. - Żuraw odrzucił przesiąknięte potem prześcieradło. - Lecz sama radość nie zaprowadzi calde do Juzgado. Czy możesz zaproponować mu jakąś kryjówkę?
 - - Nie zamierzam się nigdzie kryć - oświadczył Jedwab. - Wracam do swego manteionu. Żuraw uniósł brwi, a kapitan popatrzył na Jedwabia ze zdziwieniem.
 - - Po pierwsze, muszę wszystko skonsultować z bogami. Po drugie, zamierzam wydać oświadczenie, że władzę Ayuntamiento należy obalić w miarę możliwości pokojowymi metodami.
 - Kapitan podniósł się z krzesła.
- Ale zgadzasz się, mój calde, że musi zostać obalona, prawda? Pokojowo albo siłą, jeśli inaczej się nie da.
 - Jedwab wahał się.
 - Przypomnij sobie lolara - mruknął Żuraw.
 - Zgoda - rzekł Jedwab. - Obecnych radców Ayuntamien - to muszą zastąpić nowi, ale należy do tego doprowadzić w sposób możliwie bezkrwawy. Wasza trójka oświadczyła, że stanie po mojej stronie. Czy zgadzacie się towarzyszyć mi do man - teionu? Jeśli pojawi się ktoś z nakazem aresztowania, oświadczycie, że już jestem aresztowany i wiedziecie mnie do man - teionu, bym mógł zabrać swoje rzeczy. Takie względy należą się augurowi, więc nikogo to nie powinno zdziwić.
 - Może to się okazać bardzo niebezpieczne, mój calde - odparł posępnie kapitan.
 - Cokolwiek byśmy zrobili, będzie niebezpieczne, kapitanie. Co z tobą, doktorze?
 - Ja zgoliłem brodę, a ty zamierzasz wrócić do dzielnicy, w której wszyscy cię znają.
 - Od jutra zacznij zapuszczać nową.
- Zatem jak mogę ci odmówić? - Żuraw wybuchnął śmiechem. - Nie pozbędziesz się mnie tak

łatwo, calde.

- Nie zeszkro - biesz mnie z podeszwy buta jak jakieś paskudztwo.
- Takiej odpowiedzi się spodziewałem. Kapitanie, z twoich słów wnioskuję, że poszukiwałeś mnie przez całą noc.
- Od chwili gdy bogini obdarzyła nas łaską, mój calde. Najpierw w mieście, a następnie tu, gdyż twój akolita poinformował nas, że pojechałeś nad jezioro.
- A zatem powinniśmy się teraz solidnie posilić. Poślij któregoś z żołnierzy, by zbudził karczmarza i kazał mu przygotować suty posiłek. Niech powie mu, że za wszystko zapłacimy, ale jedzenie ma być szybko.
 - Oficer dał znak jednemu z żołnierzy i ten spiesznie opuścił pokój.
 - Czy przyjechaliście ślizgaczem? - zapytał Żuraw. Kapitan sposepniał.
 - Konno. Ślizgaczami dysponuje pułkownik. Calde, sądzę jednak, że uda mi się zorganizować taki pojazd.
 - Spróbuję.
- Nie żartuj - odparł Jedwab. - Ślizgacz dla więźnia? Będę szedł przed waszymi końmi ze skrępowanymi rękami. Czyż nie taka jest procedura?
 - Kapitan niechętnie skinął głową.
 - Niemniej uważam...
 - On kuleje - ostrzegł Żuraw. - Chyba już to zauważyliście. Ma złamaną nogę. Nie może iść na piechotę z Limny do Yironu.
 - - Mamy tu posterunek gwardii, mój calde. Zapewne uda mi się zorganizować dodatkowe konie. Jedwab przypomniał sobie nocną wyprawę do willi Krwi, jaką odbył w towarzystwie Alki.
- Na pewno można wynająć tu osły, a później Róg lub któryś z innych chłopców odprowadzi je do właściciela. Chyba jest dopuszczalne, by augur i człowiek w wieku doktora podróżowali na osłach?
- Kiedy wyruszali w drogę, nad miasteczkiem pojawiły się pierwsze mętne blaski zbliżającego się rozjaśnienia. Jedwab, odmawiając poranną modlitwę do Hieraxa Wielkiego, wsiadł na białego osła i założył ramiona do tyłu. Jeden z żołnierzy zaczął wiązać mu ręce.
- Pęta będą luźne, calde - powiedział z nutą pokory w głosie. - Na tyle luźne, by cię nie uwierały, a w razie potrzeby bez trudu je zrzucisz.
- Jedwab skinął głową, nie przerywając modlitwy. Dziwnie się czuł, odprawiając modły nie w sutannie, lecz w czerwonej koszuli, choć przed rozpoczęciem nauki w scholi często modlił się ubrany w jaskrawe stroje.
- Obiecywał sobie jednak w duchu, że po powrocie na plebanię włoży czystą koszulę i

najlepszą sutannę. Nie umiał dobrze przemawiać (tak siebie oceniał) i jeśli nie będzie wyglądał jak augur, nie zdobędzie posłuchu wśród ludzi. A musi zgromadzić tłumy. Tylu ludzi, ilu on, trzy sybille i, naturalnie, uczniowie z palestry, zdołają zwołać. Kiedy przemówi... W manteionie? Przed plebanią?... Kiedy przemówi.. - Kapitan wskoczył na stojącego dęba wierzchowca.

- Czy jesteś gotów, mój calde? Jedwab skinął głową.
- Kapitanie, przyszło mi do głowy, że to udawane aresztowanie możesz zamienić w prawdziwe. Jeśli nawet tak uczynisz, z mojej strony nic ci nie grozi... Ani ze strony bogów.
- Niech Hierax pożre moje kości, jeśli dopuszczę się takiej zdrady, mój calde! W każdej chwili możemy rozwiązać ci ręce.

Osiół, choć Jedwab nie uderzył go po bokach piętami, ruszył spokojnym krokiem.

Widocznie szturchnął zwierze któryś z żołnierzy.

Żuraw przez chwile spoglądał na wał skłębionych chmur napływających od strony jeziora.

- Czeka nas pochmurny dzień. - Uderzył osła piętami i zrównał się z Jedwabiem. - Pierwszy od długiego czasu. Przynajmniej nie będziemy smażyć się w blasku słońca.
 - Jedwab spytał, ile czasu zajmie im droga do miasta.
 - Na osłach? Co najmniej cztery godziny. Czy osły nigdy nie przechodzą w kłus?
 - W dzieciństwie widywałem, jak brykają na łące - odparł Jedwab. - Ale nikt na nich nie siedział.
 - Gdy tylko związano mi ręce, natychmiast zaczął swędzieć mnie nos.
- Jechali ulicą Przybrzeżną, minęli Juzgado, gdzie uprzejma kobieta powiedziała Jedwabowi o sanktuarium Scylli i Drodze Pielgrzymów, a w chwilę później kancelarię adwokata Yul - pesa z jaskrawym szyldem, na którym widniał wizerunek rudego lisa. Yulpes zapewne zdziwił się, że nie wręczyłem kapitanowi jego wizytówki, pomyślał Jedwab. Pod warunkiem, oczywiście, że rozpoznał mnie w nowym ubraniu. Yulpes nie dopuściłby do tego, by aresztowanych w Limnie zabierano do miasta, a tym samym pozbawiano go zarobku.
- Wizytówka Yulpesa przepadła podczas rewizji; wraz z nią Jedwab stracił również klucze do plebanii. Zapewne oprócz igłowca pięknej Hiacynt, azotha, gammadionu i paciorków, Lemur dostał od radcy Wariego również wizytówkę, ale dygnitarz nie zamierzał wcale stawiać Jedwabia przed sądem.. Limna została już w tyle. Niewielki orszak sunął między piszczystymi pagórkami, które w czasach gdy jezioro było dużo rozleglejsze, stanowiły zapewne wysepki i mielizny. Jedwab odwrócił się w siodle, by jeszcze raz spojrzeć na osadę, lecz za kapitanem i dwoma żołnierzami na koniach dostrzegł jedynie stalowoniebieską toń jeziora.
- O tej porze przyjeżdżała tu Acalypha będąc dzieckiem - powiedział do Żurawia. - Pojawiała się tu zawsze o rozjaśnieniu. Czy mówiła ci o tym?
 - Pojawiała się o dużo wcześniejszej godzinie.
- Kropla wody spadła na grzywę białego osła, włosie pociemniało; kolejna kropla spadła na brudną czuprynę Jedwabia. Deszcz był zdumiewająco ciepły.

- Dobrze, że nie zaczęło padać wcześniej - odezwał się Żuraw.
W tej chwili rozległa się kanonada.
- Na ziemię! - wrzasnął kapitan, lecz reszta jego słów zatoneła w huku pistoletu kulowego. Pęta krępujące nadgarstki Jedwabia, przed sekundą jeszcze zsuwające mu się z rąk, z całą mocą
- zacisnęły mu się na dłoniach.
 - Calde! Na ziemię!
- Zsunął się z siodła, znurkował pod brzuch osła i padł na zakurzoną drogę. W jakiś cudowny sposób pęta spadły mu z rąk. Usłyszał ryk silników ślizgacza, a po nim długi, surowy, suchy grzechot przypominający dźwięk przesuwanej szybko de - szczułki po prętach klatki.
- Dźwignął się na nogi i pomógł Żurawiowi, który również oswodził się z pęt, zsiąść z osła. Znów rozległy się wystrzały. Rumak kapitana zarżał, gwałtownie cofnął się i uderzył ich zadem, obalając obu na ziemię.
 - Moje lewe płuco - wychrypiał Żuraw. Z ust spływała mu strużka krwi. Jedwab silnym szarpnięciem rozdarł mu koszulę.
 - Azoth... - szepnął lekarz.
- Grzmot pistoletów kulowych i łoskot eksplozji narastał, zupełnie jakby strzelali bogowie i jakby to oni konali. Z nieba zaczęły padać jasne krople wielkości gołębih jaj.
- - Muszę cię opatrzyć - powiedział Jedwab. - Moim zdaniem rana nie jest śmiertelna. Wydobrzejesz.
 - Wątpię. - Żuraw splunął krwią. - Udawaj, że jesteś moim ojcem. Uderzyła w nich fala ulewy.
 - Jestem twym ojcem.
- Jedwab wcisnął w gorącą, pulsującą ranę doktora kawałek szmatki i oddarł z koszuli pas materiału, by unieruchomić opatrunek.
 - Calde, zabierz azoth.
 - Żuraw wsunął w dłoń Jedwabia broń.
 - Pochylony nad lekarzem, ściskając w rękach zbędny już pas materiału, Jedwab obserwował agonię Żurawia - jak drży jego ciało, jak naprężają się, a następnie wiotczeją kończyny, jak wywracają mu się oczy - i wiedział, że życie z doktora uszło, że ogromny i niewidzialny, drapieżny Hierax spada wraz z deszczem na Żurawia i porywa jego duszę, wyszarpuje ją z ciała; a on, Jedwab, klęczący w błocie, klęczy w boskiej obecności niewidzialnego boga. Na jego oczach ustało pulsowanie rany bluzgającej krwią; zaraz deszcz zmył krew i pozostała jedynie biała, okrutna szrama.
 - Jedwab wsunął azoth za pas i wyciągnął paciorki.
- Przynoszę ci przebaczenie wszystkich bogów, doktorze Żurawiu. A teraz wspomnij słowa,

które wypowiedział Pah: „Wypełniaj wolę moją, żyj w pokoju, rozmnażaj się i nie naruszaj mej pieczęci. W ten sposób unikniesz mego gniewu”.

- A jednak pieczęć Paha została wielokrotnie naruszona; on sam zeskrobał resztki jednej z nich. Embriony, zaledwie gnijące strzępy, leżały pośród szczątków innej pieczęci. Czyżby sama pieczęć znaczyła więcej niż to, czego miała strzec? (Huk pioruna). Nad whorlem zawisł gniew Paha.
 - - Idź chętnie (Dokąd?), a wszelkie zło, jakie popełniłeś, zostanie zapomniane. Ślizgacz był coraz bliżej, grzmot jego wydechów zagłuszał huk burzy.
- Doktorze Żurawiu, synu, Pah i pomniejsi bogowie udzielili mi władzy wybaczenia ci w ich imieniu. A zatem przebaczam ci i odpuszczam wszelkie złe uczynki, jakich się dopuściłeś. - W strugach ulewy wykonał paciorkami znak odejmowania. - Błogosławi? cię.
- Strzelanina ustała. Kapitan i dwóch jego żołnierzy zapewne nie żyli. Czy gwardia pozwoli mu przynieść umarłym pojednanie z Pahem?
- Błagam, byś odpuścił winy nam, żyjącym. - Jedwab mówił zbyt szybko, żaden z nauczycieli w scholi by tego nie zaaprobował. - Ja i wielu innych często wyrządzaliśmy ci krzywdę, doktorze, dopuszczając się wobec ciebie odrażających postępów. Ale nie chowaj w sercu urazy i zacznij życie, które przychodzi po życiu na tym whorlu, z niewinną duszą, albowiem wszelkie zło zostało ci wybaczone.
- W pobliżu rozległ się trzykrotny huk pistoletu kulowego. Zawtórował mu klekot pistoletów pulsacyjnych.
 - Tuż obok głowy Żurawia wzbija się w powietrze fontanna błota.
 - Ważny punkt: - Rozgrzeszam cię, doktorze Żurawiu, w imieniu wszystkich bogów. Przemawiam w imieniu Paha Wielkiego... Wszystkich Dziewięciu; a każde imię z należną czcią. A jednak Jedwab odniósł wrażenie, że żadne tak naprawdę się nie liczy, nawet imię Hieraxa, choć ten bóg z całą pewnością był w tej chwili obecny.
 - Wybacza ci też Zewnętrzny i wszyscy pomniejsi bogowie. Dźwignął się z ziemi.
 - Uciekaj, mój calde, ratuj się! - krzyknęła pokryta błotem postać klęcząca obok martwego konia i ponownie otworzyła ogień w kierunku spadającego na nich ślizgacza.
 - Paterę wzniosł ramiona, z jednego nadgarstka wciąż zwisały mu pęta.
- Poddaję się! - Azoth zatknięty za pasem ciążył niczym bryła ołowiu. Jedwab ruszył przed siebie. Utykał, ślizgał się w błocie, deszcz siekł go po twarzy. - Jestem calde Jedwab! - Niebo przecięła kolejna błyskawica, w jej blasku nadciągający ślizgacz przypominał talusa z wytrzeszczonymi, malowanymi ślepiami. - Jeśli chcecie kogoś zabić, zabijcie mnie!
 - Uwalana błotem postać rzuciła pistolet kulowy i również uniosła nad głowę ręce.

- Ślizgacz zatrzymał się, strumienie powietrza z jego wydechów wzbijały wtórny, błotny deszcz.
- Zastawili na nas pułapkę, mój calde - odezwał się ubłocony oficer. - Umieramy za ciebie, umieramy za Yiron.
- Otworzyła się kłapa pod wieżyczką maszyny i wynurzył się z niej oficer, którego mundur w jednej chwili spowiła gruba warstwa błota.
- Wiem - powiedział Jedwab. - Nigdy cię nie zapomnę. Próbował przypomnieć sobie imię oficera, lecz jeśli nawet je znał, wypadło mu z pamięci; podobnie jak imię żołnierza o pociągłej, poważnej, ogorzalej twarzy, który mówił o suchym stawie swego ojca.
- Oficer podszedł do nich wielkimi krokami. Wyszarpnął z pochwy lśniący miecz, strzelił obcasami, zadarł głowę. Zasalutował, jakby znajdował się na placu musztry, i wyciągnął przed siebie połyskliwą klingę.
 - Calde! Dzięki Hieraxowi i wszystkim bogom! Zdążyłem przybyć ci z odsieczą!